

POLSKIE PIEKIELKO

OBRAZY Z ŻYCIA ELIT EMIGRACYJNYCH 1939-1945

Stawomir Koper



BELLONA

Sławomir Koper

POLSKIE PIEKIELKO



Spis treści

Od autora.

Rozdział 1: Koniec pewnej epoki

Warszawa, 12 maja 1935 roku

Krajobraz bez Marszałka

Zmierzch

Z dziejów państwowej propagandy

Edward Śmigły-Rydz

Ostatnie tygodnie

Rozdział 2: Wieniawa, niedoszły prezydent Rzeczypospolitej

Kuty, 17 września 1939 roku

Biada zwyciężonym

Wieniawa

Nowy prezydent Rzeczypospolitej

Ambicje generała Sikorskiego

Przewrót

„August Leniwy” i umowa paryska

Rozdział 3: Prawdziwa nienawiść

Naczelnny Wódz i premier

Rada Narodowa

Salon odrzuconych

Kapelusze, Bereza Kartuska i gangsterzy

Profesor Stanisław Kot

Złoto, lemoniada i proszki przeciwbólowe

Rozdział 4: Drugi żołnierz Rzeczypospolitej

Szef

Na bocznym torze

W rodzinnym kręgu

Francuskie dylematy

Pani generałowa Jadwiga Sosnkowska

Fałszywy konsul

Rozdział 5: Dziwne losy premiera Składkowskiego

Mołdawskie odosobnienie

Wyjazd Mościckiego

Tragedia Józefa Becka
Na obcej ziemi
Kierunek Turcja
Wstyd po polsku
Ostateczna emigracja
Rozdział 6: Wyspa Węży
Pułkownik Izydor Modelski
Obóz w Cerizay
Francuska katastrofa
Wszystkie grzechy generała Sikorskiego
Niezatapialny premier
Szkockie niepokoje
Rothesay na wyspie Bute
Shinafoot
Rozdział 7: Tragedia amerykańska
Wielka ewakuacja
Sceny z życia polskiej emigracji
Koniec epepei
Spowiedź piłsudczyka
Rozdział 8: Obrazy z życia bohaterów bitwy o Anglię
Polscy piloci myśliwscy
Niepokorni lotnicy
Rumuńskie ucieczki
Wyspa ostatniej nadziei
Idole Wielkiej Brytanii
Kuchenne rewelacje
Alkoholowe turbulencje
Płeć piękna i piloci
Czarna niewdzięczność wyspiarzy
Rozdział 9: Koniec świata skamandrytów
Cudowna piątka
Poezja i finanse
Diaspora
Emigracyjne grzechy pana Antoniego

Trudne decyzje
Trucizny skamandryty
Rozdział 10: Z dziejów II Korpusu
Generał Władysław Anders
Nieludzka ziemia
Kierunek Powołże
Buzułuk
JangiJul
Exodus
Hanka Ordonówna
Druga ewakuacja
Rotmistrz Jerzy Klimkowski
Palestyna mówiła po polsku
Wszystkie kobiety generała Andersa
Niedźwiedź Wojtek
Biały pióropusz i czerwone maki
Farma generała Sosnkowskiego
Generał na białym koniu
Rozdział 11: Zagadka Józefa Hieronima Retingera
Szara eminencja polskiej emigracji
Dziwne losy krakowskiego inteligenta
Meksyk
Przyjaciół generała Sikorskiego
Szara eminencja premiera
Skok do kraju
Nieudany zamach
W drodze do zjednoczonej Europy
Rozdział 12: Agentka Churchilla
Zbrodnia w Londynie
Młodość hrabianki
Zdrada?
Budapeszt
Pytania bez odpowiedzi
Francja

Powojenne rozczarowanie

Zakończenie

Bibliografia

Od autora

Wrzesień 1939 roku przyniósł kres Drugiej Rzeczypospolitej, a wraz z nią zakończyła się jedna z najbarwniejszych epok w dziejach naszego kraju. Nic nie było już takie jak wcześniej, a powstały po wojnie PRL niewiele miał wspólnego z Polską Piłsudskiego, Dmowskiego czy Witosa.

Agresja niemieckoradziecka nie oznaczała jednak końca polskiej państwowości. Przedwrześniowe tradycje przejęli ludzie, którzy wprawdzie odżegnywali się od związków z sanacją, ale czasami wiernie naśladowali metody poprzedników. A co gorsza, z reguły w sprawach nieprzynoszących im chwały.

Polskie piekielko jest książką o naszych elitach emigracyjnych w latach 1939-1945, to opowieść o wojennych losach ludzi odgrywających wówczas główną rolę. Niektórzy z nich występowali już na łamach moich książek (WieniawaDługoszowski, Słonimski, Lechoń, Tuwim), inni pojawiali się epizodycznie (Sikorski, Sosnkowski, Składkowski). Czasy wojny przyniosły jednak nowych bohaterów, takich jak tajemniczy Józef Retinger - szara eminencja gabinetu Sikorskiego, czy profesor Stanisław Kot, zajadły wróg piłsudczyków i sanacji. Oddzielny rozdział poświęciłem również losom Krystyny Skarbek, pięknej agentki brytyjskiego wywiadu.

W książce o polskich elitach w czasach drugiej wojny światowej nie mogło zabraknąć Władysława Andersa. Dzieje II Korpusu zajmują najdłuższy rozdział tej książki, podejrzewam zresztą, że obraz przeze mnie przedstawiony nie wszystkim przypadnie do gustu. Zdobycie Monte Cassino nie było wcale wielkim sukcesem polskiego oręża, ale samowolą Andersa, który polską krwią okupił pragnienie sławy. A na domiar złego to krwawe zwycięstwo nie przyniosło efektów dla sprawy polskiej, na co liczył generał.

Nie byłbym jednak sobą, gdybym nie poświęcił nieco miejsca życiu prywatnemu Andersa. Obfitowało ono w różnego rodzaju zawirowania, generał, jak przystało na rasowego kawalerzystę, był mężczyzną wrażliwym na uroki dam. Wywoływało to perturbacje natury obyczajowej; w pierwszych miesiącach po zakończeniu wojny we Włoszech mieszkały dwie panie generałowe. Podwładni Andersa nazywali je „starą” i „młodą” generałową.

Dzieje II Korpusu to jednak nie tylko Monte Cassino, to także ratowanie ponad stu tysięcy Polaków z sowieckiego piekła. Relacje, które przytaczam, czasami szokują, ale przekazy naocznych świadków są najlepszym źródłem historycznym.

W książce o losach polskich elit emigracyjnych musieli się znaleźć nasi lotnicy, dzielnie walczący pod niebem Wielkiej Brytanii. Piloci byli najlepszą wizytówką Polskich Sił

Zbrojnych, a ich styl życia odbiegał od stereotypu. Ci ludzie żyli chwilą, a fantazję mieli nieprawdopodobną, co także starałem się przedstawić.

Polskie piekielko to książka o wydarzeniach mało znanych szerokim rzeszom czytelników. Opowiadam o epizodach z naszej historii, o których nie mówi się głośno lub które skazano na zapomnienie. O koszmarnych emigracyjnych waśniach, ludzkiej zawiści, walce o władzę i uznanie. O Wyspie Węży, gdzie internowano przeciwników generała Sikorskiego, o buntach oficerów przeciwko Naczelnemu Wodzowi czy rozpadzie przyjaźni skamandrytów.

Wielu czytelników mogą zaskoczyć fakty, które przytaczam. Naczelnny Wódz i premier nie był wcale taką posagową postacią, jak z reguły jest przedstawiany. Miał wiele skaz - bywał małostkowy, pamiętliwy, popełniał błędy. A co gorsza, ulegał otoczeniu, zadziwiającej grupie ludzi, którzy zamiast działać na rzecz wygrania wojny, zajmowali się głównie załatwianiem osobistych porachunków. Polskie Siły Zbrojne również nie stanowiły monolitu, wstrząsały nimi spory i waśnie, a prywatne interesy brały górę nad sprawami najważniejszymi. Podział zapoczątkowany przewrotem majowym ciągle trwał i przynosił gorzkie owoce.

Nie poruszam natomiast tematu katastrofy gibraltarskiej. W ostatnich latach pisano o niej wyjątkowo dużo i uznałem, że nie ma tu już nic do dodania. Postawiono wiele hipotez, sprawy ostatecznie nie wyjaśniono; wiadomo tylko tyle, że Sikorski zakończył życie w Gibraltarze. A jego śmierć wywołała prawdziwe trzęsienie ziemi w szeregach polskiej emigracji.

Polskie piekielko to chwilami gorzka książka, to obraz naszych elit dalekich od doskonałości, czytając ją, można dojść do wniosku, że przez lata niewiele się zmieniło. Polacy są wspaniałym narodem gotowym do wielkich poświęceń, ale nasze negatywne cechy są, niestety, ciągle w tym samym stopniu obecne.

Sławomir Koper

ROZDZIAŁ 1

KONIEC PEWNEJ EPOKI

Warszawa, 12 maja 1935 roku

Piętnasty maja w 1935 roku wypadł w środę. Solenizantka Zofia Nałkowska uznała jednak, że niedziela będzie lepszym terminem spotkania z licznymi gośćmi, zaprosiła ich więc trzy dni wcześniej. Znana i ceniona pisarka lubiła życie towarzyskie, kochała wymianę myśli i poglądów, uwielbiała błyszczeć i być adorowana. W niedzielne popołudnie w jej przestronnym mieszkaniu przy Marszałkowskiej 4 pojawił się kwiat polskiej literatury. Kogo tam nie było. Dąbrowska, Kuncewiczowa, Kuszelewska, Wierzyński, Słonimski, Parandowski, Boy, Gombrowicz. Przybyli także malarz Chmieliński i prawicowy dziennikarz Stanisław Piasecki oraz grupa znajomych solenizantki ze sfer rządowych. Panom towarzyszyły żony, paniom mężowie, panowała beztraska atmosfera. Po godzinie dwudziestej pierwszej do telefonu poproszono Antoniego Słonimskiego, dzwonił jego znajomy z Ministerstwa Spraw Zagranicznych - Juliusz Sakowski. Przekazał informację, że kilkanaście minut wcześniej w Belwederze zmarł Józef Piłsudski.

„Wiadomość o tym - zanotowała Nałkowska w Dziennikach - przysłała tutaj w chwili, gdy dom pełen był obcych ludzi. Przełamana w różnych reakcjach, w różnych twarzach i słowach. Szła z pokoju do pokoju, od grupy do grupy, nie wiadomo dlaczego szeptem - po całej skali wrażenia, po wszystkich jego szczeblach i odcieniach. Było cicho, niektórzy odchodzili od razu, inni stali jeszcze trochę, zatrzymywali się i żegnali”.

Jako jedna z pierwszych wyszła Maria Dąbrowska. Natychmiast udała się do domu, inni goście zresztą również „rozpierzchli się momentalnie jak kuropatwy”. Idąc na Polną, zauważyła, że wiadomość o śmierci Piłsudskiego nie rozeszła się jeszcze po mieście, restauracje funkcjonowały normalnie, a w salach dansingowych panował tłok. Dąbrowska przekazała żalobną informację swojemu partnerowi, Stanisławowi Stempowskiemu, chociaż obawiała się jego reakcji. Stempowski poważnie chorował na serce i pisarka wiedziała, że zgon Komendanta będzie dla niego poważnym ciosem. Nie położyli się jeszcze spać, do drugiej w nocy słuchali żalobnych komunikatów radiowych. Oboje płakali.

„Rozeszliśmy się natychmiast - wspominał Kazimierz Wierzyński. - Znalazłem się w drzwiach razem ze Stanisławem Piaseckim, redaktorem »Prosto z Mostu«. Podwoziłem go taksówką do placu Trzech Krzyży, sam pojechałem dalej, do »Gazety Polskiej« na Szpitalną.

W redakcji zastałem Ignacego Matuszewskiego i przesiedziałem w jego gabinecie kilka godzin. Było już późno w nocy, gdy poszedłem pod Belweder. W Alejach Ujazdowskich spotkałem Światopełka Karpińskiego i Janusza Minkiewicza, którzy szli ku miastu. Minęliśmy się, nie zaczynając rozmowy. Brama Belwederu była zamknięta. Stało przy niej kilkadziesiąt milczących osób. Patrzyłem na żelazne ogrodzenie, na wartownika, na oświetlone podwórko i ciemny dom. W pewnej chwili poczułem, że ktoś przysuwa się i dotyka mnie ramieniem. Był to Wojciech Jastrzębowski. Długo tak staliśmy przy sobie. Gdyśmy odchodzili, Jastrzębowski wskazał głową na tłum i powiedział: To wszystko sieroty, już nie będzie brwi, pod które mogliśmy się schronić«,,.

Śmierć Piłsudskiego była wyraźną cezurą w dziejach Drugiej Rzeczypospolitej. Osobę Marszałka utożsamiano z niepodległością kraju, powszechnie uważano, że potrafi zapewnić Polsce bezpieczeństwo. I chociaż „nie był ojcem dla wszystkich, ale był nim dla wielu milionów. Ojcem wybranym i przybranym, surowym i bezwzględny, czasami zdało się, że nieczułym”, ale jednak ojcem. Zdobył przecież władzę w efekcie krwawego zamachu wojskowego, rządził w sposób autorytarny i bez jego zgody nie właściwie nie mogło się w kraju wydarzyć. Ale Marszałek starał się przestrzegać obowiązującego prawa i nawet liderzy opozycji zostali osadzeni w Brześciu dopiero po wygaśnięciu immunitetu poselskiego. W kraju wychodziła wolna prasa, przeciwnicy Komendanta wystawiali swoich kandydatów w wyborach, a cenzura miała raczej przewencyjny niż restrykcyjny charakter. Piłsudski zadowolony był stanowiskami dozwolonymi przez obowiązujące prawo, zupełnie zresztą nie dbając o zaszczyty, tytuły czy wizualną oprawę władzy. Wszyscy wiedzieli, że Polska była najważniejszą miłością jego życia, że to było jego szczęście i przekleństwo zarazem. I że nikt nie będzie miał już takiego autorytetu jak samotnik z Belwederu.

„Piłsudski szef bojówki - pisał Stanisław CatMackiewicz - Piłsudski komendant strzelców, Piłsudski brygadier Legionów, Piłsudski Naczelnik Państwa z czasów Kijowa i inwazji był niewątpliwie wielkim człowiekiem. Poniewierała go i odpychała cała Polska. Nie rozumiały go polsko-austriackie ekscelencje, nie rozumiał burżuj warszawski, nie rozumiał ksiądz na ambonie, nie rozumiał sąsiad przy kartach, nie rozumiał krzykliwy socjalista ani nawet wszystko rozumiejący Żyd. I bracia rodzeni, autentyczni bracia nie rozumieli, nie chcieli, nie mogli. Najgrzeczniej to się nazywało: potępiali jego linię polityczną. Ten człowiek w naszej historii istotnie cierpiał, walczył i szarpał za miliony. A siły każdego nerwów mają swój kres”.

Największą porażką Piłsudskiego był brak sukcesora. Ten człowiek tak bardzo przerastał współczesnych, że nie znalazł w swoim otoczeniu nikogo, kto mógłby go zastąpić.

Mimo iż zdawał sobie z tego sprawę, to poszukując rozwiązania, popełnił błąd, który zaważył na losach Polski. Nie wziął pod uwagę podstawowego czynnika - ludzkich ambicji.

„Nie było systemu pomajowego - pisał Kajetan Morawski. - Był tylko najpierw Piłsudski, genialny szlachcic o intuicji męża stanu i temperamencie rewolucjonisty, wielkopański i rubaszny, równie bliski trywialności legendy, dla którego Polska była jakimś wielkim Zułowem czy Pikieliszkami, że chodził po niej, gderząc i dziwaczając, i kijem sękatym poganiał lub przepędzał parobków i ekonomów. Swą renesansową bujnością i litewskim uporem, szerokością swych koncepcji i małostkową mściwością, swą osobą i legendą przysłonił i przytłoczył cały okres dziejów Polski i wdarł się w życie każdego z nas. Wszyscy ci, co chcieli i nie chcieli, bardziej niż sobą samym byliśmy jego współczesnymi. A potem był Piłsudski stary i chory, a potem były walki diadochów”.

Krajobraz bez Marszałka

Kazimierz Wierzyński zauważył, że Polacy są „znakomitymi grabarzami”. Faktycznie w naszym kraju pogrzeby znanych osób są doskonałą okazją do zjednoczenia narodu, a często do ekspiacji wobec zmarłego. Zebrane tłumy przepraszają za swoje grzechy, politycy podnoszą zasługi nieboszczyka, a potem obowiązuje zasada, że o zmarłym mówi się dobrze albo wcale.

Uroczystości żałobne po śmierci Piłsudskiego przewyższyły jednak wszystko, co Polska dotychczas widziała. Właściwie już nigdy więcej nie miała oglądać, nie licząc centralnie sterowanej histerii po zgonie Stalina. Ale pogrzeb Komendanta był czymś więcej niż tylko pożegnaniem polityka, to był bolesny koniec pewnej epoki, pozostawiający bez odpowiedzi pytania o przyszłość Polski.

„Uczucia te ogarnęły - wspominał Wierzyński - wszystkich w całej Polsce. Ksawery Pruszyński opisywał, jak dwunastoletni chłopiec, Władysław Lachowicz, przekradł się koleją ze Stanisławowa do Warszawy, aby zdążyć na pogrzeb. Stanisław Mackiewicz wspomina, że w Wilnie w dniach żałoby nie zanotowano ani jednego wypadku przestępstwa. Słonimski widział w oknie szewskiej sutereny na poły zatarty portret Piłsudskiego wycięty z gazety, oświecony łożówką w butelce. To nie był sentymentalizm. To każde porażone serce reagowało po swojemu”.

Pogrzeb trwał trzy dni. Uroczystości w stolicy, eksportacja zwłok koleją do Krakowa w blasku spontanicznie zapalanych ognisk, aż wreszcie ostatnia msza i złożenie trumny na Wawelu. Żałoba narodowa we Francji, w Niemczech i ZSRR, na żywo transmisja radiowa z pogrzebu.

„Tydzień po śmierci Marszałka - notowała Dąbrowska - przeszedł jak w tragicznym śnie. Byłam dwa razy w Belwederze - raz z Zośką Poniatowską i raz ze Stachem. Eksportację słyszałam częściowo przez radio, częściowo widziałam z Zosią Poniatowską z mieszkania Poniatowskich na Krakowskim Przedmieściu. Pogrzeb widzieliśmy ze Stachem i doktorem Rudzkiem z tarasu mieszkania profesora Wolskiego. Rewię na Polu Mokotowskim słyszeliśmy przez radio. Oboje ze Stachem płakaliśmy”.

Wydawało się, że nawet przyroda połączyła się w żałobie z narodem. Podczas uroczystości w Warszawie pogoda była fatalna, kiedy generałowie zdjęli trumnę z kopca na Polu Mokotowskim, nagle rozpętała się burza. Spadł ulewny deszcz pomieszany z gradem i płatami śniegu (była połowa maja). W dawnych wiekach zapewne takie anomalie pogodowe uznano by za symbol i przepowiednię dalszych losów państwa. Kraju bez człowieka, który zdominował dwudziestolecie międzywojenne.

„Gdy w państwie umiera jeden z ministrów - pisał Roman Dmowski - powstaje tylko kwestia postawienia innego na jego miejsce. Zgon wszakże ministra spraw wojskowych Rzeczypospolitej wytworzył kwestie niewspółmiernie większe. Człowiek, który formalnie zajmował skromne stanowisko ministra, był w istocie głową władzy w Polsce [...]. Sam rząd legitymował się tym, że jest jego woli wykonawcą. [...] Gdy pytano o program, odpowiedź była »idea marszałka Piłsudskiego«. Wyznawcy tej idei nie wazyli się jej tłumaczyć [...]. Dziś, gdy mózg, który tę ideę stworzył i rozwijał, przestał działać, spadkobiercy jej będący w rządzie czy poza rządem są zmuszeni sformułować ją w program, o ile się bowiem zdaje, nie ma wśród nich nikogo, którego nazwisko za program by starczyło”.

Dmowski miał rację, po pogrzebie Marszałka jego współpracownicy musieli odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Wkrótce okazało się, że ludzi niełatwo zmienić, a wola zmarłych (nawet tych najwybitniejszych) nie ma żadnego znaczenia.

Piłsudski zaplanował harmonijną współpracę prezydenta (miał nim zostać Walery Sławek) z Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych (SmigłyRydz lub Sosnkowski) oraz rządem. Nie dał żadnych dyspozycji co do osoby premiera, uznając to za sprawę drugorzędną. Ale zrobił wyjątek, na stanowisku ministra spraw zagranicznych widział Józefa Becka, i w tym przypadku jego wolę uszanowano.

Podstawowy problem w realizacji testamentu politycznego Marszałka stwarzał Walery Sławek. Najbliższy przyjaciel i współpracownik Piłsudskiego w chwili jego śmierci sprawował funkcję premiera, a miał zastąpić Ignacego Mościckiego na stanowisku prezydenta Rzeczypospolitej. Ale Sławek był zbyt uczciwym i bezinteresownym człowiekiem, aby domagać się bezwzględnie wykonania testamentu. Oczekiwał, że Mościcki dobrowolnie

zrezygnuje z urzędu, na co ten nie miał jednak ochoty. Sławek, ortodoksyjny legalista, nie potrafił zdobyć się na to, aby zmusić prezydenta do ustąpienia. Konstytucja kwietniowa dawała ogromną władzę głowie państwa, a Mościcki miał prawo nie rezygnować ze sprawowania tego urzędu. Sławek nie protestował, kiedy prezydent przyjął dymisję jego rządu po kolejnych wyborach, ale sprzeciwił się, gdy najwybitniejsi piłsudczycy (tzw. grupa pułkowników) zaproponowali wezwanie Mościckiego do ustąpienia. Plan swoich zwolenników uznał za niedopuszczalny atak na głowę państwa, rzecz nie do zaakceptowania w kraju, w którym przestrzega się prawa.

Mościcki za to nie miał skrupułów. Ten rówieśnik Piłsudskiego zaskakiwał otoczenie swoim wigorem. Dwa lata wcześniej poślubił młodszą o blisko trzydzieści lat Marię Dobrzańską (małżeństwo było bardzo udane), a teraz brał odwet za lata upokorzeń. Chemik światowej sławy, profesor kilku uniwersytetów, uważany dotychczas za figuranta uznał, że wreszcie nadeszła jego chwila. Zawsze zresztą doskonale czuł się na tym stanowisku, sprawiając wrażenie, „jakby urodził się w pobliżu tronu”. Miał idealną prezencję, doskonałe maniery, a teraz poczuł się najważniejszą osobą w kraju.

„Był to piękny, rasowy okaz Polonusa - pisał Konrad Olchowicz - z mlecznobiałą czupryną i takimż wąsem, jakby żywcem z dawnych wieków we współczesność przeniesiony, dopiero co

Prezydent Ignacy Mościcki z kontusza w modnie skrojony frak czy żakiet przebrany, obdarzony przy tym szlachetną wyniosłością postawy i dostojeństwem w posuwistych [...] polonezowych ruchach”.

Mościcki został prezydentem po przewrocie majowym, a następnie Piłsudski wyznaczył go na kolejną kadencję. Prominentni członkowie obozu rządowego lekceważyli go jednak, mówiąc: „tyle znaczy co Ignacy, a Ignacy gównem znaczy”. A Mościcki miał doskonałą pamięć.

Nie można jednak odmówić prezydentowi sprytu politycznego. Natychmiast po śmierci Piłsudskiego podpisał nominację na Generalnego Inspektora dla Śmigłego Rydza i panowie podzielili się władzą w kraju. Śmigły oficjalnie stał się osobą numer dwa w Polsce (wbrew konstytucji), a niebawem otrzymał awans na marszałka. Doskonale się uzupełniali i bez znaczenia były złośliwe uwagi, że „pierwszy marszałek [Piłsudski - S.K.] skazał Polskę na wielkość, a drugi ją z tego wyroku ułaskawił”. Liczyły się fakty, Sławka stopniowo izolowano, a innych pułkowników przesunięto na zaszczytne, ale pozbawione znaczenia stanowiska. Prystor i Car zostali marszałkami sejmu i senatu, a Świtalski wojewodą krakowskim. W 1940 roku upływała druga kadencja Mościckiego i jego następcą miał zostać

ŚmigłyRydz. A kilka miesięcy przed wybuchem wojny zniknęła ostatnia przeszkoda w przejściu całkowitej władzy przez tandem Mościcki-Rydz, Walery Sławek popełnił samobójstwo.

Zmierzch

Ostatnie cztery lata dziejów Drugiej Rzeczypospolitej to okres narastającego zamętu. Flirty obozu rządzącego ze skrajną prawicą, powstanie Obozu Zjednoczenia Narodowego, Bereza

Kartuska, antysemityzm na polskich uczelniach, niszczenie cerkwi prawosławnych na Lubelszczyźnie. A wszystko to w atmosferze narastającego zagrożenia i kolejnych hitlerowskich aneksji.

Spółceństwu polskiemu nie można odmówić ofiarności, słynna pożyczka narodowa na obronę przeciwlotniczą przyniosła aż trzy miliony złotych. W życiu kraju coraz większą rolę odgrywało pokolenie wychowane już w odrodzonej Polsce. Niezwykle ofiarne i dumne z niepodległości miało się stać najlepszym potwierdzeniem skuteczności systemu wychowawczego Drugiej Rzeczypospolitej. I właśnie to pokolenie poniosło największe straty podczas sowieckiej i niemieckiej okupacji, własną krwią potwierdzając miłość do ojczyzny.

Nad opinią publiczną czuwały władze, głosząc nośne hasła propagandowe. Szczególnie ostatni rząd niepodległej Polski z Felicjanem Sławojem Składkowskim na czele uznał propagandę za ważny instrument sprawowania władzy. A Sławoj Składkowski, lekarz w stopniu generała, nazywany „wesołym zupakiem”, był idealnym wykonawcą poleceń Śmigłego i Mościckiego. CatMackiewicz zauważył złośliwie, że jego umiejętności rządzenia ograniczały się do zbiórki narodowej i Berezy Kartuskiej, a osobiste ambicje kierował na podniesienie higieny społeczeństwa. Było w tym dużo racji, do legendy przeszły malowane na białą płóty i przydomowe ubikacje do dzisiaj nazywane „sławojkami”. W ostatnich latach wolnej Polski premier był prawdziwym postrachem wszelkich samorządów, osobiście dokonując kontroli i natychmiast wyciągając konsekwencje. Czasami jednak mania porządkowania przybierała u Składkowskiego humorystyczną postać.

„Wczesnym rankiem - opisywał wizytę generała w Truskawcu Stanisław Boguski - około godziny szóstej, dziadka mego, Rajmunda Jarosza [właściciela uzdrowiska - S.K.] obudziły donośne głosy, dochodzące z tyłu willi przy ulicy Mickiewicza. Dziadek, zaniepokojony nagłym hałasem, wyrzwał przez okno sypialni i z ogromnym zdziwieniem zobaczył potężną postać generała, w koszuli wydającego tubalnym głosem rozkazy ogrodnikowi pracującemu u dziadka.

Okazało się, że generał, widać nie mogąc spać, wybrał się na spacer ulicami miasta, a że był znany z tego, że miał »bzika« na punkcie schludnego wyglądu wsi i miast, więc nie omieszkiał rzucić krytycznym okiem na ulicę Mickiewicza. Myszkując po zaułkach i podwórkach, natrafił na studnię z pompą na tyłach domu dziadka. A na to tylko czekał! Nie tracąc czasu, kazał przerażonemu ogrodnikowi założyć długi wąż i pokrzykując, zaczął pompować wodę. Kurtka generalska i rogatywka spoczęły na pobliskim kołku, a strumień zimnej wody wylewał się na ulicę. Po pewnym czasie zadowolony ze swej pracy generał dał ogrodnikowi kilka złotych do łapy, uporządkował umundurowanie i dziarskim krokiem pomaszerował dalej. Gdzieś koło południa generał-minister złożył oficjalną wizytę u dziadka na ratuszu i nic nie wspominając o swoich porannych wyczynach, odjechał służbowym samochodem w stronę Borysławia...”.

Nawet podczas tragicznego odwrotu we wrześniu 1939 roku premier sumiennie prowadził notatki, zapisując wszelkie zauważone niedociągnięcia, ze szczególnym uwzględnieniem higieny i porządku.

Schyłek Drugiej Rzeczypospolitej to również bezprecedensowe osiągnięcia gospodarcze. Dobiegał końca światowy kryzys i władze zdecydowały się na inwestycję przewyższającą rozmachem budowę Gdyni. Mościcki mógł nie mieć kwalifikacji politycznych, ale znał się na inwestycjach przemysłowych. Potrafił także dobierać sobie współpracowników, z których najważniejszym okazał się Eugeniusz Kwiatkowski, ambitny zwolennik rozbudowy gospodarczej kraju.

Prezydent obdarzał go zaufaniem zbliżonym „do wiary kobiety zakochanej w jakimś mężczyźnie”, ale Kwiatkowski w pełni na to zasługiwał. Odznaczył się przy budowie Gdyni, jego zasługą było też stworzenie Centralnego Okręgu Przemysłowego. Kraj potrzebował silnego przemysłu, a wicepremier zaproponował jego koncentrację w tak zwanym trójkącie bezpieczeństwa. Obszar położony w widłach Wisły i Sanu leżał poza zasięgiem lotnictwa niemieckiego i radzieckiego, co w razie wojny miało podstawowe znaczenie. Projekt zakładał budowę nowych lub modernizację istniejących zakładów, a inwestycjom towarzyszyła rozbudowa infrastruktury komunikacyjnej, energetycznej i socjalnej. Za narodziny COP uznano przemówienie sejmowe Kwiatkowskiego w lutym 1937 roku. Niebawem znalazło tam zatrudnienie ponad sto tysięcy pracowników, co w ówczesnych realiach stanowiło ogromną liczbę. O trafności inwestycji (niedokończonych z powodu wojny) świadczy fakt, że do dnia dzisiejszego obszar ten pozostaje jednym z najbardziej uprzemysłowionych regionów Polski.

Niestety, zmiany na politycznej mapie Europy zniszczyły mit „trójkąta bezpieczeństwa”. Hitlerowska aneksja Czech znacznie wydłużyła granicę polskoniemiecką, a

niepodległa Słowacja miała wziąć udział w agresji na nasz kraj.

Z dziejów państwowej propagandy

Dzisiejszym Polakom słowo propaganda kojarzy się z reguły z czasami PRL. Przed oczami stają obrazy brutalnej agitacji stalinowskiej czy też propaganda sukcesu z epoki Edwarda Gierka. Ale Druga Rzeczypospolita również miała osiągnięcia w tej dziedzinie, niewiele ustępujące wyczynom komunistów.

Apogeum przypadło na lata narastającego zagrożenia wojennego po śmierci Piłsudskiego.

Z czasopism znikają rysunkowe komentarze do aktualnej sytuacji politycznej, nie było już mowy o karykaturach w typie rysunków Zdzisława Czermańskiego. Wprawdzie i ten artysta nigdy nie przekraczał pewnej granicy, ale znając kontekst sytuacji, nie można nie uśmiechnąć się, oglądając karykatury Marszałka. Za życia Piłsudskiego obowiązywała zresztą niepisana zasada, że samego Komendanta nie atakowano, ale jego współpracownikom dostawało się solidnie. Nie oszczędzano nawet urzędującego premiera (Leona Kozłowskiego), inna sprawa, że ze względu na ułomności charakteru był on wdzięcznym tematem dla satyryków.

W ostatnich latach przed wybuchem wojny Piłsudskiego przedstawiano niemal wyłącznie jako Ojca Narodu. Po latach z trudem można uwierzyć w realność plakatów ukazujących Marszałka siejącego zboże (w tle oczywiście kawaleria), jak na obrazie Józefa Świrysza Ryszki (wykorzystanym zresztą jako wyborczy druk propagandowy).

Wdzięcznym tematem dla plastyków stała się epopeja Legionów. Piłsudski wkraczający do Kielc, Komendant na frontach pierwszej wojny światowej, podczas wojny z bolszewikami, a nawet układający słynnego pasjansa. Nie cofano się przed ewidentnym fałszowaniem historii, jak na obrazie Ludomira Sledzińskiego Piłsudski pod Wilnem. Marszałek, w otoczeniu żołnierzy, śledzi przez lornetkę postępy w wyzwaniu ukochanego miasta. Tyle tylko że gdy Smigły Rydz i Belina Prażmowski zajmowali gród nad Wilią, Naczelnik Państwa był daleko. W Wilnie pojawił się dopiero dwa dni później.

Polityków sanacji można jednak łatwo rozgrzeszyć. Po śmierci Marszałka brakowało autorytetu moralnego, a naród należało zjednoczyć wokół jednego symbolu. W sytuacji gdy odrodzone państwo liczyło zaledwie kilkanaście lat, pamięć o Piłsudskim stała się doskonałym motywem przewodnim. Nadgorliwość bywa jednak zgubna; opór wzbudzały nakazy dotyczące oprawy świąt państwowych. Niedopracowane przepisy i ścisłe ich egzekwowanie przyczyniały więcej szkód niż pożytku, co doskonale zilustrował w jednym z

reportaży Ksawery Pruszyński. W Warszawie, Krakowie czy we Lwowie podobne obowiązki nie stanowiły zapewne problemu, ale właściciel zagubionego gdzieś na Kresach sklepu był w zupełnie innej sytuacji:

„Istotnie, kupiec miał dwóch wielkich Marszałków. Jeden był w zwykłym mundurze, popiersie, groźne, prawo patrzące oczy, włosy nastroszone. Czy myślał On kiedy, że go każą komuś kupować? Drugi był reprodukcją jakiegoś obrazu, z buławą opartą o jakiś dokument, z uchyloną portierą czy draperią, z jakąś małą armatką u nóg. Bóg Wojny nabyty z rozporządzenia administracji. Potem było dwóch Prezydentów. Jeden, pamiętam, w czapce marynarskiej, u spodu równiutko wypisanym pismem Prezydenta Rzeczypospolitej hasło o polskim morzu. Potem były dwa portrety RydzaSmigłego, znowu jeden w czapce marynarskiej, drugi w generalskim mundurze. Wreszcie czarna, z boleśnie skurczonymi ustami, fotografia Bronisława Pierackiego [ministra zastrzelonego przez ukraińskich nacjonalistów - S.K.]. Czyście pomyśleli, że wasze podobizny będą nabywać z rozkazu?”.

To jednak nie wszystko, do obowiązków właściciela sklepu należało również posiadanie obowiązującej wersji godła (w 1927 roku uchwalono ustawę o godle i barwach narodowych) oraz właściwych flag. Nieeksponowanie ich w odpowiednich dniach groziło surowymi karami, a obowiązku pilnowała miejscowa policja. Nic dziwnego, że właściciel sklepu z żalem tłumaczył Pruszyńskiemu:

„Ja miałem swojego Orła, tu go teraz nie ma, ale jest w domu. Tego Orła to ja już dawno miałem w domu, a jak przyszła rewolucja, to go dałem w sklepie na Trzeciego Maja. Wtedy byli tu Niemcy, robili Białoruś, ale nic mi nie zrobili. Grano u nas wtedy w resursie Kościuszkę pod Raclawicami. Ksiądz, który już nie żyje, przemawiał, pani Korsakowa śpiewała od fortepianu, a mego Orła dali nad sceną. Teraz Orzeł był nieprzepisowy. Powiedzieli mi, że mogę sobie go w domu trzymać, a w oknie na święta musi być przepisowy”.

Zakupy odpowiednich portretów czy flag wiązały się oczywiście z kosztami dla właściciela „biednego, taniutkiego sklepu w ubogim mieście”. Nieszczęsny kupiec przed laty nabywał symbole narodowe z potrzeby serca, wspominał, że popyt na portrety Piłsudskiego był tak wielki, iż nie nadążano z ich produkcją. A teraz fizjonomię Marszałka zredukowano do obowiązku eksponowania w witrynie sklepowej, wizerunek godła zresztą podobnie.

„Właściciel tego sklepu - podsumował Pruszyński - musiał posiadać po dwóch Marszałków, dwóch Prezydentów, dwóch RydzówSmigłych, musiał ponadto - prawda! - mieć Żwirkę i Wigurę oraz Orła. Jakie to przykre, że te nazwiska, nazwiska nieraz oczernione żalobą serdeczną, profanowane są nakazami. Jakie to przykre, że się wie, że za tymi nakazami

stoi na pewno ktoś, co te portrety wydaje, drukuje i sprzedaje, że ktoś z tego ciągnie zyski i powiększa drogą nakazów. Choćby to nawet szło na nie wiedzieć jak dobry cel - ileż w tym szkody. Gdzie jesteś godzino pięć przed dziewiątą każdej uroczystości, święta morza, obchodu, gdzie jesteś wtedy w tym kresowym miasteczku NN dawna Polsko z 1917 roku? Gdzie jesteś dniu piękny, gdy może byli tu Niemcy, ale Kościuszkę pod Raclawicami reżyserowała dobra wola narodu, z dobrej woli śpiewała jak umiała pani Korsakowa, po swojemu, może nieudolnie, ale szczerze, przemawiał ksiądz proboszcz, który nie żyje? Gdzie jesteś dniu jeszcze piękniejszy, gdy Piłsudski zdobył Wilno, a w małym miasteczku nie można było jego wizerunków nastarczyć i gdy jeszcze biedny właściciel sklepiku nie był zarazem, z łaski starosty powiatowego, właścicielem galerii obrazów?”.

Kult Marszałka doprowadzono do granic absurdu. Imię Piłsudskiego uznano właściwie za święte i każda krytyka mogła zakończyć się tragicznie. W Aferach i skandalach Drugiej Rzeczypospolitej opisywałem wydarzenia w Wilnie w lutym 1938 roku, kiedy to na polecenie miejscowego inspektora armii, generała DębaBiernackiego, umundurowani oficerowie (!) pobili dziennikarzy „Dziennika Wileńskiego”. Władze porządkowe nie reagowały, a dziennikarze zostali aresztowani i po głośnym procesie skazani na kary więzienia. Przy tej okazji uchwalono ustawę o ochronie imienia Józefa Piłsudskiego wprowadzającą karę pięciu lat więzienia za obrazę pamięci Marszałka. Powodem całego zajścia było słowo „kobotyn” użyte przez Stanisława Cywińskiego pod adresem Komendanta w recenzji prasowej. Do dzisiaj zresztą grozę wzbudza pomysł jednego z parlamentarzystów, który zaproponował podniesienie górnej granicy kary do piętnastu lat. To chyba najlepiej obrazuje histerię sfer rządowych w sprawie pamięci Marszałka.

Edward Śmigły-Rydz

Następca Piłsudskiego na stanowisku Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych był osobą w armii popularną. Ceniono jego doświadczenie frontowe, powszechnie lubiano za skromność i łatwy kontakt z otoczeniem. Marian Romeyko z uznaniem opisywał zachowanie Śmigłego podczas letnich wojaży taktycznych Wyższej Szkoły Wojennej:

„Podróże te odbywały się na terenie całej Polski. Wszyscy pamiętali długie pociągi Czerwonego Krzyża załadowane słuchaczami i wykładowcami, tygodniami stojące na bocznych torach różnych stacyjek. Do takiego pociągu na czas podróży taktycznej generał Śmigły doczepiał swój mały i skromny wagonik - salonik, własność wojska. Całe dni spędzał w terenie, jak i wszyscy. Był obecny [...] na każdym ćwiczeniu, na każdym omówieniu. Wnikliwie wsłuchiwał się w odpowiedzi słuchacza, nigdy nie przerywał, nigdy

nie wnosił zamętu swoją osobą. Zawsze wypoczęty, mile uśmiechnięty, nigdy swoją obecnością nie peszył słuchacza. Gdy dochodziło do końcowej fazy ćwiczeń [...] mówił spokojnie, ważąc każde zdanie, ciekawie, trafnie wyciągając wnioski. Wyznam szczerze: rzadko kiedy obecność tak »wysokiego naczalstwa« tak dodatnio wpływała na wszystkich. Lubili go wszyscy, po prostu lubili - i słuchacze, i wykładowcy”.

Podobne zdanie miał ambasador francuski w Polsce, Leon Noel, który dostrzegł „bezpośredniość i szczerść” Śmigłego, uważając, że jest „pozbawiony większych ambicji, o prostych gustach, raczej nieśmiały” i „unikął przyjęć, ceremonii i parad”.

Po śmierci Piłsudskiego w psychice ŚmigłegoRydza zaszły jednak niepokojące zmiany. Nie pozostał odporny na zaszczyty i splendory, możliwe zresztą, że przysły one zbyt szybko. Zły wpływ na Rydza wywierała jego partnerka życiowa, Marta ThomasZaleska, uchodząca za bezwzględna karierowiczkę. ŚmigłyRydz zaś, niestety, nie miał ani samokrytycyzmu, ani zdrowego rozsądku Piłsudskiego. Stanisław CatMackiewicz nazwał go bałwanem, którego ludzie „ulepili własnymi rękami, bo im był potrzebny, a potem wołali: »Wodzu, prowadź nas«, a on mógł tylko jeździć popychany na taczkach”. Ale czy on jedyny w dziejach zmienił się pod wpływem uwielbienia otoczenia? Zdarzali się przecież i tacy, „co wzywali Śmigłego do przyjęcia tytułu hetmana, bo marszałek to za mało”.

„Ten miły, kulturalny, inteligentny człowiek - pisał Janusz Jędrzejewicz - uległ jakby zacadeniu w dymach pochlebstw otoczenia, często najfatalniej dobranego i nie wytrzymał niebezpieczeństwa pokus, które daje każde wybitne w społeczeństwie stanowisko”.

Na rok przed wybuchem wojny z Rydzem identyfikował się jednak niemal każdy Polak. Kiedy we wrześniu 1938 roku w Monachium mocarstwa przesądzały o losach Czechosłowacji, Polska wysunęła swoje żądania. Chodziło o Śląsk Cieszyński zagarnięty przez Czechów podczas wojny polskobolszewickiej i pozostający poza granicami Polski. W planach obozu rządzącego zajęcie spornego terytorium miało stać się osobistym sukcesem Becka i ŚmigłegoRydza.

Politycy sanacyjni prawidłowo przewidzieli przebieg wydarzeń: mocarstwa poddały się dyktatowi Hitlera za cenę iluzorycznego pokoju w Europie. To była jedyna okazja do załatwienia porachunków z Pragę, a sukces militarny miał wywołać nastroje nacjonalistyczne. ŚmigłyRydz wydał słynny rozkaz: „maszerować”, i polskie oddziały pod dowództwem generała Bortnowskiego wkroczyły na Zaolzie.

Wbrew powielanym przez dziesiątki lat opiniom (szczególnie w czasach PRL) nie było żadnego współdziałania z Niemcami, doszło nawet do konfliktu o zajęty przez Polaków Bogumin. Aneksja Zaolzia była suwerenną decyzją Polski, próbą załatwienia

dwudziestoletniego sporu terytorialnego. Inna sprawa, że było to posunięcie wyjątkowo niezręczne, ale podobno zwycięzców się nie sądzi.

Opanowanie Zaolzia wywołało histeryczną reakcję opinii publicznej. Nie pozostała od niej wolna nawet opozycja, a kongres Stronnictwa Ludowego „witał z radością powrót Śląska Zaolziańskiego do Macierzy i przesyłał serdeczne pozdrowienia tamtejszym chłopom, którzy wrośnięci korzeniami w ziemię, przechowali ją przez wieki dla Polski”. I o to obozowi rządowemu chodziło. Nic dziwnego, że pojawiły się nawet rymowanki i piosenki sławiące marszałka:

Nikt nam nie zrobi nic, Nikt nam nie weźmie nic, Bo nas prowadzi Śmigły Marszałek Śmigły-Rydz.

Ostatnie tygodnie

Spółeczny entuzjazm podsycano umiejętnie sloganami typu „silni, zwarci, gotowi” i opowieściami o niemieckich czołgach z tektury i samolotach z papieru. 5 maja 1939 roku Józef Beck w swoim słynnym przemówieniu sejmowym zapowiedział, że nie będzie ustępstw wobec Niemiec. Odnosił bezprecedensowy sukces, a społeczeństwo przyjęło jego wystąpienie z euforią.

„Przed południem w domu - zanotowała tego dnia Dąbrowska. - Słucham mowy Becka w sejmie. Słucha jej cała Polska, wszędzie przerwano pracę, wszyscy przy głośnikach. Doskonała mowa, zarówno w formie, jak i treści. Monumentalna i krótka, co wspaniale odcina się na tle wielogodzinnych wygłupiań się i wrzasków Mussoliniego czy Hitlera”.

Nawet z perspektywy lat przemówienie polskiego ministra wywołuje ogromne wrażenie/. W czasach demokracji ludowej do bólu prezentowano w telewizji fragment o Polsce niepozwalającej odepchnąć się od Bałtyku, a tymczasem najbliższe sercu każdego Polaka słowa padły na koniec wystąpienia:

„Pokój jest rzeczą cenną i pożądaną - mówił Beck. - Nasza generacja, skrwawiona w wojnach, na pewno na okres pokoju zasługuje. Ale pokój, jak prawie wszystkie sprawy tego świata, ma swoją cenę, wysoką, ale wymierną. My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jedną jest tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenną: tą rzeczą jest honor”.

Entuzjazmowi uległ nawet trzeźwy Słonimski. Chociaż od czasu sprawy brzeskiej skłócony z Beckiem (panowie byli poprzednio w doskonałych stosunkach), to po przemówieniu ministra „uściskał się z nim serdecznie”.

W najwyższych kołach wojskowych panował jednak pesymizm. Śmigły-Rydz uważał,

że „pierwszą fazę wojny przegramy”, ale „nie ulega wątpliwości, że wraz z Francją i jej sprzymierzeńcami wojnę ostatecznie wygramy”. Zdarzało mu się jednak wyrażać bardziej pesymistyczne poglądy, ponieważ powątpiewał w możliwości francuskiego sojusznika. Ale żaden z naszych polityków nie podejrzewał najgorszego scenariusza - samotnej walki z hitlerowską nawałnicą, a następnie uderzenia Stalina od wschodu.

Nie jest tematem tej książki ocena polityki polskiej w przededniu wojny ani analiza popełnionych błędów. Warto jednak zauważyć, że koszarne zaniedbania zbrojeniowe sięgały czasów Piłsudskiego. Marszałek był genialnym politykiem, ale nie doceniał znaczenia lotnictwa czy broni pancernej. Inna sprawa, że niemal do końca za głównego przeciwnika uważano ZSRR i pod tym kątem rozwijano siły zbrojne i doktrynę wojenną. Rydz i jego współpracownicy zrobili wiele, aby w ciągu czterech lat po śmierci Komendanta dostosować armię do wymagań współczesnego pola walki. Zabrakło jednak czasu i pieniędzy, zresztą nawet najlepiej wyposażone Wojsko Polskie nie miało szans w jednoczesnym starciu z Niemcami i Sowietami.

W atmosferze narastającego zagrożenia toczyło się normalne życie, w zapiskach Nałkowskiej nie znajdziemy śladów niepokoju z powodu zbliżającej się wojny. Wypełnione są codziennymi problemami finansowymi i wydawniczymi oraz trudnym związkiem z Bogusławem Kuczyńskim. Dąbrowska notowała bieżące wydarzenia polityczne, ale dopiero po ogłoszeniu mobilizacji dotarła do niej prawda o bliskiej wojnie.

Na 2 września zapowiedziano w stolicy inaugurację działalności „Figara”, nowego kabaretu Fryderyka Jarosyego. Ostatnie próby przebiegały już w nerwowej atmosferze:

„Miasto było zaciemnione - wspominał Jerzy Jurandot - wyklejone afiszami mobilizacyjnymi, w nocnych aptekach stały długie kolejki po tampony, mające zastąpić maski przeciwgazowe. Nikt z nas nie miał wątpliwości, że wojna wisi na włosku. Ale też nikomu nie przychodziło na myśl, żeby zrezygnować z premiery [...]. Późną nocą próba dobiegła końca. Ostatnim numerem był piękny kujawiak. Marian Rentgen wyczarował barwne pary, scena wirowała i wreszcie zamarła. - Po zakończeniu - powiedział Jarosy - zaśpiewamy hymn. Czy wszyscy dokładnie pamiętają słowa? Powtórzmy sobie. Pianiści zasiedli z powrotem do instrumentów i zagrali Jeszcze Polska. Z pierwszych rzędów widowni widziałem wyraźnie łzy, które zaczęły spływać po twarzach, kiedy śpiewali. Płakały wszystkie kobiety. Płakał Jarosy. Płakali sceptyczni, z trudem poddający się wzruszeniu kabareciarze - Lawiński, Minowicz, Znicz. Płakał już zmobilizowany siwowłosy porucznik Marian Rentgen. Płakali przy fortepianach Boruński i Gimpel. Wszyscy”.

W stolicy panowało podniecenie, warszawiacy poszukiwali masek przeciwgazowych.

Uznano je za produkt pierwszej potrzeby, a ogólnej histerii uległa nawet zrównoważona Dąbrowska: „[...] całe miasto ugania się za tymi maskami. Wszyscy mamy już uszczelniony jeden pokój na »komorę przeciwgazową«. Stach dostał w biurze wspaniałą prawdziwą maskę, my mamy tylko jakieś maseczki z jakimś tam węglem przeciwgazowym”.

Specjalnego niepokoju nie widać natomiast w zapiskach Iwaszkiewicza. Chociaż zauważył: „zdaje się jesteśmy w wigilię wojny”, to sprawiał wrażenie spokojnego. Nie docierało do niego zagrożenie, a bohaterstwo było „czymś niepojętym: ugrzązł w obowiązkach, w zajęciach, w potrzebach, w »sławie«, „. Dziwił się Wierzyńskiemu, który „napisał jakiś wiersz patriotyczny”, nie rozumiejąc, jak „można spod lip radzymińskich czy ossowskich wyjść prosto na kule nieprzyjaciela”.

Notatki Iwaszkiewicza sprawiają wrażenie czegoś nierealnego, są to obserwacje człowieka dopuszczającego do siebie wyłącznie doznania estetyczne. Analiza dziennika Gide'a była dla niego ważniejsza niż wojna mająca zniszczyć jego świat. Inna sprawa, że rozważania pana Jarosława są wyjątkowej urody.

„Noc, w której ważą się losy Europy - notował na tydzień przed hitlerowską agresją - a zarazem losy tyłu, tyłu ludzi spokojnych, pracowitych i bogobojnych, jest nad wszelki wyraz piękna. Pół księżycy na niebie, niebo upstrzone w nieduże jasne obłoki, jaki spokój, jak cudnie. Ciepło i dobrze, cicho, Plejady już widać, ma się ku jesieni. I to wszystko mąci myśl o rzeczach ponad nas/, rozum, o prawie zbiorowości, które ponad nami pcha nas i rządzi nami, po co, dlaczego?”.

Ostatecznie jednak uległ atmosferze. Dzień przed wybuchem wojny zawiózł do swojego stołecznego mieszkania kilka obrazów i rękopis Efebosa - powieści Karola Szymanowskiego. Miał do tego lokalu większe zaufanie niż do domu w Stawisku, ale zastanawiał się, czy nie zrobił głupstwa. I faktycznie je popełnił, bowiem mieszkanie Iwaszkiewiczów przy Kredytowej 8 spłonęło we wrześniu 1939 roku, a zgromadzone w nim pamiątki przepadły.

Obsesyjnie natomiast lękała się wojny Maria Pawlikowska-Jasnorzewska. Bała się o męża oficeralotnika, o swoją rodzinę, o wszystko, co było jej bliskie. Pod koniec sierpnia 1939 roku wróciła z Juraty do Warszawy; miasto ogarnął już niepokój oczekiwania. Poetka nie chciała uwierzyć w najgorsze, miała nadzieję, że jeszcze coś się zmieni. W stolicy 2 września miała się odbyć premiera jej *BabyDziwo* - satyry na totalitaryzm niemiecki. Ostatniego dnia sierpnia, nie mogąc opanować zdenerwowania, zadzwoniła do Hanny Mortkowicz-Olczakowej. Panie zjadły w „Bristolu” kolację, a humory poprawił im powrót Stefana Jasnorzewskiego „powitanego przez żonę okrzykiem ulgi”. W pewnej chwili Lilka

dostrzegła osobę, której najbardziej teraz potrzebowała:

„Był to Ossowiecki - opisywała Olczakowa - słynny wróżbita. - Czy będzie wojna? - pytała błagalnie. - Proszę, niech pan powie. Co będzie? - Nić nie będzie. Nie będzie wojny. Wiem o tym. Mogę panią zapewnić - uspokajał jasnowidz”.

Niestety, tym razem Ossowiecki pomylił się, była to jedna z nielicznych pomyłek jasnowidza. Dotyczyła jednak niezwykle ważnej sprawy.

Niemal wszystkie relacje z ostatnich dni Drugiej Rzeczypospolitej mówią o urodzie stolicy i pięknej pogodzie, o symbolicznym pożegnaniu z odchodzącą w przeszłość epoką. Dąbrowska przyznała, że napięcie „zaczęło ją podniecać i w jakiś dziwny sposób bawić”, lecz jednocześnie dostrzegła, że Warszawa dwa dni przed wojną była „taka śliczna, radosna, kipiała od owoców, kwiatów, tłumów”. I taka miała pozostać już na zawsze w pamięci jej mieszkańców. 1 września na miasto spadły hitlerowskie bomby, zaczynała się nowa epoka i nic już nie było takie jak dawniej.

ROZDZIAŁ 2

WIEMIAWA, MIEDOSZŁY PREZYDEMT RZECZYPOSPOLITEJ

Kuty, 17 września 1939 roku

Dwudziestego trzeciego sierpnia 1939 roku w Moskwie podpisano niemieckosowieckie porozumienie będące w praktyce czwartym rozbiorem Polski. Dwaj potężni sąsiedzi uzgodnili podział stref wpływów na terenie środkowej Europy. Sowieci zobowiązali się do ataku na Polskę po rozpoczęciu wojny przez Niemcy, i zobowiązania dotrzyмали. O świcie 17 września 1939 roku Armia Czerwona rozpoczęła inwazję na nasz kraj. Na całej długości granicy doszło do walk z Korpusem Ochrony Pogranicza, a losy kampanii wrześniowej zostały ostatecznie przesądzone. Nie było szans na skuteczną obronę, wojna z dwoma agresorami nie mogła się powieść.

W chwili sowieckiej agresji polskie władze przebywały w Kutach nad granicą rumuńską. Panował umiarkowany optymizm, uważano, że doszło do przesilenia i są szanse na zatrzymanie Wehrmachtu. Utrzymanie pozycji na tzw. przedmościu rumuńskim miało pozwolić na dostawy sprzętu francuskiego, a porozumienia z Bukaresztem gwarantowały swobodny tranzyt uzbrojenia.

Meldunki o agresji sowieckiej wywołały w Kutach konsternację. Podniosły się głosy, że to już nie wojna, ale katastrofa na niespotykaną skalę. Dalsza walka była możliwa wyłącznie z terytorium zachodnich sojuszników, zapadła więc decyzja o opuszczeniu kraju.

„Widoczne było, że katastrofa jest nieunikniona - zapisał minister Józef Beck. - Na moje pytanie, czy marszałek Śmigły dysponuje jakimiś siłami w Małopolsce Wschodniej, aby powstrzymać napór wojsk sowieckich, otrzymałem odpowiedź, że poza KOPem mogą się znaleźć tylko luźne bataliony marszowe, ale praktycznie opór jest beznadziejny”.

Nie było czasu do stracenia, Kuty znajdowały się w zasięgu operacyjnym Armii Czerwonej. Zaistniała więc realna groźba, że polscy dygnitarze wpadną w ręce Sowietów, co mogło mieć niewyobrażalne konsekwencje. Jednocześnie zapadła decyzja o ewakuacji tysięcy żołnierzy ściągających zewsząd na granicę polskorumuńską.

Nie tylko oddziały wojskowe wycofywały się do Kut. Zmierały tam tysiące cywilnych uchodźców, całe rodziny uciekinierów przekraczały zbawczą granicę.

„Ludzie szli nieprzerwanym potokiem - wspominał Stefan Soboniewski. - Nikt nie wie ilu. Może 15 tysięcy, może 30 tysięcy, a może 50 tysięcy ludzi. Szli w całkowitym

milczeniu zbitą masą, bez twarzy, bez żadnego gestu. Nawet dzieci nie płakały. Czasem ktoś podnosił głowę, by z trwogą spojrzeć na niebo, na którym nagle mogły się pojawić sowieckie samoloty. Dzień był pogodny, a noc zaczynała się jasna. Za nimi czarną plamą pozostawały zaciemnione Kuty i Polska. Przed nimi zdawała się jaśnieć tysiącami świateł rumuńska Wyżnica”.

Nie było wątpliwości, że prezydent i rząd powinni niezwłocznie opuścić kraj. Problemem była natomiast osoba Naczelnego Wodza. W kraju trwały jeszcze walki i ŚmigłyRydz nie powinien porzucać podkomendnych. Marszałek w pierwszym odruchu odrzucił propozycję przekroczenia granicy: „Z oszklonej werandy, na której oczekiwałem na przyjęcie - relacjonował pułkownik Józef Jaklicz - widziałem marszałka rozmawiającego z generałem Berbeckim. Zdawał się wydawać mu jakieś polecenia. W międzyczasie przyszedł do mnie generał Sławoj Składkowski, wzburzony, zaprosił mnie do jednego z pokojów i zawiadomił o decyzji marszałka pozostania w Polsce celem dołączenia do batalionów w Stryju. Zaklinał mnie (dosłownie), abym odwiódł marszałka od tej decyzji. Wobec rozruchów ukraińskich, które wybuchły w Małopolsce Wschodniej w dniu dzisiejszym, w związku z wejściem Sowietów do Polski, uważał tę decyzję za szaleńczą (dosłownie). Jako minister spraw wewnętrznych i premier nie może dopuścić, aby marszałek zginął z rąk Ukraińców”.

Ze sprzeciwem spotkała się także propozycja przebijania się w kierunku walczącej w okolicach Lwowa grupy generała Sosnkowskiego. Marszałek rozważał również lot do oblężonej Warszawy, ale i z tego pomysłu zrezygnował pod wpływem sugestii otoczenia. Oblężone miasto musiało niebawem skapitulować, a niewola Naczelnego Wodza spowodowałaby fatalne efekty propagandowe. Miejsce ŚmigłegoRydzia było we Francji, na czele odbudowywanych sił zbrojnych, a nie w niemieckim obozie.

Inna sprawa, że marszałek nie wykorzystał propagandowych możliwości ewakuacji. Zapomniał, że w obliczu porażki militarnej czasami ważniejsze są patetyczne gesty niż realne działania. Klęskę pod Waterloo osłodził Francuzom generał Cambronne swoim „gwardia umiera, ale nie poddaje się” (czy też słynnym „merde”), legendę Kamieńca Podolskiego ugruntowała przypadkowa śmierć Jerzego Wołodyjowskiego. Naczelnny Wódz powinien poczekać na zbliżenie się Sowietów i jako ostatni polski żołnierz opuścić kraj. Ale wybrał inne rozwiązanie, a okoliczności przekroczenia przez niego granicy do dzisiaj wzbudzają niesmak.

Stefan Soboniewski, kierujący ruchem uchodźców na granicznym moście, nie mógł uwierzyć, gdy w środku nocy zameldowano mu, że zbliża się kolumna samochodów ŚmigłegoRydzia.

„[...] - Czy pan oszalał - krzyknąłem na jakiegoś komisarza policji, który mnie o tym powiadomił. - Każę oddać pana pod sąd wojenny za sianie paniki. To się nie może zdarzyć. Hetman nigdy nie opuszcza swoich wojsk! Lecz to był rzeczywiście Śmigły”.

Pułkownik Ludwik Bociański nie chciał dopuścić do hańby i na moście zatrzymał kolumnę Rydza. Z marszałkiem znali się od dawna, Bociański był powstańcem wielkopolskim, żołnierzem POW, uczestnikiem wojny z bolszewikami i komendantem szkoły podchorążych w Komorowie. Przez wiele lat sprawował urząd wojewody wileńskiego, przed wybuchem wojny poznańskiego, a podczas kampanii wrześniowej mianowano go generalnym kwatermistrzem rządu. Teraz stanął przed samochodem Rydza, uniemożliwiając dalszą jazdę. Marszałek zapytał, o co chodzi. Bociański miał odpowiedzieć, że o honor wojska. Chwilę rozmawiali przyciszonymi głosami, następnie Śmigły Rydz ręką odsunął na bok pułkownika. Ten wyjął z kabury pistolet i strzelił sobie w pierś. Po chwilowej konsternacji Rydz rozkazał wrzucić ciało na samochód i ruszać na granicę. Już w Rumunii okazało się, że Bociański żyje, kula przeszła obok serca. Następne pół roku spędził w szpitalach i nikomu poza najbliższą rodziną nie przekazał relacji o tym zdarzeniu.

Wspomnienia Bociańskiego potwierdza relacja podporucznika Józefa Borkowskiego dowodzącego w Kutach zwiadem konnym jednego z pułków. Borkowski obserwował, jak kolumna samochodów Naczelnego Wodza (kilka limuzyn i dwa samochody ciężarowe) została zatrzymana przez ludzi w mundurach. Pojazdy stały kilka minut, ale Borkowski nie słyszał, o czym rozmawiano.

Zauważył jednak ożywioną gestykulację, a w pewnym momencie padły strzały. Uznał, że to obstawa marszałka strzela w powietrze, torując mu drogę. Po chwili jednak zobaczył wyraźnie, że żołnierze ładują na skrzynię samochodu ciężarowego dwa ciała (?), a za chwilę kolumna przekroczyła granicę.

„Mam tylko jedno zastrzeżenie do Naczelnego Wodza, który się wahał, co ma robić - stwierdził Paweł Wiczorkiewicz. - Wracać do okupowanej Warszawy i walczyć do końca, czy też, na co namawiali go wszyscy, wyjechać. Chociaż opuścił kraj później niż Mościcki i rząd, to powinien był to zrobić jeszcze później. Proponowano mu, i to było genialne, żeby przekroczył granicę z karabinem w ręku, ostrzeliwując się symbolicznie nadciągającym oddziałom sowieckim. Byłby to piękny czyn i myślę, że wtedy nikt nie mógłby mieć do niego nawet cienia pretensji”.

Dostojnicy opuścili terytorium Polski, ale Kuty miały się jeszcze zapisać ponuro w dziejach Polski. Następnego dnia do miejscowości zbliżyli się Rosjanie i z ich rąk poległ podchorąży Tadeusz Dołęga Mostowicz.

Nie wiadomo, czy słynny pisarz nie chciał się ewakuować, czy też wypełniał jakieś rozkazy. Pozostał jednak w Kutach do końca, z fatalnym dla siebie skutkiem. Relacje się różnią - według jednej dowodził patrolem pilnującym porządku na przygranicznym terytorium, według innej zgubiło go dobre serce.

„Mostowicz wrócił z granicy rumuńskiej do Kut - wspominał Zygmunt Antoszewski - tylko po to, by rozdać głodującym pozostawiony przez żołnierzy w koszarach chleb. Przyjechał na rynek samochodem ciężarowym. W tym czasie nadjechały trzy czołgi radzieckie. Dołęga-Mostowicz daleko nie uciekł. Samochód ostrzelany z karabinu maszynowego wjechał w betonową ścianę”.

Według innej relacji, gdy Sowieci zażądali, aby się poddał, Mostowicz zwlekał z oddaniem broni, wobec czego został zastrzelony. Opowiadano również, że zabił go sowiecki żołnierz zainteresowany jego butami. Jak było naprawdę, tego zapewne nigdy już się nie dowiemy, podobnie jak niemożliwa do ustalenia jest data jego śmierci. Czy pisarz zginął 18 września, czy dwa dni później? Wiadomo tylko, że poległ z rąk Sowieców jako jedyna ofiara opanowywania Kut przez Armię Czerwoną. W tym czasie członków polskich władz już internowano.

Biada zwyciężonym

Rumunia dołączyła do smutnej listy wiarołomnych sojuszników Drugiej Rzeczypospolitej. Warszawę i Bukareszt łączył pakt z 1921 roku zobowiązujący oba państwa do współdziałania przeciwko ZSRR, agresja Kremla powinna więc spowodować wypowiedzenie wojny przez Rumunię. Polscy politycy przekraczający granicę na Czeremoszu uważali jednak, że Bukareszt nie dotrzyma zobowiązań, dlatego Józef Beck przezornie wynegocjował prawo tranzytu dla polskiego rządu. Okazało się jednak, że Rumuni nie zamierzali respektować również i tej obietnicy.

Na władze Bukaresztu naciskali Niemcy, żądania wysuwali również Sowieci. Rumuni panicznie obawiali się Stalina, ponieważ Kreml od lat zgłaszał pretensje terytorialne. Zresztą nie tylko Rosjanie i Niemcy byli zainteresowani wyeliminowaniem władz sanacyjnych. Do gry włączyli się Francuzi, chętnie widzący Polaków w roli sojuszników, ale pod innym kierownictwem. Politycy znad Sekwany woleli współpracować z ludźmi bardziej uległymi, nie mieli również ochoty tłumaczyć się z niedotrzymanych obietnic.

Pod błahym pozorem polskich dostojników internowano, prezydenta osadzono w Bicaz, rząd w Sianie, a marszałka Śmigłego-Rydza w Craiovej. Odosobniony Mościcki nie miał możliwości naradzenia się ze współpracownikami, a sytuacja wymagała szybkich

decyzji. Musiał natychmiast wyznaczyć następcę, zaprzeczając niemieckiej i sowieckiej propagandzie głoszącej, że państwo polskie przestało istnieć.

Internowani w Rumunii politycy nie wiedzieli wówczas, że tydzień wcześniej zachodni sojusznicy ostatecznie zrezygnowali z planowanej ofensywy. Choć w Polsce trwały jeszcze walki, broniła się Warszawa, Modlin i Hel, to nad Sekwaną wydano już wyrok. Decyzja zapadła 12 września podczas narady dowództwa sprzymierzonych z udziałem premierów Francji i Anglii. Alianci znali już ustalenia paktu Ribbentrop-Mołotow i w każdej chwili oczekiwali agresji Sowieców. A to całkowicie zmieniało obraz sytuacji. O swojej decyzji oczywiście nie raczyli poinformować polskiego sojusznika.

Wieniawa

Mościcki nie miał zbyt wielkiego pola manewru, desygnowany po wybuchu wojny na jego następcę marszałek Śmigły-Rydz również został internowany. Na prezydenta nadawał się generał Kazimierz Sosnkowski, ale walczył gdzieś w kraju i nie znano jego losów. W tej sytuacji jedynymi kandydatami pozostawali ambasadorowie Rzeczypospolitej w stolicach europejskich, i z tego grona prezydent dokonał wyboru.

Zdecydował się na najbarwniejszą osobowość obozu sanacyjnego - generała Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego. Był on ambasadorem polskim w Rzymie, ale w dziejach Drugiej Rzeczypospolitej zapisał się jako prawdziwy „król życia”, człowiek o niezwyklej fantazji i uroku.

Chyba o żadnym polityku okresu międzywojennego nie krążyło tyle anegdot, co o Wieniawie. „Piękny Bolek” stał się symbolem przedwojennych elit, w udany sposób łącząc sfery polityczne z artystycznymi. Ulubieniec Piłsudskiego i jego adiutant z czasów Legionów, dowódca 1. Pułku Szwoleżerów, a jednocześnie bliski przyjaciel skamandrytów i artystów kabaretowych. Uczestnik zakulisowych gier politycznych i bywalec słynnego stolika na półpiętrze „Małej Ziemiańskiej”. Najbardziej honorowy człowiek w armii i autor poważnych przekładów literatury francuskiej. Ulubieniec kobiet, bożyszcze Warszawy, mężczyzna, który przyznawał się do miłości do trzech „k” (kobiety, koniak, konie).

Gdyby jednak chociaż połowa opowieści o Długoszowskim była prawdą, to z wyczerpania nie utrzymałby się w siodle. Anegdoty wymyślano przy kawiarnianych stolikach, nazwisko Wieniawy dołączano do znanych już historyjek, autorem niektórych był sam zainteresowany. Nie zmienia to jednak faktu, że przez długie lata kondycja faworyta Piłsudskiego wzbudzała podziw. Miał za sobą wojnę i sowieckie więzienie, regularnie widywano go jednak na mocno zakrapianych imprezach, na których chętnie i dużo tańczył;

trudno było uwierzyć, że pełnił normalną służbę.

Długoszowski regularnie nadużywał trunków, przejawiał zresztą pod tym względem niespotykaną odporność fizyczną. Lubił alkohol, dobrze czuł się na bankiecie czy sali dansingowej. Z drugiej strony jednak nie mógł pokazać się w miejscu z wyszynkiem, aby nie wypić kilku niezaplanowanych kolejek. Tylu biesiadników chciało się napić ze słynnym ułanem! Swoje dorzucała również obsługa lokalu i rząd kieliszków przed Wieniawą rósł w zastraszającym tempie. Uważano, że to „alkohol szuka jego, a nie on alkoholu”, ale nie miał zwyczaju, czy też nie potrafił, odmawiać. W jednej dłoni pomiędzy palcami potrafił jednocześnie utrzymać trzy kieliszki wódki i kolejno je opróżnić, nie uroniwszy nawet kropli! Nic dziwnego, że zdarzały się, jak wspominał Józef Beck, „wielkie huczki o późnych godzinach wieczornych na mieście”, ale kawalerzyści zawsze uchodzili za najbardziej niesforną część armii. Antoni Słonimski zauważył jednak, że to, iż Wieniawa „wypić lubił, nie czyniło go pijakiem”, a Beck dodawał od siebie:

„Miałby mnie niewątpliwie Wieniawa za kpa, gdybym na przykład usiłował twierdzić, że wódki nie lubił, ale ta dziwna jednostronność relacji w zestawieniu z tak piękną i bogatą naturą, jaką losy obdarzyły Wieniawę, z tak doniosłymi pracami, które wykonywał, i z tak szerokim polotem artystycznym, którym promieniował - musi budzić poważne i niemile zastrzeżenia”.

Marian Hemar wspominał, że „w towarzystwie Wieniawy było się w polu magnetycznym jego osoby - w polu magnetycznym jego wdzięku, swady, polotu i humoru, jego niespożytej energii, jego ochoty do życia, głodu życia”. Kornel Makuszyński uważał, iż „jak wiatr z kadzidla rozwiewa, tak on wesołym, młodzieńczym śmiechem rozpraszał wszelką brodatą dostojność”. A niemiecki dziennikarz przebywający w Warszawie nie mógł wyjść z podziwu, kiedy w kawiarni wysłuchał w swoim ojczystym języku wykładu nieznanego polskiego generała o literaturze niemieckiej. Zauważył, że u Wieniawy dominował „ten duch słowiański, tak na pozór podobny do francuskiego, lecz go znacznie przewyższający swą psychologiczną głębią”. Nie ukrywał, że coś podobnego nie byłoby możliwe w Berlinie.

Zachowanie Wieniawy wzbudzało jednak czasami sprzeciw jego kolegów w mundurach. Ale Długoszowski powoływał się na tradycję kawaleryjską, biorąc za przykład księcia Józefa Poniatowskiego.

„Był kiedyś taki kawalerzysta - tłumaczył pewnemu nudnemu służbiście - który zrobił dwie rzeczy: raz o zakład po pijanemu przejechał nago czwórką z Zamku do Mokotowa i z powrotem, a drugi raz w mundurze marszałka Francji wskoczył do Elstery i utonął. A że mu pomnik na placu Saskim postawili w koszuli, to nie wiadomo, czy za pierwsze, czy za

drugie”.

Marian Romeyko, porządkując w latach dwudziestych dokumenty Biura Ścisłej Rady Wojennej, trafił na sprawozdanie Długoszowskiego z manewrów na Wołyniu. Znaleziony meldunek sprawił Romeykę w osłupienie, nie przypominał bowiem żadnej znanej relacji wojskowej:

„[Wieniawa] zapewne się nudząc, zapewne nie będąc zadowolonym z tempa akcji kawaleryjskiej, wolne swe chwile, spędzane pod cichą lipą lub na przyzbie chaty, poświęcał muzom: poezji i malarstwu. Nie zaniedbując obowiązków rozjemcy, notowania godzin »spotkania się« z nieprzyjacielem, zaangażowania grosu sił, pułkownik Wieniawa ilustrował te ewenementy pastelowymi kolorami, a ponadto i fraszkami a la biskup Krasicki; siedząc na przyzbie chaty przy powzięciu »decyzji« i notując jej treść, nie omieszkał tuż obok uwiecznić przechodzącej Horpyny z wiadrami na koromyśle, dzieląc się ze sztabem generalnym swymi spostrzeżeniami co do jej wdzięków, i to w stylu a la Fredro. Zaiste można by powątpiewać, czy jakikolwiek »sztab generalny« otrzymał podobnego rodzaju »sprawozdanie« od jakiegokolwiek pułkownika sztabu generalnego: grandiuca, erzhertzoga, kronprinca lub od zupełnie już zwariowanego pułkownika »zamudońskiego« pułku. Wieniawa natomiast, jak widać, siedł za radą Woltera, »Pisz pan, jak chcesz - byle nie nudno«. Sprawozdanie ogromnie bawiło nas, oficerów, z »wydziału doświadczeń i wielkich manewrów«, a jednocześnie podziwialiśmy zuchwałość ze strony pułkownika Wieniawy, który zapewne sądził, że dawna jego pozycja - adiutanta naczelnego wodza - na wszystko mu nadal pozwala”.

Informacje o wyczynach niesfornego szwoleżera nieraz docierały do Piłsudskiego. Ale Wieniawa potrafił zbyć je żartem, dowcipem sytuacyjnym, Marszałek zresztą zawsze przejawiał ogromną słabość do dawnego adiutanta. Mawiał, że Wieniawa nigdy go nie zawiódł, zawsze postępował tak, jak nakazywała sytuacja. A do tego uważał go za najbardziej honorowego człowieka w całej armii polskiej.

Inna sprawa, że Piłsudskiemu nie udało się nakłonić ulubieńca do służby w dyplomacji. Komendant uważał, że człowiek o takiej inteligencji, znający biegle kilka języków (sześć nowożytnych plus łacina i greka), uroczy światowiec o artystycznych zainteresowaniach jest idealnym kandydatem na dyplomatę. Wieniawa odznaczał się jeszcze fantastyczną prezencją - Piłsudski powtarzał, że Długoszowski ma twarz jak „dyplomaci, wysoki kler, aktorzy kinematograficzni”. Ale Wieniawa bronił się przed zmianą zawodu, co Piłsudskiego czasami doprowadzało do pasji. Podobno powiedział kiedyś do Józefa Becka, ciskając czapką:

„Nieszczęście z tym Wieniawą! Mógłby być ambasadorem, mężem stanu, a on nic, tylko wciąż mnie nudzi, że chce szwoleżerami dowodzić!”.

Aleksandra Piłsudska wspominała, że „mąż miał kłopot z Wieniawą, bo chciał go odciągnąć od zajmowania się tylko kawalerią i sprawami artystycznego życia Warszawy, ale nie sposób było do tego Wieniawy skłonić”.

Popularność Wieniawy zwiększały karykatury zamieszczane w prasie, szczególnie „Cyruлик Warszawski” nie mógł się obejść bez podobizny Bolesława (czasami nawet kilku w jednym numerze). Wieniawa był tam przedstawiany jako birbant i wielbiciel kobiecych wdzięków. Kiedy do Polski przybyła królewska para Afganistanu, satyrycy sugerowali słabość orientalnej władczyni do pierwszego ułana Rzeczypospolitej. Czytelnicy mogli obejrzyć podobiznę Długoszowskiego „puszczającego oko” za plecami króla do królowej Surii, a rekordy popularności biła karykatura przedstawiająca Wieniawę zabawiającego królową rozmową. Obdarzono ją podpisem: „Żołnierz królowej Madagaskaru”!

Niestety, anegdota opowiadająca, że Wieniawa wjechał konno do „Adrii”, nie jest prawdziwa. Zapewne gdyby była taka możliwość, to uczyniłby to bez wahania, ale lokal nie był do tego przystosowany. Wejście było tak wąskie i niskie, że nie zmieściłby się tam nawet Pigmej na kucyku. Wieniawa nie był również autorem przypisywanego mu zdania wypowiedzianego rzekomo w drzwiach tego lokalu po suto zakrapianym bankiecie: „Panowie, żarty się skończyły, zaczynają się schody”. Prawdziwe są natomiast opowieści o wyczynach Długoszowskiego w podrzędnych knajpach. Dansingi kończyły się o czwartej rano, panie odwożono do domów, a imprezę należało gdzieś kontynuować. Wieniawa często odwiedzał wówczas słynny szynk „U Joska” na Gnojnej czy inne tego rodzaju miejsca. Zajeżdżał z kompanami dorożką, osobiście powożąc, mając na głowie kaszkiet zabrany woźnicy. Powracał z jeszcze większym szykiem, trzema dorożkami. W pierwszej on, w drugiej jego szabla, a w trzeciej rękawiczki.

Wieniawa był wielbicielem płci pięknej i na ogół nie zachowywał się jak wierny małżonek. Był źródłem doskonałych anegdot o sprawach damskomęskich, czego przykładem jest opowieść, jak udał się ze swoją suczką na spotkanie z przeznaczonym jej samcem tej samej rasy. Pod wskazanym adresem powitała go elegancka i urodziwa dama, która zażądała dwieście złotych za usługi swojego pupila. Wieniawie cena wydała się zbyt wygórowana, zapytał więc o przyczyny. Dama wyjaśniła:

„Mój pies jest wyjątkowo pięknym egzemplarzem, doskonale zbudowanym, wielokrotnym medalistą”.

Wieniawa bez słowa zdjął pelerynę i wyprostował się, pokazując rząd odznaczeń na

piersi:

„Ja od pani nie wziąłbym ani grosza”.

Na pewno apokryfem była również opowieść o pewnej pani, która adorowała go na bankiecie, opisując swój ideał kochanka. Wszystko pasowało do Długoszowskiego, ale podniecona alkoholem dama tłumaczyła również swoje oczekiwania pod kątem intymnej anatomii mężczyzny (a były wyjątkowo wygórowane). Znudzony Wieniawa pozbył się wreszcie wielbicielki, informując z uśmiechem, że nie skróci o połowę żadnej części ciała!

Wreszcie Piłsudski znalazł sposób na uspokojenie niesforemego kawalerzysty, mianując go w 1928 roku dowódcą garnizonu warszawskiego. Marszałek uznał, że w stolicy przebywa zbyt dużo „rogatych dusz” w mundurach, co fatalnie wpływa na dyscyplinę i reputację armii. Według Komendanta, spacyfikować sytuację mógł tylko największy hulaka z tego grona, czyli Wieniawa. I nie zawiódł się, Długoszowski natychmiast przestał pić, wprowadził ostre rygory, ale okazał się rozsądnym przełożonym. Wielokrotnie bronił swoich podopiecznych, szczególnie w przypadkach nadużywania alkoholu, co znał z autopsji.

Po dwóch latach odszedł ze stanowiska i przyjął to jak wyzwolenie. Znów mógł się oddać ulubionemu trybowi życia, który kultywował aż do powołania go na ambasadora w Rzymie w 1938 roku. Ale było to już po śmierci Marszałka, gdy nie bardzo mógł odnaleźć się w świecie bez niego.

Nowy prezydent Rzeczypospolitej

Wprawdzie Długoszowski twierdził, że wyjeżdżając z Warszawy, „czuł się jak niezamężna panna przed porodem”, to jednak bez żalu opuszczał stolicę. Nad Tybrem ponownie zrezygnował z alkoholu i doskonale sprawdził się w służbie dyplomatycznej. Podczas przyjęć w polskiej ambasadzie zachęcał do spożywania trunków, sam pijając jednak wyłącznie herbatę. Podobno stosował się w ten sposób do rady Józefa Becka, który polecił mu, aby nie dał się Włochom nabić w butelkę!

W Rzymie odnalazł się w roli ojca i męża, ten zbliżający się do sześćdziesiątego roku życia mężczyzna narzucił sobie ostry reżim pracy, w którym nie było miejsca na towarzyskie eskapady, dużo czasu natomiast poświęcał żonie i córce. Z dawnych kawalerskich upodobań pozostała mu wyłącznie codzienna poranna jazda konna plus ostrogi przy butach.

Po wybuchu wojny natychmiast zaproponował złożenie urzędu i powrót do kraju. Był żołnierzem i chciał walczyć, wszystko jedno w jakim stopniu wojskowym. Nie wyrażono jednak na to zgody i pozostał nad Tybrem. Niepisana mu była śmierć na polu bitwy, jak jego przyjacielowi generałowi Stanisławowi Grzmotowi Skotnickiemu (poległ 8 września nad

Bzurą). Dziesięć dni później, dzień po wkroczeniu Sowietów, usłyszał informację o wyjeździe z kraju Śmigłego-Rydza. Nie mógł w to uwierzyć, uważał, że Naczelnny Wódz walczy do końca i nie porzuca podwładnych. Kiedy jednak Ciano (włoski minister spraw zagranicznych) potwierdził tę informację, Wieniawa rozplakał się z upokorzenia. On, człowiek honoru, żołnierz i gorący patriota, nie mógł zrozumieć takiego postępowania.

„Prawdziwy powód jego załamania - pisał Marian Romeyko - stanowiła rozpacz żołnierza po utraconym honorze. Wieniawa nie mógł uwierzyć, że naczelnny wódz opuścił wojska walczące, że szukał osobistego bezpieczeństwa na obcym terytorium, podczas gdy żołnierz polski bił się do ostatniego na polskiej ziemi, w odosobnieniu, w małych oddziałach, bez dowództwa. Podczas gdy Warszawa, za zdziesiątkowanymi szczątkami trzech armii - i z garstką cywilów - broniła się ostatkiem sił! [...] Gdy dowiedział się od Ciano prawdy, bezstronnego potwierdzenia, ogarnęła go rozpacz żołnierza, tym większa, że naczelnym wodzem był żołnierz, jeden z najbliższych, jeden z najbardziej zaufanych Komendanta, któremu po śmierci Piłsudskiego powierzono obronę honoru Polski...”.

Mościcki, desygnując Wieniawę na następcę, zastrzegł jednak możliwość przekazania urzędu Sosnkowskiemu. Prezydent mógł być pewien jednego: Długoszowski nie zachowałby się tak jak on po śmierci Piłsudskiego, Wieniawa nie miał zwyczaju łamać danego słowa.

Ambicje generała Sikorskiego

Wybór Mościckiego wzbudził ogromne kontrowersje wśród polskiej emigracji. Klęska wrześnieiowa skompromitowała sanację, stwarzając doskonałą okazję do przejęcia władzy przez opozycję. Na emigracji znaleźli się przedstawiciele stronnictw wrogich obozowi rządowemu, a także ludzie związani z tak zwanym Frontem Morges powstałym trzy lata wcześniej pod patronatem Ignacego Paderewskiego. Wśród jego założycieli znaleźli się działacze opozycji (Wojciech Korfanty i Karol Popiel) oraz oficerowie pozbawieni wpływów i stanowisk po przewrocie majowym (Władysław Sikorski, Józef Haller, Marian Januszajtis, Izidor Modelski).

W kraju politycznym ramieniem Frontu stało się Stronnictwo Pracy, ale partia ta nie uzyskała większego poparcia. Lecz teraz, po klęsce wrześnieiowej i w atmosferze powszechnego rozgoryczenia, przeciwnicy sanacji uznali, że nadszedł właściwy czas na przejęcie władzy.

Popierali ich Francuzi. Dla decydentów z Paryża wygodne było polskie „bezkrolewie”, życzyli też sobie słabego rządu, całkowicie zależnego od sojuszników. Politycy przebywający w Rumunii uchodzili za zbyt samodzielnych, mariaż z Francją uważali

(wzorem Piłsudskiego) za konieczne zło, a poza tym /był dużo wiedzieli. Szczególną niechęcią darzono nad Sekwaną Józefa Becka, który nigdy nie pozwolił na zredukowanie Polski do roli posłusznego klienta. Antypatia do ministra sięgała początku lat dwudziestych, kiedy Beck był attache wojskowym w Paryżu. Odwołano go na życzenie gospodarzy, podobno miał kraść tajne dokumenty, obrażać miejscowych oficerów i zaplatać się w jakiś skandal seksualny. Nie oszczędzono również jego żony, rozgłaszając, że miała niesamowity apetyt erotyczny, co wyjątkowo źle wpływało na męża.

Wojna jednak trwała (przynajmniej na papierze i na morzu) i Francuzi uznali, że polskie siły zbrojne na ich terytorium mogą się przydać. W Rumunii i na Węgrzech przebywało bowiem osiemdziesiąt tysięcy polskich oficerów i żołnierzy gotowych do dalszej walki. Powołanie polskiego rządu na emigracji blokowało Niemcom i Rosjanom możliwość utworzenia władz kolaboracyjnych w kraju i miało wykazać, że państwo polskie wciąż funkcjonuje. Był tylko jeden problem, rząd powoływał premier wskazanym przez prezydenta, a Mościcki desygnował Wieniawę.

Długoszowski doskonale znał Francję i Francuzów. W Paryżu mieszkał przez sześć lat przed wybuchem pierwszej wojny światowej, a następnie przebywał nad Sekwaną z misją dyplomatyczną Piłsudskiego. Kochał kulturę francuską i tamtejszy styl życia, ale zdecydowanie oddzielał je od polityki. W tych sprawach w pełni zgadzał się z Komendantem i Beckiem, a jako ambasador Rzeczypospolitej w Rzymie miał doskonałe stosunki z Ciano i Mussolinim. Tego zaś francuscy decydenci znieść już nie mogli. Człowiek, któremu powierzono obowiązki prezydenta klienckiego kraju, który powinien być skromnym petentem, nie mógł przecież prowadzić samodzielnej polityki. A do tego mieć bliskie kontakty z przywódcami kraju będącego najbliższym sojusznikiem Hitlera!

Francuzi znaleźli poparcie polskiej opozycji. Władysław Sikorski nie znosił Wieniawy, a wzajemna nienawiść ciągnęła się od czasów Legionów. Długoszowski był wówczas autorem piosenek ośmieszających ówczesnego pułkownika, zarzucał mu brak kompetencji, bufonadę, a nawet tchórzostwo. Tytuły mówią wszystko (Za biurkiem w Piotrkowie i Pan pułkownik jedzie na front), a znajomość wojennego rzemiosła Sikorski miał zawdzięczać wizytom... w kinie.

Nie był to tylko młodzieńczy wybryk adiutanta Piłsudskiego. Po latach uważał, że gdy Legiony były się z Rosjanami, to Sikorski „urabiał nam na tyłach, cesarskokrólewską robiąc politykę, piotrkowski departament wojskowy”. Tego generał nigdy nie zapomniał, zresztą uchodził za osobnika wyjątkowo pamiętliwego i nawet w „rzeczowej opozycji doszukiwał się wrogości do własnej osoby”.

„Niewątpliwe zalety - pisał Eugeniusz Kwiatkowski - i nieprzeciętne wartości tkwiące w osobowości [...] Sikorskiego były dość często usuwane w cień albo nawet niwelowane całkowicie przez gwałtowne wybuchy [...] drugorzędnych [...] cech jego charakteru. W rzeczywistości krzewiły się w nim najbardziej sprzeczne i przeciwstawne właściwości duchowe, z których jedne reagowały szybko i prawidłowo na sprawy wielkie i doniosłe, gdy inne były uczulone i wrażliwe na podniety zaprawione ślełą nienawiścią, uporem i jadem zemsty”.

Niechęć Sikorskiego do Wieniawy wpisywała się w jego nienawiść do piłsudczyków, do czego zresztą miał słuszne powody. Jako dowódca lwowskiego okręgu wojskowego zachował w dniach przewrotu majowego neutralność (tłumaczył się zagrożeniem ukraińskim), ale dwa lata później został zdymisjonowany ze stanowiska i otrzymał status generała do dyspozycji. W praktyce oznaczało to przedwczesną emeryturę.

A Sikorski miał ogromne ambicje. Ujawniły się one na początku lat dwudziestych, gdy piastował urząd premiera, a następnie ministra spraw wojskowych. Choć trzeba przyznać, że sprawdził się na tych stanowiskach, a szczególnie jako szef rządu. To właśnie jego powołano na premiera w tragicznym dniu zabójstwa Narutowicza (jednocześnie został ministrem spraw wewnętrznych). Błyskawicznie spacyfikował nastroje, nie dopuścił do wojny domowej, a przy okazji zasugerował sądowi wyrok na zamachowca. Zapewne pod jego wpływem Eligiusz Niewiadomski nie został uznany za niepoczytalnego (a był nim na pewno) i po jednodniowym procesie rozstrzelany.

Chociaż przed wybuchem wojny Sikorski zgłosił swój akces do armii, ŚmigłyRydz zignorował jego zabiegi. Generał opuścił stolicę w pierwszych dniach kampanii i 18 września znalazł się w Rumunii. Podobno jeszcze dzień wcześniej proponował Rydzowi powrót do wojska, powołując się na swoje kontakty we Francji. A kiedy i ta propozycja została odrzucona, rozpoczął własną grę.

Sikorski na czele polskiego rządu nad Sekwaną widział swojego zwolennika, sam wówczas myślał chyba tylko o stanowisku Naczelnego Wodza. Nadal nic nie było wiadomo o losach Sosnkowskiego, wobec internowania ŚmigłegoRydza Sikorski pozostawał więc jedynym realnym kandydatem na dowódcę polskiej armii. Błyskawicznie doszedł do porozumienia z polskim attache w Bukareszcie Tadeuszem Zakrzewskim i pozostawił mu ściśle dyrektywy w sprawie kwalifikacji polskich uchodźców do wyjazdu do Francji.

„W ambasadzie poinformowano mnie - wspominał dyplomata Stanisław Zabięło - że Sikorski rozpoczął urzędowanie od zwrócenia się do Francuzów z prośbą o udzielanie wizyjazdowych tylko tym obywatelom polskim, którzy znajdują się na sporządzonych przez

nego listach, składanych stopniowo władzom francuskim. Selekcja ta miała zabezpieczyć go przed napływem przeciwników politycznych, których wpływy we francuskich kołach politycznych mogłyby podważyć jego własne, oraz eliminować elementy urzędnicze i oficerskie związane bliżej z sanacją. Z drugiej strony miała ona przyspieszyć ściąganie ludzi, na których nowy rząd chciał się przede wszystkim oprzeć, a mianowicie działaczy z tzw. legalnej opozycji”.

Sikorski nie pozostawił niczego przypadkowi, zadbał, aby na listach znaleźli się jego współpracownicy, a także ludzie, z którymi porozumienie uważał za możliwe. Nie zapomniał również o „wszystkich ważnych i spokojnych” endekach, polecił także poszukiwanie Wincentego Witosa. Zasłużony działacz ludowy, trzykrotny premier i więzień Brześcia idealnie nadawał się na osobę firmującą jego politykę.

Generał przybył do Paryża 24 września i natychmiast rzucił się w nurt wielkiej polityki. Następnego dnia dotarła informacja (antydatowana na 18 września), że Mościcki wyznaczył na prezydenta Wieniawę. To, co zaszło w następnych godzinach, nie znajduje precedensu w najnowszych dziejach Polski.

Sikorski zwołał naradę współpracowników zakończoną kategoryczną konkluzją, że Wieniawa nie może zostać następcą Mościckiego. Uznano to za powrót piłsudczyków do władzy, widząc w Długoszowskim wyłącznie przedstawiciela wrogiego obozu. Nie zwracano uwagi na jego rzeczywiste kompetencje, obawiano się również niezależności Wieniawy. Ulubieniec Piłsudskiego był bowiem człowiekiem, który nie pozwoliłby sobą kierować.

Poinformowano o tym Francuzów, a przy okazji obrzucono Długoszowskiego obrzydliwymi pomówieniami. Przedstawiono go jako alkoholika, erotomana, narkomana i hazardzistę o faszystowskich sympatiach. Nikt oczywiście nie zaprzecza, że Wieniawa miał za sobą burzliwe i kolorowe życie, ale z narkotykami, podobnie jak z hazardem, nigdy nie miał do czynienia. W czasach nazywanych epoką brydża (często grano wtedy na wysokie stawki pieniężne) nie brał w ogóle kart do rąk. Ten hedonista, wielbiciel kobiet i trunków uważał grę w karty za „zajęcie ponure i zabijające inteligentną rozmowę”. Nie ma również informacji o wizytach Wieniawy w kasynach lub na wyścigach, a gdyby faktycznie odwiedzał te miejsca, to zapewne przetrwałyby na ten temat jakieś wiadomości. Długoszowski nie był przecież człowiekiem anonimowym.

Francuzi tylko czekali na podobną okazję. Sikorski i jego zwolennicy rezygnowali z resztek suwerenności Polski, ale zapewne uznali, że „Paryż wart jest mszy”. Wyeliminowanie wybrańca Mościckiego miało swoją cenę, a zdanie Francuzów podzielali też Anglicy.

Przewrót

Wydarzenia paryskie z trzeciej dekady września 1939 roku można uznać za zamach stanu. Trwały jeszcze walki w kraju, jeszcze nie wszyscy skapitulowali, a emigracyjni politycy nad Sekwaną już skakali sobie do gardeł. Porozumienie Sikorskiego z Francuzami błyskawicznie przyniosło efekty, inna sprawa, że czas naglił i opozycja musiała działać szybko.

Ambasador Rzeczypospolitej w Paryżu Juliusz Łukasiewicz złożył oficjalną notę o desygnowaniu Długoszowskiego i wówczas usłyszał, że rząd francuski nie aprobuje wyboru. Złudzeń nie pozostawił również ambasador Francji w Bukareszcie, komunikując obcesowo Mościckiemu, że jego mocodawcy „nie mają zaufania do wyznaczonej osoby” i że Paryż „nie uzna jakiegokolwiek rządu powołanego przez generała Wieniawę”. Uzasadniając stanowisko, wyjaśnił, że Długoszowski jest „dawnym oficerem Piłsudskiego, którego zabawiał swoimi wyskokami i facecjami”, prowadzącym „fantazyjny sposób bycia, pod pozorem rozległej kultury skrywający tyleż nieumiarkowanego dziwactwa, co i niepomiarowania w obyczajach”. A w ogóle to zasłynął z „niewyparzonego języka” i niechęci do Francji, co powoduje, że jego kandydatura jest „niepoważna, a nawet gorsząca”.

Sikorski nie zanieczywał niczego. Osobiście odwiedził Łukasiewicza, a podczas rozmowy był „sztywny i podkreślał zdenerwowanie, czemu dawał wyraz, uderzając w ciągu całej rozmowy o poręcz fotela”. Oficjalnie oświadczył, że jego kandydatem jest Paderewski, chociaż uznawał prawa Sosnkowskiego, pod warunkiem że ten wreszcie się odnajdzie. Zobowiązał się, że odda w jego ręce całą „władzę wojskową i cywilną”. Chociaż nie sprawował wówczas żadnej funkcji, wiedział jednak, że to tylko kwestia dni. Francuzi czuwali.

Polacy nie ugięli się przed Hitlerem, nie chcieli również grzecznie słuchać Francuzów i Anglików. Mimo iż korzystano z gościny aliantów, wielu naszych działaczy nie zamierzało rezygnować z niezależności. Sojusznicy byli zobowiązani do współpracy, ale nie mieli prawa mieszać się w wewnętrzne sprawy Polski.

„Nie chodziło mi o personalia - pisał Edward Raczyński - ale przede wszystkim o fakt, że z klęski naszej w polu unieśliśmy tylko i nade wszystko imponderabilia: naszą państwowość, sojusze, konstytucję. A tymczasem nasz własny sojusznik potraktował jeden z naszych skarbów narodowych jak błahy, nic nieznaczący liczman”.

Sikorski głosił publicznie, że Wieniawa jest nałogowym alkoholikiem nieznanym szerzej społeczeństwu, sekundowali mu jego poplecznicy. Nie powiodła się próba zneutralizowania generała przez Łukasiewicza, na polecenie ambasadora Sikorski został

mianowany dowódcą polskich formacji zbrojnych we Francji.

„Gdy Wieniawa - wspominał Marian Romeyko - z dekretem mianującym go następcą prezydenta przybył do Paryża, zastał tam sytuację zmienioną, albowiem przybyli z Rumunii do Paryża i generał Sikorski, i profesor Stroński, i inni. Mimo wszystko, dzięki staraniom ambasadora Łukasiewicza, przystąpiono do druku »Monitora Polskiego«, numeru pierwszego, z dekretem byłego prezydenta Mościckiego o mianowaniu następcy w osobie Wieniawy. Równoległe z akcją druku pewne koła polskie rozpoczęły przeciwalkę, alarmując - poprzez francuskiego ambasadora Noela - francuskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Uzyskano wiele, albowiem Francuzi oświadczyli Łukasiewiczowi, że nie uznają mianowania Wieniawy prezydentem Rzeczypospolitej, a przeto nie będą uznawali rządu polskiego mianowanego przez niego. Widząc zamieszanie, jakie wywołała jego osoba, Wieniawa od razu dobrowolnie wycofał się, lecz sfery sanacyjne, zgrupowane przy Łukasiewiczu, nie dawały za wygraną. Francuzi tak dalece poszli na rękę »opozycji«, że otoczyli gmach drukarni, gdzie odbywał się druk numeru 1 »Monitora« i skonfiskowali nakład. Mimo to znaczna część egzemplarzy numeru 1 bocznymi drogami »wyszła na ulice« i znalazła się w posiadaniu szeregu osób, które później zrobiły na tym kokosy, ponieważ - być może na polecenie nowo sformowanego rządu - egzemplarze numeru 1 »Monitora« były wykupywane, i to za wielkie pieniądze”.

Wieniawa wysłał do Mościckiego depezę z prośbą o zwolnienie ze stanowiska, wystosował również list następującej treści: „Najdostojniejszy Panie Prezydencie Dziękując Panu Prezydentowi za okazane mi zaufanie i wiarę w to, że w każdym wypadku postąpię, mając na widoku jedynie tylko dobro Rzeczypospolitej - składam niniejszym na ręce Pana Prezydenta zrzeczenie się godności następcy Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 17 września 1939. Mam zaszczyt prosić Pana Prezydenta o przyjęcie mojej rezygnacji w tym przekonaniu, że działam w interesie sprawy publicznej. Proszę Pana Prezydenta o przyjęcie mojej najgłębszej czci i oddania.

Paryż 27 września 1939.

WieniawaDługoszowski, generał”.

Zaraz po rezygnacji Wieniawa wziął udział w naradzie mającej wyłonić kandydata możliwego do zaakceptowania przez Mościckiego, grupę Sikorskiego i Francuzów. Tym razem wybór padł na Władysława Raczkiewicza, byłego senatora, wojewodę i marszałka sejmu.

„August Leniwy” i umowa paryska

Długoszowski wrócił do Rzymu, a historycy ciągle spierają się o to, czy można go

uznawać za prezydenta Rzeczypospolitej. Nie wdając się w szczegóły dyskusji, warto jednak zauważyć, że pierwszy ułan Rzeczypospolitej po raz kolejny pokazał klasę. Na tle skłóconych rodaków wydawał się człowiekiem z zupełnie innej bajki. Wybór Raczkiewicza nie zahamował bowiem targów i kłótni nad Sekwaną. Tym razem szło o stanowisko premiera.

Sikorski był już kiedyś szefem rządu i teraz dążył do władzy politycznej. Podczas prezentacji jako dowódcy Armii Polskiej we Francji do zgromadzonych oficerów (praktycznie wszystkich obecnych wówczas w Paryżu) powiedział:

„[...] nie będziemy tu robić żadnej polityki. Uprzedzam Panów, że na żadną partyjną czy brygadową politykę nie ma i nie może być miejsca w wojsku polskim. Zasadą moją będzie kult kompetencji, a wierzę, że spotkamy się pod hasłem »Honor i Ojczyzna«.

Piękne słowa, ale niemające odbicia w rzeczywistości. Nie był to chyba przypadek, że Sikorski użył hasła, które przed laty było nazwą jego tajnej organizacji oficerskiej? Wprawdzie głównym zadaniem założonego w 1921 roku stowarzyszenia „Honor i Ojczyzna” była troska o poziom moralny i apolityczność korpusu oficerskiego, ale w praktyce organizacja miała utorować Sikorskiemu drogę do władzy.

Raczkiewicz desygnował na premiera Augusta Zaleskiego, co spotkało się z protestami, sprzeciwiali się zarówno piłsudczycy, jak i zwolennicy Sikorskiego. Nikt wprawdzie nie odmawiał Zaleskiemu kompetencji dyplomatycznych (przed Beckiem był na stanowisku ministra spraw zagranicznych), ale kandydat uchodził za człowieka trudnego we współpracy. Nazywano go „Augustem Leniwym”, albowiem przejawiał chorobliwą wręcz niechęć do systematycznej pracy. Podobno jeszcze w czasach swojego urzędowania w WtSZ „dłuższe niż dziesięciominutowe sprawozdania [...] tak go nużyły, że przestawał słuchać”. Podwładni wiedzieli, że „aby uzyskać potrzebną decyzję, trzeba było wprowadzić ministra w dobry nastrój, opowiadając mu jakąś ciekawą, a nieznaną anegdotę”. Nic dziwnego, że Piłsudski uważał, iż Zaleski „jest zadowolony, gdy nic nie musi robić”. Pozostało mu to do końca życia, nie bez powodu Jan Lechoń zauważył już po wojnie, że z Zaleskim nie ma co „dyskutować, bo ten facet nie skupia się pięciu minut na jednej myśli”. A na domiar złego kandydat na premiera cierpiał na poważną wadę wymowy i „jąkaniem niweczył efekt najpiękniej literacko i najchytrzej politycznie przygotowanych oświadczeń”.

Zaleskim nie byli zachwyceni również Francuzi, były minister miał bowiem zbyt dobre kontakty z Brytyjczykami. Ale ostatecznie zdecydował sprzeciw Sikorskiego i Raczyński wyznaczył na premiera Stanisława Strońskiego - działacza obozu narodowego.

Stroński potrafił jednak wznieść się nad osobiste ambicje, orientował się poza tym w oczekiwaniach Sikorskiego. W rozmowie z prezydentem stwierdził, że „potrzebny jest rząd

jedności narodowej” i oświadczenie prezydenta, że „w sprawach, w których przepisy konstytucji uprawniają go do działania samodzielnego, będzie działał w porozumieniu z rządem”. A następnie zrzekł się stanowiska premiera, zrezygnowany Raczkiewicz wyznaczył więc ostatecznie Sikorskiego. Generał uzyskał wreszcie to, do czego dążył.

To jednak było za mało dla jego ambicji i niebawem otrzymał nominację na Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych. Od czasów Piłsudskiego żaden polski polityk nie skupił w swoich rękach podobnej władzy.

Niektórzy sugerowali, że Sikorski uzyskał władzę dyktatorską i niewiele było w tym przesady (objął również tekę ministra spraw wewnętrznych i ministra spraw wojskowych). Ale dyktatura była chyba obca psychice generała.

„[...] marzeniem Sikorskiego - zauważył Mackiewicz - nie była ani dyktatura, ani zwycięskie pole bitwy, w oparach krwi, dymu i blaskach zachodzącego słońca, ani inny obraz tego typu, a po prostu wielki parlament, on jako premier i szmer przyjazny wszystkich stronnictw i mniejszości narodowych: Sikorski, Sikorski, Sikorski! Generał Sikorski chciał być powszechnie uznawany, kochany, popularny”.

Raczkiewicz dotrzymał słowa i 30 września w przemówieniu radiowym do kraju ogłosił, że „w ramach konstytucji kwietniowej postanowiłem te jej przepisy, które uprawniają mnie do samodzielnego działania, wykonywać w ścisłym porozumieniu z prezesem Rady Ministrów”. Decyzja prezydenta oficjalnie weszła w życie po publikacji w „Monitorze Polskim” kilka tygodni później.

Było to sprzeczne z obowiązującą konstytucją i niepokojąco przypominało wywyższenie Śmigłego-Rydza po śmierci Piłsudskiego. A to przecież gorliwie krytykowało ugrupowanie Sikorskiego. Ale po raz kolejny potwierdziła się reguła, że opozycjoniści, dochodząc do władzy, często przejmują metody swoich przeciwników. Trwająca wojna wymagała zresztą zdecydowanych rozwiązań i to nie tylko w przypadku łamania konstytucji.

ROZDZIAŁ 3

PRAWDZIWA NIENAWIŚĆ

Naczelnny wódz i premier

Władysław Sikorski miał w chwili wybuchu drugiej wojny światowej pięćdziesiąt osiem lat. Absolwent Wydziału Inżynierii Dróg i Mostów Politechniki Lwowskiej,

współzałożyciel Związku Walki Czynnej (1908) związał swoją karierę z wojskiem. Od czasu pierwszej wojny światowej datuje się jego konflikt z Piłsudskim: podpułkownik Sikorski, w odróżnieniu od Komendanta, był lojalnym oficerem austriackim. Przejawiał również duże ambicje osobiste, co negatywnie wpłynęło na wzajemne stosunki obu panów. Przeciwnie niż przysły marszałek Sikorski niemal do końca wiernie służył naddunajskiej monarchii, do dymisji podał się dopiero w 1918 roku na znak protestu przeciwko oderwaniu Chełmszczyzny od Królestwa Polskiego. Przypłacił to internowaniem, a do armii powrócił w odrodzonej Polsce. W stopniu generała brał udział w wojnie z bolszewikami, odznaczył się w bitwie warszawskiej.

Już wówczas zwracał uwagę swoją energią, umiejętnościami, i przede wszystkim ambicjami politycznymi. Uważano, że jest jedynym rywalem Komendanta w drodze do władzy, a piłsudczycy nie przebiali w środkach, aby go unieszkodliwić. Ze wspomnień Macieja Rataja można się dowiedzieć, że poseł Polakiewicz zagroził generałowi, „że ogłosi z trybuny sejmowej, ile razy i z kim Sikorski zdradzał swoją żonę”. I coś musiało być na rzeczy, ponieważ generał skarżył się, że zwolennicy Komendanta szantażowali go „ujawnieniem wszystkich awantur domowych”. Bliższych szczegółów jednak nie znamy.

Zachowała się interesująca charakterystyka Sikorskiego autorstwa Józefa Piłsudskiego. W 1922 roku Komendant zapisał: „Inteligentny, żywy umysł, lekki charakter obok wielkiej ambicji. Nadzwyczajnie łatwy w obcowaniu z ludźmi, których umiejętnie i celowo zużytkowuje. Bardzo dobry organizator, umiejący szybko podzielić pracę, łatwo oceniający zdolności ludzi, o ile nie przysłoni mu wyroku taka czy inna prywata, do czego bardzo i bardzo jest skłonny”.

Piłsudski zauważył, że Sikorski „umie i lubi rozkazywać, a przy swojej obrotności daje sobie łatwo radę prawie w każdej sytuacji”. Dostrzegał jednak również wady podwładnego: „W stosunku do podwładnych w miarę rozkazujący, miły w obejściu, trochę zanadto smakujący w popularności, niekiedy niebezpieczny dla nich, wobec tego, że jest łatwy do prywaty i do zwalania winy i odpowiedzialności z siebie na innych”.

Marszałek z reguły nie mylił się w ocenach i znakomicie potrafił dobierać ludzi. Pozytywnie wypowiadał się o umiejętnościach wojskowych Sikorskiego, ale dostrzegał wady dyskwalifikujące go jako męża stanu. Skłonności do „prywaty” (powtórzone dwukrotnie), „zwalania winy i odpowiedzialności na innych” - to cechy dość popularne w świecie polityki, ale utrudniające karierę. Ludzie obdarzeni takimi wadami nigdy nie wzniosą się ponad własne uprzedzenia.

Negatywne zdanie o generale mieli również przedstawiciele opozycji. Wincenty Witos

zauważył cierpko, że „kiedy trzeba było być generałem, on był politykiem, a kiedy należało być politykiem, on wtenczas koniecznie stawał się generałem”. Za Sikorskim ciągnęła się także niewyjaśniona sprawa udziału w aferze Francopolu.

Przyszłego Naczelnego Wodza łączyły zażyłe stosunki z generałem Włodzimierzem Zagórskim, członkiem rady nadzorczej spółki. Sprawę opisywałem dokładnie w książce Afery i skandale Drugiej Rzeczypospolitej, teraz przypomnę więc tylko podstawowe fakty. W działalność powołanej w 1921 roku firmy Francopol (FrancuskoPolskie Zakłady Samochodowe i Lotnicze Spółka Akcyjna) zaangażowali się arystokraci i przemysłowcy. Udziałowcy błyskawicznie otrzymali ogromne zlecenia na dostawę samolotów i silników lotniczych, mimo że nie było jeszcze fabryk. Dostawali też sowite zaliczki (do czerwca 1926 roku wypłacono łącznie półtora miliona złotych).

Dowódcą polskiego lotnictwa był generał Włodzimierz Zagórski, przez pewien czas członek rady nadzorczej Francopolu. I mimo iż zrezygnował z członkostwa, powszechnie uważano, że negocjował niekorzystne dla armii kontrakty z własną firmą. Tematem zajęła się piłsudczykowska prasa, ale nikomu nic nie udowodniono. Ministrem spraw wojskowych był wówczas Sikorski, dobry znajomy Zagórskiego. Afera godziła również w niego, a obu panów łączyła niechęć do Piłsudskiego. Sikorski nie był zatem zainteresowany wyjaśnianiem sprawy, a po przewrocie majowym aferę wyciszono. Marszałkowi nie zależało na skompromitowaniu arystokratów zamieszanych w interesy spółki, ponieważ poszukiwał wówczas poparcia sfer konserwatywnych. Wystarczyło wyeliminowanie Zagórskiego (oficjalnie zaginął), zresztą z zupełnie z innych powodów, a Sikorskiego odsunięto, co dla człowieka o takich ambicjach i energii życiowej stanowiło straszliwą karę.

Doprowadziło go to do całkowicie irracjonalnych zachowań. Paweł Wieczorkiewicz stwierdził, że generał miał na sumieniu postępek, który powinien zaprowadzić go przed pluton egzekucyjny: „Po 1926 roku Sikorski pozostawiony w stanie przymusowej bezczynności gorzkniał, tracąc miarę pomiędzy krytyką rządzącego obozu a racją stanu. Przykładem mogła być próba przekonania Francuzów, aby wymogli na Rydzu dymisję znieawidzonego Becka, lub też przekazanie w roku 1938, w momencie gdy zaistniała możliwość hipotetycznej wojny pomiędzy oboma państwami, polskich planów wojskowych Czechom”.

Ocena może być tylko jedna, Sikorski dopuścił się zdrady zasługującej na sąd polowy. Apologeci generała mogą przytaczać przykład współpracy Piłsudskiego z wywiadem austriackim czy też sprawę pułkownika Kuklińskiego, ale tych przypadków nie można porównywać. Kiedy Piłsudski oferował swoje usługi Austriakom, Polska nie istniała jeszcze

jako państwo, a zabiegi Komendanta były skierowane przeciwko Rosji, uznawanej za głównego przeciwnika niepodległości kraju. Pułkownik Kukliński, współpracując z wywiadem amerykańskim, był obywatelem PRL, państwa całkowicie podporządkowanego ZSRR. I chociaż złamał przysięgę wojskową, to jego pobudki łatwo zrozumieć. Sikorski natomiast, będąc jednym z najwyższych rangą oficerów niezależnej Polski, dopuścił się zdrady stanu. I to z czysto prywatnych pobudek.

Profesor Wieczorkiewicz w wywiadzie tak mówił o Sikorskim: „Myślę, że w okresie międzywojennym był agentem francuskim, a przynajmniej tak się zachowywał, jakby nim był. Działał na szkodę państwa polskiego i jako taki powinien zostać prawomocnie skazany. Udzielał Francuzom bardzo wyczerpujących informacji o polskim wojsku. [...] Naciskał na Francuzów, żeby żądali dymisji Becka. Zachowywał się niezbyt pięknie”.

Rada Narodowa

Prezydent i rząd to nie wszystko, potrzebna była jeszcze namiastka parlamentu. W styczniu 1940 roku powstał taki twór pod nazwą Rady Narodowej. Nie było oczywiście żadnych wyborów, członkowie Rady zostali powołani przez mianowanie. Teoretycznie w jej składzie mieli znaleźć się przedstawiciele najsilniejszych stronnictw, a w rzeczywistości skupiło się tam dwadzieścia przypadkowych osób. I chyba mieli rację złośliwi, że była to synekura dla tych, dla których nie starczyło stanowisk rządowych.

„Rada Narodowa urzędująca w Angers - pisał jej członek Stanisław CatMackiewicz - nie zajmowała się huraganem dziejowym; zajmowała się walką ze zmarłym cztery lata przedtem Józefem Piłsudskim i sanacją oraz walkami pomiędzy sobą. Każdy minister miał tu swoich stronników i w ten sposób podstawiał nogę innemu ministrowi. Za szybami była wojna i wielkie manewry dyplomatyczne; ale nie patrzono przez okna, zresztą była tam noc, w której nic nie umiano odróżnić. Na polityce zagranicznej znano się tyle, co kura na pieprzu. Natomiast walki z sanacją były święte, walki międzykliczkowe były pasjonujące”.

Na jej przewodniczącego powołano Ignacego Paderewskiego. Słynny pianista ze względu na wiek był wyłącznie figurantem, chociaż Stroński uważał, że kwalifikuje się do pełnienia funkcji państwowych.

„Konstatuje z przyjemnością - opisywał złośliwie Mackiewicz wizytę Strońskiego u wirtuoza we wrześniu 1939 roku - że Paderewski nie jest jeszcze całkiem zgrzybiały, jak o tym mówiono, bo o to Paderewski, sam bez niczyjej pomocy, schodzi z pierwszego piętra swej willi do saloniku, a więc rusza jeszcze nie tylko ręką, ale i nogą”.

Rada Narodowa miała uprawnienia wyłącznie konsultacyjne i opiniodawcze, ale

Sikorski nie liczył się z jej zdaniem. Paderewski zresztą był zbyt schorowany, aby faktycznie odgrywać jakąkolwiek rolę. Wziął udział tylko w jednym posiedzeniu, po czym wyjechał do USA, gdzie rok później zmarł.

„Rada Narodowa - pisał Stanisław Zabiełło - miała mieć charakter opiniodawczy, lecz w praktyce stała się jedynie gadalnicą. Rząd wykorzystywał ją głównie jako trybunę dla swych enuncjacji, po których następowały zwykle jednomyślne uchwały”.

W składzie Rady znaleźli się wyłącznie Polacy i Żydzi, nie uwzględniono Ukraińców, Białorusinów czy Litwinów. Wszedł do niej natomiast przedstawiciel Polaków w III Rzeszy (!!!), Arka (Arkadiusz) Bożek.

CatMackiewicz nie miał wysokiego mniemania o współpracownikach, warto przytoczyć jego opinię: „Był to facet ponury - pisał o Stanisławie Mikołajczyku ze Stronnictwa Ludowego - i podejrzliwy, o małych świńskich oczkach, wyglądało, że ciągle dbał, aby mu ktoś nie ubliżył. Poza tym wyczuwało się w nim człowieka wyjątkowo ambitnego, żadnego władzy i o ileż twardszego niż nasz wódz na cywilnych i wojskowych frontach, generał Sikorski”.

Znacznie lepsze zdanie miał o liderze Stronnictwa Narodowego, Tadeuszu Bieleckim, chociaż i w tym przypadku nie obyło się bez złośliwości: „[...] był to człowiek pełen taktu, skromności i umiaru, i twardości charakteru. Jego pojęcia w zakresie polityki zagranicznej były bardzo niewystarczające, ograniczały się do wiadomości, że na świecie jest Paryż, Londyn i masoneria. Nosił w klapie marynarki miniaturę Szczerbca Chrobrego, odznakę Obozu Wielkiej Polski, organizacji powołanej przez Dmowskiego w 1926 roku, ale ta miniatura była tak duża, że sam Bielecki, aczkolwiek miał poważną tuszę, przypominał trochę nagrobek”.

Zdecydowanie ostrzej wypowiadał się Zabiełło, dyplomata uważał, że Bielecki wprawdzie był człowiekiem „osobiście sympatycznym i dobrodusznym”, ale miał jednak wady. Najważniejszą z nich było „łączenie z właściwym wszystkim endekom zacierzeniem partyjnym bardzo wąskich horyzontów umysłowych”.

Mackiewicz fatalne zdanie miał również o dwóch kobietach wchodzących w skład Rady Narodowej. Zofia Zaleska i Elżbieta Korfanty zajmowały się głównie zachwykami nad swoim kolegą, Hermanem Liebermanem. Ten był poseł i więzień Brzeźcia „zwykle mówił bez specjalnie głębokiej treści, ale ze znakomitą modulacją głosu, dramatycznością akcentów, barwnością narracji”. I chociaż Lieberman szlify parlamentarne zdobywał jeszcze za czasów Franciszka Józefa, to twierdził, że „do żadnego ze swoich parlamentów tak się nie przywiązał, jak do tej naszej małej, wałęsającej się po świecie Rady Narodowej”. Nic dziwnego,

wcześniej nie zdarzało się, aby kobiety kładły kwiaty przed krzesłem, na którym zasiadał.

W skład Rady wszedł również generał Lucjan Żeligowski. Niemal dwadzieścia lat wcześniej dowodził „zbuntowanymi” (na rozkaz Piłsudskiego) wojskami, które zajęły Wilno, proklamując Litwę Środkową. Z upływem lat zdziwaczał jednak zupełnie, stał się propagatorem idei wszechsłowiańskich, a za pierwszego wybitnego Słowianina uważał Attylę (!), którego nie odróżniał zresztą od Tamerlana. Z pasją oddawał się popularyzacji Inu i produkcji miodu.

Nie tylko Żeligowski stracił kontakt z rzeczywistością, nawet doświadczony Lieberman nie zdawał sobie sprawy, na jakim świecie żyje. Ogłosił kiedyś, że nie obowiązują już konstytucja kwietniowa, nie zwracając uwagi na fakt, że emigracyjne urzędy obsadzono na jej podstawie. Nie zapominał również o nienawiści do Piłsudskiego. Gdy w maju 1941 roku część członków Rady zignorowała posiedzenie, udając się na nabożeństwo za duszę Marszałka, Lieberman postawił wniosek, aby ukarać ich grzywną w wysokości 25 funtów.

„Później każdy nasz lotnik - pisał gorzko Mackiewicz - szybujący nad Niemcami, każdy szeregowiec spod Tobruku wiedział więcej o rzeczywistości politycznej niż to zaklęte grono ludzi z małego domku, ze skąpej chaty z przedwczoraj Polski, jeszcze z Wiednia, a co najmniej jeszcze sprzed zamachu majowego.

Od otaczającej nas wojny byli oddzieleni, a sami wyżywali się w jakichś bajkach z dziecinnego pokoju, przez nich samych zbrzydanych i adaptowanych dla dokuczenia sąsiadowi przy stole obrad”.

Salon odrzuconych

Warto przyjrzeć się bliżej składowi emigracyjnego rządu Władysława Sikorskiego. Weszli do niego przedstawiciele partii opozycyjnych wobec sanacji, ale nie byli to raczej pierwszoplanowi działacze, ponieważ większości liderów nie było w Paryżu, a poza tym Sikorski nie tolerował zbyt silnych indywidualności. Gabinet miał być rządem jedności narodowej, wobec tego ministrem został pułkownik Adam Koc, uznawany za przedstawiciela sanacji. Kiedy nad Sekwaną pojawił się generał Sosnkowski, również otrzymał tekę ministra. Dla równowagi dokooptowano jednak profesora Stanisława Kota - zajadłego zwolennika porachunków z przeszłością.

„[Rząd Sikorskiego] miał skład całkowicie przypadkowy - uważał Stanisław Zabięłło. - Weszli do niego ci, którzy byli pod ręką, to znaczy znaleźli się we Francji i mieli jakieś podstawy do reprezentowania poszczególnych partii czy ugrupowań [...]. Właśnie z powodu tej przypadkowości i napływu do Paryża coraz to nowych pretendentów do tek

ministerialnych gabinet ulegał zmianom i dopiero gdzieś na początku listopada przybrał wreszcie swe definitywne oblicze”.

Zdziwienie wywoływała obfita reprezentacja kanapowej partii Sikorskiego. Stronnictwo Pracy uznano za równoważnego reprezentanta społeczeństwa, co nie miało odbicia w rzeczywistości. Nie bez powodu jeden z emigrantów zauważył, że inne ugrupowania przysłały do Paryża swoich reprezentantów, a tylko Stronnictwo Pracy przybyło w komplecie!

Nowi ministrowie potrafili jednak zadbać o swoje interesy. W chwili gdy brakowało pieniędzy na ewakuację polskich wojskowych z Rumunii i Węgier, nad Sekwaną rząd zapewnił sobie sowite uposażenie. Zażądano poborów równych pensjom ministrów rządu francuskiego, i takie otrzymano. Premier - czternaście tysięcy franków miesięcznie, ministrowie o tysiąc mniej, a wiceministrowie po jedenaście tysięcy.

Działalność rządu zdominowały rozliczenia z przeszłością. Po klęsce wrześniowej było to nieuniknione, ale to, co działo się w Angers (dokąd z Paryża przeniesiono siedzibę), przekraczało granice przyzwoitości:

„A te wasze kłótnie - mówił francuski minister Anatole de Monzie - czy sądzicie, że to do nas nie dochodzi? [...] Robicie jakieś porachunki osobiste, które mnie zwłaszcza specjalnie obrzydzą. Powracacie do stosunków sprzed 1926 roku [...]. Zaczynam tracić wiarę w potrzebę odbudowy Polski jako państwa niepodległego. Niech powstanie, ale związane jakimś zewnętrznym czynnikiem z innym”.

Francuzom wtórowali Anglicy, a jeden z brytyjskich dyplomatów zauważył, że „rząd polski ma więcej wdzięku niż kompetencji”, ale był to wyłącznie wdzięk na odległość. Z bliska trudno mówić o jakimkolwiek uroku.

Sikorski piastował aż cztery funkcje, co stanowiło problem, ponieważ generał nie potrafił zorganizować sobie pracy. Chciał wszystkiego dopilnować osobiście, źle dobierał ludzi, podpisywał dokumenty bez czytania, gubiąc się w tysiącach spraw. Dochodziło do absurdalnych sytuacji narażających na szwank jego dobre imię. Generał był zbyt przeciążony „pracą, by móc wnikać w najdrobniejsze szczegóły, które mu chętnie podsuwali, z odpowiedzialną opinią, podwładni”.

Marian Romeyko wszedł w posiadanie fotokopii listu szkalującego personel ambasady w Rzymie i wysłał ją generałowi. Niebawem otrzymał dwie odpowiedzi. W pierwszej Sikorski jako Naczelnny Wódz dziękował mu „za zajęcie żołnierskiego stanowiska”. Ale niebawem otrzymał kolejne pismo od generała, w którym prezes Rady Ministrów wytknął mu „zajęcie niewłaściwego stanowiska”. Na szczęście nie dostał opinii ministra spraw

wojskowych czy ministra spraw wewnętrznych.

Romeyko uważał, że „byli ludzie, których Naczelnny Wódz obdarzał, niestety, i zbyt szczerze nadmiarem zaufania” i „zbyt mało ludzi uczciwych i rozumnych miał wokół siebie”. A podwładni premiera, „nadużywając jego imienia i jego władzy, w zaciętrzewieniu, w ślepej nienawiści, najczęściej osobistej, dopuszczali się czynów wręcz ohydnych, a całe odium, niestety, w oczach szerokiego ogółu spadało na osobę generała Sikorskiego”.

Polscy oficerowie we Francji pozostawali pod baczłą obserwacją czynników rządowych. Błyskawicznie powstał system kontroli, podwładni Sikorskiego uczyli się więc nie ujawniać swoich poglądów. Nigdy bowiem nie było wiadomo, gdzie zostaną powtórzone opinie wyrażone w prywatnej rozmowie ani na czyje biurko trafi raport.

„Rozgałęziony system cenzury i szpiegowania żołnierzy - wspominał Stanisław StrumphWojtkiewicz - gniewał każdego dobrego Polaka i żołnierza, ale mało mu szkodził, bo już po paru miesiącach większa część wojska znalazła się na liście podejrzanych. Wystarczyło wziąć udział w dyskusji na temat przyczyn klęski wrześniowej albo zameldować, chociażby przepisowo przełożonemu, coś nieprzyjemnego - już miało się swoją »teczkę« w kartotece wywiadu obronnego”.

Skandalicznie wyglądała sprawa rozliczeń za klęskę wrześniową. Katastrofa państwa wymagała śledztwa, ale nowa elita władzy zatraciła resztki instynktu politycznego. Ludzie przez wiele lat odsunięci od stanowisk i wpływów skierowali teraz całą aktywność na porachunki z sanacją.

Powołano specjalną komisję do zbadania „ostatnich zdarzeń w Polsce i ustalenia ich przyczyn” (przewodniczący generał Józef Haller). Ale to nie wszystko, wiosną pod przewodnictwem Stanisława Kota powstała kolejna komisja mająca przygotować materiały do planowanego procesu liderów sanacji. Stanisław Mikołajczyk, wnosząc o jej powołanie, stwierdził, że „jest oczywistą rzeczą, że poza względami natury zewnętrznej winę za wypadki wrześniowe i tak szybką klęskę ponoszą wszystkie czynniki odpowiedzialne za rządzenie Polską”. Dlatego właśnie występuje konieczność „pociągnięcia do odpowiedzialności tych czynników”, aby odbudowa Polski odbyła się bez „elementów, które nie potrafiły nic trwałego zbudować, a wiele zburzyć”. A to miało zaspokoić „słuszne pragnienie sprawiedliwości”.

Inkwizytorzy z Angers mieli jednak większe ambicje niż zbadanie przyczyn katastrofy wrześniowej. Podstawowym zajęciem komisji stało się poszukiwanie dowodów przestępstw liderów sanacji i wykazanie zgnilizny moralnej całego systemu. Szczególnie energicznie działał w tym kierunku Stanisław Kot, Stroński zaś zadawał się rolą ideologa.

Jan Stańczyk z PPS zasłynął natomiast zgłaszaniem tak kontrowersyjnych projektów, że wzbudzały one opór Sikorskiego i jego francuskich protektorów. Zaproponował postawienie przed sądem wojskowym Śmigłego-Rydza, a przed Trybunałem Stanu Becka, Składkowskiego oraz ministra spraw wojskowych i szefa sztabu. Rydzowi zarzucał nieprzygotowanie armii, nieudolne prowadzenie działań wojennych i dezercję. Becka oskarżał o „prowadzenie polityki zagranicznej w sposób oczywiście sprzeczny z interesami kraju”, a także o „inicjatywy w Lidze Narodów, które szkodziły dobremu imieniu Polski” i „przyczyniały się do wzmocnienia Niemiec”. Ale najważniejszą winą byłego ministra miały być „konszachty z hitlerowskimi Niemcami przeciw naszym sprzymierzeńcom i próby oderwania pewnych państw od współpracy z Francją - naszą sojuszniczką”. Stańczyk najwyraźniej nigdy nie słyszał słynnego sejmowego przemówienia Becka i usiłował zrobić z niego hitlerowskiego agenta.

Jeszcze bardziej kuriozalne zarzuty postawił Sławojowi Składkowskiemu. Byłego premiera oskarżył „o bezkarne wprowadzenie obozu karnego w Berezie Kartuskiej”, zapominając, że w tym czasie rządowi przewodniczył Leon Kozłowski. A już zupełnym absurdem był zarzut pogwałcenia przez Składkowskiego konstytucji przez uznanie Rydza za osobę numer dwa w państwie. Tak rzeczywiście było, ale miesiąc przed propozycjami Stańczyka prezydent Raekiewicz ograniczył swoje kompetencje na rzecz Sikorskiego i nikt z jego stronników nie uważał tego za zbrodnię. Najwyraźniej punkt widzenia zależał od umiejscowienia pośród elity władzy.

Najbardziej uzasadnione wydawały się zarzuty przeciwko generałowi Tadeuszowi Kasprzyckiemu. I nie chodziło tutaj o skandaliczny tryb życia ministra spraw wojskowych, ale spowodowane tym zaniedbania.

„Jego przyjaciółką - wspominała Jadwiga Sosnkowska - była warszawska aktorka Kajzerówna i Kasprzycki [...] zbyt często siedział w teatrze czy na próbach zamiast w ministerstwie. Wreszcie wynajął dla niej mieszkanie, do którego prowadziły drzwi właśnie obok mieszkania Kasprzyckich. Jaki był tego finał? Pani Kasprzycka, zrujnowana nerwowo, wyskoczyła z okna, ponosząc śmierć”.

To jednak nie wszystko, generał do tego stopnia stracił dla aktorki głowę, że w najważniejszych chwilach zachowywał się wręcz niepoczytalnie: „[...] minister był tak zauroczony, że jeszcze pierwszego września 1939 roku, kiedy na Warszawę leciały bomby, udał się ze swoją aktorką do Rembertowa, gdzie odbywał służbę jej brat. W tragicznym dniu Kasprzycki był trzy godziny poza miejscem swoich obowiązków. A później na trasie do Rumunii ten dezertor bardziej dbał o swą przyjaciółkę niż o swych żołnierzy”.

Nie wchodząc w szczegóły rzekomej dezercji Kasprzyckiego (ostatecznie do Rumunii i na Węgry przeszła większość naszej generacji), trzeba przyznać, że generał potrafił zadbać o swoje interesy. Granicę przekroczył razem z przyjaciółką, która podczas odwrotu nie zapomniała o swoich strojach. Kasprzycki i Kajzerówna opuścili kraj z wielkim szykiem, a język rumuński stał się przyczyną zabawnego nieporozumienia.

„Nadjechał wspaniały wóz generała Kasprzyckiego - wspominał Stanisław StrumphWojtkiewicz - ministra spraw wojskowych. Skierowano go ku miasteczku. W następnej limuzynie, pośród pudeł z kapeluszami, widniała aktorka Kajzerówna. Kazano jej zbroczyć za cywilami, w lewo. Ale na szczęście nasi dzielni generałowie natychmiast wyjaśnili dzielnym Rumunom, że owa dama jest właściwie żoną generała Kasprzyckiego. Wobec tego Rumuni podnieśli niesamowity krzyk, mający na celu skorygowanie poprzedniej decyzji. Dopędziwszy samochód Kajzerówny, wrzeszczeli: »Dupa ministra razboju! Dupa ministra razboju!«, co oznaczało: »Za ministrem wojny!«. Szofer Kajzerówny był chłopakiem bystrym, więc zrozumiał, o co chodzi, wykręcił wozem i popędził za Kasprzyckim, a ludność miasteczka nie mogła zrozumieć, czemu nieszczęśni rozbitkowie z Polski zachłystują się histerycznym śmiechem”.

Na wniosek Sikorskiego projekt Stańczyka odrzucono, oficjalnie z powodu „trudności prawnokonstytucyjnych i technicznych” oraz „niechęci władz francuskich”. W rzeczywistości Sikorski uznał, że sprawy idą zbyt daleko, przecież dobrze wiedział, że podstawową przyczyną katastrofy była zdrada sojuszników. Generał doszedł do wniosku, że na ostateczne rozrachunki przyjdzie czas po wyzwoleniu kraju, zapewne dlatego taki sam los spotkał kolejny wniosek Stańczyka. Tym razem minister zaproponował pozbawienie członków dawnych władz polskiego obywatelstwa.

„[...] Sikorski czuł się - pisał Władysław PobógMalinowski - jak między młotem i kowadłem. Z całego tego zespołu [Kot, Stroński, Modelski, Sikorski - S.K.] on jeden rozumiał szkodliwy bezsens tych wszystkich zamiarów; skłonny był do umiaru, a nawet pozostawienia sądów »narodowi i historii«. Żył jednak w nieustannym lęku, czy opinia publiczna nie posądzi go o »pobłażliwość«, czy nie oburzy się na niego za brak »twardej ręki« w stosunku do »sprawców klęski«,..

Komisje rozpoczęły jednak działalność i w „Monitorze Rządowym” pojawiła się stosowna informacja. Wzywano wszystkich Polaków będących w posiadaniu „wiadomości lub dokumentów, by przedłożyli swe spostrzeżenia czy doświadczenia wraz z ewentualnymi dowodami”. Dopuszczano również pisemne oświadczenia, co było jawną zachętą do donosicielstwa.

Opornych wzywano indywidualnie, a filia komisji powstała nawet w Bukareszcie. Klęska Francji nie zakończyła działalności komisji, po przeprowadzce do Anglii kontynuowała prace jako tak zwana komisja Winiarskiego (od nazwiska profesora Jana Winiarskiego, który jej przewodniczył) i działała do końca czerwca 1945 roku. Jej członkowie nie zwracali uwagi na zmiany polityczne, w tym czasie do władzy w Polsce doszli już komuniści, którzy nie przejmowali się podziałami na emigracji.

Kapelusze, Bereza Kartuska i gangsterzy

Większość dokumentów z prac komisji zaginęła, przetrwały odpisy niewielkiego procentu całości. Ale nawet zachowane fragmenty wzbudzają przerażenie.

Profesor Stanisław Kot nigdy nie ukrywał przyczyn powołania komisji. „Nie może ulegać wątpliwości - mówił w maju 1940 roku - że akta komisji mogą się już niezwłocznie stać podstawą do wyciągania właściwych wniosków w chwili, kiedy wyświetlą one najaktualniejsze wątpliwości względem godności zaufania i kwalifikacji moralnych takich czy innych osób [...]. Społeczeństwu trzeba będzie powiedzieć, ażeby się zadowoliło na razie choć tym moralnym biczem”.

Lektura dokumentów jest koszmarnym przeżyciem. To obraz polskiej małości, mściwości, prawdziwego polskiego piekła. Poważne analizy sąsiadują ze zwykłymi donosami, a sprawy wielkiej polityki z prywatnymi porachunkami. A wszystko przyprawione nienawiścią wobec byłych prominentów. Warto przytoczyć w całości jeden z pierwszych zachowanych dokumentów. Adam Romer, dyrektor gabinetu w Prezydium Rady Ministrów oskarżał o nadużycia finansowe ambasadora w Ankarze Michała Sokolnickiego. To doskonałe wprowadzenie w środowisko emigracyjnej elity władzy:

„Pan Michał Sokolnicki - oświadczał Romer - był w latach 1921-1922 posłem w Helsinkach. Ja byłem attache wojskowym. Nazwałem go złodziejem za:

1. Polecenie sekretarzowi odsyłania rachunków pod pozorem, że adresat wyjechał nie wiadomo dokąd.

2. Nabieranie firm i obywateli polskich i wymuszenie od nich poświadczeń, że nie mają do niego pretensji (m.in. kazał on p. Godzińskiemu zrezygnować z dziesięciu tysięcy marek fińskich).

3. Systematyczne nadużywanie funduszu dyspozycyjnego do celów prywatnych (suknie i kapelusze żony).

Zarzuty moje zostały potwierdzone zarówno przez pana Biesierskiego z ramienia MSZ, jak i ze strony pułkownika [Adama] Koca ze strony Sztabu Generalnego. W rezultacie i

poseł, i ja zostaliśmy odwołani. Poseł Sokolnicki w 1923 roku został zwolniony ze służby dyplomatycznej, a dopiero w 1926 roku powołany ponownie do MSZ (po zamachu majowym).

Pan Sokolnicki znanym już był w Naczelnym Komitecie Narodowym jako namiętny wydawca pieniędzy publicznych i nigdy nie oczyścił się z zarzutu okradzenia biblioteki w Rapperswilu”.

Donos dotyczył współpracownika Piłsudskiego z czasów PPS, dyplomaty i ambasadora Rzeczypospolitej. Sokolnicki był posłem w Helsinkach niemal dwadzieścia lat wcześniej, a Naczelny Komitet Narodowy działał w czasach pierwszej wojny światowej! Dziwić może tylko, że znany z obsesyjnej uczciwości Piłsudski tolerował wybryki finansowe podwładnego, a nawet mianował go posłem w Kopenhadze? Na dodatek właśnie w tym czasie Sokolnicki zasłużył się przy transporcie siedemdziesięciu pięciu ton złota Narodowego Banku Polskiego i Funduszu Obrony Narodowej. Dziwne, że taki „namiętny wydawca pieniędzy publicznych” nic dla siebie nie zagarnął, chociażby z pół tony...

Nieliczne zachowane odpisy ilustrują przekrój działalności komisji. Złożyło przed nią zeznania około pięciu tysięcy osób, a śledczych interesowało dosłownie wszystko. Od kapeluszy żony Sokolnickiego po zakłady tłuszczowe w Centralnym Okręgu Przemysłowym. Ale z największym zapamiętaniem tropiono kwestie finansowe, a szczególnie sprawę funduszu specjalnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Chodziło o kwotę ośmiu milionów złotych znajdującą się w dyspozycji Józefa Becka. Podejrzewano, że były minister zasilił tymi środkami konspirację niezależną od gabinetu Sikorskiego. Becka uważano za „najgroźniejszego przeciwnika Rządu”, dziwne, że nie dostrzegano, że to przecież Niemcy do spółki z Sowietami dokonali rozbioru Polski.

Według emigracyjnych fanatyków internowany minister miał „nieobliczalne kontakty z dziennikarzami, dyplomatami i agentami niemieckimi w Rumunii”, idące „w parze z przyjaźnią dla Anglii” i jego „niewygasłymi ambicjami”. Dysponował również „aparatem swoich ludzi ze służby dyplomatycznej” i „za ich pomocą dążył [...] do sparaliżowania prac Rządu”. Obserwując nastawienie śledczych i ich mocodawców, dziwić musi, że w tym samym czasie nowy minister spraw zagranicznych, August Zaleski, zgłosił wniosek o zwolnienie Becka z internowania. „August Leniwy” nie myślał o postawieniu poprzednika przed sądem, nie kierował się również lojalnością zawodową. Miał informacje, że Niemcy planują likwidację byłego ministra, oskarżając go o rozpętanie wojny. To chyba jedyny przypadek, kiedy zwolennicy Sikorskiego i hitlerowcy mieli identyczne zdanie.

Komisja tropiła niemal każdą złotówkę znajdującą się w gestii polskich instytucji

dyplomatycznych. W oparach absurdu bez końca wałkowano sprawę tysiąca funtów szterlingów z placówki w rumuńskich Czerniowcach. A patrząc na zaangażowanie śledczych, trudno oprzeć się wrażeniu, że koszt ich działalności chyba znacznie przekroczył wartość tego depozytu.

Obsesje finansowe odezwały się również podczas przesłuchania Felicjana Sławoja Składkowskiego. Były premier chętnie odpowiadał w Bukareszcie na pytania śledczych, zatwardziały służbista lojalnie podporządkował się rządowi Sikorskiego. Składkowski przyznał się do rozdysponowania pomiędzy członków rządu i innych urzędników złotych monet (po pięćset lub tysiąc marek w złocie na osobę), uważając to za rzecz naturalną w obliczu klęski i przekroczenia granicy państwa. Podał nazwiska osób, które otrzymały pieniądze, a ze swojej strony zadeklarował gotowość zwrotu całej kwoty.

„Chciałbym - mówił Składkowski - aby ustosunkowanie się obywateli do obecnego Rządu było tak lojalne, jakiego wymagałem w stosunku do mojego Rządu. Uważam, że Rząd obecny ma prawo np. wyznaczyć mi każdą pracę. Każdą też pracę przyjmę. Jeśli mi każą być zwykłym sanitariuszem, to nim zostanę. Tym chętniej odpowiadam na pytania stawiane mi przez panów w imieniu Komisji Badawczej, ponieważ Komisja nie ma w chwili obecnej egzekutywy. Pieniądze, które posiadam - tysiąc marek złotych - mimo że są moimi jedynymi pieniędzmi, nie wahałbym się zwrócić, gdyby Rząd tego ode mnie wymagał. Ma on do tego prawo”.

Innego zdania był Beck, który odmówił rozmowy z przedstawicielami komisji. Podważył legalność tego gremium, stwierdzając, że obowiązująca konstytucja nie dawała możliwości jego powołania. Przy okazji przypomniał jeszcze swoje nielegalne internowanie i brak „opieki rządu polskiego”.

Pieniądze to jednak nie wszystko, ktoś wpadł na pomysł oskarżenia sanacyjnych prominentów o kradzież służbowych samochodów, którymi przekroczyli granicę. Inna sprawa, że pojazdy tych używano w Rumunii do celów prywatnych, a uczciwe zachowania towarzyszyły zwykłemu złodziejstwu i nadużyciom. Aby uniknąć rekwizycji, przepisywano samochody na osoby prywatne, a część ich została sprzedana. Pieniądze pozostały w kieszeniach sprzedających, ale warto pamiętać, że ludzie ci (często z rodzinami) znaleźli się w Rumunii praktycznie bez środków do życia. Granica pomiędzy przestępstwem a ratowaniem najbliższych była bardzo płynna i trudno osądzać wszystkich według jednego klucza. Przedstawiciele komisji wyolbrzymiali fakty i nie prowadzili analizy każdego przypadku oddzielnie.

Czytając zachowane dokumenty, można odnieść wrażenie, że głównym celem

śledczych było wykazanie degeneracji obozu sanacyjnego. Każdy przykład był dobry do udowodnienia takiej tezy. Jan Namysłowski, były dyrektor generalny Zjednoczonych Zakładów Materiałów Wybuchowych i Azotu w Łaziskach Górnych, przesłał pismo w sprawie oszustw przy budowie fabryki ekstraktów garbarskich w COP. Informował, że spółka zarządzająca inwestycją dopuszczała się malwersacji, wykorzystując niewiedzę „odkomenderowanych wojskowych speców”.

W efekcie „system ten mścił się na każdym kroku, tworząc idealne żerowisko dla różnych »ustosunkowanych« typów”.

Namysłowski nie zrezygnował jednak z inwestycji w COP, usiłując rozpocząć budowę zakładów tłuszczowych. Ponownie spotkał się z niekompetencją i korupcją, a beztroska miejscowych władz doprowadziła do tego, że wyposażenie i zapasy zakładów w Łaziskach wpadły w ręce Niemców, choć Namysłowski kilka tygodni przed wojną prosił o dyspozycje na temat ewakuacji.

Zgnilizna systemu sanacyjnego to jednak nie tylko afery gospodarcze. Zeznawali też ludzie powiązani z procesem brzeskim i obozem w Berezie Kartuskiej. Zachowywali się rozmaicie, zdarzały się jednak przypadki wzbudzające uznanie. Major Kazimierz Zieliński udzielił żądanych wyjaśnień, ale odmówił wypowiedzi na temat zachowania innych oficerów. Nie podał ich personaliów, uważając, że osobiście „jako oficer i człowiek uczciwy może spokojnie każdemu z byłych więźniów brzeskich patrzeć prosto w oczy”. Przesłuchiwano również byłego wojewodę poleskiego i komendanta twierdzy brzeskiej Wacława Kostka-Biernackiego. Nie zachowały się protokoły jego zeznań w sprawie Brześcia i Berezy, miałem natomiast okazję zapoznać się z wypowiedziami Biernackiego na temat działalności we wrześniu 1939 roku. Biernacki przyznawał się do stosowania drakońskich metod wobec podejrzanych o szpiegostwo. Na zarzut, że chciał rozstrzeliwać niewinnych ludzi o niemiecko brzmiących nazwiskach, stwierdził, że „trudno, trzeba w takich razach wziąć na siebie odpowiedzialność, o zbyt wielkie rzeczy chodziło”. Nie na darmo jako szef żandarmerii w I Brygadzie Legionów uzyskał przydomek KostiaWieszatiel.

Ciekawą lekturą są odpisy zeznań generała Józefa Kordiana - Zamorskiego. Były naczelny komendant Policji Państwowej opowiadał o najdziwniejszych sprawach, a zakres zainteresowania śledczych wprawia w osłupienie. Generał zeznawał w sprawie Brześcia i Berezy Kartuskiej, pacyfikacji strajków chłopskich, a nawet testamentu Józefa Piłsudskiego. Ale to nie wszystko, Zamorski opowiadał o swojej znajomości z osobnikami pojawiającymi się na towarzyskich imprezach w domu marszałka Śmigłego-Rydza oraz opisywał zawile przypadki aferzystów schyłku Drugiej Rzeczypospolitej. A wśród nich niejaki

Mieczysława Lissowskiego, byłego naczelnika okręgowego urzędu policji politycznej w Toruniu. Usunięty stamtąd za „malowanie służbowych dokumentów podróży” zajmował odpowiedzialne stanowiska w Warszawie, „opiekując się szczególnie wyścigami, które były dla niego dojrną krową”. Wreszcie wpadł zamieszany w sprawę „Taty Tasiemki” [szefa gangu z wolskiego Kercelaka - S.K.] i podkopu pod Zakłady Graficzne zorganizowanego przez Szpicbródkę.

„Skandal był zbyt duży - zeznawał Zamorski - by go można było tuszować. Odszedł, ale nie utonął, został starostą w Kobryniu, a potem w Tarnowie. Tu, mimo że miał dochodzenie prokuratorskie o przywłaszczenie czterdziestu pięciu tysięcy złotych ze składek przeznaczonych na powodzian, nie zginął, gdyż zdążył się stać niezbędnym panu wicepremierowi Kwiatkowskiemu, który często zajeżdżał do Tarnowa. Sprawę o pieniądze zatuszowano, a pan Lissowski wypłynął w Ministerstwie Skarbu jako »szara eminencja«, a właściwie łaps donoszący to i owo wicepremierowi”.

Śledczy usiłowali wykazać istnienie powiązań pomiędzy światem przestępczym a polityką i faktycznie coś było na rzeczy. „Tata Tasiemka” był dawnym bojownikiem PPS i zachował dziwne kontakty w elitach władzy. Nie tylko zresztą on, innego działacza tej partii, niejakiego Józefa Łokietka, otoczenie Piłsudskiego wykorzystywało do „mokrej roboty” (prawdopodobnie brał udział w zamordowaniu generała Zagórskiego). „Tata Tasiemka” natomiast stanął przed sądem, ale dostał wyjątkowo niski wyrok, a następnie został ulaskawiony przez prezydenta Mościckiego. Podczas wojny odznaczył się w konspiracji, aresztowany wylądował na Pawiaku. Wywieziony do Majdanka nie przeżył obozu.

Profesor Stanisław Kot

Najbardziej zniechęconą postacią polskiej emigracji okazał się profesor Stanisław Kot, minister bez teki w rządzie Sikorskiego. Szara eminencja rządu generała i zwolennik rozliczeń, przeszłością wytwarzał chorobliwą atmosferę nienawiści. Całą energię kierował na sprawy personalne, nie przejmując się specjalnie wiarygodnością swoich oskarżeń:

„Dla profesora Kota - pisał Mackiewicz - którym zresztą, moim zdaniem, powinien nie zajmować się prokurator, lecz raczej lekarz, oskarżyć kogoś, że jest szpiegiem niemieckim, ukraść sto tysięcy dolarów czy walizkę z ubraniami, było niewinną drobnostką. Znajomy generała Sosnkowskiego, inżynier G., wysłany został do Warszawy i wróciwszy stamtąd, zakomunikował, że nie widział żadnych wpływów ludowców w stolicy. Profesor Kot oskarżył go z miejsca, że jest szpiegiem węgierskim. Okazało się bowiem, że p. G. istotnie był przez pewien czas węgierskim konsulem honorowym”.

Stanisław Kot był działaczem ludowym o długim stażu. Absolwent Uniwersytetu Lwowskiego, historyk i publicysta dał się poznać podczas pierwszej wojny światowej w krakowskim Naczelnym Komitecie Narodowym. W tym okresie zawarł bliską znajomość z młodym i ambitnym oficerem, Władysławem Sikorskim. Podobno to właśnie Kot stał za konfliktem Sikorskiego z Piłsudskim, zwalczając Komendanta wszelkimi dostępnymi środkami. Po przewrocie majowym został zajadłym krytykiem sanacji, a za protest wobec procesu brzeskiego zapłacił utratą katedry na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jeszcze bardziej zbliżył się wówczas do Sikorskiego, stając się zwolennikiem Frontu Morges. Po kampanii wrześniowej przybył do Francji, gdzie szybko stał się szarą eminencją rządu Sikorskiego.

„Mnie zlecił premier - wspominał Stanisław Kot - prowadzić wszystkie sprawy polityczne: stosunki z prezydentem, ze stronnictwami, z Radą Narodową, koordynować działalność ministerstw, kontrolować dobór osób (tak aby hamować opanowywanie aparatu przez sanatorów lub osoby o nienależytym poziomie moralnym)”.

I rzeczywiście koordynował, kontrolował, wszędzie tropiąc spiski sanacji. Mackiewicz nazywał go „detektywemamatem” i „kanalią”, a samowola Kota przekraczała wszelkie granice. Początkowo był ministrem bez teki, a po klęsce Francji został ministrem spraw wewnętrznych i wicepremierem. W emigracyjnej rzeczywistości oznaczało to inwigilację rodaków ewakuowanych do Wielkiej Brytanii. Oprócz tego otrzymał jeszcze nadzór nad szkolnictwem wyższym, co tłumaczono faktem, że właściwy minister oświaty, czyli generał Haller, kompletnie się na tym nie zna.

„Profesor Kot - stwierdził Mackiewicz - mieszkał zawsze w Krakowie, tamże w Krakowie malował nasz wielki mistrz Jacek Malczewski swe obrazy, w późniejszym czasie często z postaciami symbolicznymi, słynny jest jego cykl »zatrutych studni«. Szkoda, że nie namalował profesora Kota nad taki »zatrutą studnią« korupcji, donosicielstwa, podłości. Już za czasów tamtej wojny profesor Kot oskarżany był o uprawianie denuncjacji, korupcję i współpracę polityczną z austriackim II oddziałem”.

Mackiewicz atakował Kota za poglądy i sposób, w jaki wcielał je w czyn. Stroński był ideologiem, przeciwnikiem piłsudczyków, ale Mackiewicz zachował dla niego szacunek. Po klęsce wrześniowej Stroński zrozumiał zresztą, że najważniejsze jest zjednoczenie wszystkich Polaków, co dla Kota pozostawało całkowitą abstrakcją. Pan minister miał własną metodę klasyfikacji ludzi.

„Przydatność i cechy charakteru ludzi - pisał Stanisław Schimitzek - o ustawieniu których w aparacie władzy decyduje, są dla niego obojętne, każda niesprawdzona plotka o krytycznym stosunku do poczynań rządu emigracyjnego może zadecydować o wyrzuceniu

danej jednostki za burtę nawy rządowej. W sumie Kot ze swoim dogmatyzmem i pasją do personalnych rozgrywek jest w rządzie generała Sikorskiego w tym okresie postacią nie tylko powszechnie znienawidzoną, ale i wręcz szkodliwą”.

Analizując działania pana profesora, można rzeczywiście dojść do wniosku, że pojęcie „poglądów politycznych” było mu całkowicie obce. Polityka to dla niego byli ludzie i wyłącznie ludzie, bez względu na to, jaki światopogląd wyznawali. Ważne było, żeby okazali się potrzebni i byli lojalni.

„Nie miał zresztą - kontynuował Mackiewicz - nigdy żadnych przekonań politycznych, uchodził nawet przez dziesiątki lat za konserwatystę, krakowskiego »neostańczyka«, później okazało się, że zalicza siebie do radykałów społecznych. Również w stosunku do ludzi profesor Kot nie miał żadnych uprzedzeń. Szlachetnie dzielił ludzi na »porządnych« i »nieporządnych«, z tym że »porządni« to tacy, którzy się sprzedają i których on może kupić, »nieporządni« to tacy, którzy mają jakieś przekonania. Profesor Kot walczył z »sanacją«, ale w biurach jego znaleźli przytułek przeważnie »sanatorzy«, musieli tylko przedtem przejść czyściec złożenia mu kompromitujących danych o innych »sanatorach«,.

Podobne zdanie o ministrze wyrażała Jadwiga Sosnkowska: „Sikorski [...] działał pod wpływem różnego rodzaju fałszywych proroków, którzy wszędzie wietrzyli wpływy sanacji. Stan ten przerodził się w patologię, gdy przybył do Paryża jeszcze w 1939 roku profesor Stanisław Kot, zaciekły wróg sanacji, a jednocześnie oddany przyjaciel Sikorskiego. Zresztą dodajmy, że to »oddanie« polegało między innymi na tworzeniu przez jego niezręczne poczynania silnej opozycji wobec Sikorskiego. Dzięki niesamowitej skłonności i wielkiemu talentowi do intryg Kot w znacznym stopniu skonfliktował emigrację, odseparował Sikorskiego od rzeczywistości, pokłócił go z życzliwymi współpracownikami i wytworzył atmosferę podejrzeń i nieufności”.

Mackiewicz uznał, że od chwili pojawienia się Kota „praca polityczna, poważna stała się niemożliwa”. Profesor stawiał na pierwszym miejscu personalne porachunki z przeszłością i potrafił swoje stanowisko „narzucić premierowi, rządowi, wreszcie całemu życiu na emigracji”. Podobne zdanie miał Stanisław Zabięto:

„Wybitny naukowiec, którego pasją było mieszanie w tyglu politycznym i rządzenie, przywiązywał większą rolę do zakulisowego pociągania nici niż do zajmowania eksponowanego miejsca”.

Postępowanie Kota z niesmakiem obserwowali Brytyjczycy, uważając, że „wywiera fatalny wpływ na polskie życie polityczne”. Dostrzegali wady jego charakteru, uznając, że „jest z natury mściwy i cierpi na nieuleczalną chorobę nadzorowania wszystkich i

wszystkiego”. A do tego był niecierpliwy i łatwo wpadał w gniew.

Najostrzej scharakteryzował profesora Władysława Pobóg-Malinowski:

„[...] tych, z którymi miał kiedyś jakiegokolwiek zatargi osobiste w Polsce jeszcze, teraz albo wygryzał z zajętych szczębli, albo niezatrudnionych nie dopuszczał do podrzędniejszych nawet stanowisk [...] skupiał też dookoła siebie rosnącą szybko gromadę »swoich ludzi« - z przewagą serwilistów, spryciarzy i pospolitych kanalii, wybierał sobie swoich »mężów zaufania«, tworzył w łonie aparatu rządowego wewnątrz społeczności uchodźczej we Francji, na Węgrzech i w Rumunii gęstą sieć szpiegostwa, rojowisko tajnych i jawnych swoich agentów, z systemem śledzeń, podsłuchiwań, badań, donosów, oskarżeń i denuncjacji”.

Inna sprawa, że Kot nie ograniczał się wyłącznie do lojalności politycznej. Zajadło tropił sprawy obyczajowe, uważając je za doskonałe narzędzie nacisku na opornych „sanatorów”.

„Interesowały go personalia - wspominał Jan Drohojowski - szczególnie życie ściśle prywatne osób mniej lub więcej eksponowanych - kto z kim, szczególnie zaś który z którą. Oczywiście nie należy zamykać oczu na wpływy, jakie na wypadki wywierają spódnica i sutanna. Zbytne jednak przywiązywanie wagi do tych aspektów utrudnia syntezę. W swoich pracach naukowych profesor Kot potrafił trzymać się tematu i głównemu nurtowi nadać odpowiednie uwypuklenie. Jako kierownik resortu gubił się w kwiatkach czy chwastach, które są detalami obrazu”.

Od chóru głosów zgodnie potępiających Kota zdecydowanie odbiega opinia Antoniego Słonimskiego. Skamandryta współpracował z profesorem w sprawach pomocy materialnej dla uczonych i artystów. Przyznawał zresztą, że były to czasy „bujnego serwilizmu”, a od decyzji Kota wiele zależało. Ale Słonimski porozumiewał się z nim bez problemów, chociaż i on dostrzegał jego wady: „Profesor nie był może politykiem najzręczniejszym, okazywał podejrzliwość często nieuzasadnioną wobec dawnych ludzi sanacji, trochę za bardzo lubił badać personalia, ale był to uczonej dużej miary, człowiek dobry i odważny”.

W podobnym tonie wypowiadał się pułkownik Leon Mitkiewicz: „Profesor Stanisław Kot, chociaż często bardzo przesadza w wykrywaniu wszędzie i na każdym kroku »sanatorów« i »sanacji«, ma wiele słuszności w tym, że grupa poprzednio rządząca Polską bynajmniej nie zrezygnowała i nie uznała swoich błędów, a przeciwnie, i nadal uważa siebie za jedyną powołaną obecnie do objęcia kierownictwa rządów Polski”.

Choć wielu miało jednak na ten temat inne zdanie i na agendach rządu emigracyjnego w Wielkiej Brytanii wypisywano: „Uwaga, zły kot” (podobno napisał tak kiedyś także

Stanisław Stroński!). Profesor potwierdził swą renomę podczas wypełniania obowiązków ambasadora w Moskwie po inwazji Niemiec na ZSRR. Inna sprawa, że Sikorski do tak delikatnej misji mógł znaleźć lepszego fachowca, dyplomatów z doświadczeniem na emigracji nie brakowało.

„Falszywy do szpiku kości - wspominał Kota generał Władysław Anders - a jednocześnie słodkawo uprzejmy dla tych, na których mu zależało, opryskliwy i nieuczynny dla reszty, był niecierpiany i co najmniej bardzo nielubiany wśród personelu swojej ambasady”.

Już podczas pierwszej rozmowy z Andersem zażądał usunięcia z wojska wszystkich oficerów sanacyjnych. Anders odparł, że w armii zna tylko Polaków i odmówił wykonania polecenia. Pan ambasador zaczął posługiwać się w Moskwie metodami stosowanymi wcześniej w Paryżu i Londynie. Szczególną uwagę poświęcał rodakom wypuszczanym z łagrów, dobrze wiedząc, że tych wycieńczonych ludzi będzie mógł łatwiej złamać i pozyskać dla swoich zamiarów.

„[...] takie półtrupy powypuszczano teraz z łagrów - opisywał Mackiewicz - i wlokły się one tygodniami, miesiącami czasami, w kierunku polskiej ambasady. Na widok herbu z białym orłem, na widok mundurów polskich nieszczęśliwi ci ludzie płakali ze wzruszenia, dostawali konwulsji z wrażenia”.

Kot doskonale opracował metody działania, w jego gabinecie zawsze leżał zapas ciepłych kalesonów i koszul, co w realiach rosyjskiej zimy stanowiło poważny argument. Kiedy w ambasadzie pojawiał się wypuszczony przez Sowietów sanacyjny prominent, pan profesor przystępował do akcji.

„Osobistość polityczna zjawia się w swoich łachmanach; profesor Kot zaczyna z nią rozmowę polityczną, tłumaczy, jak należy bronić generała Sikorskiego przed atakami opozycji, \\\\ ręczę mu papier z deklaracją potępiającą tę opozycję i jednocześnie w czasie tej rozmowy odsuwa szufladę biurka, wyciąga kalesony z londyńskiego trykotu i powiada: »Oto tu jeszcze mam parę kalesonów z Londynu, chętnie się nimi z panem kolegą podzielę«. Nieszczęsny gość pana Kota siedział w łagrze, czuł się łachmanem fizycznym, bezsilnym i sponiewieranym, ale w duszy miał jeszcze cząstkę poczucia godności ludzkiej, miał własne przekonania polityczne. I oto teraz pan Kot pozbawiał go tego jedyne, co ten człowiek jeszcze posiadał, jedyne jego bogactwa, mianowicie swobody przekonań wewnętrznych, kupował je za parę kalesonów”.

Wśród zwolnionych z łagrów znaleźli się dwaj bracia marszałka Piłsudskiego. Pan ambasador pisemnym (!) zakazem zabronił wydania im ciepłej bielizny (zwykłej, nie

osławionych angielskich kałesonów), którą wówczas rozdzielano wśród Polaków.

Złoto, lemoniada i proszki przeciwbólowe

Chyba najbardziej obrzydliwą sprawą związaną z Kotem i jego ludźmi była afera po udanej (!) ewakuacji polskiego złota z kraju. To jedna z najciekawszych akcji września 1939 roku, zasługująca na scenariusz filmu sensacyjnego. A jej finał powinien stać się tematem innego obrazu, tragifarsy sciencefiction bez szczęśliwego zakończenia.

W chwili wybuchu wojny na terenie kraju znajdowały się duże zasoby złota Banku Polskiego i Funduszu Obrony Narodowej. Przechowywano je głównie w Warszawie i już po kilku dniach uznano, że postępy Wehrmachtu zagrażają bezpieczeństwu skarbu.

U Sławoja Składkowskiego pojawili się pułkownicy: Ignacy Matuszewski i Adam Koc, oraz major Henryk FloyarRajchman. Z upoważnienia ministra skarbu Eugeniusza Kwiatkowskiego zażądali pomocy w zorganizowaniu ewakuacji złota z Warszawy.

Premier w pełni podzielał obawy podwładnego i wydał specjalne przepustki gwarantujące pomoc organów państwowych. Jednak z powodu braku odpowiednich pojazdów złoto do Lublina przewieziono w dwóch transportach autobusami Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych.

Ładunek przetransportowano następnie do Łucka, a potem do Śniatynia nad granicą rumuńską. Dotarł tam również kruszec zdeponowany wcześniej w Brześciu, Siedlcach i Zamościu. Akcją dowodzili już wyłącznie Matuszewski i Rajchman, ponieważ Koc z powodu złego samopoczucia opuścił kolumnę w Łucku.

Pułkownik fatalnie znosił upały i nawet piastowane stanowisko (był prezesem Banku Polskiego) nie skłoniło go do pozostania na posterunku. A może faktycznie uznał, że będzie tylko przeszkodą w transporcie? Pozostawiał zresztą kolumnę w dobrych rękach, Ignacy Matuszewski (były szef „dwójki”) uchodził za jednego z najzdolniejszych piłsudczyków, a także za osobę kryształowo uczciwą i skrupulatną finansowo. Opowiadano, że chętnie odda życie za Polskę, ale dwóch złotych nigdy nie pożyczy.

Sytuacja była groźna, kolumna trzydziestu autobusów i samochodów osobowych stała w pobliżu granicy. Niemcy tropili konwój, a informacje na jego temat podawała sowiecka stacja radiowa w Mińsku. Skuteczny nalot bombowy mógł mieć tragiczne następstwa, należało natychmiast opuścić Polskę.

Na naszych sojuszników można było liczyć tylko wówczas, kiedy widzieli swój interes. Polskie złoto stanowiło poważny argument i alianci energicznie naciskali na Bukareszt. Presja okazała się skuteczna i władze rumuńskie wyraziły zgodę na tranzyt do

Konstancy nad Morzem Czarnym. Dziewięć wagonów towarowych z polskim złotem dotarło na wybrzeże, tam jednak okazało się, że obiecane statki alianckie jeszcze nie przyplłynęły. Tymczasem Niemcy nie próżnowali, złożyli oficjalny protest, uważając, że Rumunia naruszyła zasady neutralności.

Dowódcy transportu nie chcieli czekać, na miejscu znaleźli małą jednostkę (amerykańską, brytyjską?) o nazwie „Eocene”, której dowódca za sówitą opłatą podjął się trudnego zadania. Załogę uzupełniono, agitując w portowych knajpach, złoto natychmiast załadowano na statek, a skrzynki nosiły nawet żony Rajchmana i Matuszewskiego (słynna dyskobolka Halina Konopacka).

Władze portu odmówiły zgody na opuszczenie Konstancy, ale kapitan „Eocene” samowolnie wypłynął w morze. Jednostka wzięła kurs na cieśniny czarnomorskie, trzymając się płytkich wód przybrzeżnych (obawiano się storpedowania). W całym zamieszaniu w Konstancy zaginął gdzieś neseser z medalem Konopackiej z olimpiady w Amsterdamie, pierwszym złotym medalem olimpijskim zdobytym dla Polski.

„Eocene” bez przeszkód dotarł do Stambułu i wówczas do akcji wkroczył ambasador Michał Sokolnicki (ten od kapeluszy dla żony i okradania bibliotek). Dzięki stosunkom z miejscowymi prominentami uzyskał zgodę na tranzyt złota do francuskiej Syrii. Było to tym ważniejsze, że Niemcy wynajęli grecki statek, który miał „przypadkowo” staranować „Eocene” w porcie. Ale Matuszewski nie na darmo był kiedyś szefem wywiadu, a Sokolnicki miał własne kontakty nad Bosforem. Zaaranżowano przeładunek towaru na inną jednostkę, a w rzeczywistości złoto wylądowało w podstawionym przez Turków pociągu. Cztery dni później cenny ładunek dotarł do Bejrutu, skąd na pokładzie trzech francuskich statków (dla bezpieczeństwa) odpłynął do Marsylii.

Akcję uznano za ogromny sukces, a prasa francuska pod niebiosa wynosiła Matuszewskiego i jego podwładnych. Ale środowisko emigracyjne czuwało i niebawem posypały się oskarżenia. Pułkownikowi zarzucono nieuzasadnione zwiększenie kosztów przez czarter w Bejrucie trzech jednostek pływających zamiast jednej. Na nic zdały się tłumaczenia, że dzieląc złoto na trzy statki, miał na celu bezpieczeństwo na wypadek niemieckiego ataku. Niebawem pojawiły się zresztą zarzuty, które stawiają pod znakiem zapytania zdrowie psychiczne oskarżycieli. Zakwestionowano rachunek za lemoniadę dla tragarzy przeładowujących złoto w upalny dzień. Następnie zażądano zwrotu kosztów przejazdu żon Matuszewskiego i Rajchmana! Nikt nie brał pod uwagę, że płacono za całą ekspedycję (ludzie plus ładunek), a nie za poszczególne osoby. Obie panie zresztą nie oszczędzały się, pełniły funkcje pomocnicze, a w razie potrzeby pracowały fizycznie. Prawdziwym jednak szczytem

zacierzwienia okazała się sprawa proszków przeciwbólowych zakupionych na potrzeby pani Rajchman. Skrupulatny Matuszewski wrzucił je w koszy, co teraz zakwestionowano!

W kampanii przeciwko Matuszewskiemu wyróżnił się pułkownik Adam Koc. Nie wiadomo, czy chciał się wkupić w łaski nowych kolegów z rządu, czy też powodowała nim zazdrość o Matuszewskiego i Rajchmana, których porzucił w Łucku. Ale pierwsze skrzypce grał Henryk Strasburger, były prezes Lewiatana (Centralnego Związku Polskiego Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów). Jego niechęć do Matuszewskiego sięgała słynnej sprawy żyrdowskiej (opisywanej w Aferach i skandalach Drugiej Rzeczypospolitej), kiedy to pułkownik organizował kampanię prasową przeciwko nadużyciom francuskiej spółki. Strasburger popierał wówczas Francuzów, a sprawa zakończyła się głośnym skandalem i przejściem fabryki przez rząd polski. A teraz Strasburger płaszczył się przed Francuzami i profesorem Kotem i w grudniu 1939 roku został ministrem przemysłu i handlu w rządzie Sikorskiego. Ten człowiek zresztą wielokrotnie zmieniał poglądy, przed wojną był gorliwym zwolennikiem sanacji, a w swojej karierze czekał go jeszcze epizod flirtu z komunistami (był ambasadorem w Wielkiej Brytanii z ramienia PRL). Oczywiście niebawem po raz kolejny zmienił przekonania i pozostał na emigracji.

W całej tej żalosznej sprawie jedno pytanie pozostaje bez odpowiedzi. Czy rząd polski w sytuacji, gdy kraj pozostawał pod okupacją, a dziesiątki tysięcy żołnierzy przebywało w Rumunii i na Węgrzech, nie miał ważniejszych spraw na głowie niż lemoniada i proszki od bólu głowy? Na wdzięczność ekipy Sikorskiego nawet najbardziej zasłużony dla kraju przedstawiciel sanacji raczej nie miał co liczyć. Chyba, że okazał się przydatny profesorowi Kotowi.

ROZDZIAŁ 4

DRUGI ŻOŁNIERZ RZECZPOSPOLITEJ

Szef

Tylko jeden człowiek z najbliższego otoczenia Piłsudskiego wszedł do emigracyjnej elity władzy. Ale kariera Kazimierza Sosnkowskiego od początku do końca była nietypowa. Współzałożyciel Związku Walki Czynnej, najbliższy współpracownik Komendanta za czasów Legionów, internowany wraz z nim w Magdeburgu, szef sztabu armii polskiej, minister w rządach przedmajowych. Następnie oficer, który w dniach przewrotu nie potrafił pogodzić lojalności wobec Piłsudskiego z przysięgą wojskową. Człowiek, który przegrał rywalizację ze Smigłym-Rydzem po śmierci Piłsudskiego, a potem zapisał piękną kartę we wrześniu 1939 roku. Polityk, który zawsze był numerem dwa, a przez zwykły przypadek nie został prezydentem Rzeczypospolitej.

Kazimierz Sosnkowski był prawie rówieśnikiem Sikorskiego, w wieku dwudziestu lat trafił do Organizacji Bojowej PPS. Ścigany przez Rosjan, przeniósł się do Lwowa i to właśnie w jego mieszkaniu odbyło się zebranie założycielskie Związku Walki Czynnej. W spotkaniu wziął udział również Sikorski, ale /nużyły go dyskusje kolegów, wrócił więc do domu, aby uczyć się do egzaminu (kończył studia na politechnice). Po zebraniu konspiratorzy postanowili ukarać sumiennego kolegę. Udali się pod jego dom, gdzie solidarnie go wygwizdali (według innej wersji urządzili mu pod oknami koncert pieśni biesiadnych).

W 1910 roku Piłsudski został kierownikiem Związku Strzeleckiego, a Sosnkowski jego zastępcą:

. „Młody, dopiero 25 lat - pisał Michał Sokolnicki - zwracał uwagę swą powierzchownością i obejściem. Na trybunie publicznej odznaczał się spokojem, miał miły, czasem dźwięczny głos; przede wszystkim jednak przemówienia jego cechowała logiczna prostota i zupełna jasność. Nie porywał, ale przejmował umysły logiczną ścisłością swych argumentów. Wkrótce stał się najbliższym współpracownikiem Piłsudskiego, który obdarzał go całkowitym zaufaniem”.

Zdobyć zaufanie Komendanta nie było łatwo, ale Sosnkowski w pełni na nie zasługiwał. Przejawiał cechy charakteru przydatne w konspiracji i we współpracy z podwładnymi.

„Sosnkowski był osobowością barwną - zauważał Bogusław Miedziński -

wyróżniającą się wśród otoczenia już od młodzięcych czasów. Wyposażyła go natura umysłem łączącym bystrość i ścisłość zarówno, a w dodatku - rzecz niemałej wagi - fenomenalną pamięcią. Miał rzadki dar w obcowaniu z ludźmi: świetnie formułował myśli własne, a jednocześnie w lot dogłębnie chwycił myśl swego rozmówcy. Tym się tłumaczy, że już pierwsze z nim zetknięcie pozostawiało trwałe wrażenie i wpływ, nawet - u ludzi tej miary co Piłsudski - stało się podstawą do powierzenia mu zadań odpowiedzialnych, trudnych, przodo wniczy ch”.

Przyszły Marszałek wysoko cenił młodszego współpracownika, a szczególnie jego energię i zdolności organizacyjne. Zauważył jednak, że podwładny nie ma zbyt silnego charakteru, z czym trudno się nie zgodzić. Sosnkowski przejawiał nadmierną skłonność do kompromisu i ustępliwości, co nie jest najlepszą cechą dla męża stanu. Polityk powinien być elastyczny, ale nie zawsze i nie za wszelką cenę.

Piłsudski był Komendantem, a jego szefem sztabu Sosnkowski i na wiele lat przyłgnęło do niego określenie „Szef”. Stanowisko utrzymał również podczas epopei Legionów, stając się nieodłącznym cieniem Piłsudskiego, a internowanie w Magdeburgu dodatkowo zbliżyło obu panów. Jako zaufany oficer Marszałka był przed majem 1926 roku dwukrotnie ministrem spraw wojskowych.

Po wycofaniu się Piłsudskiego z polityki coś jednak popsulo się w ich wzajemnych relacjach. Sosnkowski zaczął przejawiać inicjatywę, a jego koncepcje polityczne nie zawsze były zgodne z wolą Marszałka. W rozmowach prywatnych wspominał nawet, że to „nie był już jego Piłsudski, z którym rozumiał się w pół słowa”. Do niemal otwartego konfliktu doszło, gdy wbrew woli Komendanta nie podał się do dymisji ze stanowiska ministra. Uważał, że będzie to ze szkodą dla kraju, którego interesy zawsze stawiał na pierwszym miejscu. To prawdopodobnie zadecydowało, że Piłsudski nie wtajemniczył go w plany przewrotu. Potrzebował wykonawców poleceń, ludzi niezadających pytań, a Sosnkowski był legalistą.

Generał wysyłany był na misje dyplomatyczne (jako przedstawiciel Polski przy Lidze Narodów na konferencję rozbrojeniową w Genewie), następnie otrzymał nominację na dowódcę Okręgu Korpusu Poznań. Tuż przed wybuchem rebelii Sosnkowski dostał polecenie wyjazdu do Genewy, zapewne stał za tym Piłsudski, chcąc oszczędzić Szefowi bolesnego wyboru.

Czasami decydują jednak przypadki i Sosnkowski pojawił się w stolicy na dzień przed zamachem (następnego dnia miał pociąg do Genewy). 12 maja po południu w Warszawie padły pierwsze strzały.

„Godzina dziewiąta wieczorem - wspominał Romeyko - jesteśmy na Dworcu Głównym. Słysząc strzelaninę. Czy pociąg do Poznania odchodzi? Nie wiemy. W każdym razie jest już podstawiony. Wsiadamy do wagonu; obserwujemy z okna peron. Po chwili ze zdziwieniem widzę generała Sosnkowskiego, prowadzącego pod rękę matkę; oboje wsiadają do tego samego wagonu.

Skąd w Warszawie generał Sosnkowski? Przecież miał już być w Genewie jako delegat Polski na Komisję Wojskową. Przecież przed kilku dniami, przed swym wyjazdem, przekazał dowództwo Okręgu Korpusu Poznań swemu zastępcy, generałowi Edmundowi Hausnerowi. Wiedziałem o tym dobrze jeszcze przed wyjazdem z Poznania i stąd moje zdziwienie, gdy ujrzałem generała powracającego”.

Wbrew woli Piłsudskiego Sosnkowski dotarł do Poznania, gdzie stanął przed tragicznym dylematem:

„[...] zjawił się zaraz generał Edmund Hausner - opowiadała Jadwiga Sosnkowska - który zastępował męża [...] i przyniósł dwie depesze. Jedna i druga żądały wysłania pułków poznańskich z pomocą do Warszawy. Mąż mój stanął przed straszliwym wyborem: komu pomagać? Czy zdradzić swojego Komendanta, czy zadać gwałt prawu? Stał, jak to mówiono, już to skamieniały, już to rozdarty. Wreszcie wezwał oficerów [...], zreferował sytuację i oświadczył, by postąpili zgodnie z własnym sumieniem. Po tej krótkiej odprawie został sam, kompletnie sam i, jak mówił, z uderzającą pustką wokół. Czy myślał wówczas o rodzinie? Być może, ale był on jak i jego Komendant z tego gatunku mężczyzn, których największą miłością była ojczyzna”.

Kazimierz Sosnkowski z rewolweru strzelił sobie w serce. Celował dobrze, ale zdenerwowanie towarzyszące ostatnim dniom spowodowało zapewne, że drgnęła mu ręka. Został ciężko ranny, ale przeżył. Gdy zawiadomiona o wszystkim żona pojawiła się przy nim, wyszeptał: „Czy rozumiesz? Polacy zabijają się nawzajem. Polacy się biją”.

Nie był wyjątkiem, w tragicznych dniach przewrotu wielu oficerów stanęło przed podobnymi dylematami. W jednym z pułków piechoty, który przybył na pomoc rządowi, zbuntowały się dwie kompanie i przeszły na stronę rebeliantów. Dowódca innego pułku, zwolennik marszałka, pułkownik Więckowski, popełnił samobójstwo, nie mogąc znaleźć honorowego rozwiązania. Natomiast oddany Komendantowi dawny ułan BelinyPrażmowskiego, pułkownik Stanisław GrzmotSkotnicki, postąpił zgodnie z przysięgą wojskową i walczył przeciwko Piłsudskiemu.

Na bocznym torze

Po zamachu drogi Piłsudskiego i Sosnkowskiego ostatecznie się rozeszły, Komendant miał jednak wiele uznania dla dawnego współpracownika.

„Mówił mi mój mąż - wspominała Aleksandra Piłsudska - że doradzał panu prezydentowi Ignacemu Mościckiemu, ażeby generała Sosnkowskiego trzymał najdalej, na uboczu i nie powierzał mu żadnych czynności politycznych, ponieważ według opinii męża w razie jego śmierci i usunięcia się pana Mościckiego, a specjalnie w trudnych warunkach, jakie spotkałyby Polskę, najodpowiedniejszym kandydatem na stanowisko prezydenta byłby generał Sosnkowski, który umie łączyć ludzi i rozmawiać z każdym o różnych przekonaniach politycznych”.

Panowie spotykali się jednak na gruncie prywatnym, Marszałek został ojcem chrzestnym syna Sosnkowskich. Generała mianowano inspektorem Armii „Podole”, a następnie również „Polesie”, co w praktyce oznaczało zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi na Kresach. Zamieszkał z rodziną w Warszawie, chociaż z powodu obowiązków rzadko przebywał w stolicy. Dał się wówczas poznać jako zagorzały wielbiciel piłki nożnej i kibic, Polonii Warszawa w szczególności. Nie na darmo ten klub uważano zawsze za najbardziej warszawski, a Sosnkowski nigdy nie zapomniał, gdzie się urodził. Od 1928 roku pełnił funkcję prezesa Polonii, a dzisiejszy stadion przy ulicy Konwiktorskiej nosi jego imię.

Chociaż po śmierci Piłsudskiego jego sukcesorzy chętnie opowiadali historie o nieporozumieniach Marszałka z Sosnkowskim, w rzeczywistości jednak Komendant ufał dawnemu współpracownikowi. Wyjeżdżając bowiem na kilkumiesięczny wypoczynek (na Maderę, do Egiptu), powierzał kierownictwo Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych właśnie jemu, co zapewne nie było przypadkiem. Tak się jednak stało, że Piłsudski zmarł, nie wyznaczwszy następcy, a Mościcki podjął decyzję o nominacji ŚmigłegoRydz. Wiedział, że Sosnkowski jest sprawniejszym politykiem i nie pozwolił sobie kierować.

Wyjątkowym upokorzeniem dla Sosnkowskiego był awans ŚmigłegoRydz na marszałka (buławizacja, jak mawiali złośliwi). Rydz w ciągu dwóch dni awansował o dwa stopnie, a Sosnkowski o wszystkim dowiedział się z gazet. Kilka dni wcześniej wyjechał bowiem z żoną na Węgry, a prezydent trzymał w tajemnicy swe zamiary.

„Jak pamiętam - mówiła Jadwiga Sosnkowska - była wtedy jesień i wraz z mężem wybieraliśmy się na Węgry. Mąż cierpiał na ischias, a zabiegi na wyspie Świętej Małgorzaty robiły mu bardzo dobrze. Mieliśmy jechać w pierwszych dniach listopada, gdy tu raptem z kancelarii prezydenta i adiutantury Śmigłego zaczęli przychodzić rozmaici oficerowie, oferując pomoc w tym i w tym. To był pretekst. Chodziło o upewnienie się, czy wyjeżdżamy

rzeczywiście i jaki jest termin wyjazdu. Mąż w tym czasie już wiedział, powiedział mu to prezydent, że otrzyma awans na generała broni i że podobny awans otrzyma Śmigły”.

Mościcki dotrzymał słowa, ale nie powiedział całej prawdy. Generał dowiedział się o wszystkim w najgorszy z możliwych sposobów - z „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, który kupiła jego żona w Budapeszcie:

„Mąż wziął gazetę do ręki i zbladł, nie powiedział nic, tylko poszedł do drugiej części apartamentu i przesiedział tam samotnie, bez słowa, chyba z pół dnia, tak że bałam się, czy coś mu się nie stało. Jego jedyny komentarz głosił: dokładnie pół roku po pogrzebie serca Piłsudskiego pogwałcona została jego wola”.

Ten zdolny oficer i polityk po raz kolejny został pominięty. Tak było przed przewrotem majowym, tak stało się po śmierci Piłsudskiego i jeszcze nieraz miało się wydarzyć.

W rodzinnym kręgu

Sosnkowski nie miał szczęścia nie tylko w polityce, tragicznie również ułożyło się jego pierwsze małżeństwo ze Stefanią Sobańską. Pobrali się we Lwowie w 1907 roku, na świat przyszła córka Zofia, ale niebawem u żony zdiagnozowano chorobę psychiczną. Do jej rozwoju przyczyniła się permanentna nieobecność męża, jego udział w pierwszej wojnie światowej. Nie bez wpływu były zapewne ciągłe zmiany miejsca zamieszkania. W 1917 roku Stefania targnęła się na życie, zażywając dużą dawkę leków, ale udało się ją uratować. Mąż powoli dojrzewał do decyzji umieszczenia jej w zakładzie psychiatrycznym i właściwie tylko obawy o losy córki oraz brak pieniędzy powstrzymywały go przed ostateczną decyzją.

Internowany po kryzysie przysięgowym pisał z troską do matki:

„Co się stanie z moją biedną małą? Przepelnia mnie najgłębsza troska o nią. Według mnie - gdyby nie dało się powierzyć jej Tobie, Twojej pieczy - pozostanie tylko jedno jedyne rozwiązanie, umieścić małą w klasztorze urszulanek w Krakowie. Jak wiesz, jest tam wyborny zakład wychowawczy. To rozwiązanie było rozpatrywane przed trzema miesiącami u pani Sobańskiej [teściowej - S.K.] i zostało przez nią zaakceptowane. Można się spodziewać, że również ze strony Stefy natrafi ono na słabszy opór niż w innej sytuacji. Mała ukończyła właśnie dziewiąty rok życia. Czy to nie najwyższy czas, by rozpocząć regularną naukę? Czyż nie da się wreszcie, pomimo wszelkich trudności, uregulować tej sprawy!”.

Problem nigdy jednak nie został rozwiązany, chociaż Stefania miała okresy lepszego samopoczucia. Sosnkowski wiedział jednak, że nie ma szans na całkowite wyleczenie. W liście do siostry wspominał ze smutkiem: „nie ma nadziei na długotrwałą poprawę”.

Ostateczne rozwiązanie przyspieszył dramat rodzinny, który wydarzył się po jego powrocie z internowania w Magdeburgu. Kiedy Polacy świętowali niepodległość, Sosnkowski przeżywał osobistą tragedię. Jego córka padła ofiarą epidemii grypy (słynnej „hiszpanki”), on także nie ustrzegł się choroby, chociaż miał więcej szczęścia:

„Zachorowałem na hiszpankę w pierwszych dniach grudnia 1918 roku. W pewnym momencie konsylium lekarskie (z profesorem Jankowskim na czele) uprzedziło moją matkę, że trzeba się przygotować na najgorsze. Rekonwalescencja była długa. Odbyłem ją w Rabce, skąd wróciłem zdaje się w końcu lutego 1919 roku”.

Śmierć córki ostatecznie złamała psychikę Stefanii. Umieszczono ją w Tworkach, a mąż wystąpił o unieważnienie małżeństwa. Bez względu na to jak oceniano jego decyzję, władze kościelne przychyliły się do wniosku Sosnkowskiego.

Po powrocie z Rabki poznał kuzynkę Piłsudskiego, Jadwigę Żukowską. Dziewczyna pochodziła z rodziny petersburskich Polaków, a do spotkania miało dojść - jak twierdziła Jadwiga - na balu noworocznym u premiera Paderewskiego na Zamku Królewskim. Stawia to jednak relację pani Jadwigi pod znakiem zapytania. Paderewski został premierem w drugiej połowie stycznia, mógł to być zatem bal karnawałowy, a nie noworoczny. Poza tym czy Sosnkowski, kilka tygodni po śmierci ukochanej córki i w trakcie rekonwalescencji po groźnej chorobie, uczestniczyłby w podobnej imprezie? Raczej pani Jadwidze po sześćdziesięciu latach nie dopisała pamięć.

Musieli jednak przypaść sobie do gustu, albowiem 30 kwietnia 1921 roku w warszawskiej archikatedrze Świętego Jana Chrzciciela zawarli związek małżeński.

„Ponieważ był taki zwyczaj - opisywała Sosnkowska - że pannę młodą prowadził do ślubu ojciec, a mój nie żył, powiedziałam o tym Komendantowi i prosiłam, by mi zastąpił w tej ceremonii ojca. I tak też się stało. Prosiłam tylko, by Komendant koniecznie był wygolony i założył nowy mundur. To też się stało”.

Zadziwiające, że pani Jadwiga, wspominając czasy przedmałżeńskie, nic nie napomknęła o dramatycznych wydarzeniach związanych z poprzednim małżeństwem narzeczonego. W zamian szeroko rozwodziła się nad wielbicielkami Sosnkowskiego, które przyszły na ślub swojego idola:

„W czasie ślubu pouczeniały się figur rozmaitych świętych w bocznej nawie, chyba by lepiej wszystko widzieć. [...] Więc pouczeniały się w nawach nóg tych świętych, co oburzyło księży, i panienki były po kolei ściągane. Ślubu udzielił nam kardynał Aleksander Kakowski w otoczeniu czterech innych biskupów. Wszyscy byli ubrani w historyczne ornaty”.

Gdyby dosłownie potraktować wspomnienia generałowej, to jej wybraniec

zdecydowanie traci jako wrażliwy człowiek. Nieutulony w żalu po stracie ukochanej córki i żony chadzał na bale i miał tłumy wielbicielek? Czy tylko biernie odbierał hołdy, czy też korzystał z okazji? No i jeszcze wyjątkowo huczny ślub. Z drugiej jednak strony żenił się wybitny wojskowy, zastępca legendarnego Komendanta, minister spraw wojskowych, człowiek młody i przystojny. Chyba jednak Piłsudski miał nieco więcej taktu, gdyż poślubiając niebawem po śmierci pierwszej żony Aleksandrę Szczerbińską, zadowolił się skromną ceremonią. Ale za to nie był na pogrzebie Marii Piłsudskiej w Wilnie.

Na temat życia prywatnego generała po ślubie z Jadwigą zachowało się niewiele informacji. Małżeństwo musiało układać się dobrze, na świat przyszło pięciu synów, a po przeniesieniu do Wielkopolski Sosnkowscy nabyli poniemiecki majątek. To wywołało nieprzychylnie komentarze, dawni podwładni uznali, że ich SzeF zamienia się w „burżuja”.

„Sosnkowski - pisał Romeyko - będąc ministrem spraw wojskowych, skorzystał z prawa przysługującego każdemu obywatelowi polskiemu i zakupił - bodajże od ówczesnego poznańskiego Urzędu Ziemskiego - wystawione na sprzedaż poniemieckie »dobra rycerskie« w Poznaniu. Gdyby tę posiadłość kupił zwykły obywatel Sosnkowski, niewątpliwie uszłoby to uwadze legionistów, lecz uczynił to ich »SzeF«, legionista, w dodatku urzędujący minister spraw wojskowych. Co prawda, przy tego rodzaju transakcji potrzebna była wówczas pewna »rekomendacja«. Ale czy nie było najlepszą rekomendacją, że przeprowadził ją generał Wojska Polskiego? Czy nie miał prawa pierwszeństwa?”.

Pod Poznaniem kupił też folwark generał Dowbor-Muśnicki i nikt z tego powodu nie miał do niego pretensji. Ale Muśnicki nie był urzędującym ministrem i nie paradował do niedawna w „szarym strzelca stroju”. Opinię Sosnkowskiemu psuła również aktywność jego teściowej, Ady Żukowskiej. Wdowa po zamożnym przemysłowcu po śmierci męża słusznie uznała, że dla niej życie jeszcze się nie skończyło. Ponownie wyszła za mąż i jako Ada Lipkowska-Żukowska prowadziła rozmaite interesy handlowe. Choć nie udowodniono, że wykorzystywała pozycję i nazwisko zięcia, ale takie podejrzania istniały. Szczególnie wśród weteranów I Brygady, którzy nie potrafili odnaleźć się w powojennym świecie. Aktywność teściowej dała również podstawę plotkom powtarzanym przez Witosa, że w przypadku zmiany na stanowisku prezydenta „rodzina Sosnkowskich kosztowałaby więcej niż rodzina Mościckich”.

Nie można negować zasług Witosa dla Polski, trzykrotny premier wiele razy wykazał się patriotyzmem, ale miał brzydki zwyczaj powtarzania niesprawdzonych pogłosek, szczególnie o tematyce obyczajowej. Gdy prezydent Mościcki ożenił się po raz drugi, pisał, że na Zamku rządzi młoda prezydentowa ze swoim kochankiem, co było absolutną

nieprawdą. A nawet najbardziej zajadli wrogowie Sosnkowskiego nie mogli mu zarzucić wystawnego trybu życia. Generał wyszedł przecież ze szkoły Piłsudskiego, totalnego abnegata, niezważającego na dobra doczesne.

Francuskie dylematy

Odsunięty od wpływów Sosnkowski nie zaniechał działalności politycznej. Dwukrotnie proponował Śmigłemu Rydzowi, że stanie na czele rządu, wiedząc, że jego osobę łatwiej zaakceptuje opozycja. Wobec odmowy zbliżył się do środowisk piłsudczykowskich, skonfliktowanych z obozem rządowym, które kilka miesięcy przed wybuchem wojny powołały Stronnictwo Demokratyczne. Do wybuchu wojny partia nie uzyskała większego poparcia, zapewne zresztą podzieliłaby los Stronnictwa Pracy.

Ostatnie tygodnie przed hitlerowską agresją Sosnkowski spędził, oczekując na jakieś decyzje co do swojej osoby. Wiedział, że zbliżała się wojna, a on ciągle tkwił na dalekich Kresach. Usiłował przekonać marszałka do koncepcji oparcia obrony na linii Wisły i Narwi, albowiem po aneksji Czech i uzależnieniu Słowacji Niemcy otaczali Polskę z trzech stron. Byłaby to na pewno lepsza pozycja niż obrona całej granicy, bo nikt wówczas nie mógł przypuszczać, że Stalin uderzy od wschodu, a Francuzi i Anglicy nie dotrzymają zobowiązań.

Śmigły Rydz i Sosnkowski spotkali się kilka dni przed wybuchem wojny. Spotkanie nie przyniosło rezultatów i przynieść nie mogło. Po latach Sosnkowski tak wspominał swoje stosunki z Rydzem:

„Śmigłego ceniłem zawsze jako dobrego żołnierza, uczciwego Polaka i wypróbowanego towarzysza broni. O jego kwalifikacjach i osiągnięciach musi wypowiedzieć się bezstronnie historia. Mnie tego nie wypada robić i to do mnie nie należy. Mogę tylko powiedzieć, postanowiłem szczerze wesprzeć całym swoim doświadczeniem. Początkowo wydawało mi się, że ma to pewne szanse powodzenia. Nie będę jednak ukrywał, że Śmigły korzystał z tego w stopniu niedostatecznym, a często zgoła nie rozumiał założeń i rad... Potem zaczął mnie unikać, kontakty prawie się urwały”.

Przez trzy dni po wybuchu wojny Sosnkowski czekał na przydział, aż wreszcie osobiście pofatygował się do Śmigłego. Marszałek tym razem przyjął go bez większych problemów i otwarcie stwierdził, że „jest źle, jest bardzo źle, jest gorzej aniżeli źle”.

Ze spotkania tego także nie zrodziło się porozumienie. Sosnkowski nie przyjął stanowiska wicepremiera odpowiedzialnego za wojenną gospodarkę państwa, Śmigły zaś odmówił mianowania go dowódcą obrony Warszawy. Sosnkowski ostatecznie udał się na front, gdzie po kilku dniach objął dowodzenie nad dwiema armiami na południowym froncie.

Tam potwierdził swoje zdolności, odnosząc sukcesy w niemal beznadziejnych warunkach. Niemiecki uczestnik wojny, pułkownik Jaeger, pisał, że chociaż Polacy byli wrogami, to „kiedy widziało się ich natarcie, ręce same składały się do braw. To jest wielka chwała i wielka sława wygrać właśnie z takim przeciwnikiem”.

Sosnkowski pozostał jednak realistą. Walczył, zadawał przeciwnikowi straty, ale tylko odraczał klęskę. Po sowieckiej agresji usiłował przebić się do Lwowa, lecz uprzedziła go Armia Czerwona. Pozostała wyłącznie emigracja.

Dotarcie na Węgry nie było jednak łatwym zadaniem. Sosnkowski wraz z pułkownikiem Franciszkiem Demelem i dwoma przewodnikami przekradali się nocami. Drogi patrolowali Rosjanie i ukraińscy nacjonałiści, przeprawa przez góry była trudna, mimo to 4 października Sosnkowski pojawił się na granicznym posterunku węgierskim.

Poprosił o połączenie z regentem Węgier, admirałem Horthym, i niezwłocznie je uzyskał. Przybył do Budapesztu, gdzie w cztery oczy rozmawiał z węgierskim przywódcą. O odnalezieniu generała poinformowano Paryż, ale najważniejsze decyzje personalne już zapadły. Sosnkowski się spóźnił.

Raczkiewicz zachował się jednak z klasą i kiedy Sosnkowski pojawił się nad Sekwaną, zaproponował, że ustąpi ze stanowiska. Ale generał zrezygnował z tego zaszczytu, uznał, że kolejna zmiana na najwyższym stanowisku obniży prestiż kraju.

„Takie praktyki - tłumaczyła stanowisko męża Jadwiga Sosnkowska - można zrozumieć w bananowych republikach lub w krajach Afryki, które liczyły niewiele lat, ale w kraju, który swoim wiekiem dobiegał tysiąca lat, w kraju, gdzie rozpoczynał się straszliwy terror, taka zabawa najpoważniejszym stanowiskiem?!!!”.

Problem stanowiła również nominacja Sikorskiego na głównodowodzącego armii. Sosnkowski miał wyższy stopień i zgodnie z zasadą starszeństwa to właśnie on powinien objąć tę funkcję. Ale tutaj również nie chciał robić zamieszania, dobro ojczyzny wymagało zjednoczenia, a nie kłótni o stanowiska. Choć on właśnie mógłby wokół siebie zgromadzić niemal wszystkich (poza Kotem i jemu podobnymi), bo był do zaakceptowania przez różne środowiska emigracyjne. A do tego jeszcze pokazał, że potrafi skutecznie walczyć z Niemcami, co było rzadkością podczas kampanii wrześniowej.

„Wiadomo było - pisał Olgierd Terlecki - że miał swój własny, raczej negatywny, ale też raczej nieuściślony pogląd na ryzykowną politykę zagraniczną ostatnich lat przedwojennych i że nie zgadzał się z kołami swych rządzących towarzyszy broni. W żadnym jednak wypadku nie zamierzał szukać oparcia na Wschodzie. W tej sprawie był zawsze stuprocentowo konsekwentny. W dniach bezkrólewia uchodził za kandydata

najpoważniejszego i niekwestionowanego przez żadną ze stron, dla jednych był człowiekiem niejako obiektywnym, dla drugich wciąż i pomimo wszystko piłsudczykiem”.

Problem stopni wojskowych niebawem został rozwiązany. SmigłyRydz oficjalnie zrezygnował ze stanowiska Naczelnego Wodza na rzecz Sikorskiego, a to stanowisko było funkcją bardziej polityczną niż wojskową. Zresztą Sikorski został rok później awansowany o stopień wyżej.

Pani generałowa Jadwiga Sosnkowska

Do Francji przedostali się również dwaj starsi synowie Sosnkowskiego służący w Korpusie Kadetów we Lwowie. Młodszego potomstwa generała nie było w Warszawie podczas walk o miasto, z czasem odnalazło się w Anglii. W stolicy pozostała natomiast Jadwiga, a jej losy mogłyby stanowić kanwę scenariusza filmu akcji.

Ostatniego dnia przed wybuchem wojny zgłosiła się do pracy jako sanitariuszka w Szpitalu Ujazdowskim. Był to szpital wojskowy noszący imię Józefa Piłsudskiego, to właśnie w tej lecznicy kilka miesięcy wcześniej usiłowano ratować Walerego Sławka po samobójczym strzale. Jadwiga trafiła na oddział chirurgiczny, gdzie zwożono najczęściej rannych, pracowała razem z Haliną Auderską, przyszłą pisarką i posłanką na Sejm PRL.

Przyzwyczajeni jesteśmy do opisów bestialstw Niemców podczas kampanii wrześniowej i bezpardonowych nalotów na cele cywilne. Tymczasem pani Jadwiga twierdziła, że hitlerowcy uszanowali flagę Czerwonego Krzyża wywieszoną na szpitalu. Ale sytuacja i tak była trudna.

„Warunki były wyjątkowo ciężkie, brakowało lekarstw, opatrunków, brakowało przede wszystkim chirurgów. Fatalny w skutkach był rozkaz zabierający wszystkich chirurgów ze szpitali do wojska. Kto więc miał operować, kto ratować życie? Bywa tak często w życiu, że tragedia sąsiaduje z komedią, a często w samej tragedii spotykamy komiczne sytuacje. Tą sytuacją było zgłoszenie się do nas... ginekologa, który robił, co mógł, by ulżyć cierpieniom rannych. Później udało nam się gdzieś wynaleźć jeszcze dwóch chirurgów, ale co to znaczy dwóch chirurgów na szpital, gdzie leżało około dwóch tysięcy rannych?”.

Niestety, po kilkunastu dniach w pobliżu ulokowano baterię artylerii i szpital został zbombardowany. Zginęło wielu rannych, ale Jadwiga ocalała. Dwa tygodnie później Warszawa skapitulowała.

Jadwiga Sosnkowska pracowała w Szpitalu Ujazdowskim jeszcze przez pół roku, przeniosła się tam zresztą na stałe ze swojego mieszkania. Dziwi jednak fakt, że przebywała i

pracowała w okupowanej Warszawie pod własnym nazwiskiem. Niemcy jej nie poszukiwali, nie aresztowali, co wydaje się zupełnie niezrozumiałe. Albo zatem pani Sosnkowska nie mówiła prawdy, bo używała fałszywych dokumentów, albo hitlerowcy prowadzili własną grę. Tym bardziej że okoliczności jej ewakuacji na Zachód były mocno kontrowersyjne, sugerujące wręcz dyskretną zgodę Niemców na przerzut.

Pocztą kurierską otrzymała od męża informację o przygotowywanej wyprawie, a potem pojawił się niejaki Samson Mikiciński z listem, fałszywym paszportem i wizami. Sosnkowska miała być jego żoną (podobno już szóstą w ostatnim okresie), a trasa wędrówki wiodła przez Niemcy.

Jedynym problemem było przekroczenie granicy Generalnego Gubernatorstwa. Sosnkowska i jeszcze jedna kobieta zostały podwieszane w jej pobliżu i następnie przeszły ją nielegalnie. Potem razem z Mikicińskim samochodem dojechała do Wrocławia, skąd pociągiem przedostała się do Akwizgranu. Tam Mikiciński udał się wraz z towarzyszącą mu kobietą załatwiać jakieś interesy, Jadwiga natomiast dwie godziny czekała na peronie, siedząc na walizce przewodnika. Zaczepiającym ją niemieckim oficerom odpowiadała, że jest „białą Rosjanką” jadącą do rodziny w Belgii.

„Oficerowie ci byli w doskonałych humorach - wspominała po latach - rozmawiali ze mną bardzo przyjaźnie, powiedzieli, żebym jeszcze się zastanowiła i została tu i że najdalej za dwa, trzy tygodnie oni mnie na tankach zawiozą nie tylko do Brukseli, ale i do Paryża. Tak byli pewni swego! A był to przecież początek kwietnia. Podziękowałam i powiedziałam, że może skorzystałabym z ich uprzejmości, ale w Brukseli mam bardzo pilne sprawy. I na tym się skończyło”.

Podróż do Brukseli odbyła się bez zakłóceń, a kontrola gestapo okazała się formalnością. Prawdziwe nerwy zaczęły się już po stronie belgijskiej, kiedy Mikiciński sięgnął po walizkę (na której Sosnkowska siedziała na peronie) i ją otworzył.

„Kiedy wieko się podniosło, byłam wstrząśnięta. Czego tam nie było! I złote naszyjniki, i złote kolczyki, i obrączki, zegarki, wszelkiego rodzaju biżuteria - wszystko szczerze złoto”.

Mikiciński tłumaczył pani Jadwidze, że nie było niebezpieczeństwa, a nie uprzedził o zawartości walizki (według przepisów niemieckich wywózka złota podlegała karze śmierci), aby generałowa zachowywała się spokojnie i naturalnie. Jadwiga dotarła do Paryża, gdzie wreszcie rodzina się połączyła.

Falszywy konsul

Przewodnik pani Sosnkowskiej był jedną z najdziwniejszych postaci funkcjonujących na orbicie rządu Sikorskiego. Zdobył duże zaufanie ministra Kota i na jego polecenie wypełniał różnego rodzaju misje na terenie Europy. Wywiózł z kraju córkę Sikorskiego, Zofię Leśniowską (również jako kolejną swoją żonę), zlecenia od profesora Kota były jednak raczej marginesem jego działalności.

Mikiciński był obywatelem polskim narodowości żydowskiej, a początkiem jego kariery stała się służba w rosyjskim szpitalu podczas pierwszej wojny światowej. Miał tam podobno ocalić życie ciężko rannemu niemieckiemu arystokracie, który w przyszłości stał się jedną z ważniejszych postaci Abwehry. Mikiciński w czasach rewolucji październikowej walczył w armii Denikina, a potem współpracował z polskim wywiadem. Podejrzewano go, że jest podwójnym agentem, co wydaje się prawdopodobne, ponieważ już przed wrześniem 1939 roku miał doskonałe kontakty z Abwehrą.

Po wybuchu wojny przyszedł jego czas, pojawił się w stolicy jako konsul chilijski, i nikogo specjalnie nie zainteresowało, że w Warszawie przed wojną nie było placówki tego kraju. Przerzucał na Zachód duże kwoty pieniędzy i kosztowności polskich Żydów, zajmował się również transferem środków finansowych od internowanych w Rumunii. A zachowywał się w sposób wykluczający wszelką konspirację: „Zainteresowane osoby - wspominał pułkownik Kazimierz IranekOsmecki - poszukiwał telefonicznie, wzywał do siebie lub wyznaczał im miejsca spotkania w lokalach publicznych. Wiele osób zrezygnowało wskutek tego z zaoferowanych kwot, inne, czując się zagrożone, zmieniały mieszkania i przechodziły do konspiracji”.

Wzbudziło to czujność polskiego podziemia, wywiad brytyjski ostrzegał Polaków już w Rumunii, że Mikiciński jest agentem Abwehry. Musiał mieć naprawdę mocną pozycję, ponieważ ułatwiał wyjazd na Zachód nawet Żydom, co w praktyce było zadaniem niewykonalnym. Zajmował się również transportem biżuterii i dzieł sztuki (nawet obrazów) należących do polskiej arystokracji.

Możliwościami Mikicińskiego zachwycony był Sosnkowski, inaczej zresztą nie powierzyłby mu życia żony.

„W lutym 1940 roku - pisał Stanisław Kot - generał Sosnkowski przysłał do mnie swojego adiutanta porucznika L. Sapiehę z zawiadomieniem, że znalazł się człowiek zasługujący na zaufanie, który cały zapas złotych polskich przewiezie za wynagrodzeniem 15% od sumy transportowej i zaleca mi skorzystanie z tej okazji. Natychmiast zobaczyłem się z Sosnkowskim [...]. Usłyszałem, że osobą zalecaną jest Samson Mikiciński, który już kilka

razy jeździł do kraju i w ostatniej podróży przywiózł panią Sosnkowską”.

Zachowanie Mikicińskiego do dzisiaj wprowadza w osłupienie. Na początku lutego 1940 roku na polecenie Kota pojawił się w Bukareszcie, aby podjąć z polskiej ambasady i przewieźć do kraju siedem milionów złotych. Spotkał się tam z kapitanem Erichem Nobisem z Abwehry, po czym (wraz z workami gotówki dla polskiego podziemia!) odlecieli wspólnie do Berlina, a dopiero stamtąd wyruszyli do Polski. „[...] Mikiciński - pisał pułkownik IranekOsmecki - podczas przyjazdów do Polski był pod ścisłą kontrolą Abwehry, chociaż odwiedzał też biura Gestapo przy alei Szucha. Jego stałymi »aniołami stróżami« byli dwaj oficerowie Abwehry z placówki we Wrocławiu. Zostało stwierdzone, że oficerowie ci towarzyszyli w jego podróżach przez Polskę w samochodzie ze znakami obowiązującymi w Rzeszy. Podczas pobytu Mikicińskiego w Warszawie zjawiał się czasem kapitan Erich Nobis i kontaktowali się ze sobą. Kapitan Nobis przynależał do centrali Abwehry w Berlinie lub do jej placówki we Wrocławiu”.

Czy oznaczało to daleko idącą korupcję w szeregach Abwehry? Niekoniecznie, przecież każdy wywiad potrzebuje pieniędzy na nieksięgowane wydatki. Nie wiadomo jednak, jakiego rodzaju grę prowadzili Niemcy. Umożliwienie wyjazdu z okupowanej Polski żonie Sosnkowskiego i córce Sikorskiego to były zbyt poważne decyzje, aby podejmowali je oficerowie w stopniu kapitana. A może rzeczywiście za całą sprawą stali funkcjonariusze najwyższego szczebla niemieckiego wywiadu szykujący sobie alibi w przypadku klęski Niemiec?

„Mikiciński - relacjonował profesor Kot - nie zapytał mnie nigdy o żaden szczegół związany z ruchem podziemnym, nie otrzymał żadnych instrukcji ani informacji dla organizacji podziemnej [...] uprzedził mnie, że w rozmowach ze swoim przyjacielem oficerem musi coś niecoś opowiedzieć o sytuacji za granicą i prosił, aby mu wszystko podyktować, co sobie życzymy, aby powiedział i jak ma sytuację oświetlić. Chodziło mu tylko o charakterystykę ogólną, żadnych szczegółów”.

Co jest najciekawsze, to to, że nikt w kraju, mający bezpośredni kontakt z Mikicińskim, nie został aresztowany, a jego akcje kończyły się powodzeniem. Ale skoro korzystał czasami ze służbowych samochodów Abwehry, czy mogło być inaczej?

Po ataku hitlerowskim na Francję Mikiciński przestał być polskiemu rządowi potrzebny. Już wcześniej cotygodniowym przekraczaniem granicy zwrócił uwagę służb belgijskich i francuskich, tylko Niemcy nie dostrzegali jego podróży i kolejnych „żon”. Zmienił więc teren działania i po kilku miesiącach pojawił się w Turcji, gdzie nastąpił kres jego kariery. W styczniu 1941 roku prasa turecka donosiła o zaginięciu konsula Chile, co było

zgodne z prawdą. Mikiciński został porwany przez polski wywiad (przy współudziale Brytyjczyków i Turków) i wywieziony do Palestyny. Za akcję odpowiadał polski oficer, podporucznik Edward Szarkiewicz.

„[...] Mikicińskiego - opisywał Iranek Osmecki - sprowadzono podstępem do upatrzonego lokalu, obezwładniono, uśpiono zastrzykiem i po przewiezieniu na lotnisko wojskowe odtransportowano samolotem angielskim do Palestyny. W sprawnym przeprowadzeniu tej operacji dostarczenia na lotnisko, ułatwieniu odlotu i wykonaniu innych niezbędnych czynności pomocnym był turecki wywiad wojskowy, który uznał działalność Mikicińskiego za szkodliwą również dla interesów tureckich. Drogę do Palestyny przebyto z pewnymi przygodami, gdyż mały turystyczny samolot nie mógł pokonać niesprzyjających wiatrów i trzeba było lądować przymusowo na Cyprze. Podczas przelotu Mikiciński odzyskał przytomność, próbował wprzód przekupić eskortującego go Szarkiewicza, a gdy mu się to nie udało, zamierzał go obezwładnić. Trzeba było ciosami kolby pistoletu uspokoić niesfornego pasażera”.

Mikiciński nie wypierał się kontaktów z Abwehrą, ale kategorycznie zaprzeczał, że był jej agentem. Uznano jednak, że są na to wystarczające dowody, zapadła więc decyzja o jego likwidacji. Oficjalnie został zastrzelony podczas próby ucieczki - to odwieczna metoda wywiadu usuwania niewygodnych ludzi. Nic dziwnego, że Brytyjczycy uznali, iż Mikiciński „został prze/ Polaków stracony”. Przybyły do Palestyny pułkownik Iranek - Osmecki wspominał: „[...] zaczęto wywierać presję na polski wywiad, by sprawę Mikicińskiego jakoś załatwić. I tu Szarkiewicz pokazał, co potrafi. Upozorował próbę ucieczki Mikicińskiego podczas transportu z jednego więzienia do drugiego i z najzimniejszą krwią zabił go strzałem w głowę. [...] O przebiegu afery Mikicińskiego, od jej początku - a samolot, którym go porwano z Turcji, pilotował jakiś młody arystokrata brytyjski - do jej rozwiązania, z punktu widzenia aliantów zakończonej powodzeniem, we wtajemniczonych kołach brytyjskich wiedziano ze wszelkimi szczegółami”.

Interesującą postacią był również zabójca Mikicińskiego. Edward Szarkiewicz z czasem przeszedł na służbę brytyjskiego wywiadu, awansował i był jedną z osób zamieszanych w katastrofę gibraltarską. Podobno nie cierpiał Sikorskiego, a antypatia ta miała swój początek jeszcze w czasach przedwojennych. Wtedy bowiem jako żydowski lobbysta Mojżesz Szapiro miał doskonałe stosunki z piłsudczykami i pośredniczył w sprzedaży broni do ogarniętej wojną domową Hiszpanii. Przy okazji podejrzewano go o szpiegostwo na rzecz Niemiec czy nawet Sowieców.

ROZDZIAŁ 5

DZIWNE LOSY PREMIERA SKŁADKOWSKIEGO

Mołdawskie odosobnienie

Polskim dygnitarzom internowanym w Rumunii wyznaczono jako miejsce odosobnienia miasteczko Sianie w Mołdawii. Prominenci sanacyjni otrzymali do dyspozycji pociąg, jedynie premier Składkowski i minister Beck wyruszyli samochodem. Na miejscu okazało się, że skład przybył zdekompletowany, brakowało wagonów prezydenta i Naczelnego Wodza. Gospodarze „w trosce o wygodę dostojnych gości” wyznaczyli im „niejedną, lecz kilka przejściowych rezydencji”. Oczywiście miało to na celu utrudnienie wzajemnych kontaktów, w efekcie Mościcki trafił do Bicz, Śmigły-Rydz do Craiovej.

W Sianie znalazło się łącznie ponad trzysta osób, na polecenie przełożonych granicę z Rumunią przekroczyły bowiem dziesiątki urzędników państwowych oraz personel pomocniczy wraz z rodzinami. W efekcie premier Składkowski był zmuszony zapewnić podwładnym środki do życia. Sprawa była pilna, ponieważ z powodu wojny ludzie ci nie dostali należnych im poborów. Premier podjął więc decyzję, którą później krytkowały władze z Angers, i rozdysponował pomiędzy podwładnych dwieście pięćdziesiąt kilogramów złota z rezerw Banku Polskiego. Kwota wypłacona przez premiera w złotych monetach pokrywała zresztą tylko około trzydziestu procent zaległych uposażeń.

Rada Ministrów przebywała w odosobnieniu, ale Składkowski uważał, że wciąż pozostaje rządem. Mimo iż wśród ministrów panowało coraz większe zniechęcenie, codziennie odbywały się posiedzenia gabinetu.

„Smutne wrażenie - wspominał Stanisław Zabiello - robiło zwoływanie codziennych posiedzeń Rady Ministrów, na których już nic nie było do decydowania. Niektórzy ministrowie czuli się głęboko urażeni, otrzymawszy dla swych kilkusobowych rodzin tylko dwa lub trzy pokoje. Dygnitarze unikali siadania przy jednym stole z podwładnymi i wszelkiego familiryzowania się z »młodszą bracią«. Domagali się przestrzegania preansów i tabeli stanowisk. Tylko paru ministrów, jak Juliusz Poniatoński i (o dziwo!) Kostek-Biernacki, zachowywało się skromnie i przyzwoicie”.

Obradowano nad codziennymi problemami, nad sytuacją polskich uchodźców w Rumunii, nad informacjami z kraju. Nie zawsze skład gabinetu był kompletny, wicepremier Kwiatkowski przeżywał depresję po śmierci syna w kampanii wrześniowej, a Poniatoński

pielęgnował umierającą żonę. Niektórzy mieli własne problemy zdrowotne, zabiegi Składkowskiego pozytywnie jednak oceniał Kajetan Morawski:

„Również w Sianie starał się nie wiadomo czy jeszcze rządową, czy już uchodzącą gromadę ująć w karby zatrudnienia. Mało radosna była to twórczość, bo tryby i kółka obracały się w próżni. Lecz same obroty chroniły ludzi częściowo od czarnych myśli, zapobiegały niesnaskom i rekryminacjom, pomagały w zachowaniu koniecznej, zwłaszcza na obcej ziemi i w nieszczęściu, godności. Krzatali się więc kwatermistrze, spisywano i inwentaryzowano samochody, zapasy benzyny oraz remanenta kasowe. Na podstawie nasłuchu radiowego redagowali prasowcy małą ścienną gazetkę”.

Oczekiwano na dymisję rządu i powołanie nowych władz w Paryżu. 30 września Składkowski oficjalnie zgłosił rezygnację gabinetu.

„Na wiadomość o utworzeniu nowego rządu - wspominał Zabięło - Beck zwołał nas na odprawę, na której podziękował za dotychczasową współpracę i lojalność, co było aluzją do tych, którzy na własną rękę podążyli od razu na zachód. Oświadczył, że mamy teraz pełne prawo oddania się do dyspozycji nowych władz [...]”.

Składkowski i kilku innych dygnitarzy zdecydowało się wstąpić do armii, były premier zwolniony od obowiązków politycznych ponownie chciał być wyłącznie lekarzem wojskowym (miał dwie specjalizacje: chirurga i ginekologa). Przygotował list do Sikorskiego, a zdając sobie sprawę ze szczupłości etatów oficerskich, chciał służyć nawet jako podoficer. Niebawem jednak z Paryża otrzymał brutalną odpowiedź:

„Otrzymałem Pańskie zgłoszenie do służby czynnej - pisał Sikorski. - Żąda Pan w swym podaniu rzeczy niemożliwej. Nie rozporządzam tak silną policją ani żandarmerią, by chronić Pana od zniewag i zamachów, które spotkać go muszą w każdym większym skupieniu polskim. Pan Prezes Rządu odpowiedzialnego za bezprzykładny pogrom, jakiegośmy doznali, powinien zrozumieć, że jedno mu teraz pozostaje, dać o sobie zapomnieć”.

Mocne słowa, szczególnie że Składkowskiemu można było zarzucić wszystko, ale nie to, że zaniedbywał obowiązki. Były premier jednak nie zrezygnował i tym razem wystosował pismo do Raczkiewicza. Wskazał w nim na bezprawne internowanie ministrów oraz przetrzymywanie w odosobnieniu Ignacego Mościckiego. Prosił również o zajęcie stanowiska w sprawie dziesiątków tysięcy polskich żołnierzy przebywających na terenie Rumunii i Węgier.

Odpowiedź ponownie przyszła od Sikorskiego i ostatecznie rozwiła nadzieje internowanych. Nowy premier oskarżył poprzednika o klęskę wrześniową, nieuzasadnione

opuszczenie terytorium Rzeczypospolitej, a także defraudację pieniędzy państwowych. Sikorski miał zresztą osobiste porachunki ze Składkowskim. W latach dwudziestych, gdy sprawował funkcję ministra spraw wojskowych, jednym z najbardziej wyróżnianych przez niego oficerów był właśnie Sławoj Składkowski. Po przewrocie majowym uznał go za niewdzięcznika, a był bardzo pamiętliwy.

Z chwilą powołania rządu emigracyjnego Rumuni całkowicie stracili zainteresowanie internowanymi w Mołdawii. Wyjątek zrobili tylko dla Becka, którego przeniesiono do Bukaresztu i pilnowano pieczołowicie. Pozostałych dygnitarzy wywieziono nad granicę bułgarską, do uzdrowiska Baile Herculane. W ciągu kilku miesięcy liczba izolowanych stopniała do osiemdziesięciu kilku, urzędnicy niższego szczebla wyjeżdżali do Francji, personel wracał do okupowanego kraju.

Internowanym przestano dostarczać prasę, mogli jednak swobodnie poruszać się po uzdrowisku. Składkowski wegetował, człowiek o wielkiej energii nie potrafił znieść oderwania od spraw, którymi żył przez wiele lat. Rodzinę wysłał do Francji, a sam zabijał czas, grając w szachy z miejscowym aptekarzem.

Wyjazd Mościckiego

W tym czasie prezydent Mościcki, któremu towarzyszyła rodzina i kilkanaście osób, przebywał w rezydencji królewskiej w Bicaz. Była to właściwie „murowana, piętrowa leśniczówka”, w której prezydent zajął dwa pokoje na piętrze, a pozostali zostali ulokowani na parterze. W Bicaz oficjalnie zrezygnował ze swoich uprawnień, podpisując nominację dla Wieniawy-Długoszowskiego, a następnie dla Raczkiewicza.

W połowie listopada Mościckiego wraz z osobami towarzyszącymi przeniesiono do rządowego pałacu w Craiovej. Niestety, budynek był typowo reprezentacyjną budowlą - do zamieszkania nadawały się tylko dwa pokoje. Pałac słabo ogrzewano, a wyżywienie było fatalne. Prezydentowi przygotowywano posiłki składające się głównie z kaszy (miał problemy gastryczne po ciężkiej chorobie wiosną 1939 roku), a jego ludzie często głodowali.

Po interwencji prezydenta USA przyniosły efekt zabiegi o pozwolenie na wyjazd do Szwajcarii, którego to kraju Mościcki wciąż miał obywatelstwo. Były prezydent opuścił Rumunię 25 grudnia 1939 roku.

Pociąg przejeżdżał przez Baile Herculane, byli członkowie rządu uzyskali zgodę na widzenie się z Mościckim na stacji. Pod nadzorem policji udali się na spotkanie:

„Przy wagonie prezydenta - wspominał Składkowski - stoi dwóch żandarmów zabraniających wejścia. Podbiegam pośpiesznie. Pan prezydent okryty futrem wychyla się z

otwartego okna, mówiąc nam swym spokojnym jak zawsze głosem »Dzień dobry, panie premierze...«. Prezydent uśmiecha się lekko, ale mówi, że tam też wiele nie będzie mógł zrobić, bo Szwajcarzy uwarunkowali jego pobyt jedynie pracą naukową [...]. Postój pięciominutowy mija szybko. Już pociąg rusza. Stajemy na baczność, odsłaniamy głowy. Postać wychylonego z okna prezydenta ginie za chwilę w obłokach białej pary».

Mościccy szczęśliwie dotarli do Fryburga, tam pozbawiony środków do życia prezydent podjął pracę zarobkową, mimo że miał już siedemdziesiąt trzy lata i jego zdrowie poważnie szwankowało. Następnie rodzina przeniosła się do Genewy, gdzie profesor pracował w laboratorium chemicznym. W tym czasie rozpoczął spisywanie wspomnień, które doprowadził do 1932 roku.

Dalszą pracę uniemożliwił pogarszający się stan zdrowia - od 1943 roku Mościccy utrzymywali się wyłącznie z nieregularnych zasiłków i sprzedaży rzeczy przywiezionych z kraju. Ostatnie miesiące życia Mościcki spędził w małej górskiej miejscowości Versoix pod Lozanną.

Młodsza o blisko trzydzieści lat żona do końca towarzyszyła mężowi. Okoliczni mieszkańcy często widywali ich, jak spacerowali, trzymając się za ręce. Pani Maria sprawdziła się w tych trudnych dniach, opiekowała się mężem do końca. Nic dziwnego, że Mościcki wyraził wolę, aby w przyszłości Maria spoczęła z nim w jednym grobie.

Ignacy Mościcki zmarł w Versoix 2 października 1946 roku. Zgodnie z jego życzeniem nie wystawiono mu żadnego nagrobka, a na mogile ustawiono prosty drewniany krzyż z inicjałami „I.M”. Maria Mościcka przeżyła męża o ponad trzydzieści lat, a w 1993 roku sprowadzono prochy obojga do kraju. Prezydenta pochowano z honorami w archikatedrze Świętego Jana Chrzciciela w Warszawie, Maria natomiast spoczęła na Starych Powązkach.

Tragedia Józefa Becka

Na posiedzeniu rządu 8 maja 1940 roku Sikorski postawił sprawę internowanych członków gabinetu Felicjana Sławoja Składkowskiego. Profesor Kot zaproponował „segregację ministrów byłego rządu” i „zgodę na przyjazd do Francji tych, którzy zachowują się lojalnie”. Za takich uznał Składkowskiego, Kwiatkowskiego i Kalińskiego (poczty i telegrafu). Pozostałych, w tym Becka i Kasprzyckiego, chciał osadzić we francuskich koloniach. Na wyjazd Becka z Rumunii szczególnie nalegał Zaleski, tłumacząc, że kraj ten znajduje się pod silną presją Niemiec i hitlerowcy mogą byłego ministra zamordować. Protest zgłosił Jan Stańczyk, ostatecznie powołano specjalną komisję, która miała rozpatrzyć tę

kwestię. Dwa dni później nastąpiła jednak ofensywa niemiecka na zachodzie i niebawem francuski sojusznik padł pod ciosami hitlerowców. Po ewakuacji polskich władz do Londynu do tematu już nie powrócono.

Państwo Beckowie (z córką Jadwigą) początkowo zostali internowani w Braszowie, gdzie dostali do swojej dyspozycji apartament w najlepszym hotelu. Oczywiście cały czas znajdowali się pod nadzorem policji, byłemu ministrowi pozwolono jednak pojechać do Bukaresztu na leczenie stomatologiczne. Wczesnym latem przeniesiono ich do Dobroesti nad jeziorem Snagov pod Bukaresztem. Beckowi nie zezwolono nawet na opuszczanie małej willi, w której zamieszkali, z czasem, po ostrych interwencjach, wyrażono zgodę na przejażdżki łodzią (oczywiście pod strażą). Minister znany był ze swojego upodobania do sportów wodnych, a wielkie jezioro miał tuż za oknem.

W październiku Beck próbował ucieczki z internowania, prawdopodobnie chciał się przedostać do Turcji. Schwyty, kilka dni przesiedział w brudnym areszcie, w którym straszliwie pogryzły go insekty. Zachowały się informacje, że władze rumuńskie zostały powiadomione o planach Becka przez rząd Sikorskiego, który z kolei dowiedział się o tym od lojalnego polskiego emigranta.

Becków przeniesiono do willi na przedmieściu Bukaresztu, tam byłemu ministrowi przysługiwało prawo do spaceru pod strażą oficera policji. Wolny czas, a miał go dużo, poświęcał na pisanie wspomnień, budowę modeli okrętów z drewna, czytanie i grę w ulubionego brydża.

„Największy model statku, jaki zbudował - pisał jego sekretarz Doman Rogoyski - był to wenecki okręt wojenny z czasów rozkwitu Wenecji. Trzeba było wbić w kadłub modelu około sześćdziesięciu drewnianych kołeczków (kupionych u szewca), a wszystkie bloki, w liczbie około stu, były ruchome tak jak na prawdziwym okręcie”.

Beck chorował już podczas kampanii wrześniowej, później stan jego zdrowia systematycznie się pogarszał, a latem 1942 roku zdiagnozowano u niego gruźlicę gardła. Dwa lata później, w związku z alianckimi nalotami na Bukareszt, przeniesiono Becków do Stanesti, gdzie zamieszkali w pustej dwuizbowej szkole wiejskiej zbudowanej z gliny (!).

„Bał się samotności - opisywała ostatnie dni życia ministra jego żona. - Mówił, że moje »cholerowania« i wesołość odstraszały jego koszmary. Opatrzność boska pomogła mi okłamywać go dobrym humorem i... pomogła wytrzymać w tym stwarzaniu wokół niego atmosfery, że to długa rekonwalescencja. On nie umierał. On gasł. Gasło w nim życie. A tak coraz intensywniej chciał żyć. Siły uciekały. Potwornie było to widzieć”.

Józef Beck zmarł 5 czerwca 1944 roku, przed śmiercią polecił pogrzebać się twarzą w

kierunku Polski. Jego ciało zostało sprowadzone do kraju w 1991 roku i pochowane na Powązkach Wojskowych. Wdowa po nim zmarła w 1974 roku, jak wielu polskich emigrantów utrzymywała się z pracy fizycznej. Zniknęli jej dawni przyjaciele, a Lechoń kilka lat po wojnie zanotował z goryczą:

„To zdaje się wczoraj dopiero, kiedy cała Warszawa cisnęła się do jej domu, kiedy siedziała obok królów, jakże niewiele czasu było trzeba, aby to wszystko zmieniło się, aby Beck, opuszczony przez wszystkich, przez tych przede wszystkim, których był dobroczyńcą - konał w jakiejś chałupie rumuńskiej, gdzie deszcz przeciekał przez dziury w dachu”.

Na obcej ziemi

„[...] w kraju, w którym wówczas wszystko znaczyła łapówka - pisał Zabiello - a władze wykonawcze, gdy nie były osobiście zainteresowane, wykazywały niebywałą nieudolność, po roku udało się uciec prawie wszystkim byłym matadorom reżimu pomajowego. Tylko Becka pilnowano do końca i uniemożliwiono mu ucieczkę”.

Nie jest to prawda, wprawdzie Mościcki wyjechał oficjalnie, a Śmigły-Rydz uciekł na Węgry, ale nie wszyscy ministrowie ostatniego rządu Drugiej Rzeczypospolitej znaleźli się na wolności.

Zresztą tych, którym udało się ucieczka, czekał los nie do pozazdrosczenia. Na Zachód przedostał się Michał Grażyński (minister propagandy) i Marian Zyndram-Kościałkowski (opieka społeczna, były premier), ale obaj zostali izolowani na słynnej Wyspie Węży. Większość członków dawnego gabinetu zbiegła z Rumunii dopiero w 1944 roku, a do końca wojny w odosobnieniu pozostali Eugeniusz Kwiatkowski i Wacław Kostek-Biernacki. Patrząc zresztą na losy tego ostatniego, można dojść do wniosku, że śmierć zaoszczędziła Beckowi wielkiej tragedii.

Biernacki doskonale wiedział, że nie ma po co uciekać z internowania. Jako były komendant twierdzy brzeskiej i wojewoda, któremu podlegała Berezka Kartuska, był człowiekiem znienawidzonym przez nowe władze. W jego przypadku nie zakończyłoby się na izolacji, możliwe, że stanąłby przed sądem, nie było wykluczone również skrytobójstwo.

Interesującą opinię o Kostku-Biernackim wydał człowiek, który spędził z nim lata internowania, Michał Browiński. Podziwiał wiedzę historyczną Biernackiego, uważał go za „znawcę i miłośnika średniowiecza, znawcę starego języka polskiego”. Kostek czytał współtowarzyszom niedokończoną własną powieść o Bolesławie Śmiałym, uznaną za „zupełnie interesującą”. Browiński cenił w byłym wojewodzie to, że zawsze był „chętny do pogawędki” i „nie czuło się w nim drapieżnego kiedyś człowieka”. Dostrzegał jednak także

złe cechy charakteru Biernackiego:

„Osobiście bardzo niesympatyczny. Miał w sobie jakiś starczy egoizm. Nigdy się z nikim niczym nie dzielił, niczym nikogo nie ugościł. Ulubioną jego potrawą była kielbasa pokrajana w plasterki i zalana octem”.

Wiosną 1945 roku nowe władze Rumunii wydały Biernackiego polskim komunistom. Znalazł się w więzieniu na Mokotowie, przygotowywano pokazowy proces. Dla PRLowskich decydentów „kat z Brześcia i Berezy” był wyjątkową zdobyczą. Miał odpowiadać za zdradę narodu polskiego, a przy okazji planowano wykazać zgniliznę moralną i etyczną sanacji.

„KostekBiernacki postawiony będzie pod pręgierzem nie tylko jako indywidualna jednostka, ale [...] będzie sądzony system rządzenia, którego był wyrazicielem jako klasyczny reprezentant faszystowskiego reżimu”.

Świadcami miały być ofiary KostkaBiernackiego z Brześcia - Karol Popiel i Władysław Kiernik. Do procesu jednak nie doszło, podobno nie zdołano znaleźć przekonujących dowodów na działalność Biernackiego w Berezie. A niebawem Popiel przestał być osiągalny jako świadek - wyjechał z kraju i już do niego nie powrócił.

Komuniści nie zrezygnowali jednak z postawienia KostkaBiernackiego przed sądem. Czekał w więzieniu na rozprawę przez siedem lat, w celi siedział między innymi z Erichem Kochem, komisarzem Rzeszy dla Ukrainy. Podobno dobrze trzymał się psychicznie, nigdy nie dał powiedzieć złego słowa na Piłsudskiego. A nie było to łatwe, komuniści traktowali go zdecydowanie gorzej niż on wrogów sanacji w Brześciu. Wreszcie w kwietniu 1953 roku stanął przed sądem, a po czterech dniach /ostał skazany na karę śmierci. Uznano go winnym „tłumienia ruchu rewolucyjnego, faszyzowania kraju, szkalowania i zohydzenia Związku Radzieckiego”. Biernacki jako wojewoda miał realizować „politykę sanacyjnego rządu faszystowskiego dławienia rewolucyjnego ruchu mas pracujących miast i wsi oraz wynaradawiania ludności ukraińskiej i białoruskiej”. A to oznaczało „działanie na szkodę Narodu Polskiego”.

KostekBiernacki miał wiele na sumieniu, ale wierzył w to, co robił i przed sądem zachował się z godnością. Blisko siedemdziesięcioletni mężczyzna nie przyznał się do winy, o nic nie prosił. Twierdził, że „akt oskarżenia jest wielką nieprawdą”, a zarzuty są „fantazją autora aktu oskarżenia”.

Karę śmierci zamieniono na 10 lat więzienia, a dwa lata później schorowany Biernacki warunkowo opuścił więzienie. Zmarł w lipcu 1957 roku.

Do końca wojny w Rumunii przebywał również Eugeniusz Kwiatkowski. Twórca Gdyni i COP powrócił po wojnie do kraju. Władze Polski Ludowej postanowiły wykorzystać

jego umiejętności, szczególnie liczone na doświadczenie Kwiatkowskiego przy odbudowie i zagospodarowaniu zniszczonego Wybrzeża. Został nawet posłem na Sejm Ustawodawczy, ale szybko przeniesiono go na przymusową emeryturę. Odsunięty od działalności publicznej (dostał zakaz pobytu nad morzem) osiadł w Krakowie i zajął się pracą naukową. U schyłku życia doczekał się jednak od władz Polski Ludowej prywatnej satysfakcji. Na osobiste polecenie Edwarda Gierka skonsultowano z nim budowę Portu Północnego w Gdańsku. Zmarł w 1974 roku w Krakowie.

Od ponurych losów członków ostatniego rządu Drugiej Rzeczypospolitej odbiegał los znanego chemika, profesora Wojciecha Świętosławskiego. Minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego przedostał się do USA, gdzie został profesorem na dwóch amerykańskich uniwersytetach. Zasłynął jako genialny wynalazca, był nawet (po wojnie) dwa razy nominowany do Nagrody Nobla. W 1946 roku powrócił do kraju i rozpoczął działalność naukową. Był jednym z twórców Katedry Chemii Fizycznej na Uniwersytecie Warszawskim, a następnie kierował Instytutem Chemii Fizycznej Polskiej Akademii Nauk. Do historii nauki przeszedł jako wynalazca kriometru, przyrządu do oznaczania stopnia czystości substancji. Co oznaczało, że dzięki jego metodzie dotychczasowy koszt jednego badania z pięćdziesięciu tysięcy dolarów zredukowano do dziesięciu dolarów.

Minister spraw wojskowych, generał Tadeusz Kasprzycki, zbiegł z internowania w 1944 roku i rozsądnie stronił od wojska i polityki. Pamiętał o losie swojego podwładnego, byłego szefa sztabu, generała Wacława Stachiewicza, którego internowano w Algierze, a następnie błąkał się bez przydziału po Londynie. Kasprzycki wyjechał do Kanady, gdzie zmarł w 1978 roku.

Pułkownik Juliusz Ulrych (minister komunikacji) po ucieczce zgłosił się w Wielkiej Brytanii do wojska, ale jako członek sanacyjnej nomenklatury otrzymał podrzędne stanowisko. Po wojnie należał do tak zwanej srebrnej brygady (czytelna aluzja do I Brygady), grupy dawnych polskich prominentów zarabiających na życie czyszczeniem sreber w londyńskim hotelu Claridge's. Karierę zawodową zakończył jako windziarz w domu handlowym Harrods.

Kierunek Turcja

Stanisław CatMackiewicz nazywał Składkowskiego wachmistrzem Soroką marszałka Piłsudskiego. Tłumaczył, że wierny Soroka również zwariowałby, gdyby mianować go kanclerzem Rzeczypospolitej. Zapewne miał rację, chociaż Składkowski nie był wcale tak ograniczonym człowiekiem, za jakiego go uważano. Uchodził jednak za „wesołego zupaka”,

a jego wierność Piłsudskiemu przekraczała granice dobrego smaku. Był doskonałym wykonawcą poleceń Marszałka, zachowywał się jak wierny sługa i tak też był traktowany.

„Składkowski miał rozmach - pisał Mackiewicz - dynamiczność, ujawniał ją w sprawach, do których dorósł, a więc przede wszystkim w sprawach klozetów i urządzeń sanitarnych. Jego reformy w tej dziedzinie były tak arbitralne i tak energicznie przeprowadzane w całej Polsce, że nazywałem go »Piotrem Wielkim w klozetowej skali«,».

Zarzucono Składkowskiemu, że miał tylko dwie metody sprawowania władzy: Berezę Kartuską i pożyczkę narodową. Było w tym dużo prawdy, bowiem był on słabym szefem rządu. Ale nigdy też nie ukrywał, że jest tylko lekarzem wojskowym, który ma wykonywać rozkazy Komendanta, a gdy go zabrakło, jego następcy.

Po przewrocie majowym był komisarzem Warszawy, następnie został ministrem spraw wewnętrznych. Z wojskową szczerością mawiał, że jest koniem ujeżdżanym przez Marszałka i gdy na jego życzenie ustępował ze stanowiska, to „jak dobry ogier, z lekka popierdując, odchodził do stajni”.

Po śmierci Piłsudskiego posłusznie objął stanowisko premiera i jego rząd okazał się najtrwalszym gabinetem Drugiej Rzeczypospolitej. Przez trzy lata sprawował funkcję prezesa Rady Ministrów, co nie było łatwym zadaniem. Składkowski był typem wykonawcy, a nad nim istniały dwa ośrodki decyzyjne: Mościcki i Rydz. Może właśnie dlatego premier koncentrował się na sprawach, na które miał bezpośredni wpływ?

Na pewno nikt nie mógł mu odmówić energii. Zarzucono mu nawet, że podczas tragicznego odwrotu we wrześniu 1939 roku nadal zwracał uwagę na czystość obejść gospodarskich i przestrzeganie zarządzeń sanitarnych. Ale premier był logiczny do bólu, wojna, jego zdaniem, nikogo nie zwalniała od przestrzegania obowiązujących przepisów. Nikt zresztą nie mógł wiedzieć, jak potoczą się wydarzenia, a raz rozprzęgniętą karność trudno potem przywrócić. Ten człowiek miał zresztą niespożyte siły i na rumuńskim internowaniu nie mógł znaleźć dla siebie miejsca. Chciał coś robić, być przydatnym dla Polski, nikt przecież nie odmawiał mu patriotyzmu. Wierzył, że jak uda mu się opuścić Baile Herculane, znajdzie się dla niego funkcja, aby mógł pracować dla dobra kraju.

Powoli szykował się do ucieczki, oszczędzając najważniejszą rzecz, czyli pieniądze.

„W dosyć drogiej restauracji Gotha jadałem od stycznia - wspominał były premier - po wyjeździe rodziny do Francji tylko raz na dzień w południe. Śniadanie i kolację wcinałem na zimno, kupując zapasy w sklepiku spożywczym zwanym tu »Gratar«. Najczęściej były to: chleb, salceson i tanie czerwone wino. W ten sposób w ciągu pół roku odłożyłem na wypadek ucieczki trochę pieniędzy z kwot wypłacanych co miesiąc przez sympatycznego pułkownika

rumuńskiego, prefekta z Lugoj”.

Składkowski uzyskał zgodę na leczenie stomatologiczne w Bukareszcie, do stolicy wybierał się również były minister sprawiedliwości Witold Grabowski. Obaj uznali, że ucieczka we dwóch będzie łatwiejsza i szybko doszli do porozumienia.

W Bukareszcie Składkowski oficjalnie zatrzymał się w jednym z podrzędnych hoteli i rozpoczął leczenie. W polskiej ambasadzie odebrał oficjalną zgodę Sikorskiego na osiedlenie się we Francji i dostał paszport na nowe nazwisko. Przy okazji poinformowano go, że nie dostanie przydziału wojskowego, ponieważ występuje „dwudziestoprocentowa nadwyżka wszystkich stanowisk lekarskich w Wojsku Polskim”.

O sprawy byłego premiera nad Loarą dbała jego żona, obywatelka francuska, Germaine Coillot. Poznali się podczas stażu generała we Francji w 1924 roku, a dwa lata później Składkowski zmienił wyznanie i uzyskał unieważnienie poprzedniego małżeństwa. Ciekawostką natomiast pozostaje fakt, że kapituła Kościoła ewangelickoreformowanego w Wilnie orzekła rozwód Składkowskiego 14 maja 1926 roku, podczas najbardziej zaciętych walk przewrotu majowego.

Na rozwód zgodziła się pierwsza żona generała, Jadwiga Szol. Małżeństwo nie układało się od dawna, partnerka wiedziała, że przegrała rywalizację z Piłsudskim, największą miłością życia męża. Pani Składkowska zadbała jednak o swe interesy, zwróciła mężowi wolność w zamian za dożywotnią rentę na wychowanie wspólnego syna. Nie była to mała kwota, Jadwiga zastrzegła sobie połowę dochodów generała. Składkowski nie zaprzestał wypłat po śmierci syna (Miłosz Składkowski zmarł w 1938 roku) i nawet przebywając na emigracji, skrupulatnie przysyłał byłej żonie określoną sumę pieniędzy.

Ostatnie miesiące internowania generał spędził samotnie, rodzinę wcześniej wyprawił do Francji. Germaine niemal codziennie słała mu czułe listy i telegramy, ich małżeństwo wyglądało na zgodne i udane. Zapewne gdyby nie miłość do męża, żona Składkowskiego nie wytrzymałaby długo w Polsce, gdzie spotykała się z ostracyzmem pań z towarzystwa. Szczególnie celowała w tym Aleksandra Piłsudska, nietolerująca drugich żon podwładnych męża. Wyjątek robiła wyłącznie dla pań, które zastąpiły zmarłe poprzedniczki, jak Maria Mościcka. Marszałkowa uważała (całkiem słusznie), że porzucenie żony na rzecz młodszej partnerki jest wysoce niemoralne. Zapomniała jednak, że kiedyś sama odebrała Komendanta znacznie od siebie starszej Marii Piłsudskiej. Inna sprawa, że Marszałek nigdy się nie rozwiódł, a Aleksandrę poślubił dopiero po śmierci pierwszej żony.

Związek z Germaine miał przynieść Sławojowi poważne problemy podczas wojny. Jego konkurentem o względy Francuzki był kiedyś pułkownik Władysław Anders, ale to

Składkowski okazał się zwycięzcą. Przyszły triumfator spod Monte Cassino nigdy tego nie zapomniał i po latach miał się zemścić na rywalu w wyjątkowo małostkowy sposób.

Przed ucieczką z internowania Składkowski popełnił rzecz, której zapewne nigdy nie wybaczą mu historycy. Generał przez trzynaście lat prowadził osobiste zapiski, notując najważniejsze wydarzenia polityczne w kraju. Łącznie zebrało się tego jedenaście grubych zeszytów zapisanych ołówkiem kopiowym. W Bukareszcie Składkowski wahał się, co z nimi zrobić:

„Nie mogę ich zostawić na przechowaniu u kogoś ze znajomych wobec niepewności sytuacji w Rumunii. Oddać ich do spalenia w kuchni hotelowej nie mogę, bo gotowi podejrzewać Bóg wie co i sprowadzić policję. Nie mogę wreszcie wieźć ze sobą tego bagażu przez komory celne do Bułgarii i Turcji, jadąc tam jako praktykujący lekarz. Jeśli oddam na przechowanie do naszej ambasady w Bukareszcie, to papiery wpadną w ręce rządu Sikorskiego, a do mnie mogą nigdy nie dojechać”.

Ostatecznie podjął decyzję o zniszczeniu notatek. Razem z Jakubem Krzemińskim cztery najważniejsze zeszyty z czasów swojego premierostwa zatopił w jeziorze pod Bukaresztem. Pozostałe stopniowo moczył w hotelowej łazience i dokładnie darł na kawałki. W ten sposób zniknęło bezcenne źródło, polska scena polityczna po przewrocie majowym widziana oczami jej uczestnika, fakty i wrażenia spisywane na gorąco. Jaka szkoda...

Składkowski i Grabowski uzyskali potrzebne wizy i wyjechali ze stolicy do Baile Herculane. Nie dojeżdżając do miejsca przeznaczenia, przesiedli się wraz z eskortującym ich kurierem do pociągu jadącego w kierunku Turcji. Problemy pojawiły się na granicy rumuńskobułgarskiej, ale zostały załatwione w typowy i skuteczny sposób, to znaczy za pomocą łapówki.

Do Stambułu dotarli dwa dni po kapitulacji Francji. Polski rząd instalował się w Londynie, sytuacja uległa całkowitej zmianie i uciekinierzy dostali zakaz opuszczania Turcji. Po raz kolejny odmówiono im przyjęcia do armii, wobec czego Składkowski poprosił o pozwolenie na wstąpienie do wojska brytyjskiego. Otrzymał nawet zgodę, ale Anglicy zmienili zdanie, a zdesperowany generał chciał nawet zaciągnąć się do armii tureckiej, uznając to za lepsze rozwiązanie niż bezczynność w Stambule. Proponowano mu również wyjazd na Cypr, ale były premier wiedział, że praktycznie oznacza to internowanie pod władzą Brytyjczyków.

W listopadzie, dzięki interwencji prezydenta Raczkiewicza, Sikorski zezwolił Składkowskiemu na wyjazd do Palestyny. Generał miał się stawić w Ośrodku Zapasowym Brygady Strzelców Karpackich. Razem z nim wyjechał też Witold Grabowski. Był to akt

dużej osobistej odwagi ze strony byłego ministra sprawiedliwości, ponieważ kilka lat przed wojną był jednym z oskarżycieli w procesie brzeskim. W Palestynie w stopniu szeregowca rozpoczął służbę w Brygadzie Strzelców Karpackich, bronił oblężonego Tobruku, wojnę zakończył w stopniu porucznika. Następnie wrócił do zawodu i osiedlił się w Etiopii, gdzie został sędzią (!). Dziwnie doprawdy układały się losy byłych ministrów ostatniego rządu Drugiej Rzeczypospolitej.

Wstyd po polsku

W Palestynie Składkowski znalazł wreszcie dla siebie zajęcie. Nie obyło się jednak bez pewnych szykan, mianowany został inspektorem sanitarnym, ale nie dostał uprawnień dowódczych i administracyjnych. Zakończyła się jednak półtoraroczna bezczynność, a miały także znaczenie przywileje związane ze stanowiskiem: służbowe mieszkanie, przyzwoite uposażenie i ordynans. Jego przełożonym został dawny podwładny, były szef Policji Państwowej, generał Józef Kordian Zamorski. Sytuacja stwarzała czasem komplikacje, Zamorski z trudem odnajdywał się w nowych relacjach. Sprawy nie ułatwiał również były premier, odmawiając „nawet form grzeczności przysługujących mu z racji jego stopnia”.

Na Bliskim Wschodzie Składkowski zachowywał się w sposób sobie właściwy. Zajęty pracą, inspekcjami i odczytami zawsze podkreślał swoją lojalność i gotowość do służby na każdym wskazanym stanowisku. Pozostał jednocześnie gorliwym wielbicielem marszałka Piłsudskiego i dbał o wizerunek publiczny swojego dawnego gabinetu. Zbierał materiały i pisał wspomnienia stawiające ostatni rząd Drugiej Rzeczypospolitej w korzystnym świetle. Ale o żadnych przypadkach niesubordynacji nie mogło być mowy, Składkowski zbyt szanował wszelkie hierarchie, aby pozwolić sobie na cień nielojalności.

Nie na wiele się to przydało, w maju 1941 roku został zaliczony do oficerów II grupy, z zastrzeżeniem, że ma pozostać bez przydziału. Uznano go za nieczynnego zawodowo, co oznaczało zmniejszenie poborów o połowę i utratę wielu przywilejów. Pobierał wprawdzie wysokie zasiłki, ale w Palestynie przebywał już z rodziną (żona, pasierbica i dwóch przybranych synów), a połowę poborów odsyłał byłej żonie do kraju. W efekcie córka Germaine z poprzedniego małżeństwa nieraz skarżyła się na dyskryminację przed francuskim konsulem.

Na problemy finansowe nałożyły się kłopoty zdrowotne, Składkowski zapadł na zdrowiu. Cierpiał na krwotoki i jako doświadczony lekarz postawił sobie diagnozę: nowotwór jelit. Konieczna stała się natychmiastowa operacja, ale do tego potrzebna była kwota stu dolarów. A tych pieniędzy po prostu nie miał.

Był jednak generałem, najwyższym stopniem polskim oficerem w Tel Awiwie, byłym premierem i ministrem, człowiekiem, który walczył o wolną Polskę. Zwrócił się zatem z prośbą o pożyczkę do rządu polskiego, ale odpowiedź Sikorskiego była jednoznaczna: premier stwierdził, że „od Polski nic mu już się nie należy!”. Zdesperowany Składkowski poprosił o pomoc dowódcę Polskiej Armii na Wschodzie generała Władysława Andersa. Tym razem w ogóle nie otrzymał odpowiedzi, niewykluczone, że Anders wyrównywał z nim prywatne porachunki sprzed niemal dwudziestu lat.

Dariusz Baliszewski przytoczył fragmenty listu Składkowskiego do prezydenta USA, Franklina Delano Roosevelta, słusznie nazywając list „dokumentem polskiego wstydu”:

Germaine Składkowska

„Pisze do Pana ostatni premier przedwojennego polskiego rządu. Człowiek, który pierwszy w Europie odważył się Niemcom powiedzieć »nie« i wydać swoim rodakom rozkaz walki na śmierć i życie... Dzisiaj ja sam prowadzę walkę o życie... Czy mógłby Pan, Panie Prezydencie, pożyczyć mi 100 dolarów na cel operacji? Zobowiązuje się słowem honoru oficera polskiego zwrócić Panu dług w trzy tygodnie po zakończeniu wojny...”.

Roosevelt okazał się człowiekiem na poziomie, niezwłocznie polecił przekazać pieniądze (wyższą kwotę niż ta, o którą prosił Składkowski). Wykluczył również jej zwrot, prosząc jedynie o informację na temat wyników operacji i postępów rekonwalescencji. Zabieg się powiódł, były premier przeżył jeszcze dwadzieścia lat. Szkoda tylko, że polskie piekło po raz kolejny dało znać o sobie.

Ostateczna emigracja

Germaine Składkowska zmarła na Bliskim Wschodzie kilka miesięcy po zakończeniu wojny. Nie żyła również pierwsza żona generała; Jadwiga Składkowska pożegnała się z tym światem w kraju pod koniec niemieckiej okupacji. Ostatnią towarzyszką życia byłego premiera została Jadwiga Dołęga-Mostowicz, a ślub odbył się w 1948 roku w Londynie. W nazwisku nowej pani generałowej nie ma żadnej pomyłki, nie jest to również przypadkowa zbieżność, Sławoj faktycznie poślubił siostrę słynnego pisarza. Wiadomość o mariażu stała się prawdziwą sensacją w polskim środowisku emigracyjnym, doskonale bowiem pamiętano sprawę pobicia Mostowicza „przez nieznaną sprawców”. Ale uczucia nie znają ograniczeń, zresztą w dalekiej Palestynie świat Drugiej Rzeczypospolitej wydawał się całkowicie nierealny. Inna sprawa, że wybranka generała nie podzielała sympatii politycznych brata, a swojego czasu działała nawet w piłsudczykowskiem BBWR.

Składkowski na emigracji objawił niespodziewany talent. Zawsze miał ambicje

literackie, ale jego dotychczasowe publikacje wywoływały uśmiech zażenowania. Osławione Strzępy meldunków są przykładem najgorszej prozy koszarowej, bełkotem bezrefleksyjnego wielbiciela Piłsudskiego. Po wojnie natomiast były premier zaprezentował się jako świetny polemista piszący znakomitą polszczyzną. Jego Nie ostatnie słowo oskarżonej i Kwiatuszki administracyjne są świadectwem dużego talentu, nic dziwnego, że byłego premiera chętnie publikował Mieczysław Grydzewski w londyńskich „Wiadomościach”.

Felicjan Sławoj Składkowski zmarł w Londynie w 1962 roku. Podczas nabożeństwa żałobnego doszło do przykrego incydentu. Na pogrzebie pojawił się generał Anders (choć nie utrzymywał ze zmarłym żadnych kontaktów) i zajął miejsce przy trumnie, niemal wypychając stamtąd wdowę. Człowiek uważający się za przywódcę polskiej emigracji przypomniał sobie, że odszedł premier ostatniego rządu wolnej Polski. Nie pamiętał wówczas, że kiedyś zignorował prośbę zmarłego o sto dolarów na ratowanie życia?

ROZDZIAŁ 6

WYSPA WĘŻY

Pułkownik Izydor Modelski

Sprawami weryfikacji wojskowych przybywających do Francji zajęło się Biuro Rejestracyjne, którym kierował pułkownik Fryderyk Mały. W rzeczywistości o wszystkim decydował pułkownik Modelski. Tej osobie warto przyjrzeć się bliżej.

Izydor Modelski służył w słynnej I Brygadzie Legionów i podczas kryzysu przysięgowego został internowany w Beniaminowie. W dniach przewrotu majowego zastąpił jednak z wyjątkowej nieudolności, co zadecydowało o jego losach. Dowodził wówczas załogą warszawskiej cytadeli i trzy tysiące jego żołnierzy mogło zapewnić zwycięstwo stronie rządowej. Modelski nie potrafił jednak podjąć decyzji, nie zaatakował piłsudczyków (pomimo rozkazów), a na koniec dał się zamknąć własnym oficerom w ubikacji. I chociaż jego niezdecydowanie zapewniło rebeliantom sukces, Marszałek nie zamierzał tolerować podobnego zachowania. Modelski został zesłany na stanowisko komendanta Powiatowej Komendy Uzuppełnień w Łunińcu, a następnie przeniesiony w stan spoczynku. Miał wówczas niespełna czterdzieści lat.

Rozgoryczony zbliżył się do Sikorskiego i jego grupy. Po klęsce wrześniowej przywrócono go do służby czynnej i mianowano pierwszym pomocnikiem (dziwaczna funkcja!), a następnie drugim zastępcą ministra spraw wojskowych. W efekcie kierował gabinetem ministra i komendą Kwatery Głównej, gdzie odpowiadał za sprawy personalne. W praktyce załatwiał osobiste porachunki.

„On to rządził - opisywał Romeyko - kierował, rozkazywał, podpisywał, niestety nie tylko w swoim imieniu, lecz i naczelnego wodza. Opowiadał mi mój przyjaciel i kolega z promocji, pułkownik Tokarz (zresztą oficer od dawna oddany, i to szczerze, Sikorskiemu), jak był świadkiem »powitania« dwóch starych druhów w Paryżu: jednego, doktora Izydora, i drugiego, majora, hallerczyka w stanie superspoczynku, Malinowskiego. Rzucili się sobie w objęcia prawie z płaczem: »Iziu, Iziu... nareszcie u władzy... Ale my tym skurwysynom pokażemy«... I pokazali”.

Każdy oficer przybywający do Francji musiał poddać się weryfikacji i dopiero po zatwierdzeniu” Jego lojalności mógł podjąć służbę. Nic dziwnego, że klikę Modelskiego porównywano na wyrost do sowieckiego Czeka. Choć usunięcie z wojska wszystkich

oficerów związanych z poprzednim reżimem i tak nie było możliwe:

„Gdyby wyeliminować z wojska wszystkich j piłsudczyków uważał Romeyko - w ogromnej proporcji lojalnych i przyzwoitych oficerów, zapewne byłby w stanie wystawić we Francji niecały batalion polskiego »Landsturmu« i to na czele z »Iziem« [Izydorem Modelskim]”.

Romeyko miał rację. Nieprzepadający za sanacją dyplomata Stanisław Zabiello zauważył, że „w armii zwolenników Sikorskiego było już bardzo mało”, ale również „zdecydowani ideowi piłsudczycy stanowili mniejszość”. Wśród kadry napływającej do Francji przeważali ludzie „niezaangażowani politycznie, ale wychowani w poszanowaniu Piłsudskiego”. A to stanowiło wdzięczne pole do selekcji i różnego rodzaju nacisków i szantażu.

Postępowanie Modelskiego i jego kliki wzbudzało sprzeciw nawet współpracowników Sikorskiego. Nikt nie mógł zakwestionować lojalności wiceministra spraw wojskowych, generała Mariana Kukiela. Ten jednak nie zapomniał, że jest uczciwym Polakiem i oficerem:

„[...] w Paryżu, w koszarach Bessiers, zaczynał się czyścić lak zwanej weryfikacji oficerów; zamiast prostego ustalenia tożsamości, stopnia, dawnego przydziału, uzależniano powołanie do wojska nie tylko wypowiedaniem się z własnej roli w kampanii, co miałyby sens, ale w stosunku do wyższych oficerów żądanie relacji, indagacje i często przewlekłe procedury. To była dziedzina pułkownika Modelskiego, który miał sprawy personalne w ręku i dokonał wiele, by zrazić wielu pełnych zapału »turystów Sikorskiego« do nowego wojska, które miało być od wrześniowego jakimś innym, lepszym, i do samego Generała”.

Dużo było w tym winy Naczelnego Wodza. Po latach odsunięty od czynnej służby generał wyznawał specyficzne priorytety. Odbijało się to na jego polityce personalnej w armii, fachowość i kompetencje przegrywały często z prywatnymi sympatiami.

„Wierność dla siebie - pisał Stanisław Zabiello - stawiał bowiem wyżej niż kwalifikacje. Zachował przyjaźń i zaufanie do ludzi, z którymi był blisko w latach niełaski i izolacji, chociaż nie wszyscy ci, którzy byli wówczas jego cennymi informatorami i pośrednikami, nadawali się potem do roli doradców szefa rządu”.

Dotyczyło to przede wszystkim Izydora Modelskiego i jego grupy. Metody Biura Personalnego miały niewiele wspólnego z honorem żołnierskim i etyką zawodu. Panowie rezydowali w paryskim hotelu „Regina” i nazwa ta stała się symbolem nowych porządków w armii.

„Jeśli nie rozpoczęto zwalczać ich bezpośrednio w »Reginie - pisał Romeyko - to jednak niszczone morale, honor żołnierski, zmuszając ich do »wkupienia« się za cenę

natychmiastowego oskarżenia reżimu, przełożonych, do plucia na wczorajsze uznawane hierarchie”.

Oburzenia nie ukrywał również generał Józef Zając, który pozytywnie przeszedł weryfikację, a nawet został dowódcą polskiego lotnictwa w randze wiceministra:

„Akcja rejestracyjna rozbijała orgię insynuacji, oskarżeń, często zupełnie nieuzasadnionych [...]. Obniżyła dyscypliny i stworzyła nieufność [...] tym bardziej że składającym nawet fałszywe i oszczercze meldunki była zagwarantowana be/, karność”.

Metody stosowane przez Modelskiego spowodowały lawiny korespondencji. Do ministrów, członków Rady Narodowej czy do Biura Personalnego napływały zwyczajne donosy:

„Od grudnia przerzucono szereg ludzi na teren Francji - meldował porucznik Mieczysław Lissowski w marcu 1940 roku - i o ile w poprzednich miesiącach agitowano przeciw wstępowaniu do armii, to od grudnia rozpoczęto wysyłać ludzi z poleceniem wstępowania do szeregów, mniej skompromitowanym zalecano dostawanie się do różnego rodzaju urzędów i komitetów opiekuńczych. [...] Szczególnie czynni mają być dziennikarze i różnego rodzaju działacze społeczni”.

Niejaki Sójka, porucznik rezerwy, donosił Kotowi o istnieniu tajnej organizacji piłsudczyków na terenie Węgier. Jednym z dowodów miał być fakt, że dwaj internowani oficerowie pod wpływem alkoholu wykrzykiwali: „do dupy z rządem generała Sikorskiego”.

Nic dziwnego, że nawet zrównoważony i wcale niekochający piłsudczyków Romeyko pisał z oburzeniem:

„[...] znalazła się poważna liczba ludzi o mniejszej lub żadnej wartości, niewątpliwie współwinnych. Można i należało zastosować w stosunku do nich odmienne sposoby postępowania, poważne, godne, aż do czasu, gdy przeciwko nim sformułują się konkretne zarzuty, z tytułu których winni odpowiadać sądownie. Lecz rozpoczęto z nimi walkę i niepoważną, i ponurą, a przede wszystkim głupią. Mam wrażenie, że były inne sposoby, żeby oddzielić plewy od ziarna; w tym przypadku wybrano nie sito, lecz rynsztek”.

Czasami jednak zdarzały się elementy humorystyczne. Oficerowie otaczający Modelskiego mieli za sobą jakąś przeszłość zawodową, a w zmienionej sytuacji nie do wszystkiego chcieli się przyznawać. Przed wybuchem wojny niejednen z nich wysługiwał się przełożonym, awans, kariera i pobory zależały często od okazywanego serwilizmu. Dotyczyło to nawet szefa Biura Rejestracyjnego, pułkownika Fryderyka Mally'ego.

„Jeden z kompletów komisji - wspominał z rozbawieniem Zabięło - przesłuchiwał między innymi Jerzego Niezbrzyckiego, który w ostatnim roku przed klęską sprawował

swojego rodzaju kontrolę nad »Polską Zbrojną«. Zapytano go, kto był autorem artykułu redakcyjnego, ogłoszonego na parę tygodni przed wojną, w którym potraktowano lekceważąco potencjał armii niemieckiej zgodnie z tendencją do pokrzepiania serc [...]. Niezbrzycki ociągał się z wymienieniem nazwiska, a gdy go do tego przymuszano, powiedział, że nazwiska podać nie może i prosi usilnie o nienaleganie. Zwiększyło to nacisk komisji, która zagroziła przesłuchiwanemu wszelkiego rodzaju sankcjami karnymi. Na to Niezbrzycki z udanym zażenowaniem powiedział: »Artykuł napisał pułkownik Mały«. Przesłuchanie przerwano natychmiast”.

Modelski dobrze zapamiętał zeznania Niezbrzyckiego; po klęsce Francji miał zemścić się na oficerze.

Obóz w Cerizay

Już kilka dni po objęciu stanowiska premiera Sikorski zwrócił się do władz francuskich z prośbą o wydzierżawienie w Paryżu więzienia dla oficerów i polityków winnych klęski wrześniowej. Francuzi odmówili, ale polscy przywódcy znaleźli inne rozwiązanie. W Cerizay koło Angers powstał Ośrodek Zborny Rezerwy Oficerów, gdzie kierowano ludzi związanych z poprzednim reżimem. Pensjonariusze obozu nazywali go Wiśniczem, była to czytelna aluzja do przedwojennego Zakładu Karnego w Nowym Wiśniczu i do znaczenia francuskiego słowa cerise (wiśnia). Złośliwi spolszczali nazwę obozu na Sereza, sugerując analogię do Berezny Kartuskiej.

Do Cerizay wysyłano na ogół ludzi mających faktycznie na sumieniu poważne grzechy. Byłego dowódcę polskiego lotnictwa Ludomiła Rayskiego oskarżano o poważne zaniedbania, chociaż generał pół roku przed wybuchem wojny podał się do dymisji, nie udało się już odrobić straconego czasu. Koncepcje Rayskiego były błędne, mało efektywne i nieekonomiczne, choć nigdy nie udowodniono mu korupcji. Z podobnych względów osadzono w Cerizay Mieczysława Abczyńskiego - byłego dyrektora Państwowych Zakładów Lotniczych.

Analizując listę rezydentów obozu, można odnieść wrażenie, że przepustką do Cerizay było posiadanie stopnia wojskowego i przynależność do piłsudczykowskiej elity, i to niekoniecznie do pierwszego czy drugiego szeregu. Większość dawnych prominentów internowano w Rumunii, a pozostali omijali Francję i ekipę Sikorskiego. Do Cerizay trafiali ludzie nienależący bezpośrednio do najwyższego szczebla władzy, jak generał Stanisław Rouppert (legionista, lekarz Piłsudskiego, prezes CWKS Legia i członek MKOL), generał Stanisław Kwaśniewski (prezes Ligi Morskiej i Kolonialnej) czy porucznik Ludwik Łubieński

(szef kancelarii Józefa Becka). Łącznie do klęski Francji w obozie izolowano 69 oficerów.

„Zebrała się wówczas w Paryżu - wspominał Karol Popiel - stosunkowo liczna grupa wojskowych, bądź nienadających się do wykorzystania w nowych okolicznościach, bądź niezdolnych do służby czynnej. Trzeba się było nimi zająć i zagwarantować im znośne warunki życia - stworzono więc specjalny obóz w Cerizay. Panowała w nim całkowita swoboda, oficerowie mieszkali w luksusowych willach z pełnym utrzymaniem, dostawali nadto pół pensji i nie mieli żadnych obowiązków”.

Nie jest to do końca prawda. Oficerowie faktycznie mieszkali w pensjonatach lub kwaterach prywatnych, ale na własny koszt. Rzeczywiście dostawali połowę pensji, ale nie mogli opuszczać miejsca pobytu, musieli ponadto codziennie meldować się w komendanturze obozu. Zgadzało się tylko jedno, nie mieli żadnych obowiązków, zostali skazani na bezczynność.

Chyba najbardziej skompromitowanym oficerem osadzonym w Cerizay był generał Stefan Dąb-Biernacki. Jeszcze przed wybuchem wojny zasłynął skandaliczną i brutalną pacyfikacją dziennikarzy w Wilnie, a podczas kampanii wrześniowej wykazał się kompletną nieudolnością zasługującą na sąd polowy. Dwukrotnie (!) zbiegł z pola walki, prezentując nie „tylko niekompetencję, ale zwykłe tchórzostwo”. To jednak nie powiedział: »Artykuł napisał pułkownik Mały«. Przesłuchanie przerwano natychmiast”.

Modelski dobrze zapamiętał zeznania Niezbrzyckiego; po klęsce Francji miał zemścić się na oficerze.

Już kilka dni po objęciu stanowiska premiera Sikorski zwrócił się do władz francuskich z prośbą o wydzierżawienie w Paryżu więzienia dla oficerów i polityków winnych klęski wrześniowej. Francuzi odmówili, ale polscy przywódcy znaleźli inne rozwiązanie. W Cerizay koło Angers powstał Ośrodek Zborny Rezerwy Oficerów, gdzie kierowano ludzi związanych z poprzednim reżimem. Pensjonariusze obozu nazywali go Wiśniczem, była to czytelna aluzja do przedwojennego Zakładu Karnego w Nowym Wiśniczu i do znaczenia francuskiego słowa cerise (wiśnia). Złośliwi spolszczali nazwę obozu na Sereza, sugerując analogię do Berezki Kartuskiej.

Do Cerizay wysyłano na ogół ludzi mających faktycznie na sumieniu poważne grzechy. Byłego dowódcę polskiego lotnictwa Ludomiła Rayskiego oskarżano o poważne zaniedbania, chociaż generał pół roku przed wybuchem wojny podał się do dymisji, nie udało się już odrobić straconego czasu. Koncepcje Rayskiego były błędne, mało efektywne i nieekonomiczne, choć nigdy nie udowodniono mu korupcji. Z podobnych względów osadzono w Cerizay Mieczysława Abczyńskiego - byłego dyrektora Państwowych Zakładów

Lotniczych.

Analizując listę rezydentów obozu, można odnieść wrażenie, że przepustką do Cerizay było posiadanie stopnia wojskowego i przynależność do piłsudczykowskiej elity, i to niekoniecznie do pierwszego czy drugiego szeregu. Większość dawnych prominentów internowano w Rumunii, a pozostali omijali Francję i ekipę Sikorskiego. Do Cerizay trafiali ludzie nienależący bezpośrednio do najwyższego szczebla władzy, jak generał Stanisław Rouppert (legionista, lekarz Piłsudskiego, prezes CWKS Legia i członek MKOL), generał Stanisław Kwaśniewski (prezes Ligi Morskiej i Kolonialnej) czy porucznik Ludwik Łubieński (szef kancelarii Józefa Becka). Łącznie do kłeski Francji w obozie izolowano 69 oficerów.

„Zebrała się wówczas w Paryżu - wspominał Karol Popiel - stosunkowo liczna grupa wojskowych, bądź nienadających się do wykorzystania w nowych okolicznościach, bądź niezdolnych do służby czynnej. Trzeba się było nimi zająć i zagwarantować im znośne warunki życia - stworzono więc specjalny obóz w Cerizay. Panowała w nim całkowita swoboda, oficerowie mieszkali w luksusowych willach z pełnym utrzymaniem, dostawali nadto pół pensji i nie mieli żadnych obowiązków”.

Nie jest to do końca prawda. Oficerowie faktycznie mieszkali w pensjonatach lub kwaterach prywatnych, ale na własny koszt. Rzeczywiście dostawali połowę pensji, ale nie mogli opuszczać miejsca pobytu, musieli ponadto codziennie meldować się w komendanturze obozu. Zgadzało się tylko jedno, nie mieli żadnych obowiązków, zostali skazani na bezczynność.

Chyba najbardziej skompromitowanym oficerem osadzonym w Cerizay był generał Stefan DąbBiernacki. Jeszcze przed wybuchem wojny zasłynął skandaliczną i brutalną pacyfikacją dziennikarzy w Wilnie, a podczas kampanii wrześniowej wykazał się kompletną nieudolnością zasługującą na sąd polowy. Dwukrotnie (!) zbiegł z pola walki, prezentując nie „tylko niekompetencję, ale zwykłe tchórzostwo”. To jednak nie przeszkadzało mu w zachowaniu dobrego mniemania o własnych umiejętnościach.

Do Cerizay zsyłano na podstawie rozkazu, chociaż niewykluczone, że niektórych osadzonych planowano z czasem postawić przed sądem. Uniemożliwiła to katastrofa Francji; w dniach kłeski nikt nie pamiętał o izolowanych. Rezydenci obozu dotarli do Anglii na własną rękę i z reguły ponownie zostali internowani. Ekipa Sikorskiego nie porzuciła bowiem pomysłu odosobnienia przeciwników politycznych. Ale tym razem odbyło się to na znacznie większą skalę.

Francuska katastrofa

Sikorski i jego otoczenie wierzyli we Francję i jej potencjał militarny. Francja uchodziła za najsilniejsze mocarstwo świata, a jej armia lądowa miała nie mieć sobie równych. Łatwo po latach ferować wyroki, ale w 1939 roku wydawało się, że Niemcy nie mają szans w konfrontacji z Francuzami i Anglikami. Wierzano, że zwycięski koniec wojny jest kwestią czasu.

Sikorski nie dostrzegał, że Francuzi po prostu nie chcieli walczyć, nie zdawał sobie sprawy z przewagi technologicznej Wehrmachtu. Oprócz przewagi technicznej armia niemiecka była nowoczesnie dowodzona, bo dostrzegano, jak znakomite rezultaty daje zmasowane wykorzystanie broni pancерnej i lotnictwa.

Cała kampania na zachodzie trwała zaledwie sześć tygodni. 10 maja 1940 roku hitlerowcy zaatakowali Belgię i Holandię, nie ryzykując natarcia na słynną Linie Maginota. Holandia poddała się po pięciu dniach, Bruksela padła dwa dni później. Anglicy ewakuowali się z Dunkierki, pozostawiając cały sprzęt na plażach, a do ogłoszonego otwartym miastem Paryża Niemcy wkroczyli 14 czerwca.

Kłeska Francji umożliwiła inne spojrzenie na kampanię wrześniową. Nagle okazało się, że Polacy wcale nie przegrali tak łatwo wojny, że walczyli z Niemcami aż do chwili, gdy Armia Czerwona wkroczyła od wschodu. A nawet jeszcze dłużej. Teraz zaś pod ciosami Wehrmachtu padła bez większego oporu armia uważana za najlepszą w Europie, dodatkowo wspomagana przez kilkuset tysięcy Brytyjskie Siły Ekspedycyjne.

Trudno mieć pretensje do Sikorskiego o wiarę w potęgę sojusznika, ale zachowanie Naczelnego Wodza w dniach kampanii francuskiej zasługuje na słowa największego potępienia. A może nawet na sąd polowy. Nad Sekwaną powtórzyła się katastrofa z września 1939 roku, historia, która nie miała prawa ponownie się wydarzyć. W ciągu kilku tygodni ekipa Sikorskiego doprowadziła do niemal całkowitej zagłady polskich formacji zbrojnych i do tragedii uchodźców cywilnych.

Armia polska we Francji liczyła około dziewięćdziesięciu tysięcy żołnierzy, nad Sekwaną przebywały również tysiące polskich emigrantów. Niewielu ich dotarło do Anglii czy USA, a jeżeli tak, to najczęściej na własną rękę. Przepadło również polskie złoto z takim trudem uratowane przez Matuszewskiego i Rajchmana (odzyskano je dopiero po dwóch latach).

„Od dnia 9 do 17 czerwca - opisywał wydarzenia ambasador Juliusz Łukasiewicz - premier Sikorski przebywał poza siedzibą rządu [...]. Sam twierdził, że był na froncie, są jednak poszlaki po temu, że czas ten spędził w Kwaterze Głównej Francuskiej. Nie było w

każdym razie wiadomości, aby przyjmował osobiście udział w bitwach toczonych przez naszą pierwszą dywizję. W przeciągu tego czasu premier Sikorski wykazał natomiast przerażający i zgubny dla interesów polskich brak orientacji w rozwoju sytuacji Francji. Dał jaskrawy dowód tego w telefonogramach nadawanych do Angers jeszcze 11 i 12 czerwca, w których stwierdzał, że sytuacja na froncie »jest dobra i będzie lepsza«, i polecał nie spieszyć się z ewakuacją. Wiadomo jest, że właśnie dnia 12 czerwca rząd francuski zwrócił się do rządu angielskiego z prośbą o zwolnienie ze zobowiązań sojuszniczych, ponieważ ocenił sytuację na froncie jako katastrofalną”.

Sikorski nie mógł uwierzyć w to, czego był świadkiem. Inna rzecz, że nikt przy zdrowych zmysłach przez dłuższy czas nie zdawał sobie sprawy ze straszliwej klęski Francji. Generałowie znad Loary nie rozumieli, co się dzieje, gdy Niemcy atakowali potężnymi zgrupowaniami pancernymi, a Luftwaffe panowała w powietrzu. Przecież pod względem liczebności samolotów czy czołgów sprzymierzeni dorównywali Niemcom, a nawet ich przewyższali. Ale francuskie czołgi porzucano w małych związkach po całym froncie, a Niemcy używali zgrupowań potrafiących przełamać linie obrony przeciwnika, a następnie pokonywać kilkadziesiąt kilometrów dziennie. Lotnictwo niemieckie natychmiast zdobyło przewagę w powietrzu. Sprzymierzeni nie wyciągnęli wniosków z kampanii wrześniowej, nie zadbali o rozlokowanie samolotów na lotniskach polowych, maszyny stacjonowały w bazach dobrze znanych przeciwnikowi, a piloci zachowywali się tak, jakby pracowali w biurze.

„Służba na lotnisku toczyła się prawie jak w czasie pokojowym - wspominał pilot myśliwski Waclaw Król. - Tylko jeden klucz alarmowy pełnił ją od wschodu słońca, reszta pilotów przyjeżdżała na godzinę 7.30. Wieczorem sytuacja wyglądała podobnie - pozostawał na lotnisku klucz alarmowy, pozostali piloci jechali na kwatery, by załatwić swoje sprawy i poczynić ewentualne zakupy na mieście. Na kolacji spotykaliśmy się wszyscy razem - oficerowie w swoim kasynie, podoficerowie mieli kasyno w innym miejscu”.

Nic dziwnego, że gdy Niemcy rozpoczęli ofensywę, francuskie lotnictwo poniosło ogromne straty. Wiele maszyn zostało zniszczonych na ziemi podczas pierwszego nalotu na lotniska.

Był jednak we Francji oficer, który przewidział podobny rozwój wypadków. Pułkownik Charles de Gaulle kilka lat wcześniej ogłosił pracę, w której pisał, że przyszła wojna będzie miała charakter manewrowy, a decydującą rolę odegra broń pancerna. Nad Sekwaną uznano to jednak za niemożliwe, efekty tego poglądu okazały się katastrofalne.

Francuzom dorównywali Anglicy. Dowódcy brytyjscy wychowani na wzorcach wojny pozycyjnej nie potrafili przeciwstawić się Niemcom. Brytyjskie Siły Ekspedycyjne cofały się

w popłochu w kierunku kanału La Manche, aby pod koniec maja obsadzić Dunkierkę. Dalej było morze i zapadła decyzja o ewakuacji, która okazała się jednym z najdziwniejszych wydarzeń drugiej wojny światowej. Poza okrętami wojennymi i flotą handlową brały w niej udział setki kutrów rybackich, jachtów prywatnych czy łodzi sportowych. Wojsko pozbawione ciężkiego sprzętu ładowano bezpośrednio na plażach, pilnowano tylko, aby każdy żołnierz miał przy sobie karabin. W ciągu ośmiu dni wywieziono ponad trzysta tysięcy żołnierzy, co nad Tamizą uznano za wielki sukces. Na francuskich plażach zostało jednak około stu tysięcy pojazdów i dział, a jedną z największych tajemnic dwudziestego stulecia jest decyzja Hitlera o nieatakowaniu Dunkierki. Ewakuujących się nękało wyłącznie lotnictwo, wojska pancerne natomiast zatrzymały się przed portem. Hitler pozwolił Anglikom opuścić Francję, licząc zapewne, że dzięki temu uda mu się zawrzeć pokój sankcjonujący jego zdobycze. Anglicy jednak wcale nie zamierzali pogodzić się z niemiecką hegemonią na kontynencie. Okazało się niebawem, że mają więcej hartu ducha niż ich sprzymierzeńcy z nad Sekwany.

Francuzi zresztą od początku nie zdradzali chęci do walki. Wspomnienia polskich emigrantów przemierzających kraj w dniach klęski na froncie są zadziwiającą lekturą:

„Przed południem w Ministerstwie Pracy na rue de Vaugirard - wspominał 3 czerwca Andrzej Bobkowski. - Przed wejściem jest tam trawnik i drzewa. Po trawniku chodzą dwaj policjanci, pochylają się, przystają, znowu pochylają. Nie mam czasu, ale zatrzymuję się z ciekawością. W końcu podchodzę bliżej i pytam się, czy czegoś szukają.

- Mais oui, Monsieur, szukamy czterolistnych koniczyn. Chce pan jedną? - To mówiąc, jeden z nich podaje mi piękny okaz z miłym uśmiechem. Biorę i chowam w notesiku. Uśmiecham się także. Ludwik XVI w dzień zdobycia Bastylji zapisał w swoim dzienniku: Rien”.

To nie był wyjątek, cztery dni później Bobkowski z niedowierzaniem obserwował zachowanie mieszkańców francuskiej stolicy:

„W Paryżu spokój, na zewnątrz nie widać żadnego zdenerwowania. Czasem tylko przemyka ulicą samochód wyładowany walizkami, z pościelą na dachu. Ludzie wyjeżdżają, jak mogą. Czuję dosłownie pod ręką szybkość przebiegania wypadków - jest to tak szybkie, że wydaje się nierealne. Pracuję normalnie, piję zimne piwo po bistrach, czytam gazety i trudno mi uwierzyć, że Niemcy są już o 120 kilometrów od Paryża. Teraz już tylko czekam, co dalej i patrzę”.

Trzynastego czerwca na konferencji w Tours Francuzi oświadczyli Anglikom, że zmuszeni są poprosić o pokój. Na dwustronne rozmowy nie zaproszono Polaków, Sikorski nie

dostał też żadnej oficjalnej wiadomości. Trzy dni później premierem Francji został marszałek Pétain, a 22 czerwca Francja skapitulowała.

Wszystkie grzechy generała Sikorskiego

„Największy przeciwnik generała Sikorskiego (czyjego polityki) - pisał Marian Romeyko - nie byłby w stanie odmówić mu olbrzymiej zasługi w dokonaniu dwukrotnej odbudowy Polski na obczyźnie - wpieryw we Francji, następnie w Anglii”.

Trudno się z tym nie zgodzić, ale w dniach kampanii francuskiej Sikorski funkcjonował w odmiennej rzeczywistości. Piętnował wszelkie przejawy defetyzmu (informacje o klęskach armii francuskiej), nie chciał słyszeć o przygotowaniach do ewakuacji. W efekcie polskie władze nie zdawały sobie sprawy z powagi sytuacji.

„Najmniej orientował się sam generał Sikorski - wspominał CatMackiewicz. - Dnia 29 maja generał Weygand [głównodowodzący armią francuską - S.K.] przewidywał ewentualność kapitulacji. Dnia 4 czerwca generał Sikorski wygłosił przed Radą Narodową w Angers exposé o sytuacji wojennej. Rada Narodowa mieściła się w Angers, w hotelu »Pod Białym Koniem«. Przyniesiono mapy do sali obrad, rozwieszono je na ścianie. Generał Sikorski włożył okulary, a wtedy jego twarz traciła sztuczną marsowość, stawała się starszą, pocciwszą i sympatyczną. Generał wyjaśnił nam przyczyny »niepowodzeń« francuskich i zakończył exposé informacją, że obecnie sytuacja jest nie tylko opanowana, lecz »odwrócona«. Trzeba jednak przyznać, że jeśli generałowi wyrwało się jakieś spostrzeżenie bardziej realne, to zawsze znalazł się jakiś patriotyczny członek Rady Narodowej, który wtedy zauważał, że chyba nie jest tak źle, i dobry generał się zgadzał”.

Sytuacja na froncie dla nikogo nie była tajemnicą, francuski minister spraw zagranicznych lojalnie uprzedził Zaleskiego, że położenie jest beznadziejne i pozostało zaledwie kilka dni. Ministrowie i Rada Narodowa przenieśli się do Libourne, gdzie Kot ogłosił, że „kto chce się ewakuować, ten jest tchórzem i panikarzem”.

Siedemnastego czerwca w Libourne pojawił się wreszcie Sikorski i zwołał posiedzenie rządu.

„[...] na skutek nalegań premiera francuskiego oraz nalegań ambasadora francuskiego - pisał Łukasiewicz - została powzięta decyzja wyjazdu do Anglii na statkach angielskich Pana Prezydenta, rządu i części urzędników. Premier Sikorski, zamykając obrady, oświadczył, że co do wyjazdu do Anglii pozostawia ministrom wolną rękę, a on sam jako Naczelnny Wódz zostanie we Francji i będzie dzielił los naszych wojsk”.

Premier przypomniał sobie, że jest głównodowodzącym armii, a członkom gabinetu

pozostawił do uznania decyzję o opuszczeniu Francji! Ale to nie wszystko. Następnego dnia Kot sporządził tajną listę osób przeznaczonych do ewakuacji, oficjalnie jednak ogłaszając, że Libourne jest nową siedzibą rządu i nie ma mowy o dalszej ucieczce.

„Odbyli jeszcze - kontynuował Łukasiewicz - posiedzenia Rady Ministrów 17 czerwca wieczorem i 18 czerwca rano, na których wieszowali sobie pozostania na kontynencie i odwagi. Rezultat był taki, że na dwa statki, którymi miał wyjechać rząd i urzędnicy w ilości 304 osób, załadowało się tylko 79 osób. Po posiedzeniu porannym dnia 18 czerwca Rada Ministrów dla przyczyn niewyjaśnionych rozpięzła się”.

Faktycznie, ministrowie Marian Seyda i Józef Haller znaleźli się w Hiszpanii (następnie w Lizbonie), a Henryk Strasburger i Stanisław Stroński trafili na okręt, na którym był już prezydent i August Zaleski. Sikorski, wbrew obietnicom, odleciał do Wielkiej Brytanii angielskim hydroplanem, po dwóch dniach wrócił na kilka godzin, aby ostatecznie opuścić Francję.

„Panika i bezwład w zarządzeniach osób - relacjonował ksiądz Zygmunt Kaczyński - kierujących ewakuacją kopiowane były z sanacji [...] na łasce losu pozostawiono tysiące ludzi [...] bez żadnej opieki i środków do życia i dachu nad głową. Ludzie ci przeklinali i złorzeczyli rządowi, a zwłaszcza czynili odpowiedzialnymi za wszystko, co ich spotkało od ministrów Kota i Stańczyka”.

Kota oskarżano tym razem chyba niesłusznie. W tych tragicznych dniach profesor był jedną z nielicznych osób zachowującą spokój i niepoddającą się panice. Stary wróg piłsudczyków „nie stracił głowy i wykazał konieczną energię”.

I właściwie tylko on zanotował jakieś sukcesy. Załatwił „wyasygnowanie trzymiesięcznej odprawy dla wszystkich urzędników państwowych [...] ściągnięcie z zamku nad Loarą [...] skarbów wawelskich (w tym arrasy) i wyekspediowanie ich za morze, sprowadzenie z Lourdes i wysłanie do Anglii archiwów angielskich”.

Kot uważał, że „sojusz obowiązuje i wróg pozostaje ten sam”. Ostro sprzeciwił się więc Mackiewiczowi i Bieleckiemu, którzy proponowali porozumienie z Niemcami.

Z perspektywy lat można oburzać się na pomysły członków Rady Narodowej, ale zwróćmy uwagę na kontekst sytuacji. Polska pozostawała pod okupacją niemieckosowiecką, a najpotężniejszy sojusznik, czyli Francja, poniósł właśnie największą klęskę w dziejach. Niemcy rządili w Paryżu, wcześniej opanowali Norwegię, Danię, Belgię i Holandię, a Stalin dokonał aneksji krajów bałtyckich, wymuszając ustępstwa terytorialne na Rumunii i Finlandii. Po stronie Hitlera do wojny przystąpiły Włochy; Czechy i Austrię włączono do Niemiec, zwierzchnictwo III Rzeszy uznawały Rumunia, Słowacja, Bułgaria i Węgry. Po

przeciwnej stronie pozostawała wyłącznie osamotniona Anglia, w której odzywały się głosy nawołujące do uznania niemieckich zdobyczy i zaprzestania dalszej wojny. Okupacja hitlerowska w Polsce nie przybrała jeszcze swoich najtragiczniejszych form, ale należało bronić interesów narodu. Łatwo jest ferować wyroki po latach, kiedy już wiemy, jak potoczyły się wydarzenia. Ale wtedy, latem 1940 roku, każde rozwiązanie wydawało się lepsze niż dopuszczenie do dalszych sukcesów duetu HitlerStalin.

Nie zwalnia to jednak z odpowiedzialności generała Sikorskiego. Człowiek, który krytykował sanację, zachował się niemal identycznie jak SmigłyRydz. A nawet gorzej, bo w decydujących dniach po prostu zniknął.

A żołnierz polski jak zwykle bił się do końca, najczęściej w otoczeniu kapitulujących Francuzów. Sikorski miał ambicje walki o honor, co przyniosło tragiczne efekty. Na front trafiały jednostki nie do końca wyszkolone i uzbrojone, bez uzasadnienia strategicznego. Bezmyślnie zaprzepaszczano w Bretanii Samodzielną Brygadę Strzelców Podhalańskich - jednostka wylądowała we Francji, gdy klęska sojusznika była już przesądzona.

Polacy nie zamierzali poddawać się Niemcom, dla nich wojna jeszcze się nie skończyła. Tysiące polskich żołnierzy z rozbitych oddziałów przekradało się do zbawczych portów na południu Francji. Ci, którym hitlerowcy zamknęli drogę, kierowali się do Szwajcarii i Hiszpanii. Cel był jeden: przedostanie się do Wielkiej Brytanii. Generał Stanisław Maczek rozformował pozostałości Brygady Kawalerii Pancerniej i polecił w małych grupkach kierować się przez okupowane tereny do Marsylii. Zadanie było karkołomne, Polacy nie znali języka, nie mieli też map terenów, przez które mieli się przedzierać.

„Po zatrzymaniu pod wieczór w lesie - wspominał generał - przed główną arterią do Dijon zapchaną kolumnami niemieckimi, zwołałem krótką odprawę. Kazałem, na co wszyscy się zgodzili, nie znajdując innego wyjścia, podzielić się na małe grupy i tak przekradać się dalej w kierunku południowozachodnim pod przewodnictwem oficerów czy najenergiczniejszych żołnierzy. Rozdzieliliśmy pieniądze i skąpe zapasy. Sztab mój wziął się energicznie do rysowania setki szkiców dróg i miejscowości, wedle posiadanej jedynej mapy samochodowej »Michelina«. Uzgodniliśmy, jak się szukać i dokąd kierować, gdy się znajdziemy w części Francji niezajętej przez Niemców”.

O poziomie orientacji Naczelnego Wodza w sytuacji na froncie świadczy fakt, że wydawał rozkazy polskiej dywizji, przemawiając do mikrofonów radia BBC! Polecił cofać się na granicę szwajcarską, coś podobnego nie zdarzyło się nawet w tragicznym wrześniu 1939 roku.

Dowódcy przejawiali własną inicjatywę, granicę szwajcarską przekroczone przed

wydaniem słynnego rozkazu (na szczęście, bo wywiad niemiecki regularnie słuchał radia BBC), a z Syrii Brygada Strzelców Karpackich przeszła do Palestyny znajdującej się pod kontrolą brytyjską.

Resztki polskich oddziałów (około dwudziestu tysięcy ludzi) wywieziono na jednostkach angielskich, uratowano natomiast niemal wszystkich polskich lotników. Niebawem mieli się okazać bardzo przydatni.

Ekipę Sikorskiego obciąża jeszcze tragiczny los tysięcy cywilnych emigrantów. Po raz drugi w odstępie zaledwie kilku miesięcy ludzie ci uciekali przed niemieckimi zagonami, a rząd kompletnie ignorował ich potrzeby. Uchodźcy w panice szukali ratunku na południu Francji, jak najdalej od zwycięskiego Wehrmachtu.

„Na przestrzeni między Bayonne a granicą hiszpańską - przyznawał Kot - widziałem tysiące polskiej ludności cywilnej, pozostawione bez żadnej opieki, pozbawione wszelkiej informacji, niejednokrotnie bez żadnych środków do życia, w nastroju rozpaczycy”.

Tłumy uchodźców próbowały zdobyć miejsce na statkach odpływających do Wielkiej Brytanii czy USA i we francuskich portach działy się dantejskie sceny.

„W Tuluzie - wspominał Bobkowski - jest jeszcze polski konsul, jak nas zapewniano po drodze. Zajeżdżamy przed budynek. W bramie i na podwórzu pełno rodactwa. Robotnicy, żony oficerów, polscy żołnierze. Konsulat płaci podobno jakieś zapomogi i ludzie czekają. Nastrój potworny. Wszyscy są wystraszeni, opowiadają niestworzone rzeczy, marzą o otrzymaniu wiz hiszpańskich lub portugalskich, byle jechać dalej. Inni już wracają do Polski, natychmiast, w tej chwili. Niemcy mają już podobno specjalną placówkę w Lyonie, która namawia i werbuje Polaków do powrotu. Ten już wyjechał prosto do Warszawy, tamten wyjeżdża dzisiaj. Jakiś jegomość biega i zaklina na wszystkich świętych, że można otrzymać wizę chińską”.

Setki Polaków przekraczały granicę hiszpańską bez wiz i trafiały do obozów generała Franco. Nielicznym udawało się osiągnąć zbawczą Lizbonę, skąd rozpraszali się po świecie, przeklinając Sikorskiego i Francuzów.

Mieczysław Lepecki dotarł do Portugalii, gdzie odbył ciekawą rozmowę z jednym z urzędników polskiej ambasady:

„Wszyscy byli pewni, że Niemcy wkroczą do Portugalii lada dzień i napierali na Dubicza, aby odesłał ich do Anglii lub za ocean. Wielu domagało się zapomóg, gdyż byli bez żadnych zasobów.

Do mnie, na osobności, Dubicz powiedział: - Na wyjazd do Londynu nie liczcie. Kot z Modelskim przebijają w uchodźcach jak w ulęgawkach. - Nie chciało mi się w to wierzyć.

Byłem przecież we Francji w wojsku. - Jak to, więc żołnierzy nie potrzebują? - zapytałem.

Do Londynu się nie dostałem. Postanowiłem więc opuścić Portugalię i udać się do Brazylii”.

Niezatapialny premier

Nasze władze zostały owacyjnie przyjęte przez Anglików. Pomimo francuskiej katastrofy Polacy pozostali jedynymi liczącymi się sojusznikami (Wolnych Francuzów de Gaulle’a było wówczas zaledwie około tysiąca), bo w obliczu hitlerowskiej inwazji potrzebny był każdy żołnierz. Anglikom zależało na zachowaniu pozycji Sikorskiego, znali go już wcześniej, liczyli na to, że, zawdzięczając stanowisko gospodarzom, stanie się posłusznym wykonawcą ich poleceń. Jeszcze ważniejszy był trzeźwy stosunek generała do ZSRR i Kresów Rzeczypospolitej. Sikorski był dość elastyczny, nie wykluczał porozumienia ze Stalinem (nawet kosztem ustępstw terytorialnych), a Brytyjczycy liczyli na skłócenie Sowietów z Niemcami.

„Sikorski miał mentalność satelicką - pisał Stanisław Zabiełło. - Całe życie był zwolennikiem jakiejś orientacji, w latach I wojny światowej - austriackiej, w okresie II Rzeczypospolitej - francuskiej, po klęsce Francji - angielskiej. Nie wyobrażał sobie nigdy innej polityki dla Polski, jak w oparciu o możnego protektora”.

A może po prostu był realistą? Inna sprawa, że zaprzepaszczenie polskiej armii we Francji wymagało wyjaśnień. Nikt nie miał wątpliwości co do odpowiedzialności Sikorskiego, a polityków popierała większość kadry oficerskiej.

„Zarzucano mu - pisał Sosnkowski - mylną, nacechowaną optymizmem narodowym ocenę z jego strony rzeczywistości wojennej, katastrofę polskich jednostek wojskowych, improwizowaną i spóźnioną ewakuację pozostałości naszego politycznego i militarnego stanu posiadania we Francji. Wszystko to razem nasuwało wiele analogii do września w Polsce, który stał się przecież dla rządów na obczyźnie w polityce wewnętrznej głównym i nadużywanym narzędziem nowego systemu”.

Akcja przeciwko Sikorskiemu przyniosła sukces i niespełna miesiąc po kapitulacji Francji Raczkiewicz wręczył premierowi dymisję. Za plecami generała uzasadniano decyzję prezydenta „kompletnym egocentryzmem”, brakiem kompetencji politycznych i „promowaniem nienawistnego wszystkim Kota” Nowym premierem miał zostać Zaleski, co skłóciło pozostałych ministrów. Niezadowoleni byli również Brytyjczycy, a problem rozwiązała grupa oficerów pod dowództwem pułkownika Klimeckiego. Udała się do Zaleskiego z bronią (!) i wymusiła na nim rezygnację.

Oficerów biorących udział w akcji ukarano naganami, ale pułkownik Klimecki niebawem otrzymał z rąk Sikorskiego awans generalski.

To jednak chyba nie wszystko, ofiarą brutalnej interwencji padł również prezydent:

„[...] prezydent Raczkiewicz - stwierdził Dariusz Baliszewski - chciał skorzystać ze swych prerogatyw i odwołać nieudolnego, w jego pojęciu, skompromitowanego francuską klęską generała Sikorskiego, ale do prezydenckiego gabinetu w nocy wtargnęło kilku wysokich polskich oficerów z odbezpieczoną bronią, by przekonać prezydenta, że premierem polskiego rządu może być tylko generał Sikorski. Argumenty okazały się znakomicie przekonujące”.

Podstawowe znaczenie miała opinia nowych gospodarzy i polscy politycy zawczasu starali się o poparcie Anglików. Na tym tle dochodziło do gorszących wydarzeń, takich jak konflikt profesora Kota z wiceministrem Zygmuntem Gralińskim. Panowie prowadzili wojnę podjazdową, aż wreszcie spotkali się twarzą w twarz na londyńskiej ulicy:

„[...] zauważyłem idącego naprzeciw mnie pana Stanisława Kota - relacjonował Graliński. - Nie mając zamiaru osobistego zetknięcia się z panem Kotem, zdecydowałem się przejść na drugą stronę ulicy. [...] Gdy znajdowałem się na środku jezdni, pan Stanisław Kot przystanął i zwracając się w moją stronę, splunął kilkakrotnie w moim kierunku i głośno krzyknął pod moim adresem »Wstrętny tchórze, świnia jedna, łajdaku«. - Nie chcąc wywoływać zajścia [...] powstrzymałem się niebywałym wysiłkiem od bezpośredniego zareagowania na doznaną obrazę”.

Awantura zapoczątkowała lawinę protokołów sądów honorowych i opinii partyjnych, aż wreszcie Gralińskiego wysłano z misją dyplomatyczną do Kanady. Nie objął jednak stanowiska za oceanem, podczas podróży jesienią 1940 roku zginął bowiem na storpedowanym statku handlowym.

Nic nie można było natomiast zarzucić zachowaniu Sosnkowskiego. Generał po raz kolejny przedłożył dobro Polski ponad osobiste ambicje i odmówił przyjęcia stanowiska Naczelnego Wodza. Nie wszyscy jednak uważali, że Sosnkowski postąpił właściwie, pojawiały się głosy zarzucające mu brak zdecydowania i niechęć do brania spraw we własne ręce.

„Gen. Kazimierz Sosnkowski nie był pozbawiony ogromnych zalet umysłu - zauważył słusznie Zabiello - chociaż zwykle lepiej wiedział, jak należy postępować, niż co trzeba robić. Brakowało mu zawsze decyzji, siły woli i przebojowości [...]”.

Pozostałością nieudanej próby obalenia Sikorskiego stała się kuriozalna wykładnia sposobu odwoływania urzędującego premiera. Według nowego pomysłu naszych polityków

prezydent miał „powoływać nowego szefa rządu w porozumieniu z ustępującym premierem (!) i partiami politycznymi”.

Nad Tamizę błyskawicznie powróciły obyczaje z Angers.

„Zaraz po przyjeździe do Londynu - pisał Stanisław CatMackiewicz - rząd pomieścił się w małym domu niedaleko polskie j ambasady na Portland Place, w który to dom zaraz uderzyła bomba niemiecka. Potem zaczęto zajmować gmachy w całym Londynie, aż nawet wywołało to cierpkie uwagi w prasie angielskiej. W każdej niemal z centralnych dzielnic Londynu działało jakieś niesłychanie ważne biuro polskie, z trudnością wynajdujące zajęcie dla swoich urzędników. Pisywano na przykład referaty o wpływie krajobrazu na konfigurację granic i inne podobne”.

W brytyjskiej stolicy przebywało rzeczywiście zbyt dużo polskich oficerów i urzędników. Usiłowano znaleźć dla nich zajęcie, co czasami przynosiło kuriozalne efekty. Jak to z reguły bywa, kolega protegował kolegę, a znajomy znajomego. W efekcie wojska lądowe miały własną rozbudowaną administrację, lotnictwo własną, oddzielną również marynarka wojenna.

„Rozkwitła natomiast administracja - wspominał Janusz Meissner - pęcznieje lotniczy sztab w Londynie, a tu co kilka dni powstają nowe dowództwa, komendantury, wydziały, których szefami zostają pułkownicy i dyplomowani majorowie, ciągle jeszcze różnymi drogami napływający z Francji. Jest już nawet Lotnicze Biuro Historyczne [...]. Wszystko robi się na wyrost i raczej »w ciemno«, przed podpisaniem umowy o formowaniu Polskich Sił Zbrojnych, której specjalny aneks będzie dotyczył organizowania Polish Air Force”.

Najważniejszym z londyńskich gmachów był hotel „Rubens” - siedziba Naczelnego Wodza. Złośliwi twierdzili, że z powodu nadmiaru oficerów polskich w porównaniu do żołnierzy, najmniej przydatnych kierowano właśnie do „Rubensa”. Mawiali też, że „Polskę zgubili trzej malarze: Hitler, Rydz i Rubens”.

Poziom intelektualny rezydujących tam oficerów rzeczywiście nie mógł być specjalnie wysoki, albowiem jeden z nich zauważył:

„Wiem, że Hitler coś pacykował, wiem, że marszałek Rydz miał być malarzem, ale co ma hotel wspólnego z malarstwem, tego nie rozumiem”.

Braki w wykształceniu ogólnym nie przeszkadzały w prowadzeniu luksusowego życia. Czytając wspomnienia osób odwiedzających hotel, trudno uwierzyć, że trwała wojna. Otoczenie Sikorskiego w „Rubensie” zachowywało się jak polska generalicja przed wojną u „Simona i Steckiego”.

„Kilkuset oficerów - opisywał Stefan MękarSKI - zasiada codziennie do stołów, przy

bufecie tłok. Szczupaki faszerowane, mózdzki, barszcze, sałatki, sherry, whisky - jakiś przeniesiony z Warszawy Bousquet czy bar europejski: polska kuchnia. Szaleństwo jedzenia. W salce za bufetem Naczelný Wódz podejmuje jakichś oficerów obiadem. To podobno obiad najwyższych sztabowców »Rubensa«. Widzę przez uchylone drzwi Naczelnego Wodza. Rozmawia w skupieniu z młodym generałem. Kelner we fraku roznosi półmiski. »Pan Dyrektor« z »Batorego« kieruje ceremonią stołu, z namaszczeniem wskazuje kelnerowi talerz Naczelnego Wodza”.

Awansowany do stopnia generała Izidor Modelski prowadził dziwną grę. Zajadły przeciwnik piłsudczyków tym razem chyba zaplątał się we własne intrygi. Nie bardzo było wiadomo, po której jest stronie, można podejrzewać, że siał zamęt z przyzwyczajenia, z samej potrzeby intrygowania.

„Wyżywał się jak miniaturowy Fouché - wspominał generał Kukieł - z pasją badawczą w stosunku do personaliów wojskowych i niewojskowych, do śledzenia ich przeszłych i nowych grzechów, a konspirowania zarazem z kółkami młodzieży i paktowania z »Łańcuszkiem« [organizacja oficerska zwalczająca Sikorskiego - S.K.]. Aż wreszcie stało się oczywistym, że inspiruje i podsycą krytykę polityki wojskowej Sztabu (to jest Sikorskiego) w środowiskach politycznych i w Radzie, gdzie miał być jego rzecznikiem. Sytuacja stawała się nieznośną”.

Polskie instytucje w angielskiej stolicy z ironią obserwował również Słonimski. Pan Antoni miał jednak dobre stosunki z ekipą Sikorskiego, dlatego w jego wspomnieniach jest mniej złośliwości, a więcej nostalgii.

„Państwo polskie w miniaturze podatne było do obserwacji jak mrowisko umieszczone pod szkłem w terrarium. W jednej salce Paddingtonu schodził się niemal cały świat polityczny, a w przyległym gabinecie odbywały się narady i negocjacje rządowe. Gdy ludowcy grozili, że wyjdą z gabinetu, mogło to po prostu oznaczać, że chcą zjeść na ogólnej sali [...]. W ogromnym Londynie żyliśmy w małej Polsce emigracyjnej. Skłócenia w rozgrywkach frakcyjnych i osobistych, myślami byliśmy jednak bliżej kraju”.

Szkockie niepokoje

Sikorski mógł przekonać polityków, a jego podwładni sterroryzować prezydenta, ale nie potrafił zdobyć uznania kadry oficerskiej. Francuska katastrofa pogłębiła rozdźwięk i już nie tylko zajadli piłsudczycy krytykowali Naczelnego Wodza.

„Wyraźne oznaki agitacji - donosił porucznik Missor generałowi Modelskiemu - objawiły się już w Le Verdón i na statku »Clan Fergusson«, kiedy to pułkownik Szczyński,

podpułkownik Pęczkowski i szereg innych oficerów z Cenzay rozpoczęło głośną i publiczną krytykę rządu i Naczelnego Wodza w związku z zarządzeniami odnoszącymi się do ewakuacji wojska i emigracji cywilnej we Francji. Upadek wszelkiej dyscypliny ujawnił się na statku w sposób zastraszający przy równoczesnym braku jakiegokolwiek reakcji ze strony polskiego dowództwa”.

A jak miało zareagować dowództwo? Białe pozostaje białym, a czarne czarnym. Zbyt mało czasu upłynęło od katastrofy nad Sekwaną, aby zmienić zdanie na temat Sikorskiego. Tym bardziej że oficerów internowanych w Cerizay pozostawiono własnemu losowi.

„Po przybyciu do Glasgow - kontynuował Missor - zauważyliśmy dużą ruchliwość, którą okazywali tak zwani serizejczycy. Odbywali oni gdzieś na mieście jakieś narady, jednak byli jeszcze zdezorientowani i prawdopodobnie nie mieli ustalonej linii działania. W dalszym ciągu prowadzili wyteżoną agitację, atakując zarządzenia władz wydane w związku z ewakuacją i warunkami, w jakich przebywali w Glasgow oficerowie polscy”.

Dodatkowym problemem stał się nadmiar oficerów, kadra oficerska stanowiła aż jedną czwartą składu osobowego armii. Nietypowo również kształtowały się stosunki wśród szeregowców, przeważali inteligenci, a więcej niż połowa miała przynajmniej małe matry. Ludzie ci byli ambitni, mieli własne zdanie i głośno je wyrażali. Atmosferę zatruwała również sprawa zakwaterowania w namiotach, a nie na kwaterach prywatnych.

„Mieszkam w namiocie pułkownika Ciastonia - zapisał w swoim dzienniku porucznik rezerwy Stefan Mękarski. - W namiocie mieszka nas ośmiu [...]. Barłogi nasze rozłożone są w kolisko. Nogi podczas spania schodzą się w »gwiazdę«. W namiocie jest dużo ludzi, waliz, koców, menażek, niedojedzonego chleba »szkockiego« i margaryny. Przykrywamy się wszystkimi możliwymi kocami, płaszczami i ubraniami. Lipiec w Szkocji jest zimny, zresztą jesteśmy na wysokości Wilna”.

Oficerów zmuszano do wykonywania prac dotychczas zarezerwowanych dla szeregowców. Nic dziwnego, że protestowali, kadra nie była przyzwyczajona do prac porządkowych i sanitarnych.

„Dość wspomnieć - relacjonował Missor - że na 52 oficerów grupy podpułkownika Przybylskiego codziennie wyznaczano do służby aż 27 oficerów i że oficerom prócz spełniania najcięższych robót obozowych nakazano pewnego dnia oczyszczenie lasu z ekskrementów, co spotkało się z odmową wykonania rozkazu”.

Dochodziło do kłótni i awantur, pojawiły się antagonizmy pomiędzy oficerami zawodowymi a rezerwistami. Pewnego dnia młodszy oficerowie „zwymyślali majora, dowódcę plutonu” słowami „świnia” i „łobuz”, za co dostali kilka dni aresztu. To nie był wyjątek,

starszych oficerów nazywano „leśnymi dziadkami”, oskarżając ich o wszystkie nieszczęścia.

„Rano trzepiemy koce - notował Męgarski - wynosimy je do lasu, o ile nie pada deszcz, czyścimy ubrania, golimy się i myjemy odrobiną wody, po którą chodzimy prawie kilometr drogi do Douglas. Nie mamy naczynia odpowiedniego na wodę, więc przynosić ją musimy w menażkach, manierkach i czajnikach. Obawiamy się wszy. Jedzenie jest dziwnie marne, źle przyrządzone. Łój w zupie i mięsie cuchnie obrzydliwie. Największą przykrością jest czyszczenie menażek. Nie ma wody ciepłej, zimnej, więc czyścimy je trawą”.

Pewien klasyk napisał, że byt kształtuje świadomość. I miał rację, wśród oficerów narastało rozgoryczenie, które koncentrowało się na osobie Naczelnego Wodza. Pojawiały się niewybredne dowcipy, podwładni pozwalali sobie na żarty z generała, i to niemal oficjalnie, w dużym gronie.

„Nie może być inaczej - zauważał Missor - jeśli taki Scieżyński bezkarnie w gronie kilkunastu oficerów, tłumacząc im wiadomości z gazety angielskiej, na zwróconą uwagę przez któregoś z oficerów, że na zdjęciu w tej gazecie generał Sikorski ma już czapkę angielską, a więc prawdopodobnie zgubił już czapkę francuską, odpowiedział dosłownie: »Jak pan śmie tak mówić, Naczelnny Wódz może zgubić armię, ale nie może zgubić czapki«,,

Ktoś zauważył, że „ta armia była chora i to bardzo ciężko chora na duszy”, a w raportach brytyjskich zwracano uwagę, że „Polacy rozpijają się w nieprawdopodobny sposób i dostrzec można wrogość wojska wobec oficerów”. Chociaż wyżsi oficerowie nie mieli w szkockich obozach specjalnych udogodnień. Też stali w kolejkach po zupę i mieszkali w kilkuosobowych namiotach.

Sytuacja wymagała szybkiej interwencji, ale Naczelnny Wódz, zajęty rozgrywkami politycznymi, nie znajdował czasu na wizytę w Szkocji. A może rozmyślnie grał na zwłokę? Chciał uniknąć konfrontacji i czekał na spacyfikowanie nastrojów? Dla najbardziej zajadłych przeciwników miał bowiem rozwiązanie wzorowane na metodach z Cerizay, ale tym razem lepiej dopracowane.

Rothesay na wyspie Bute

Sikorski wreszcie pojawił się w Szkocji i osiągnął sukces. Ten człowiek miał jednak charyzmę i potrafił przekonać niezdecydowanych. Dla nieprzejednanych przeciwników przygotowano obóz izolacyjny w Rothesay na wyspie Bute (Wyspie Węży) niedaleko Glasgow.

„[...] Rothesay jest niewielką miejscowością turystycznowypoczynkową - opisywał stolicę wyspy Janusz Meissner. - Maleńki port oraz śródmieście z rynkiem i town hallem

(ratuszem) otaczają szeregi jednakowych pensjonatów z jednakowymi ogródkami. W każdym ogródku jest grządka astrów i nagietek, łysiejący żywopłot z ligustru i kawałek wydeptanego trawnika, na którym stoją koszykowe albo metalowe fotele. W niektórych - także gliniane muchomory i krasnoludki pomalowane olejną farbą. Każdy pensjonat, czyli »private hotel«, prowadzą dawno przekwitłe Szkotki, na których urodzie (nawet zanim uwiędły) dobry Pan Bóg musiał poczynić nieliczne oszczędności”.

Premier nie ukrywał swych zamiarów i na posiedzeniu Rady Narodowej zapowiedział, że skoro nie ma sądownictwa polskiego, to „ci, którzy robią intrygi, znajdują się w obozie koncentracyjnym”. I słowa dotrzymał, nie tylko zresztą w stosunku do intrygantów.

Generał, mówiąc o obozie koncentracyjnym, nie miał jednak na myśli obozu zagłady. W tym czasie nazywano tak obozy izolacyjne przypominające angielski wynalazek z czasów wojny z Burami. Na Wyspie Węży nie stosowano również metod znanych z Berezki Kartuskiej; osadzonych tam nie bito ani nie zmuszano do pracy.

Obozy Sikorskiego miały stanowić odstraszający przykład dla jego przeciwników i stanowić realną groźbę dla korpusu oficerskiego. Do osadzenia wystarczył rozkaz przeniesienia, a pobyt był bezterminowy. O zakończeniu izolacji decydował kolejny rozkaz i zdarzało się nawet, że zwalniani oficerowie obejmowali stanowiska w armii.

Profesor Kot zaproponował otoczenie obozu drutem kolczastym, okazało się to jednak niepotrzebne. Ucieczka z Bute bez ważnych dokumentów nie wchodziła w rachubę, groziło to uznaniem za niemieckiego szpiega czy dywersanta. Miejscowych Szkotów uprzedzono, że w obozie znajdują się skazani za malwersacje finansowe, alkoholizm, zboczenia seksualne i tchórzostwo. Mimo to tubylcy nie przyjęli wroziej postawy wobec osadzonych, a pleć piękna nawet sobie ceniła obecność polskich oficerów.

Rezydenci obozu dostawali zmniejszone pobory, poddawano cenzurze ich korespondencję, najgorsza była jednak bezczynność.

„Znajduję się w tutejszym obozie - pisał rotmistrz Marcisz - tylko z powodu postawionych mi zarzutów związanych z ewakuacją z Francji. Oczekuję na załatwienie mojej sprawy osiem miesięcy. Ustawiczne wyczekiwanie wyczerpało mnie nerwowo i fatalnie odbija się na moim zdrowiu. Kampanię wrześniową w Polsce odbyłem z wyróżnieniem, a we Francji pracowałem z całym oddaniem. Ojca mego aresztowano w Wilnie i wywieziono w głąb Rosji, a w lutym 1940 r. resztę mojej rodziny, w tym jedyne pięcioletniego syna Jerzego. Przydzielenie mnie do tutejszego obozu jest w najwyższym stopniu krzywdzące”.

Poważny procent izolowanych oficerów właściwie nie znał przyczyn odosobnienia. Oficjalnie kierowano tam alkoholików, hazardzistów i pederastów, co oczywiście stwarzało

możliwości nadużyć.

„Mam 46 lat - twierdził kapitan Sergiusz Niedzielski - jestem żonaty i mam dwoje małoletnich dzieci. Oświadczono mi, że jestem przysłany tutaj dlatego, że ciąży na mnie zarzut pijaństwa, karciarstwa i erotomanii. Oświadczam, że w ogóle nie piję alkoholu, w karty grać nie umiem, a co się tyczy zarzutu erotomanii, to oświadczam, że zboczenia takiego nie mam, a przypisywany mi zarzut polega widocznie na anonimowym doniesieniu, złośliwym i bezpodstawnym”.

Pułkownika Janusza Meissnera skierowano na wyspę Bute za wydanie pierwszego numeru czasopisma satyrycznego „Polski Spitfire” (drugiego już nie zdążył), porucznika rezerwy Stefana Mękarskiego za to, że był posłem BBWR, a w jego lwowskiej gazecie niemieccy przemysłowcy przed wojną (!) kupowali reklamy. Na Wyspę Węży trafił również kapitan Jerzy Niezbrzycki, który na swoje nieszczęście przyznał kiedyś, że szef Biura Rejestracyjnego pisywał przed wojną artykuły na polecenie Śmigłego Rydza.

„Znakomita większość - pisał niedoszły satyryk - polskiej »Rezerwy Sił Zbrojnych«, jak oficjalnie nazywa się »zesłanych« na Wyspę Węży, stanowią oficerowie, ale nie brak też bardziej ważnych osobistości, do których należą na przykład były wojewoda Grażyński, paru sanacyjnych dziennikarzy i polityków. Oficerowie to przeważnie byli legionści z I Brygady lub z II Oddziału Sztabu albo osobnicy niepewni politycznie, jak ja, i wreszcie inwalidzi lub renciści w stanie spoczynku”.

Kompletna bezczynność niszczyła psychikę osadzonych. Czuli się zupełnie nieprzydatni, odrzuceni, nie wiedzieli, jak długo pozostaną w obozie:

„Od roku jestem stale poniżany i krzywdzony - meldował Sikorskiemu porucznik rezerwy kawalerii Stanisław Dergiman. - Mimo usilnych starań z mej strony, aby dowiedzieć się o stawiane mi zarzuty, nikt dotychczas nie tylko, że mi ich nie skonkretyzował, ale nawet nie przesłuchano mnie”.

Obiektywnie trzeba jednak przyznać, że warunki w Rothesay były bardziej niż przyzwoite. Oficerowie dostawali znacznie wyższe uposażenie niż w Cerizay, można było starać się o przepustkę na wyjazd z wyspy. Ale trwała wojna i wielu izolowanych chciało walczyć, a nie spędzać bezczynnie czas.

„Dla mnie była to wyspa odosobnienia - wspominał podhalańczyk, ówczesny major Władysław Dec. - Drutu kolczastego naokoło wyspy nie było. Ale była woda. Bez specjalnej przepustki od »dwójki« obozowej nie sprzedawano biletu na przejazd poza wyspę. Bez pieczętki »dwójki« nie można było nadać telegramu. Listy oddawało się do cenzury. Poza tym warunki były doskonałe. Pobory, co prawda, były obcięte do połowy, wystarczały na

opłacenie mieszkania, jedzenia i prania, na zakup papierosów i gazet, no i na małą czarną”.

Samotnych zabijała nuda i beznadzieja dnia codziennego. Ile można grać w karty albo pić alkohol? Chociaż oba zajęcia miały swoich namiętnych wielbicieli.

„W sitting roomie - notował Stefan Mękowski - rodacy bez przerwy cały dzień grają w kierki. Przebywanie wśród tych oficerów stało się prawdziwym karcianym obozem koncentracyjnym. Schreyer wyprowadził się wcześniej, a ja dostałem za współtowarzysza porucznika Popławskiego. Ten okazał się delirycznym pijakiem, który codziennie gramolił się na drugie piętro [...]. Łącznik, porucznik Dmowski, asystujący codziennie w kabaretowym »Wintergarden«, jakiejś szkockiej wesołej wdówce, współczuł mi tkliwie. Poradziłem sobie w ten sposób na razie, że zaprzęgnąłem się do pracy w adiutanturze Komendy Obozu, w której spędzam obecnie cały dzień do piątej po południu. Redaguję rozkazy dzienne, dyktuję Schreyerowi do maszyny komunikaty prasowe Libickiego i przyglądam się rewii naszych wyspiarzy defilujących od rana do wieczora po przepustki [...]”.

Pensjonariusze Wyspy Węży tworzyli zadziwiającą mieszankę. Trafiali tam „falszerze”, „nałogowi alkoholicy i pederasty”, „były właściciel domu publicznego” oraz oczywiście „ozonowcy lub podejrzani o sprzyjanie poprzedniemu rządowi”. Nic dziwnego, że wśród przypadkowych pensjonariuszy „nastroje były fatalne, pijaństwo panowało na całej linii, zupełnie zniknęło morale”. Pojawiła się „nienawiść względem władzy, rozdrażnienie w najwyższym stopniu”.

Zdarzali się jednak ludzie zadowoleni z odosobnienia. Historycy i dziennikarze raczej o tym nie wspominają, ale wielu internowanych, za zgodą władz emigracyjnych, przeniosło się do Rothesay wraz z rodzinami i prowadziło spokojne życie.

„Przywiózł rodzinę zdrową i zadowoloną były minister pełnomocny Libicki - pisał Mękowski - pełen najlepszego samopoczucia i dobrze spełnionego obowiązku. Włóczy się z wózkiem niemowlęcia Wyżeł [Ścieżyński - S.K.] z okazałą blondynką, panowie generałowie Rouppert, Kwaśniewski, Korytowski również ocalili familijkę, podobnie ex wojewoda Grażyński, pułkownicy Rusin i Szymański, pan major Kaziukiewicz i tylu, tylu innych. Aż podziw bierze nad czułym instynktem rodzinnym, jakim ci ludzie odznaczyli się podczas burzy wrześniejszej w Polsce. To byli ludzie, którzy mieli charakter rodzinny. Polsce służyli z zapalem, ale i o rodzinie nie zapomnieli”.

Oni się nie buntowali, zdomowili się na wyspie, prowadząc codzienne, pokojowe życie. Wojna pozostała gdzieś daleko, wypłacanego żołdu starczało na mieszkanie i wyżywienie rodziny. Chyba niewielu z nich marzyło o powrocie do czynnej służby.

Oficerowie sprowadzali nie tylko rodziny. Były premier Marian

Zyndram Kościałkowski zamieszkał na wyspie ze swoją przyjaciółką, aktorką Marią Balcerkiewiczówną (para później zawarła związek małżeński), młodsze szarże nie pozostawały w tyle. Pewien porucznik z Gdyni przybył na Bute z siostrą swojej żony i oburzał się, gdy odmówiono mu zgody na wspólne zamieszkanie z partnerką. A przecież nie stać go było na wynajęcie dwóch mieszkań!

Inne problemy miał porucznik Geller. Przez kilkanaście lat mieszkał w Paryżu i tam dostał powołanie do wojska. Na wyspie pojawił się razem z żoną (wiedeńską Żydówką nieznającą języka polskiego).

„W Anglii otrzymał kategorię »E«, ma tysiąc chorób, nienawidzi Europy, przysięga na Amerykę, w której pragnie kontynuować żywot europejski. Ale na razie rząd polski za angielskie pieniądze utrzymuje pana Gellera i Żydówkę z Wiednia, płaci im mieszkanie i »holiday« na wyspie Bute. Pan Geller obnosi swój gniew na »kancelarię«: w sobotę nie wypłacono mu punktualnie poborów. »Czy ja mam szukać płatnika? Ja mam dostawać pieniądze punktualnie«... Pan Geller »robi« wrażenie ciężko skrzywdzonego, który za ciężką pracę jest wyzyskiwany”.

W Rothesay przebywało jednocześnie około sześciuset osadzonych, a przez obóz przewinęło się łącznie tysiąc pięciuset oficerów, w tym dwudziestu generałów! To porażająca liczba świadcząca o skali opozycji przeciwko Sikorskiemu, a przy okazji o manii prześladowczej władz emigracyjnych. Czy naprawdę dla tych ludzi nie można było znaleźć innego zajęcia? Przecież toczyła się wojna.

Na wyspie internowano całkiem pokaźną grupę byłych prominentów z byłym wojewodą śląskim (i naczelnikiem ZHP) Michałem Grażyńskim, byłym premierem Marianem Zyndramem Kościałkowskim i szefem Związku Młodej Polski Edmundem Galinatem na czele. Ale największe zamieszanie towarzyszyło pobytowi w Rothesay osławionego generała Stefana Dęba-Biernackiego. Internowanie w Cerizay nie przyniosło efektów i jeszcze przed zesłaniem na Wyspę Węży generał oficjalnie buntował się przeciwko Sikorskiemu:

„W obozie w Broughton - raportował porucznik Missor - agitacja przeciwko Naczelnemu Wodzowi i rządowi prowadzona jest jawnie i publicznie. Kieruje nią pułkownik Ścieżyński, który zdaniem naszym jest najbardziej niebezpiecznym osobnikiem na tamtejszym terenie. Na skutek obserwacji i wywiadu [...] ustaliliśmy, że organizacja ta przedstawia się następująco: całością kieruje generał Dąb-Biernacki (dowodem jawne odprawy odbywane przez niego w namiocie), obecnie jeżdżą do niego do Peebles [inny ze szkockich obozów wojskowych - S.K.], jego zastępcą i kierownikiem politycznym jest Kościałkowski”.

W lipcu 1940 roku Dąb-Biernacki napisał do Sikorskiego list, zarzucając mu

odsunięcie doświadczonych dowódców, fałszywe informowanie Francuzów o przebiegu kampanii wrześniowej, podział oficerów na lepszych i gorszych, a także utratę armii we Francji. Naczelny Wódz zareagował natychmiast: Biernacki stanął przed sądem polowym, zdegradowano go do szeregowca i skazano na dwa i pół roku więzienia. Wyrok uzasadniono

„złamaniem dyscypliny wojskowej i usiłowaniem wywołania fermentu w szeregach żołnierskich”. Polskie Siły Zbrojne nie dysponowały własnymi więzieniami, wobec czego generał trafił do angielskiego kryminału. Zwolniony po śmierci Sikorskiego, wyjechał do Irlandii, gdzie zajął się pszczelarstwem (był z wykształcenia inżynierem rolnikiem). Szanując wyrok sądu, zabronił tytułować się generałem.

„Siedzimy na wyspie Bute - notował z rezygnacją Mękarcki - tak jak siedzieliśmy w obozach na Węgrzech i we Francji w Vichy. Dostajemy regularnie w soboty funty, mamy na sobie mundur, mamy bieliznę, ciepłe miękkie łóżko, kominek pani Morrisonowej, do którego dorzucamy co chwila kamienie węgla i szczapy drewna. Ciepło nam jest. Dostajemy jajko na śniadanie, wypijamy x gorących herbat dziennie. Gramy w brydża, chodzimy na czarną do kawiarni i do kina na idiotyzmy amerykańskich kowbojów. Wegetujemy, wspaniale przeżywamy w luksusie najstraszliwszą wojnę w dziejach na prawie bezpiecznej wyspie”.

Przez długi czas stosunki z miejscowymi Szkotami układały się bez zarzutu. Szczególnie z miejscową płcią piękną, izolowani poszukiwali bowiem towarzystwa kobiet, a Szkotki były chętne. Tym bardziej że Polacy uchodzili za dżentelmenów, co na wyspiarkach wywierało nieprawdopodobne wrażenie. Osadzeni z reguły legitymowali się wyższym wykształceniem, byli ludźmi inteligentnymi o dużej kulturze osobistej. Nawet bariera językowa nie stanowiła specjalnego problemu.

„Panie z rothesayańskiego towarzystwa - zauważył Mękarcki - zbierają się wzajemnie w ocenie swoich sukcesów: »Mój Polak! Mój Polak jest doktorem, mój Polak jest adwokatem, mój Polak jest pułkownikiem - prześliczny, elegancki, mocny Polak«... A w »Regal« nieliczne jeszcze Szkotki, pietruszkujące samotnie przy stolikach, ze smutkiem pełnym zazdrości patrzą na swoje szczęśliwe rywalki i marzą niecierpliwie o swoim Polaku. Ile z nich pojedzie na stałe do Polski? Ilu z nich zostanie na stałe w Szkocji?”.

Na dłuższą metę jednak internowanie na wyspie Bute fatalnie odbijało się na psychice osadzonych. Zdarzały się choroby psychiczne oraz samobójstwa. Zanotowano przypadki targnięcia się na życie po otrzymaniu rozkazu udania się do Rothesay. Obóz miał fatalną opinię, a niektórym śmierć wydawała się lepszym rozwiązaniem niż bezterminowa izolacja.

„Po pułkowniku Kreissie - notował Mękarcki po dwudziestu miesiącach pobytu na Wyspie Węży - oszalał w Rothesay geograf, porucznik Stanisławski. Generała

Korytkowskiego odesłano wczoraj do szpitala w Aberfeldy, dostał ciężkiego rozstroju nerwowego. Kapitan Sobański zwierzył mi się dzisiaj z obawy o generała Janusza de Beauraina. Obawia się o stan nerwów jego.

Doktor Brinckenhoff mówi, że w Rothesay jest czterdzieści siedem wypadków ciężkich schorzeń na tle nerwowym. Uważa, że ludzie powinni uciekać z Rothesay jak z miejsca zapowietrzonego. W Rothesay potrzebny jest psychiatra, a nie internista. Naczelny »lekarz«, doktor Eiseler, boi się o swą posadę i funty. Nie chce odsyłać ludzi z Rothesay do szpitala, bo twierdzi, że rothesayańczyków niechętnie widzą władze szpitalne. Brinckenhoff twierdzi też, że 99% jego pacjentów przyznaje się, że uprawia onanię, a pozostały 1%, który temu przeczy - kłamie...

Rothesay staje się groźnym miejscem. Miejscem zagłady”.

Władze w Londynie postanowiły rozwiązać problem konfliktów wśród internowanych i na Bute powstał kolejny obóz w miejscowości Thignabraich. Przeszło przez niego około dwustu oficerów, kryminalistów i homoseksualistów oraz ludzi przejawiających „patologiczną nienawiść” do Naczelnego Wodza i jego otoczenia. Pensjonariusze otrzymywali jednakowe pobory (bez względu na stopień wojskowy), pilnował ich pluton żandarmerii. Oczywiście, wśród izolowanych umieszczono agentów rządowych pilnie śledzących poczynania kolegów, ale to było normą również w Rothesay. Jak zwykle nie brakowało także osobistych wysłanników profesora Kota.

Obozy na Wyspie Węży funkcjonowały ponad dwa lata, a ich kres położyła interpelacja w angielskiej Izbie Gmin. Dwaj posłowie labourzystowscy wnieśli sprawę na forum parlamentu, co zmusiło ekipę Sikorskiego do rezygnacji z izolowania przeciwników. Ale wyrządzonych szkód nie dało się już naprawić, wielu zwalnianych nie potrafiło przystosować się do warunków służby wojskowej. Miesiące (czy lata) kompletnego lenistwa i beznadziei zrobiły swoje.

„W obozie wśród tych sześciuset oficerów, zaledwie jakieś dziesięć procent - to element, który rzeczywiście powinien być usunięty z wojska, bo przynosi mu ponad wszelką wątpliwość ujmę. Ale zasadniczo cały obóz - to ludzie dobrzy, często bardzo wartościowi, także zasłużeni i tragicznie bezczynni, nie zużytkowani”.

Stefana Męcarskiego zwolniono z Rothesay w lipcu 1942 roku. Do wojska już nie wrócił, do końca wojny utrzymywał się z prac zleconych dla polskich instytucji. Po zakończeniu wojny pozostał w Wielkiej Brytanii, nie widział dla siebie miejsca w kraju rządzonego przez komunistów. Pracował jako dziennikarz, działał w polskich organizacjach emigracyjnych, był współpracownikiem Radia Wolna Europa. Nigdy nie zobaczył już

swojego ukochanego Lwowa, zmarł w Londynie w 1985 roku.

Shinafoot

Każda armia świata potrzebuje jednostek karnych dla skazanych za przestępstwa kryminalne. Polskie Siły Zbrojne nie były wyjątkiem i w Shinafoot (na północ od Glasgow i Edynburga) powstał obóz dyscyplinarny, w którym metody resocjalizacji faktycznie przypominały Berezę Kartuską.

„Na czele obozu dyscyplinarnego w Shinafoot - pisał były podoficer Maciej Feldhuzen - stanął kapitan Korkiewicz. Alkoholik, psychopata, sadysta, który własnoręcznie maltretował więźniów. Zakładano im od tyłu kajdanki na ręce i wieszano na poprzeczce u sufitu, a pan kapitan Korkiewicz sam wiszących dusił za gardło, bił po twarzach i kopał w brzuch. Działo się to w roku pańskim 1941, a więc Lagerfuhrer Korkiewicz nie był odosobniony w biciu skutych i bezbronnych żołnierzy polskich, bo robiło to samo, równoległe z nim, w tym samym dniu i o tej samej godzinie, wielu innych jego kolegów, Lagerfuhrerów na terenie Polski i Niemiec”.

Niestety, w każdej armii trafiają się psychopaci. Ludzie o sadystycznych skłonnościach wykorzystywani są często do służby w jednostkach karnych, co władze traktują jako dodatkową szykanę wobec skazanych. A metody stosowane w Shinafoot rzeczywiście przypominały najgorsze obyczaje sanacji.

„Było tam wszystko - wspominał chirurg Adam Majewski - jak w Berezie Kartuskiej: i druty kolczaste, i baraki, i »żabka«, i wybijanie zębów, i dozorczy sadyści, i komendant obozu, w którego kancelarii nasz więzień często szorował podłogę i bywał przy tym bity i kopany. Żandarmi byli specjalnie dobrani. Ludność szkocka wielokrotnie podchodziła do drutów, jednak kontaktu z więźniami nie nawiązała, bo straż przeszkadzała. Poza tym Szkotom wytłumaczono, żeby się nie zbliżali, bo tu siedzą szpiedzy i dywersanci niemieccy”.

Okoliczni farmerzy wspominali o biciu i głodzeniu więźniów oraz innych obozowych szykanach, a miejscowi strażnicy nie wahali się używać broni. Głośnym echem odbiła się sprawa zastrzelenia przez wartownika szeregowca Edwarda Jakubowskiego. Podobno skazany obraził strażnika, wobec czego ten użył broni. Dochodzenie sądowe uwolniło jednak zabójcę od odpowiedzialności.

Adam Majewski operował kiedyś wyrostek sponiewieranemu młodemu żołnierzowi:

„Chłopak dosłownie się trząsł, ilekroć któryś z żandarmów zbliżał się do niego, rzucał przy tym na nas spojrzenia dzikiego zwierzęcia. Żołnierze od dawna coś przebąkiwali o jakimś polskim obozie koncentracyjnym na terenie Szkocji, ale nie wierzyłem w to. [...]

Prawdy zacząłem się dowiadywać, gdy podano żołnierzowi narkozę i zaczął gadać. Wołał: - Nie bijcie mnie, nie wyłamujcie mi rąk”.

Podobno chłopak zadarł ze swoim dowódcą i trafił do obozu. Bliższych szczegółów tej sprawy nie znamy, ale komendant Korkiewicz stanął w 1942 roku przed sądem polowym. Sąd uwolnił go jednak od zarzutów.

Obóz w Shinafoot stał się przyczyną nieporozumień do dzisiaj pokutujących w naszej publicystyce. Relacje z Wyspy Węży i Shinafoot często się mieszają i w ten sposób pojawiły się informacje, że to w Rothesay stosowano metody rodem z Berezki Kartuskiej. Nic bardziej mylnego, to były dwie zupełnie różne sprawy, niemające ze sobą żadnego związku.

Do Shinafoot kierowano zresztą nie tylko przestępców w ścisłym rozumieniu prawa. Aby tam trafić, wystarczyło zarażenie chorobą weneryczną, co Sikorski uważał za równoznaczne z dezercją. Nie on jeden, podobne zdanie miała niemiecka generalicja podczas pierwszej wojny światowej. Jednym z żołnierzy mających z tego powodu problemy był kapral Adolf Hitler, zdołał jednak udowodnić, że zaraził się jeszcze przed wojną. Uniknął kary na szczęście dla siebie, ale był sprawcą tragedii dla całego świata.

ROZDZIAŁ 7

TRAGEDIA AMERYKAŃSKA

Wielka ewakuacja

Po przykrym epizodzie z prezydenturą Wieniawa wrócił do Rzymu i na nowo podjął obowiązki ambasadora. Mimo iż kraj zajęli Niemcy i Sowieci, polska placówka w Rzymie dalej funkcjonowała. Chociaż Włosi byli najbliższymi sojusznikami Hitlera, nawet przystępując do wojny w czerwcu 1940 roku, nie wypowiedzieli jej naszemu krajowi. We wzajemnych kontaktach dużą rolę odgrywały prywatne stosunki Długoszowskiego z Ciano, włoskim ministrem spraw zagranicznych.

Trzydziestosześcioletni Galeazzo Ciano był faszystą z długim stażem - karierę u boku Mussoliniego rozpoczął jeszcze jako nastolatek. Ułatwiało ją arystokratyczne pochodzenie i małżeństwo z najstarszą córką duce; w efekcie Ciano wszedł w skład rządu i Wielkiej Rady Faszystowskiej.

Osobiście nie przepadał za Niemcami, ale był lojalny wobec Mussoliniego. Starał się jednak pomagać Polakom, do których miał dużo sympatii, co niebawem mógł udowodnić.

Podstawowym zadaniem personelu polskiej ambasady była ewakuacja polskich żołnierzy internowanych na Węgrzech i w Rumunii. Drogą morską z portów czarnomorskich czy adriatyckich mógł odpłynąć tylko niewielki procent polskich wojskowych, reszta musiała przekraczać granicę włoską. Do przerzutu wielotysięcznej grupy ludzi potrzebna była zgoda Rzymu i Wieniawa udał się do Ciano. Włoski polityk okazał wyjątkowo przychylnie nastawienie:

„Gdym nazajutrz spotkał się z Wieniawą - wspominał Romeyko - zastałem go rozpromienionego, w doskonałym humorze. Po rozmowie z Cianem był pełen dobrej nadziei. Opowiadał mi, iż początkowo nie wiedział, »z której beczki zacząć«, i jak bardzo wyręczył go w tym Ciano: »Wiem, wiem już dobrze... tak, znam ten problem waszych robotników w Rumunii i na Węgrzech... Już mi o tym meldowano...«. Zachęcony tą uproszczoną sytuacją, stworzoną przez Ciana, Wieniawa począł śmieiej wyjaśniać pewne szczegóły. Ciano po prostu wyręczył go w rozwiązaniu trudności. »Nie widzę specjalnej trudności, dam instrukcje na Rumunię i Węgry: trzeba wzmocnić personel naszych konsulatów, gdyż nie są one obliczone na taką liczbę wiz«. Zapytywał, jaką linię kolejową obieramy, zapytywał o przybliżoną liczbę tych robotników, przewidywany ruch samochodowy itp., w końcu

zaznaczył: »Mój caro Wieniawa, proszę liczyć na mnie, proszę mnie informować o trudnościach, jakie pan napotka; jestem zawsze gotów panu pomóc, proszę jedynie nie stwarzać nam problemów natury politycznej, pan mnie rozumie? Proszę również, aby ci robotnicy nie stwarzali problemów turystycznych, jadąc tranzytem przez Włochy, inaczej będę miał interwencje podestów [województw]«,.

Przydały się również znajomości Romeyki. Attache osobiście uzgadniał szczegóły tranzytu z włoskim zastępcą szefa Sztabu Generalnego. Oficer znający Romeykę z czasów pobytu w Polsce również nie stwarzał problemów:

„[...] musi pan jednak dobrze zrozumieć - tłumaczył generał Mario Roatta - nie w mundurach wojskowych, nie w zwartych zespołach, słowem nie transporty wojskowe, niech jadą »robotnicy«, nie będziemy przeszkadzali, musi pan tak to zorganizować, abyśmy nie mieli przykrości z innej strony... Pan rozumie, a więc: bez krzyku, bez hałasu; dam instrukcje naszej wojskowej służbie informacyjnej, by przymknęła oczy, w ogóle niech się pan ze mną w tych sprawach kontaktuje...”.

Wielka ewakuacja rozpoczęła się w październiku i trwała do połowy kwietnia. Początkowo były to wyjazdy małych grup oficerów wyposażonych w odpowiednie dokumenty i bilety kolejowe. Jako jeden z pierwszych wydostał się z Węgier pułkownik Stanisław Maczek, przyszedł zwycięzca spod Falaise, zdobywca Bredy i Wilhelmshaven. Jego grupa bez problemu opuściła obóz internowania.

„A wieczorem, przebrani w cywilne ubrania, z majorem dyplomowanym Bittnerem, rotmistrzem Pruszyńskim i innymi przeleźliśmy przez dziurę w słabo odrutowanym parku, nadłożyliśmy nieco drogi pieszo do następnej stacji kolejowej wobec kontroli żandarmów na stacji miejscowej i po prostu wykupując bilety, przez nikogo nie zaczepiani dojechalismy do Budapesztu.

Potem już zręcznie kierowali nami funkcjonariusze naszego Poselstwa, aż do zajęcia miejsca w pulmanie, udającym się do Włoch”.

Wyjazd z Węgier nie stanowił w tym czasie większych problemów. Madziarzy zrobili wiele, aby Polacy spokojnie mogli przedostać się do Francji, nie utrudniali uchodźcom życia, zachowywano minimum pozorów. Sprawdzało się powiedzenie „Polak, Węgier dwa bratanki”, szabli wprawdzie nie było, ale szklanki jak najbardziej.

„[...] major Słatyński - opisywał Maczek - choć nie bardzo władał językiem niemieckim, nie mówiąc już o węgierskim, co noc pił na umór z pułkownikiem węgierskim, komendantem swego obozu, utwierdzając przyjaźń polskowęgierską. I co noc przed godziną 12 do stołu ich w kasynie oficerskim podchodził wachmistrz z meldunkiem, o której godzinie

i na jakim kierunku będą jego patrole; a raczej podkreślając, o której i gdzie ich nie będzie. Na co pułkownik węgierski, nachylając się do Słatyńskiego, dorzucił jeszcze »tylko nie więcej jak trzydziestu«. Tak więc po kilku tygodniach 10 brygada kawalerii motorowej, po kampanii wrześniowej internowana na Węgrzech, znalazła się w powolnym i oryginalnym ruchu na raty w miejscu nowej zbiórki - we Francji».

Prawdziwe problemy pojawiły się, kiedy rozpoczęto przerzut żołnierzy w większych grupach. Ludzie ci wcale nie mieli wyglądu robotników sezonowych, a niebawem sytuacja niemal całkowicie wymknęła się spod kontroli. Do Włoch ciągnęły tłumy polskich uchodźców.

„Wkrótce spotkaliśmy się - relacjonował Romeyko - z ewakuacją »na dziko«, na własną rękę; zniecierpliwieni oczekiwaniem w obozach, zwłaszcza na Węgrzech, i w obawie internowania wojskowi zaczęli po prostu uciekać bez dokumentów, bez biletów kolejowych, do przyjaznej nam Jugosławii i zjawiali się na stacji granicznej Postumia, skąd, »jak im mówiono«, będą »natychmiast« skierowani do oddziałów we Francji».

Sytuację uratowali Włosi, strona polska nie dysponowała odpowiednimi funduszami - obiecane środki finansowe z Paryża nie docierały. Romeyko uważał, że można wręcz mówić o sabotażu ze strony „drewnianej, głupiej i bezdusznej naszej intendentury”. A może nie sabotażu, ale kompletnej bezmyślności i beztrosce, warto jednak zauważyć, że to właśnie wtedy członkowie rządu Sikorskiego uchwalili dla siebie bardzo wysokie pobory.

Włosi jednak czuwali nad sytuacją:

„Bardzo nam pomogły władze włoskie - pisał Romeyko. - Uratowały one sytuację tym, że zgodziły się przewozić żołnierzy polskich na kredyt. Tak jest - na kredyt. Dyrekcja kolejowa w Trieście na prośbę konsula Wegnerowicza poleciła wydawanie kredytowych biletów. Co więcej: dała dyspozycje co do zbiorowych, zniżkowych transportów, co obniżało znacznie koszty. Na stacji Postumia oczekiwały stale dwa »polskie« wagony osobowe, przyczepione do pociągu na Mediolan: Milano - Modane. Nie wiem, czy można by było oczekiwać większej uprzejmości i pomocy od państwa, będącego - mimo wszystko - w sojuszu z Hitlerem».

Inna sprawa, że nasi uchodźcy nie zawiedli. Marzeniem polskich żołnierzy i oficerów była dalsza walka z wrogiem, dlatego zachowywali się wzorowo. Nieznane „były przypadki pijaństwa, burd czy awantur”, a nawet „turystyka” ograniczała się do pojedynczych osób, co przy wielotysięcznym, niezorganizowanym tłumie wydaje się wręcz nie do uwierzenia.

Na polecenie Długoszowskiego zorganizowano (i opłacono) również akcję dostarczania paczek żywnościowych dla polskich jeńców przetrzymywanych w niemieckich

obozach. Wieniawa musiał zapłacić z góry za dłuższy okres, ponieważ paczki dostarczano aż do 1943 roku, a więc jeszcze rok po jego śmierci. Wydaje się, że Długoszowski nie wierzył specjalnie w szybkie zakończenie wojny i zwycięstwo Francji i Anglii nad Niemcami.

Sceny z życia polskiej emigracji

Ewakuacja polskich wojskowych była tylko jednym z zadań stojących przed rzymską ambasadą. W Italii pojawiali się również uciekinierzy na własną rękę, a także ludzie, których wybuch wojny zastał poza granicami kraju. Ich właśnie miał na myśli Wieniawa, mówiąc do personelu ambasady:

„Chciałbym, by panowie dobrze zrozumieli sytuację, która się wytworzyła - osobiście uważam się dzisiaj bardziej za ambasadora Polaków niż Polski, reprezentacja na długo musi być zostawiona na boku: dziś musimy opiekować się naszymi obywatelami, drzwi mego gabinetu są otwarte o każdej porze dla każdego, dosłownie każdego obywatela polskiego, który sobie życzy mnie widzieć. Nie będę robił różnicy, czy to będzie prosta kobieta, czy pani hrabina. Zechcą panowie przestrzegać tej zasady. Pojmuję, że nie jesteśmy w stanie pomóc naszym uciekinierom, gdyż nie dysponujemy żadnymi funduszami, tym bardziej więc musimy ich wesprzeć duchowo, okazać im serce, być może pomóc radą. Muszą oni doznać pewnego współczucia z naszej strony. Niestety, na to nas dzisiaj tylko stać. Być może wkrótce uzyskamy możliwość udzielania im prawdziwej opieki. Są to moje wymagania, do których zechcą się panowie zastosować”.

Wyjazd Polaków z okupowanego kraju ułatwiał Ciano. Zlikwidował oczywiście włoską ambasadę w Warszawie, ale pozostawił konsulat. Aby uniknąć niemieckich szykan, postawił go w stan permanentnej likwidacji, co trwało aż do przystąpienia Włoch do wojny.

Sikorski i jego otoczenie nie próbowali nawet odwołać Wieniawy ze stanowiska. Dobrze wiedzieli, że Włosi nie przyjmą innego ambasadora i będzie to koniec polskiej placówki nad Tybrem. Ale Długoszowskiego pilnie obserwowano.

Wieniawa zachowywał się jednak bez zarzutu i do jego lojalności nie można było mieć żadnych zastrzeżeń. Osobiście jednak (przynajmniej w tym czasie) pogardzał Sikorskim i kiedy Romeyko zaproponował puszczenie w niepamięć przeszłości, nie ukrywał irytacji:

„Dla wspólnej służby ojczyzny dzisiaj potrzebna jest lojalność, wspólny wysiłek. Wydaje mi się, że i ja, i my wszyscy to wykazujemy... to, co pan radzi - »puszczenie w niepamięć« - wiąże się z nawiązaniem osobistych stosunków, nawrotu, być może, sympatii i szacunku. Nie, panie, niech pan mnie do tego nie namawia... Sikorski był przez całe życie wrogiem Komendanta... Największym wrogiem. I pan mnie namawia na »puszczenie w

niepamięć«? Nigdy! Czy pan wie, że Komendant miał go w głębokiej pogardzie? Zawsze... szczególnie po maju! Komendant sam mówił, że winien był spotkać Sikorskiego w maju po tamtej stronie, en face... a co on zrobił? Napisał wiernopoddańczy list jeszcze w trakcie wypadków. Wykręcił się od »swoich«, rozdymając ukraińskie rozruchy i rosyjską koncentrację? Panie! Komendant na ten list wcale mu nie odpisał, bo brzydził się nim, pogardzał nim! Proszę pana nigdy do tego tematu nie wracać”.

Z drugiej strony otoczenie Sikorskiego z całą powagą traktowało donosy będące zresztą elementem normalnego życia polskiego środowiska emigracyjnego. Po jednym z nich Sikorski wezwał Romeykę do Paryża, oskarżając personel ambasady o nielojalność.

„Mam jednak meldunki - mówił generał - że wy tworzycie tam komplot... że jesteście w stałych stosunkach z Beckiem, robicie nawet z nim kurierkę. [...] A niedawno jeszcze córka Becka przyjechała od niego do Wieniawy”.

Romeyko wyjaśnił, że nie była to córka Becka, ale jego pasierbica, która, jadąc do ojca (generała Burhardta Bukackiego), do Paryża, wpadła na dwa dni do Rzymu odwiedzić swoją przyjaciółkę, córkę Wieniawy. Zwiedzała miasto i nie nocowała nawet w ambasadzie. Ale Sikorskiego to nie przekonało:

„Co to za komploty wy tam robicie w Rzymie? - wrzeszczał. - I to przeciwko mnie - naczelnemu wodzowi. Odzywają się w was wspomnienia z niedawnych czasów, gdy było wam wszystko wolno? Przeszły te czasy! Przeszły i nie powrócą! Ja was nauczę respektować władzę!”.

Okazało się, że do Paryża dotarł donos, w którym pewien endecki emigrant zwracał Strońskiemu uwagę „na katastrofalny stan polskich spraw na terenie Włoch”. Podobno działania ekipy Długoszowskiego prowadziły „do zakorkowania naszej ewakuacji przez Włochy”, albowiem była to „robota sabotażowa Wieniawy, któremu sekundował Romeyko”. Donosiciel stwierdzał dalej, że „zmiany personalne są konieczne”, sugerując, że „ostatecznie może sam zastąpić Wieniawę”. Nie obyło się bez podtekstów politycznych, ambasada polska miała współpracować z przedstawicielami sanacji, „prowadząc krecią robotę” i „działając na szkodę rządu polskiego we Francji”.

Romeyko miał okazję przeczytać ten list i określił jego autora jako „pana P”. Natomiast poinformowany o sprawie Wieniawa bez ogródek nazwał go „Quasimodem z Medyki”. Chyba nikt, kto trochę zna realia epoki, nie może mieć wątpliwości, kto był autorem donosu...

Brak zaufania do Długoszowskiego spowodował, że nie wtajemniczono go w sprawę przerzutu z kraju Heleny Sikorskiej. Oczywiście generałowa przejeżdżała przez Włochy, co

nie mogłoby się wydarzyć bez współpracy ambasady. W tym celu z Paryża przyjechał major Dienstl Dąbrowa i w tajemnicy przed Wieniawą poprosił Romeykę o pomoc. Chociaż attache znalazł się w niezręcznej sytuacji, jednak nie mógł odmówić. Zdawał sobie sprawę z możliwych reperkusji, gdyby Sikorska wpadła w ręce Niemców.

Organizacji ewakuacji pani generałowej warto przyjrzeć się bliżej. Główną rolę odegrała Luciana Frassati, żona dawnego posła polskiego w Wiedniu Jana Gawrońskiego. Była córką znanego włoskiego faszysty Alfreda Frassatiego (założyciela „La Stampy”) i miała doskonałe stosunki z Niemcami. Sikorska miała udawać guwernantkę jej dzieci, ale otrzymanie wiza wyjazdowej wymagało wspólnej wizyty na gestapo.

„[...] weszliśmy razem do siedziby gestapo - wspominała Luciana Frassati - ukrywając zrozumiały strach pod maską spokojnego i obojętnego zachowania. Wszędzie spotykaliśmy Niemców, lecz pani Sikorska ani razu nie drgnęła, uśmiechała się razem ze mną do tych ludzi, którzy daliby wszystko, żeby ją mieć w swoim więzieniu”.

Czy aby na pewno? Gestapo być może, ale Abwehra raczej niekoniecznie. Sikorska dostała wizę na swoje prawdziwe imię i panieńskie nazwisko (Zubczewska), a jaki wywiad nie miałby elementarnych informacji na temat żony premiera rządu wrogiego państwa? Frassati mogła pisać w dobrej wierze, ale wydaje się, że podobnie jak przypadku generałowej Sosnkowskiej, w całej sprawie maczali palce wysocy oficerowie niemieckiego wywiadu.

Nie wszystko zresztą poszło zgodnie z planem. Panie postanowiły wyjechać w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, jednak tego samego dnia rano Luciana dowiedziała się, że dla Polaków wprowadzono zakaz podróżowania za granicę pociągami bezpośrednimi. Wiza nie odgrywała roli, skorzystanie z takiego środka transportu wymagało specjalnego zezwolenia. Trwały święta, urzędy były pozamykane, ale Frassati miała własne kontakty. Zatelefonowała do „pewnego wysoko postawionego oficera gestapo”, jednak Niemiec wyjaśnił, że „jego polecenie telefoniczne nie będzie miało znaczenia”. W zamian „zapropomował, że odprowadzi nas do pociągu w celu uniknięcia ewentualnych trudności”. Na dworcu „był cały czas bardzo grzeczny, dopomógł nam we wszystkich formalnościach i wyrażając podziw dla mojej stanowczości, odprowadził nas do samego pociągu, gdzie niemal serdecznie uścisnął mi dłoń”. Sikorska znalazła się ostatecznie w Rzymie jako gość Luciany, skąd niebawem odjechała do Paryża. Generał osobiście podziękował Frassati i Romeyce za pomoc.

W relacji Luciany wzbudza zainteresowanie jeszcze jedna sprawa. Wspominała, że jedną z włoskich wiz in blanco wręczyła w Warszawie Zofii Leśniowskiej. Generałowa Sosnkowska natomiast kategorycznie twierdziła, że córkę generała wywiózł Samson

Mikiciński. Wbrew pozorom, obie informacje się nie wykluczają. Leśniowska mogła przecież oddać wizę innej osobie. Warta uwagi jest natomiast opinia Luciany na temat córki Sikorskiego. Włoszka określiła ją jako „niską, szczupłą, o żywych brązowych oczach i jasnej karnacji”, mającą „nie mniejsze ambicje przywódcze niż ojciec”. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Koniec epopei

Przystąpienie Włoch do wojny oznaczało likwidację polskiej placówki w Rzymie. Ciano proponował Wieniawie dalszy pobyt w Italii jako osoba prywatna, ale Długoszowski chciał być przydatny dla kraju. Marzył o mundurze, chciał walczyć bez względu na funkcję i stopień wojskowy. Spotkało go jednak wyjątkowe rozczarowanie. Kiedy wraz z personelem ambasady przedostał się do Lizbony (Francja właśnie kapitulowała), otrzymał informację o zwolnieniu go ze służby. Co więcej, odmówiono mu zgody na przyjazd do Wielkiej Brytanii. Za własne środki przedostał się wraz z rodziną do USA, gdzie ponowił prośbę o przyjęcie go do armii.

Ponownie mu odmówiono i rodzina Długoszowskich znalazła się w Stanach Zjednoczonych bez środków do życia. Wieniawa nie miał pozwolenia na legalną pracę, utrzymywał się więc ze współpracy z polonijnym „Dziennikiem Polskim”. Zarabiał na chleb czytaniem i wycinaniem artykułów prasowych przedrukowywanych następnie w gazecie. Szczerze tego nie cierpiał i w tajemnicy przed otoczeniem nauczył się introligatorstwa artystycznego. O powrocie do dawnego zawodu (był lekarzem okulistą) nie było mowy. Nie miał możliwości nostryfikacji dyplomu, nie praktykował zresztą od kilkadziesiąt lat. Niewielkie pieniądze przynosiły mu również organizowane przez przyjaciół odczyty dla Polonii.

Najtrudniejsze było jednak pozostawanie poza wojskiem, poza służbą dla Polski w czasie wojny. Kilka razy zwracał się pisemnie do prezydenta i Naczelnego Wodza z prośbą o wyznaczenie jakiegokolwiek stanowiska, jakiegokolwiek funkcji, ale pomimo obietnic niczego mu nie zaproponowano.

Podczas pobytu w USA Długoszowski przeszedł zasadniczą przemianę. Nie deklarował już nienawiści do Sikorskiego. W sytuacji globalnego konfliktu potrafił wznieść się ponad prywatne uprzedzenia i osobiste urazy, zrozumieć, że tylko zjednoczenie wszystkich sił może przynieść efekty. Służby pod kierownictwem Sikorskiego nie uważał już za sprzeniewierzenie pamięci Komendanta, Piłsudski zresztą w takiej chwili postąpiłby identycznie. Polska była najważniejsza, partyjne spory należało odłożyć.

„Dążyć do tej zgody - pisał w liście do prezydenta - i szukać jej należy wszędzie i wszelkimi siłami, rezygnując z wszelkich partyjnych, koteryjnych czy osobistych spraw i animozji, które zresztą wobec dzisiejszej rzeczywistości są jedynie upiorami przeszłości”.

W ostatnich miesiącach trapiły go jakieś problemy neurologiczne. Podejrzewał siebie o chorobę psychiczną spowodowaną długotrwałym nadużywaniem alkoholu, ale to chyba było inne schorzenie. Na depresję spowodowaną bezczynnością nałożyła się nieznana przypadłość, skarżył się w liście do Henryka FloyaraRajchmana, że zabija go „jakaś psychiczna choroba wynikała z wszystkich przeżyć i poczucia, że na terenie tutejszym pracy znaleźć nie mogę i nie potrafię”. On, wielbiciel życia, zaczął myśleć o samobójstwie:

„Bliski jestem obłąkania. Dlatego muszę umrzeć. Z rozpaczą myślę o moich sierotach Broni i Zuzi, wobec których najcięższą popełniam zbrodnię, lecz odejść muszę, bo zabijam ich moim stanem strasliwym, zatruwam jak trucizną powolną, a śmiertelną. Może przy boskiej pomocy i ludzkiej żyć im będzie łatwiej niż ze mną”.

Nie angażował się w życie polityczne miejscowej Polonii. Pokazywał się wprawdzie publicznie w otoczeniu piłsudczyków, ale robił to bez większego przekonania. Dla niego najważniejsza była Polska, a dobrze wiedział, że wszelkie spory powiększają tylko zamęt.

„Wieniawa formalnie był z nami - pisał Wacław Jędrzejewicz - lecz czynnego udziału [...] nie brał. Zapraszany na zebrania i uroczystości rocznicowe, organizowane przez Polonię, przemawiał raczej niechętnie. Towarzystwo prawie się nie udzielał, na kieliszek wódki nie można było go namówić, żył raczej na uboczu”.

Dotknęło go to co wielu innych. Ten, który chciał doprowadzić do zgody, spotkał się z zarzutami karierowiczostwa czy wręcz zdrady. Dla zwaśnionych emigrantów liczyło się tylko natychmiastowe załatwienie porachunków, co nie przeszkadzało żadnej stronie deklarować miłości do Polski.

Wreszcie wydawało się, że przychodzą lepsze czasy, Sikorski podczas swojej wizyty w USA wyraził chęć spotkania się z Długoszowskim. Pośrednikiem był znajomy Wieniawy i lojalny podwładny premiera major Stefan Dobrowolski. Spotkanie odbyło się przy okazji lunchu w ambasadzie, a potem panowie przez godzinę rozmawiali w cztery oczy.

Wieniawa otrzymał nominację na ambasadora na Kubie. Niektórzy uważają pomysł Sikorskiego za drwinę, za „ciepłą posadkę” dla dawnego adiutanta Piłsudskiego, inni podkreślają, że podczas wojny w Hawanie krzyżowały się działania różnych wywiadów. Na pewno jednak funkcja ta zapewniała rodzinie Długoszowskich stabilizację finansową.

Wieniawa rozpoczął przygotowania do wyjazdu, ostatni raz widział go wówczas major Dobrowolski. Ambasador pokazał mu bilety na Kubę i sprawiał wrażenie człowieka w

dobrym nastroju. Dwa dni później już nie żył.

Bolesław Wieniawa-Długoszowski popełnił samobójstwo 1 lipca 1942 roku, wyskakując z balkonu domu przy Riverside Drive w Nowym Jorku. Znalezione przy nim list pożegnalny:

„Myśli płaczą mi się w głowie i łamią jak zapałki lub słoma. Nie mogę spamiętać najprostszych nazw miejscowości, nazwisk ludzi oraz prostych wypadków z mojego życia. Nie czuję się w tych warunkach na siłach reprezentować Rządu, gdyż miast pożytku mógłbym zaszkodzić sprawie. Zdaję sobie sprawę, że popełniłem zbrodnię wobec żony i córki, zostawiając je na pastwę losu i obojętnych ludzi. Proszę Boga o opiekę nad nimi”.

I jeszcze dopisek ołówkiem: „Boże, zbaw Polskę” podpisany „B”. Ostatnie chwile generała widział miejscowy taksówkarz, który opisywał, że mężczyzna w piżamie bez większych wahań rzucił się w dół z piątego piętra.

Samobójstwo wzbudziło wielkie kontrowersje, pomimo problemów bytowych i zdrowotnych Długoszowski nie był typem samobójcy. A już zupełnie nie pasowała do niego śmierć w piżamie, człowiek tak kochający elegancję, oficer kawalerii i ambasador nie mógł skoczyć z balkonu w niedbałym stroju nocnym. List znaleziony przy zwłokach napisano częściowo ołówkiem, a częściowo piórem. Czy samobójca pisuje listy pożegnalne na raty? Co właściwie wydarzyło się tego dnia? Samobójstwo, wypadek czy morderstwo?

Spowiedź piłsudczyka

Zapewne nigdy tego nie ustalimy, ale niezwykle ciekawe informacje podał Marian Romeyko. Były podwładny i sympatyk Wieniawy trzy lata później rozmawiał z Floyarem Rajchmanem, z którym dobrze się znał.

Rajchman pojawił się w USA w 1941 roku, wcześniej razem z Ignacym Matuszewskim zorganizował i przeprowadził słynną ewakuację polskiego złota. Następnie, jak wielu prominentnych piłsudczyków, został całkowicie odsunięty na boczny tor. Po nim do Stanów Zjednoczonych dotarli również Matuszewski i Waław Jędrzejewicz. Panowie ci niebawem założyli opozycyjny Komitet Narodowy Amerykanów Polskiego Pochodzenia. Pierwsze posiedzenie komitetu odbyło się kilka dni przed śmiercią Wieniawy, był on zresztą na nim obecny.

Floyar Rajchman potwierdził w rozmowie z Romeyką samobójczą śmierć Długoszowskiego („na trzeźwo”). Ale stwierdził, że „ten człowiek musiał zejść z tego świata... dobrowolnie... świadomie... po tym, co uczynił”. Albowiem zdradził Piłsudskiego i jego ideały.

„On, Wieniawa, człowiek najbliższy Komendantowi, ten jego ukochany »Bolek«, jego powiernik, zdradził swojego Wodza! Porozumiał się, pogodził się z największym wrogiem Komendanta... Może największym, jakiego kiedykolwiek miał Piłsudski. Wieniawa sam to zrozumiał, rozumiał dobrze... Szkoda, że za późno, bo musiał zrozumieć, że za to musi zapłacić. Tak, zapłacić! Zapłacić swym życiem! Wykupić się z tej hańby!”.

Według Romeyki wyznania FloyaraRajchmana miały charakter niemal spowiedzi, dawny przyjaciel chciał zrzucić ciężar przytłaczający go od lat. I faktycznie miało go co przytłaczać.

„Przyjechał [Wieniawa do USA - S.K.] prawie na ukończeniu swych oszczędności. Trudno, trzeba pracować i to pracować fizycznie... Zdawaliśmy sobie sprawę, że to nie dla Wieniawy, że to go zabije przede wszystkim moralnie... Postaraliśmy się dla niego o odczyty w kołach dawnej emigracji o zabarwieniu legionowym, założonych przez Dreszera podczas jego pobytu w Ameryce”.

Podobno Długoszowski nie przypominał już beztroskiego ułana i wyklócał się o „honoraria za odczyty, o diety, o pokrycie kosztów”. On, który nigdy nie zwracał uwagi na finansową stronę życia.

Wspomniany major Dobrowolski, w tym okresie regularnie widujący się z Wieniawą, nie potwierdził relacji Rajchmana. Według niego Bolesław w ogóle nie poruszał spraw finansowych i „nie szukał w ogóle żadnych łask, nie ugiął się, nie pragnął płatnych stanowisk”.

Największą zbrodnią dla piłsudczyków było to, że Wieniawa spotkał się z Sikorskim „potajemnie, za ich plecami”, aby „prosić o posadę” i „powrócić do łask, do pieniędzy, do wygod, do dobrobytu”. Rzekomo wiedział, że w ten sposób „podpisywał co najmniej moralny wyrok śmierci na siebie samego”. Ale miał podobno tylko pieniądze w głowie.

„Ten człowiek - opowiadał FloyarRajchman - gdy dopiął swego, gdy otrzymał stanowisko, począł ujawniać fantastyczną znajomość spraw pieniężnych... On, który nigdy nie wiedział, jakie pobory mu się należą, który podpisywał zawsze na ślepo listę płacy, z chwilą gdy został wyznaczony na Kubę, począł robić intendenckie wprost obliczenia! Żądał pieniędzy na wszystko, wszystko co podpadało pod jakiegokolwiek przepisy, kilkumiesięczny awans na pobory, na kupno samochodu i na przejazd całej rodziny, i służby, i mebli, i Bóg wie czego. Dopilnował, by wszystko zostało mu wypłacone na rękę”.

Sprawiał wrażenie człowieka, który się zabezpieczał, a może po prostu chciał zadbać o przyszłość finansową rodziny? Chyba nie miał wątpliwości co do swojego losu, albowiem „rozumiał, że musi, musi ponieść konsekwencje”. I Rajchman miał wrażenie, że

Długoszowski „był na to przygotowany”.

„[...] był zanadto szlachetnym człowiekiem, by nie zrozumieć, że z taką plamą żyć dalej nie może... że nie będzie mógł spojrzeć w twarz swym przyjaciołom, którzy mu przez tyle lat bezgranicznie ufali i w niego wierzyli”.

Rajchman pokazał Romeyco fotokopię dwóch stron listu Wieniawy, ten bez problemu zidentyfikował pismo Długoszowskiego. Bez wątplenia słynny ułan żegnał się z życiem, była to decyzja stanowcza i nieodwołalna. Ale największe wrażenie zrobił na nim dopisek skierowany bezpośrednio do Rajchmana: „[...] wiem, jak potrafisz być okrutnym! Błagam Cię, nie mścij się, po mojej śmierci, na Bronce i Zuzi”.

Romeyko ogłosił swoje rewelacje pod koniec lat pięćdziesiątych, kilka lat po śmierci FloyaraRajchmana. Spotkał się z ostrą polemiką ze strony Wacława Jędrzejewicza, który zarzucił mu konfabulację i przeinaczanie faktów. Romeyko oczywiście replikował, ale prawdy zapewne nigdy się nie dowiemy.

Bronisława Długoszowska, znając stan psychiczny męża, ukryła przed nim pistolet, co do przyczyny desperackiego kroku jednak nie miała wątpliwości:

„Był w bardzo złej formie nerwowej - pisała do siostrzenicy Wieniawy - bardzo ciężko znosił wszystkie wiadomości z Polski, był bardzo osamotniony, nie chciał życia [...] chciał zginąć »na polu chwały«. [...] Mówił, że taktyka, którą oni obrali - Rajchman i Matuszewski - jest niesłychanie prymitywna. Ci ludzie nigdy nie darowali mu jego istotnej wyższości, bezinteresowności i tego, że nie pozwolił używać swojej osoby biernie do wygrywania jednej osoby politycznej przeciw innej w związku ze źle pomyślaną robotą polityczną. Bolek nigdy nie znosił bezczynności - był chory - marzył o śmierci”.

Czy Wieniawa naprawdę popełnił samobójstwo (w piżamie?), czy został do niego zmuszony, czy też po prostu wyrzucono go z balkonu (relacja taksówkarza wydaje się mocno niespójna). Ale bez względu na to, jakie były bezpośrednie powody śmierci pierwszego ułana Drugiej Rzeczypospolitej, do jego zgonu przyłożyli rękę wszyscy - i piłsudzczycy, i zwolennicy generała Sikorskiego. A on chciał tylko służyć Polsce...

ROZDZIAŁ 8

OBRAZY Z ŻYCIA BOHATERÓW BITWY O ANGLIĘ

Polscy piloci myśliwscy

W czerwcu 1940 roku, kilka dni po klęsce Francji, Winston Churchill zapowiedział w Izbie Gmin walkę aż do ostatecznego zwycięstwa:

„Obronimy naszą Wyspę bez względu na cenę, będziemy walczyć na plażach, będziemy walczyć na lądowiskach, będziemy walczyć na polach i na ulicach, będziemy walczyć na wzgórzach, nigdy się nie poddamy”.

Rodakom nie miał wiele do zaoferowania, wyłącznie „krew, trud, łzy i pot”. Oznajmił również, że „bitwa o Francję dobiegła końca. Spodziewam się teraz, że lada dzień zacznie się bitwa o Anglię”.

Brytyjski premier pozbył się ze swojego gabinetu zwolenników kompromisu z Hitlerem i skierował wszystkie siły na przeciwdziałanie inwazji. Doskonale wiedział, że gdy Wehrmacht przekroczy kanał La Manche, to nic go nie zatrzyma. Do udanej inwazji potrzebne było jednak panowanie w powietrzu, bitwa o Anglię miała się więc rozegrać w przestworzach.

Wbrew propagandzie głoszonej przez dziesiątki lat, wkład Polski w wysiłek zbrojny sprzymierzonych był stosunkowo niewielki. Czasami głośno było o polskich okrętach, czego najbardziej znanym przykładem jest brawurowa akcja niszczyciela „Piorun” podczas poszukiwania pancernika „Bismarck” (za co jej dowódcę spotkało polskie dochodzenie dyscyplinarne!). Wojska lądowe również miały swoje pięć minut (Tobruk, Monte Cassino, Falaise), ale tak naprawdę nasi rodacy zaledwie kilka razy odegrali pierwszoplanową rolę. A najważniejsze wydarzenia dla dalszego przebiegu wojny zaszły w tygodniach po klęsce Francji. Niezlomna wola walki deklarowana przez Sikorskiego utwierdziła Churchilla w decyzji o kontynuacji wojny, a następnie postawa polskich pilotów myśliwskich przyczyniła się do porzucenia przez Niemców planów inwazji Wielkiej Brytanii.

Bitwa o Anglię trwała od połowy lipca do końca października 1940 roku, później nastąpił wielomiesięczny okres niemieckich nalotów, które miały za zadanie sparaliżować życie Brytyjczyków. Luftwaffe atakowała brytyjskie lotnictwo w powietrzu i na ziemi, bombardowała bazy lotnicze, centra przemysłu i transportu. Naloty na angielskie miasta, terror wobec ludności cywilnej miał zmusić wyspiarzy do wycofania się z wojny.

„Gdyby Polska - powiedziała wiele lat po wojnie królowa Elżbieta II - nie stała po naszej stronie w tamtych dniach [...] płomień wolności mógłby zgasnąć jak świeca na wietrze”.

W bitwie o Anglię w polskich jednostkach oraz w dywizjonach brytyjskich walczyło stu czterdziestu czterech polskich pilotów (na ogólną liczbę ponad dwa i pół tysiąca), zestrzelono około stu siedemdziesięciu niemieckich maszyn, co dwukrotnie przewyższało osiągnięcia Anglików. Za najskuteczniejszą jednostkę całej batalii uznano polski dywizjon 303, którego piloci zgłosili zniszczenie stu dwudziestu sześciu samolotów.

Polscy lotnicy dotarli na Wyspy w dwóch turach. Część bezpośrednio po klęsce wrześniowej, to właśnie oni walczyli później w brytyjskich dywizjonach, większość przyplłynęła jednak później, po klęsce Francji. Dwie przegrane kampanie nie złamały ich ducha bojowego, chcieli walczyć, uważali (całkiem słusznie), że dotychczasowe porażki nie miały związku z ich umiejętnościami. Podczas kampanii wrześniowej walczyli na przestarzałym sprzęcie, polskie myśliwce były wolniejsze nawet od niemieckich bombowców.

„Prezentowaliśmy, nie chwając się, dużą klasę - oceniał pilot dywizjonu 303, Witold Łokuciewski. - Walcząc i latając na słabszym pod każdym względem sprzęcie, potrafiliśmy nawiązać równorzędną walkę, mimo że Niemcy w tym okresie szczycili się wielką bojowością i dużą przewagą lotniczą. Jeżeli chodzi o nas, myśliwców, to poważnych strat nam nie zadali. Ale cóż, sprzęt nasz był przestarzały, silniki miały godziny wylatane, więc maszyny kruszyły się. Piloci jednak dawali sobie radę pierwszorzędnie”.

O klęsce w czasie walk we Francji zadecydowała natomiast ogólna nieudolność miejscowego dowództwa. Nie wyciągnięto wniosków z kampanii w Polsce, pozostając w świecie pojęć z czasów pierwszej wojny światowej. Ale polscy piloci bili się dobrze, a niebawem miało się okazać, że pod niebem Anglii są najskuteczniejsi.

Niepokorni lotnicy

Aby zostać pilotem, potrzebny jest odpowiedni charakter i predyspozycje, ale nie wszyscy zasiadali za sterami myśliwców. Bardziej zrównoważonych kierowano do eskadr bombowych lub obserwacyjnych, najbardziej niepokorni trafiali natomiast do pułków myśliwskich. W okresie międzywojennym opowiadano wiele anegdot o wyczynach kawalerzystów, ale piloci przewyższali ich fantazją. Pełnili wyjątkowo niebezpieczną służbę, bo w pionierskich czasach awiacji liczba wypadków była ogromna.

Na wszelkie niebezpieczeństwa lotniczego fachu nakładał się jeszcze element

rywalizacji i zwykłej męskiej potrzeby ryzyka. Nie bez powodu jednym z ulubionych sportów pilotów stacjonujących w okolicach Warszawy były przeloty pod stołecznymi mostami, co spotykało się sankcjami przełożonych. Przełożeni również byli lotnikami, wprawdzie odsyłali podwładnych do aresztu, ale doskonale ich rozumieli. Zresztą pokorni służbiści nie mieli czego w lotnictwie szukać.

Fantazja pilotów nie ograniczała się wyłącznie do podniebnych ekscesów, notowano wybryki przypominające wyczyny księcia Pepi. Zygmunt Wasilewski jako młody oficer dał się kiedyś sprowokować do zakładu, a efekty tak opisywał Janusz Meissner:

„Punkt szósta. Zygmunt rusza do startu. Ma na nogach buciki, na głowie oficerską czapkę, z resztą jest goły jak święty turecki. Za to chody majak koń wyścigowy! Do placu Unii Lubelskiej biegnie za nim tylko komplecik dziewcząt lekkich obyczajów i »mama« Kapuścińska, ale nikt go nie goni. Przechodnie - z pewną dozą słuszności - biorą go za wariata i ustępują mu z drogi. Dopiero na rogu Marszałkowskiej zaczyna się pościg: dwaj posterunkowi policji, a za nimi rosnąca zgraja podnieconych obywateli. Wpadają na Puławską, pędzą wzdłuż żelaznych sztachet oddzielających teren lotniska. Motorniczy zatrzymują tramwaje na szynach, pośrodku jezdni stają dorożki i furmanki, na skrajach chodników gromadzą się gapie [...]”.

Wasilewski zdążył się schronić na terenie lotniska wojskowego, a ścigającym go policjantom odmówiono wstępu. Interwencja żandarmerii wojskowej również nie przyniosła rezultatu, trudno rozpoznać nagiego biegacza w nienagannie ubranym oficerze lotnictwa.

Przy takiej fantazji pilotów ich stosunki z kawalerzystami nie mogły być najlepsze. Przedstawiciele obu broni nie przepadali za sobą, a na domiar złego w latach dwudziestych mieli zbliżone umundurowanie. Szczególnie nocą, przy słabym oświetleniu, dochodziło do pomyłek. Janusz Meissner wspominał:

„Wracaliśmy kiedyś ze Stefanem [Pawlikowskim - późniejszym dowódcą polskiego lotnictwa myśliwskiego w Wielkiej Brytanii - S.K.] - i kilku innymi po jakiejś niezbyt udanej kolacji imieninowej u jednego z żonatych kolegów. Ponieważ do picia podano tam słodką wiśniówkę i to w ilościach ograniczonych, zamierzaliśmy właśnie wstąpić na kieliszek bardziej męskiego trunku do »Astorii« na Nowym Świecie, gdy zatrzymał nas ów rotmistrz.

- Dlaczego panowie nie przy szablach? - zapytał, zwracając się do Stefana.

Stefan był zły jak chrzan; nie cierpiał słodkich wódek i pogardzał ułanami.

- Dlatego, panie rotmistrzu - odrzekł wyniośle - że lotnikowi szabla tak potrzebna jak ułanowi rozum”.

Rumuńskie ucieczki

Po klęsce wrześniowej większość polskiego personelu lotniczego znalazła się w Rumunii. W odróżnieniu od reszty uchodźców piloci przedzierali się na wybrzeże Morza Czarnego, skąd odpłynęli do francuskiej Syrii. Ich relacje nadają się na scenariusz doskonałego filmu komediowego, ci ludzie po prostu mieli fantazję!

„Pierwsza partia uciekła z obozu w bardzo prosty sposób - opisywał Władysław Kisielewski ucieczkę z obozu w Calafat. - Wyciągnęli z szopy wielką beczkę na kółkach służącą normalnie do przewożenia wody, władowali rzeczy w środek i ciągnęli, krzycząc po rumuńsku:

- Apa!

Wartownik przekonany, że jadą po wodę, otworzył bramę i wypuścił całe towarzystwo. W piętnaście minut później wymaszerowała z obozu duża grupa żołnierzy, niosąc w plecakach deski ze specjalnie w tym celu rozebranego budynku. Prowadził ich kolega przebrany w mundur rumuńskiego strażnika. I tych również wartownik wypuścił bez przeszkód. Mniej więcej w tym samym czasie kilkunastu lotników kąpiących się w Dunaju odpłynęło spokojnie poza obręb obozu w łódkach wypożyczonych za leje od tubylców. Wartownik pilnujący gromady plażowiczów był święcie przekonany, że się potopili, bo na brzegu zostały ich rzeczy, czyli najgorsze mundury, jakie znaleźć można było w obozie”.

Po pierwszych sukcesach pojawiły się problemy, Rumuni wzmocnili strażę i wstrzymali przepustki. Podstawowym zadaniem stało się ukrycie cywilnych ubrań, postanowiono wykorzystać w tym celu grobowce na pobliskim cmentarzu. Rozpuszczono pogłoski, że miejscowe duchy zmarłych znacznie się uaktywniły i co wieczór jeden z pensjonariuszy obozu w „służbowej odzieży” (ducha) pełnił nocną służbę na cmentarzu. Pewnego razu doszło jednak do nieporozumienia przy ustalaniu grafiku dyżurów.

„Raz na przykład - wspominał Kisielewski - wyznaczono przez pomyłkę dwóch duchów służbowych. Ubrani w tradycyjne szaty, nic nie wiedząc o sobie, spotkali się niespodziewanie na środku cmentarza. Każdy z nich - bądź co bądź atmosferą cmentarza trochę podenerwowany - myślał, że ma przed sobą prawdziwego ducha. Skamienieli ze strachu, stali jakiś czas zupełnie spokojnie, przyglądając się sobie. Wreszcie któryś się poruszył. To wystarczyło, aby obaj - wyjąć niczym syreny alarmowe - zaczęli uciekać”.

Obaj pobiegli w kierunku jedynej bramy cmentarza i tuż przed nią wpadli na siebie. Tego było już za wiele dla słabszego psychicznie „ducha” i nieszczęśnik po prostu zemdłał.

Inny z pilotów pełniących nocną służbę znudził się siedzeniem wśród nagrobków i postanowił urozmaicić sobie dyżur. Ponieważ był pod wpływem alkoholu, to opuścił

cmentarz i wybrał się postraszyć po okolicy. Miał jednak pecha, trafił na nietrzeźwego tubylca, który zamiast uciekać, zaatakował go kijem. Spłoszony „duch” salwował się odwrotem w gęstą kukurydzę.

Z zakupem ubrań cywilnych nie było większych problemów, Rumuni akceptowali polską walutę, a w rozliczeniu przyjmowano dobre gatunkowo polskie mundury.

„Podczas kolacji - wspominał Waclaw Król - którą spożywaliśmy równo o zachodzie słońca, wymknęliśmy się z restauracji przez kuchenne drzwi, śpiesząc się, by zdążyć zakupić cywilne ubrania przed zamknięciem sklepów. Z właścicielem sklepu już przedtem nawiązaliśmy kontakt, zakup więc nam nie sprawiał zbytniego kłopotu. Po przymierzeniu ubrań cywilnych już ich nie zdjęliśmy. Mundury wojskowe zostawiliśmy u sklepikarza po odliczeniu ich wartości od ceny kupna. Żyd, sklepikarz, zapewnił nas, że unikając deszczu, ubrania będą się nosić długo, są eleganckie i solidnie uszyte”.

Król i jego koledzy mieli szczęście, deszczu nie było. Późniejszy oficer prasowy armii Andersa, Stanisław StrumphWojtkiewicz, miał natomiast inne problemy. Zdobyte przez niego ubranie było zupełnie niedopasowane:

„Spodnie sięgały mi niemal do gardła, ale z tym można się było pogodzić. Natomiast marynarki włożyć nie mógłbym, gdyż rękawy sięgały mi niemal do kolan. Do krawców iść nie śmiałem, moja maskarada byłaby zbyt widoczna. Musiałem wobec tego uderzyć w konkury do pewnej młodej gospodyni.

Nadmieniłem jej, że za skrócenie rękawów gotów jestem powrócić zaraz po wojnie, pozostawiając w zastawie to, co mam najdroższego - mianowicie rodową szablę. Nie potrzebuję dodawać, że owa karabela była nabyta w warszawskim sklepie stosunkowo niedawno i przez cały czas odwrotu sprawiała mnóstwo kłopotu, nie mówiąc o hałasie”.

Wszystko zależało od przedsiębiorczości uciekinierów. Znikały konwenanse związane ze stopniami i stanowiskami służbowymi. Czasami szeregowiec dawał sobie radę lepiej niż oficer, a ordynansi przejmowali inicjatywę. W cenie była znajomość podstawowych zwrotów rumuńskich, a ciemna karnacja i kilkudniowy zarost pozwalały wtopić się w tłum. Ale nawet najbardziej obrotni mieli problemy, szczególnie w ubogich okolicach.

„Nigdy w życiu nie miałem na grzbiecie takiej tandety - wspominał ze zgrozą Janusz Meissner. - Wyglądamy dość podejrzanie: ja w zrudziałym kusym garniturku i w za wielkiej cyklistówce - na dezertera; Zygmunt w pomidorową kratę - na handlarza żywym towarem, Pryszczuk w smokingu i w zielonych pumpach - zgoła na złodziejaska”.

Uciekinierzy otrzymywali fałszywe dokumenty, o większość spraw dbała polska ambasada. Zakwalifikowanych do wyjazdów fotografowano i wpisywano im fikcyjne

zawody. Wydaje się zresztą, że młode panie zatrudnione przy tym procederze czasami nieźle się bawiły. Znany kobieciarz, pilot Jan Zumbach, został seminarzystą, inny zaś pogromca serc niewieścich, Witold Urbanowicz - zakonnikiem.

Nie było również problemów z miejscową walutą. Rumuńskie banki wymieniały każdemu Polakowi trzysta złotych na leje. Ale niektórzy dysponowali większymi środkami finansowymi i próbowali różnych metod, aby wymienić więcej pieniędzy.

„Zauważywszy w odpowiedniej kolejce wielu Polaków - wspominał StrumphWojtkiewicz - którzy wymieniali sumy mniejsze, zaofiarowałem im polskie pieniądze do wymiany na spółkę: połowa rumuńskiej waluty dla nich, połowa dla mnie. Obliczyłem słusznie, że oszuka mnie i umknie najwyżej połowa rodaków. Istotnie na taras kawiarni naprzeciwko biura wymiany, gdzie zasiadłem, wielu przynosiło swoją część”.

Pomimo sprawnej organizacji obsługa wielotysięcznego tłumu była poważnym wyzwaniem. Sprawdzenie uciekiniera na liście zatwierdzonych do wyjazdu, przygotowanie nowych dokumentów, załatwienie wizy, to wszystko wymagało czasu. Ambasada polska w Bukareszcie przeżywała oblężenie.

„Pierwsze kroki skierowaliśmy do naszej ambasady - relacjonował Stanisław Zabiełło. - Cicha i spokojna zazwyczaj dzielnica zatłoczona była tysiącami samochodów o polskich znakach rejestracyjnych. Przed bramą kłębił się rozwrzeszczany tłum pragnących dostać się do środka. Każdy miał jakąś sprawę, jakiegoś znajomego czy nieznanego do odwiedzenia, jakąś prośbę czy pretensję do zgłoszenia, każdy uważał, że jemu się specjalnie spieszy i że on przede wszystkim powinien być załatwiony”.

W tłumie przeważali wojskowi, nie wszyscy dali się internować, a ucieczki z obozów przybrały masową formę. Jak wiadomo, Polak potrafi, nie bez powodu jeden z komendantów niemieckiego oflagu tłumaczył swojemu następcy, że na naszych rodaków trzeba szczególnie uważać. Według jego opinii, nagi Polak zamknięty pod pustym kloszem po dwóch tygodniach będzie ubrany, umeblowany, a następnie zajmie się pędzeniem bimbru.

W Rumunii łapówki były na porządku dziennym, a dla miejscowych policjantów pobyt Polaków był doskonałym źródłem dochodu. Szczodrze korzystali więc z tej możliwości, urządzając niemal „polowania” na naszych rodaków. Po wręczeniu stosownej kwoty, oczywiście, puszczała ich wolno.

„Naraz, ni stąd, ni zowąd - opowiadał Wacław Król - pojawili się przed nami dwaj policjanci i zażądali okazania dokumentów. Nie pomogły tłumaczenia gestami rąk i ubogi słownik rumuński, władza miała groźne miny, była nieczuła na wszystko, skierowała się z nami do komisariatu. Gdy jednak odeszliśmy ze 200 metrów i na ulicy zrobiło się zupełnie

pusto, wyciągnąłem z za pazuchy 200 lei i ukradkiem wręczyłem temu, co miał najwięcej złota na kołnierzu. Od razu stosunek opiekunów do nas zmienił się nie do poznania, stali się nadzwyczaj uprzejmi, jeden z nich przypomniał nawet sobie, że zna język niemiecki”.

Inna sprawa, że nasi rodacy czasami prosili się wręcz o kłopoty. Zasada była prosta, mieli wyglądem nie przypominać wojskowych. Niektórzy jednak nie potrafili pozbyć się osobistych pamiątek, zachowując różne odznaki czy symbole. Prym wiodli lotnicy, z dumą paradując z oficerskimi kordzikami, a wszelkie granice przekroczył jeden z nich, targając ze sobą drewniane śmigło odkręcone od własnego samolotu! Z tą „pamiątką” dotarł do Francji, a śmigło przetrwało wojnę. Do dzisiaj znajduje się w Instytucie Polskim i Muzeum imienia gen. Sikorskiego w Londynie.

„Zarówno na dworcu w Bukareszcie, jak i w pociągu - opisywał Bohdan Arct - zauważyć można było grupki rodaków, ledwo zamaskowanych pseudocywilnymi mundurami. Szczególnie rzucały się w oczy lotnicze płaszcze skórzane, do których co bardziej pomysłowi poprzyszywali futrzane kołnierze. Nie wszyscy jednak zdołali wyzbyć się wojskowych spodni charakterystycznego szaroniebieskiego koloru, a część paradowała nawet w kurtkach mundurowych pozbawionych jednak dystynkcji. Nikomu to jakoś nie przeszkadzało”.

Jak mogło przeszkadzać, skoro można było na tym zarobić? Do łapówkarskiego procederu włączyła się również żandarmeria wojskowa i celnicy. Doświadczeni funkcjonariusze bez problemu rozpoznawali Polaków, potrafili nawet określić rodzaj broni, w jakiej służyli.

Większość pilotów trafiła do portu Bałczik, gdzie mieli zostać zaokrętowani na statek do Syrii.

„Policja, solidnie opłacona, nie interesowała się tym, co dzieje się w porcie, kontrolerzy rumuńscy, sprawdzający paszporty przed wpuszczeniem nas na trap, udawali, że wykonują swoje obowiązki zgodnie z instrukcjami, czasem nawet zatrzymywali kogoś do wyjaśnienia prawdziwości danych w porcie”.

Na grecki statek o nazwie „Święty Mikołaj” zaokrętowało się aż ośmiuset ludzi, a dotychczas woził najwyżej dwustu pasażerów i to raczej w kiepskim standardzie. Tłok był niemożliwy, ale humory dopisywały. Okazało się również, że tureccy celnicy są podobnie chętni do współpracy jak ich rumuńscy koledzy i kolejna solidna łapówka w Bosforze zapewniła spokojny rejs do francuskiej Syrii.

Epopeja dziesiątków tysięcy polskich żołnierzy po klęsce wrześniowej nie ma swojego odpowiednika w najnowszej historii. Poza zorganizowanymi wyjazdami wielu naszych rodaków przedzierało się indywidualnie. Rumunia i Węgry nie były zresztą jedynym

kierunkiem, Polacy przez republiki bałtyckie docierali do Szwecji, Danii czy Holandii. Zdarzały się nawet wypadki przekradania się przez Niemcy czy Austrię.

„[Wędrowaliśmy] niczym liście niesione przez wiatr - pisał jeden z pilotów - albo szczątki wraku unoszone przez fale. Wiedzieliśmy, że za wszelką cenę musimy się przedostać na jedyny istniejący front”.

Wyspa ostatniej nadziei

Po klęsce Francji Anglicy znaleźli się w krytycznej sytuacji. Podczas walk na kontynencie stracili kilkuset doświadczonych pilotów, nie doczekali się również interwencji Stanów Zjednoczonych. Politycy z Waszyngtonu zachowali dużą rezerwę.

„Do kwietnia - pisał Winston Churchill - byli tak pewni wygranej aliantów, że uważali pomoc za zbędną. Teraz zaś są tak pewni naszej przegranej, iż uznali ją za zbyteczną. Dotąd nie otrzymaliśmy od Stanów Zjednoczonych żadnej wartej wzmianki pomocy”.

Przybywający na Wyspy Polacy stanowili poważną siłę. Łączną liczbę personelu Polskich Sił Powietrznych szacowano na osiem tysięcy ludzi, podczas gdy następnych na liście Czechów i Słowaków było zaledwie tysiąc dwustu. Brytyjczycy pozostawali jednak nieufni, Polacy mieli za sobą dwie przegrane kampanie, a propaganda niemiecka nie próżnowała. Pojawiały się wprawdzie opinie, że pod niebem Francji nie popisali się również Anglicy, ale głosy rozsądku tonęły w chórze sceptyków.

Dla Anglików Polska była abstrakcyjnym pojęciem, a właściwie tylko punktem na mapie wschodniej Europy. Dwadzieścia lat wcześniej ówczesny premier Lloyd George oburzał się, że Polakom zachciewa się Hiszpanii, ponieważ do uszu tego polityka dotarły polskie postulaty włączenia w granice kraju Galicji. Przez następne lata niewiele się zmieniło, wyspiarze słyszeli wprawdzie o Piłsudskim, Paderewskim czy Chopinie, ale nie dowierzali, że w naszych miastach są kina czy tramwaje. Doszło do tego, że pewien stateczny Anglik wtrącił się do rozmowy dwóch pilotów w pociągu:

„Ale panowie nie rozmawiają po niemiecku, co?

- Nie - odparł jeden z nich - mówimy w naszym języku.

- Aha - zdumiał się Anglik. - A więc macie własny język!”.

Polacy natomiast słyszeli tylko o Sherlocku Holmesie i angielskiej mgle. Obie strony czekał bolesny okres wzajemnego poznawania się.

Podstawowy problem stanowiła bariera językowa. Przed wojną angielski nie był specjalnie popularny, za język międzynarodowy uważano bowiem francuski. Trudno jednak walczyć bez zrozumienia poleceń i rozkazów z ziemi, Polacy wprawdzie szybko się uczyli,

ale pierwsze przyswajane przez nich angielskie słowa nie napawały optymizmem. Zwrot four whiskey, please trudno uznać za przydatny podczas wykonywania zadań bojowych.

W aklimatyzacji nie pomagały również miejscowe zwyczaje. Anglicy jeździli lewą stroną drogi, mierzyli odległości w jardach i milach, a wysokość w stopach. W brytyjskich samolotach odwrotnie działały włączniki przyrządów, a nawet uchwyt linki otwierającej spadochron ulokowany był po przeciwnej stronie. Zmuszało to do wyrobienia nowych odruchów, zupełnie innych od zakodowanych w pamięci.

Anglicy, nie dowierzając Polakom, realizowali swój cykl szkolenia. Formowane jednostki otrzymały podwójne dowodzenie, polskich dowódców dywizjonów i eskadr dublowali wyspiarze. Trudno jednak się dziwić, biegła znajomość angielskiego była tu konieczna. Bardziej zastanawiający był fakt, że Brytyjczycy sformowali cztery polskie dywizjony (dwa myśliwskie i dwa bombowe), po czym pilotów myśliwskich trzymali z dala od walki. Ale nasi rodacy wzięli sprawę w swoje ręce, porucznik Ludwik Paszkiewicz z dywizjonu 303 odłączył się samowolnie od eskadry wykonującej lot ćwiczebny i strącił hitlerowski bombowiec. Euforia zwycięzcy po lądowaniu była ogromna, a sam bohater, człowiek, którego abstynencja „była tak przysłowiowa, że dawał impuls do podawania w wątpliwość jego polskiej narodowości”, świętował z innymi. I upił się chyba po raz pierwszy w życiu.

Anglicy nie mieli wyboru, następnego dnia dywizjon został skierowany do walki. Jego piloci odnieśli fantastyczne zwycięstwo, sześciu pilotów zestrzeliło sześć samolotów wroga bez strat własnych. Nadeszły wielkie dni jednostki, a niebawem niedoceniani Polacy stali się bohaterami Anglii.

Idole Wielkiej Brytanii

„Trudno oprzeć się wrażeniu - pisał sekretarz króla Jerzego VI, Aleksander Hardinge - że gdyby wszyscy nasi sojusznicy byli Polakami, to do tej pory ta wojna potoczyłaby się całkiem inaczej”.

Było to po pierwszych sukcesach dywizjonu 303. Polscy myśliwcy zaskoczyli wszystkich, jeden z pilotów RAFu przyznawał, że „są fantastyczni, lepsi od najlepszych z nas. Przewyższają nas pod każdym względem”. Zdarzało się, że w siedzibie Churchilla przy Downing Street głównym tematem wieczornej rozmowy byli polscy piloci. Podobno premier zauważył, że każdy Polak wart jest trzech Francuzów, ale dwaj wyżsi brytyjscy oficerowie stwierdzili, że bliższy wydaje im się stosunek jeden do dziesięciu.

Dywizjon 303 stacjonował w Northolt; szef bazy, Stanley Vincent, podążył kiedyś

swoim myśliwcem za Polakami na akcję. Powątpiewał w prawdziwość relacji pilotów, ale to, co zobaczył, odebrało mu wszelki sceptycyzm. Nasi rodacy nurkowali pionowo „z samobójczym impetem” na szyk niemieckich bombowców, otwierając ogień w ostatniej chwili. Rozpętało się „prawdziwe piekło, niebo zappełniło się płonącymi samolotami, spadochronami i kawałkami rozwalonych maszyn. Wszystko rozgrywało się z oszałamiającą prędkością”. Wszelkie próby jego osobistego udziału w walce były skazane na niepowodzenie, zawsze „drogę przecinał mu nurkujący Polak”. Nic dziwnego, że po wylądowaniu stwierdził: „mój Boże, oni naprawdę ich koszą”.

Polscy piloci myśliwców mieli nie tylko fantazję, procentowały również umiejętności i doświadczenie. Zasiedli za sterami nowoczesnych maszyn, funkcjonował sprawny system dowodzenia, okazało się więc niebawem, że nie mają sobie równych na Wyspach. W ciągu tygodnia zestrzelili czterdzieści samolotów wroga!

Honory polskiemu dywizjonowi oddawali: król, ministrowie i oficerowie RAFu. Radio BBC z zachwytem relacjonowało sukcesy Polaków, a premier twierdził, że „dowódcę dywizjonu lotniczego ceni sobie w tych czasach na równi z ministrem gabinetu”. W ciągu kilku dni stali się idolami Zjednoczonego Królestwa.

„Polacy latający w RAFie - pisał korespondent »New York Timesa«. - Wystarczy, że spotka się paru lotników, a rozmowa schodzi na temat nowych wyczynów któregoś z polskich pilotów. [...] Mało, że Polaków się docenia, ich niemal się wielbi”.

Baza w Northolt przeżywała oblężenie, lotnisko okupowały tłumy brytyjskich i amerykańskich dziennikarzy. W gazetach pojawiały się artykuły porównujące polskich pilotów myśliwskich do „aniołów zemsty” czy „kawalerii powietrznej”, bazę zasypywały listy i prezenty, od papierosów po kieszonkowe uczennic. A roześmiana twarz Jana Zumbacha trafiła nawet na plakaty obligacji wojennych, oczywiście w kabinie samolotu z godłem dywizjonu.

„Pewna fabryczka whisky - opowiadał Witold Łokuciewski - ufundowała nam nagrodę za odniesione sukcesy podczas jednej z walk powietrznych. Stanowiło ją trzysta butelek produkowanego przez fabrykę napoju. Cała trudność polegała na tym, że fabryczka znajdowała się w mieście odległym o kilkaset kilometrów. Jedynym rozwiązaniem było wysłanie przez dywizjon delegacji w celu odebrania nagrody”.

I tak zrobiono, po odbiór whisky poleciało dwóch pilotów. Jeden z nich o „twarzy niewinnego dziecka” całkowicie „stronił od alkoholu”, a „uczciwość po prostu biła mu z twarzy”. Drugi natomiast „nie przepuszczał żadnej okazji”, a fizjonomię miał „najlepszego cwaniaka z warszawskiej Woli”.

Po kilku godzinach samolot powrócił, ale lądowanie odbyło się z dużymi kłopotami. Maszyna z kilku metrów spadła na podłoże, rozbijając podwozie. Obserwatorzy ze zgrozą przewidywali, że „trzysta butelek whisky diabli wzięli”.

Kompletnie pijanym pilotem okazał się niedawny abstynent. Przed linczem ze strony kolegów ocalił go fakt, że potłukła się zaledwie jedna butelka. Opakowania angielskiej firmy okazały się wyjątkowo trwałe.

W czerwcu 1941 roku dywizjon 303 odwiedził Merian Cooper - producent słynnego King Konga i Małych kobietek. Ten amerykański gigant filmu w 1920 roku walczył jako ochotnik w polskiej eskadrze imienia Kościuszki przeciwko bolszewikom. A teraz z dumą i wzruszeniem spotkał się ze swoimi następcami.

Prawdziwą modą stało się goszczenie Polaków na imprezach towarzyskich. Zacierają się różnice społeczne, nasi piloci stali się ozdobami salonów. Do dobrego tonu należało zapraszanie bohaterów angielskiego nieba, a damy z brytyjskiej society „adoptowały” kolejne polskie dywizjony.

W relacjach prasowych i audycjach radiowych tożsamość lotników ukrywano pod fałszywymi nazwiskami. Obawiano się, że ich rodziny pod sowiecką lub hitlerowską okupacją staną się ofiarami represji, ale ta tajemniczość podsyciała jeszcze romantyczną aurę wokół Polaków.

Jeden z pilotów dywizjonu 302, kapitan Antoni Wczelik, w walce powietrznej został zestrzelony i ratował się skokiem ze spadochronem. Wylądował w samym środku pola golfowego podczas rozgrywanych zawodów: „W klubie, do którego zaprowadzono mnie niemal triumfalnie, byłem obiektem zainteresowania nie tylko miłych gentelmenów, ale i przebywających tam uroczych pań... - tu Wczelik uśmiechnął się tajemniczo. - Myślałem, że w międzyczasie powiadomiono odpowiednie władze o moim pobycie w klubie i szczęśliwym wylądowaniu. Częstoowano mnie, czym było można, musiałem wypić dużo whisky. I tak przez dwa dni nie wiedziałem o świecie Bożym [...]”.

Wczelik wrócił do bazy dopiero na trzeci dzień, kiedy jego dobytek komisyjnie już spakowano i oddano do depozytu. Koledzy mieli jednak podejrzenia dotyczące nieobecności pilota. Uważali, że w „grę jednak musiała wchodzić jakaś lady ognistej krwi”, ponieważ kapitan „potem często wyjeżdżał w tamte strony w dni wolne od służby”.

Nie byłoby jednak sukcesów polskich pilotów bez zaangażowania obsługi naziemnej. Na najwyższe słowa uznania zasłużyli mechanicy dokonujący prawdziwych cudów. Uszkodzone samoloty łątano w ekspresowym tempie, często w sytuacjach uważanych za beznadziejne.

„Załogi polskich warsztatów dywizjonowych - uważał Witold Urbanowicz - zaczęły stawiać na nogi poharatane w walce samoloty, które w opinii brytyjskiej służby technicznej nadawały się wyłącznie do gruntownego remontu fabrycznego, niemożliwego w warunkach warsztatowych dywizjonu. Okazało się, że polscy inżynierowie i mechanicy w trudnych warunkach potrafili improwizować, wykazując gruntowną znajomość techniki, upór i pracowitość, i zaskakującą pomysłowość. Brytyjski mechanik pracuje niezawodnie i świetnie w tysiącu wypadków przewidzianych wyszkoleniem i regulaminem. Polak na jego miejscu da sobie radę z wypadkiem tysięcznym i pierwszym, nieprzewidzianym przez regulamin i wyszkolenie”.

Kuchenne rewelacje

Ulubionym lokalem Polaków w Northolt była gospoda „Orchard Inn” w miasteczku Ruislip położonym dwa kilometry od lotniska. Właściciel (jego babka pochodziła z Polski) uwielbiał naszych myśliwców, ceny alkoholu były przystępne, a lokal chętnie odwiedzały dziewczęta. Z czasem Polacy z dywizjonu 303 stali się honorowymi gośćmi gospody.

„Gospodarz lokalu - wspominał Zumbach - był o naszych czynach i zaniechaniach doskonale poinformowany. Gdy tylko zjawialiśmy się, natychmiast rozlegały się gratulacje dla zwycięzców dnia i wygłaszane były komentarze podsumowujące sukcesy ostatniego okresu. Wisząca na ścianie lista zwycięstw dywizjonu była aktualizowana a jour, oklaskiwana przez podpitych gości, a w szczególny sposób czczona przez przedstawicielki płci pięknej, które, im lista była dłuższa, tym bardziej słabły w naszych ramionach”.

Właściciel „Orchard Inn” nigdy nie zapominał o przesłaniu rannemu pilotowi kosza owoców, powszechnie uważano, że zasłużył sobie na honorowe miejsce w dziejach polskiego lotnictwa. Tolerował łamanie dotychczasowych obyczajów - młodzi zapaleńcy żyli chwilą, a następnego dnia mogli zginąć. Potrafił stworzyć odpowiednią atmosferę, Polacy czuli, że to ich gospoda, miejsce, do którego zawsze wracali.

„Lokal zamykano o dwudziestej trzeciej - opowiadał Waclaw Król - tak jak nakazywało zarządzenie czasu wojennego. Ale niekiedy na pierwszym piętrze, w prywatnych apartamentach właściciela lokalu, długo w nocy tańczyło kilka par przy dźwiękach dyskretnej muzyki płynącej z adapteru. Wtedy gościnnie gospodarz fundował wszystkim, bo lubił rozweselone twarze polskich pilotów”.

Ale nawet on nie potrafił zmienić wojennych zarządzeń o racjonowaniu żywności. Whisky i ginu zawsze było pod dostatkiem, lecz z zakąską bywało coraz gorzej. W Wielkiej Brytanii odciętej od dostaw z kontynentu obowiązywało ściśle racjonowanie żywności, na

pilota przypadały dwa jajka tygodniowo.

Miejscowa kuchnia nie cieszyła się zresztą uznaniem naszych rodaków, uznawano ją za monotonną i niesmaczną. Polacy wychowani na rodzimej tradycji mieli własne przyzwyczajenia. Nad Loarą nie narzekali na jadłospis, Francuzi wprawdzie nie mieli ochoty walczyć z Niemcami, ale znali się na przyjemnościach podniebienia.

„[...] Anglicy nie hołdują napychaniu żołądków chlebem i kartoflami - skarżył się Król - i wstawaliśmy od stołów z dużym niedosytem. Nie zachwycały nikogo różne sandwiches (kanapki) składające się z cienkiego kawałka chleba lub bułki skąpo posmarowanego margaryną i obłożonego listkami jakiegoś zielska. Nie smakowały też herbatniki i ciasta, puddingi czy pierogi z dziwnym nadzieniem. Dania mięsne składały się z cieniutkiego plasterka niedopieczonej baraniny lub rzadziej wołowiny bez żadnego smaku, dwóch wodnistych kartofli i łyżki marchewki, kalarepy albo sparzonej kapusty”.

W miarę trwania wojny w menu pojawiało się coraz więcej produktów o podejrzanym pochodzeniu. Wojenne kiełbaski zawierały podobno tylko pięć procent mięsa, a „reszta składników nie była znana”. Pesymiści twierdzili, że nie licząc przypraw, „zawartość kiełbasek dopełniona była do stu procent trocinami”.

Personel naziemny hodował wprawdzie świnie, ale na ubój potrzebne było odpowiednie zezwolenie. Gdy jeden z naszych dywizjonów bombowych szykował się do święta pułkowego, doszło do poważnego kryzysu. Nie było szans na legalny ubój, ale wiadomo że Polak potrafi:

„Ubój jest zakazany - oznajmił kapelan dywizjonu na zwołanej naradzie - nic na to nie poradzimy, przepisy i rozporządzenia władz rzecz święta. Ale te same królewskie przepisy mówią wyraźnie, że w razie jakiegoś nieszczęścia, nie daj Boże nagłego wypadku... - ksiądz kapelan odchrząknął znacząco i ciągnął dalej: - Przecież i biedne świnki mogą ulec wypadkowi... Ja nic nie proponuję, oczywiście dla mnie to sprawy obojętne, ale gdyby tak jakiś prosiak zapomniał się i niechcący wylazł na szosę... Ruch samochodowy u nas wielki”.

Stało się tak, jak duchowny przewidywał. Następnego dnia wyprowadzono na drogę najlepiej utuczonego prosiaka, a podobno „sam ksiądz kapelan go popychał”. Pojawił się samochód prowadzony przez jednego z pilotów, zwierzę zostało potrącone, po czym zgodnie z przepisami dobite. A że w jednostce służył rzeźnik z zawodu, to problemów z przerobieniem biednej świnki nie było. Święto dywizjonu okazało się wyjątkowo udane.

Wacław Król z nostalgią powracał do dnia, gdy jeden z pilotów dywizjonu 302 kilka mil od lotniska odkrył fermę kurzą. Niezwłocznie wyruszyło tam czterech lotników uzbrojonych w dużą butelkę whisky. Wizyta przebiegła w przyjaznej atmosferze:

„Spożyliśmy smaczną i obfitą kolację. Farmer poczęstował palących cygarami, jego żona nasłuchiwała się komplementów od podochoconych kolegów. A gdy przy napełnianiu ostatniej kolejki zabrakło trochę whisky do ostatniego kieliszka, Anglik nie wytrzymał, skoczył do kuchni i przyniósł pękatą butelkę.

- To dla uczczenia polskich lotników - powiedział mocno podochocony”.

Gospodarzy odwiedziły koleżanki pani domu, co dodatkowo podkreśliło atmosferę. Goszczenie bohaterów angielskiego nieba było dla miejscowych wielkim przeżyciem, a Polacy bez problemów doszli do porozumienia z farmerem.

„Późno w nocy wracaliśmy do kwatery w Fairwood Common - wspominał Król. - Jechałem ostrożnie, bo szumiało mi w głowie, a poza tym wieźliśmy ze sobą pełen karton świeżych jaj. Odtąd, do końca naszego pobytu w środkowej Anglii, codziennie na śniadanie mieliśmy po dwa jajka sadzone lub jajecznicę. Farmer natomiast meldował swoim władzom przełożonym, że kury jego bardzo zaniemogły i dużo przestało się nieść. Ani on, ani jego żona nie mogli na razie ustalić żadnej konkretnej przyczyny tych kurzych manier. Na to potrzeba było trochę czasu”.

Różnice w tradycji kulinarnej bywały jednak czasami przyczyną nieporozumień. Kiedy jeden z dywizjonów przebazowano do zachodniej Anglii, jego personel ze zdumieniem zauważył, że okoliczne lasy są pełne grzybów. Nikt nie zbierał prawdziwków, podgrzybków, a nawet rydzów. A który Polak nie lubi grzybów?

„W wolnym czasie - opowiadał Bohdan Arct - wybraliśmy się na grzybobranie, nieopatrznie i lekkomyślnie powiadomiwszy o tym gospodarzy, czyli angielskich oficerów, co zamierzamy robić. Lekkomyślnie, bo gdy wróciliśmy na lotnisko ze spadochronowymi torbami pełnymi prawdziwków i rydzów, gdy wybieraliśmy się do kuchni garnizonowej, by poprosić miłe dziewczęta z WAAF o pomoc w smażeniu, zastaliśmy przed wejściem do kasyna wojskową sanitarkę, a obok niej oczekujących lekarzy i felczera! Czekali na nas”.

Anglicy byli przerażeni. Polscy myśliwcy, duma i chwała Wielkiej Brytanii, najwyraźniej zamierzali popełnić zbiorowe samobójstwo. Przecież każdy Anglik wiedział, czym grozi spożycie takich grzybów.

„Okazało się, ku naszemu zdumieniu, że Anglicy jadają wyłącznie pieczarki i tylko ta odmiana grzybów zwana jest przez nich grzybami (mushroom). Wszelkie inne, nawet najrasowsze prawdziwki i rydze, to grzyby trujące.

Pomimo protestów całego personelu lotniska, włącznie z dowódcą i kapłanem, włącznie z obsługą sanitarki, rydze usmażyliśmy, nawet poczęstowaliśmy nimi lekarza i felczera. Uciekli w popłochu”.

Wyjątkowo groźne informacje dotarły do angielskiego dowództwa lotniska Heston. Podobno pies jednego z pilotów dywizjonu 302 „zakończył właśnie swój ziemski żywot, najadłszy się przedtem duszonych grzybów”. Wypadków śmiertelnych wśród ludzi jeszcze nie zanotowano, ale widziano już w ustronnym miejscu poważnie chorego polskiego pilota. Na reakcję wyspiarzy nie trzeba było długo czekać:

„Przed grupą pilotów i mechaników - relacjonował Wacław Król - raczących się dymiącymi i rozsiewającymi zachęcające zapachy grzybkami pojawiła się niespodziewanie cała komisja. Wszyscy jej członkowie mieli poważne miny, niemal przestrach w oczach [...]. Musieliśmy pokazać grzyby i te duszone, i te, które dopiero przyniesiono w wielkim papierowym kartonie. Kiwano nad nimi głowami, powątpiewano w nasze argumenty chwalcące zalety jadalnych grzybów. Członkowie komisji nie byli przekonani o ich nieszkodliwości dla zdrowia ludzkiego, jakkolwiek przewodniczący przypomniał coś sobie, że oprócz pieczarek istnieją jeszcze inne nadające się do spożycia grzyby. Musi to jednak sprawdzić w książce”.

Polacy zeznali, że pies nie jadł grzybów, zdechł porażony prądem, kiedy, goniąc szczura, wpadł na urządzenie transformatorowe. Komisję jednak bardziej zainteresował przypadek chorującego polskiego oficera.

„Panie majorze - zapytał jeden z Polaków - a gdyby pan tak wypił pół litra whisky i tyleż wina, czy wytrzymałby pan bez rzygania?”

To upewniło majora o nieszkodliwości grzybów spożywanych przez Polaków. Nie był jednak na tyle odważny, by poczęstować się wyborową zakąską”.

Finał całej afery nastąpił kolejnego dnia. Ponownie pojawiła się komisja, a widząc, że piloci żyją, jej członkowie odważyli się skosztować polskiego specjału. Początkowo nieśmiało, ale gdy dostali „odpowiednią dawkę najpewniejszej odtrutki - whisky, zniknęły ich dotychczasowe obawy”. Uznali duszone grzyby za doskonałe danie.

Alkoholowe turbulencje

Przeciętna długość życia pilota w dywizjonie myśliwskim podczas bitwy o Anglię wynosiła trzy tygodnie. Nic dziwnego, że naczelnym hasłem stało się „używajmy życia, bo jutro umrzemy”. I faktycznie lotnicy używali.

„Życie? - pytał retorycznie jeden z polskich pilotów. - Mierzyło się je na dni i godziny, a czasem na minuty. Człowiek upijał się jego czarem, ekscytował tempem i intensywnością”.

Northolt dzieliła od Londynu godzina jazdy. Polacy w wolnym czasie odwiedzali

nocne kluby, gdzie whisky i gin łąły się strumieniami. Istniały wprawdzie ograniczenia finansowe, ale jakież mieszkaniec stolicy nie postawiłby kolejki bohaterom londyńskiego nieba? Brytyjscy stróże porządku również przymykali oczy na ekscesy Polaków. Kiedyś grupa pilotów nie mogła odnaleźć w zaciemnionym Londynie drogi do Northolt, z rozpaczy podjechała pod komisariat. Nie powstrzymał ich nawet fakt, że kierowcy byli również „pod dobrą datą”.

„Niecو się chwiejąc na nogach, nieco jākając, wyjaśnili sytuację, poprosili o pomoc - opisywał Bohdan Arct. - Najpierw poczęstowano ich filiżanką herbaty, bez której w Anglii nie można nic zdziałać i wygrać wojny. W pięć minut później wszystko było zorganizowane.

Ulicami Londynu o godzinie trzeciej nad ranem ruszył niezwykle pochód. Otwierały go dwa policyjne motocykle. Za nimi jechały samochody Polaków, w każdym z nich obok kierowcy siedział policjant i pomagał w »nawigacji«. Procesję zamykały również dwa motocykle.

Zajechało to wszystko pod bramę lotniska. Policjanci wysiedli, odsalutowali, życzyli naszym pomyślnych lotów i zawrócili do Londynu”.

Pod koniec 1940 roku podczas wieczornej imprezy w kasynie oficerskim w Northolt między Polakami a Anglikami wybuchła kłótnia o umiejętności strzeleckie. Spór rozwiązano metodą Wilhelma Telia.

„Bufetowy - wspominał Arct - z kamiennym wyrazem twarzy postawił na kontuarze żądany owoc. Zawody zorganizowano błyskawicznie. Jednego z podgazowanych myśliwców angielskich ustawiono w kącie baru, na głowie położono mu jabłko. W przeciwległym rogu mikroskopijnego pomieszczenia stanął nieżyjący już dziś porucznik Kazimierz Sporny [zmarł kilka lat po wojnie na emigracji - S.K.]. W dłoni dzierżył służbowy rewolwer Smith and Wesson. Przymierzył się raz, przymierzył po raz drugi - chodziło przecież o honor polskich myśliwców. Trzecim razem strzelił!

Obecni wytrzeszczyli oczy: na podłodze leżał Anglik i leżało jabłko. Anglik ze strachu (chyba zrozumiałe), jabłko przestrelone w samym środku”.

Innym razem Jan Zumbach „po spożyciu” zestrzelił z głowy nietrzeźwego kolegi paczkę lucky strike'ów. Ofiar nie było, polscy myśliwcy nawet z promilami we krwi zachowywali pewną rękę.

Anglicy również mieli fantazję, Bohdan Arct z uznaniem opisał imprezę w jednym z brytyjskich kasyn pułkowych. Pogoda była fatalna, odwołano wszystkie loty i nie zapowiadało się, że w najbliższych dniach coś się zmieni.

„Do najbliższego miasteczka był szmat drogi, postanowiono wieczór bogobojnie

spędzić »w domu«. Rzecz jasna, w ruch poszły rozliczne butelki i kufle. Po przeróżnych solowych i grupowych występach wokalnych nastąpiła zabawa w messerschmilita i spitfire'a.

Do baraczkę wjechał na rowerze jeden z podchmielonych myśliwców. To był messerschmitt. Za nim, rozwalając drzwi, do wnętrza wtoczył się jeep - terenówka. To był spitfire. Rozpoczęła się pogoń dokoła stołu. Brzęczało rozbijane szkło, trzeszczały rozwalane krzesła i stołki, wreszcie messerschmitt został zestrzelony: rower dostał się pod koła jeepa, kierowca zwił prze/, okno, zapominając o jego otworzeniu”.

Witold Urbanowicz służbę na Wyspach rozpoczynał w brytyjskiej jednostce. Potwierdzał, że Anglicy nie wylewali za kołnierz i doskonale potrafili się bawić w męskim gronie: „Barman napelnił srebrne puchary spienionym piwem. Naczynia te zasługiwały na tak paradną nazwę choćby dlatego, że miały podwójne kryształowe dna, między którymi znajdowały się kostki do gry. Po wypiciu piwa potrzęsaliśmy pucharami. Ten, kto miał największą ilość oczek, stawiał kolejkę...”.

Tradycją bazy Tangmere stało się opróżnienie tyłu kufli (na głowę), ilu lotników brało udział w imprezie. Urbanowicz z nostalgią wspominał wieczór, kiedy puchary napełniano dwanaście razy - przy barze było sześciu Polaków i sześciu Anglików. Za kilka dni rozpoczęła się bitwa o Anglię, z tej grupy wszyscy wyspiarze polegli, Polacy mieli więcej szczęścia, czterech wojnę przeżyło.

Spżyciem alkoholu (po służbie) zainteresowali się wreszcie przełożeni. Pułkownik Tadeusz Rolski wydał rozkaz, aby alkohol (nawet piwo) podawano wyłącznie po kolacji. W zamian w menu pojawiło się... mleko.

Ale Polacy zawsze potrafili obejść przepisy, niebawem w godzinach popołudniowych kasyno ponownie się zaludniło, a myśliwcy grzecznie siedzieli przy barze, spożywając biały nektar. Wydawał im się zresztą smakować, popijali go małymi łykami, stawiając sobie nawzajem kolejki.

Zaniepokoiło to Rolskiego i zamówił dla siebie szklankę mleka. Spróbował, nie znalazł nic szczególnego, normalne mleko, takie jak na całym świecie. Zmienił zdanie, gdy dyskretnie zabrał szklankę sąsiadowi. Nieprzygotowany na dawkę wysokoprocentowego alkoholu natychmiast się zakrztusił. Mleko służyło tylko do zabarwienia whisky, „kumys” jego podwładnych miał ponad trzydzieści procent alkoholu.

Pod wpływem trunków zdarzały się czasami nieporozumienia towarzyskie. Alkohol zaostrza postrzeżenie rzeczywistości, a gdy w grę wchodzi ambicje narodowe, to awantura wisi w powietrzu. W pewnym szkockim miasteczku zorganizowano imprezę taneczną w miejscowym ratuszu. Dancing miał specyficzną oprawę, ściany zdobiła duża liczba mieczy,

szabel, hełmów i tarcz. Okazały się one bardzo przydatne naszym rodakom.

Podczas imprezy wybuchła kłótnia o dziewczynę pomiędzy brytyjskim komandosem a polskim pilotem. Scysja zamieniła się w ogólną bijatykę, ale komandosi górowali liczbą i warunkami fizycznymi. Szybko zepchnęli Polaków do defensywy i wydawało się, że nic nie ocali naszych rodaków przed klęską. W ogólnym zamieszaniu przewrócono stolik, przy którym siedział kompletnie nietrzeźwy polski lotnik, któremu rozbito ostatni kufel piwa. Tego nie zamierzał tolerować, zerwał się z okrzykiem: „Polonezy do broni!”, i sięgnął po wiszącą na ścianie szablę. Za jego przykładem poszła reszta Polaków, którzy uzbrojeni w broń sprzed wieków runęli na Anglików. Wyspiarze nie dotrzykali pola, a następnego dnia dostali kary aresztu od własnego dowódcy. Brytyjscy komandosi nie mieli bowiem prawa uciekać przed słabszymi siłami uzbrojonymi wyłącznie w białą broń.

„W Northolt - opisywał inną zadymę wielbiciel mleka, pułkownik Tadeusz Rolski stacjonował wówczas oddział Gwardii Irlandzkiej ze służby ochrony lotniska chłop w chłopa, 180 centymetrów wzrostu, o doskonałej kondycji fizycznej. Na jednej z takich potańcówek doszło pomiędzy żołnierzami z polskich dywizjonów a Irlandczykami do nieporozumienia o dziewczęta”.

Zaczęło się od słów, Irlandczycy straszliwie klęli, ale znalazł się tłumacz sprawnie przekładający polskie riposty. Doszło więc do tego, do czego musiało dojść, w ruch poszły pięści.

„Z jednej strony - kontynuował Rolski - przeważające liczebnie, żyłaste, wysokie, długokończyniaste, rudowłose, ale trochę powolne draby z Gwardii Irlandzkiej, z drugiej - przysadziste, krzepkie, ale zwinne chłopaki spod Sępólna, Kutna czy Opoczna. Gdy w pierwszym starciu szala zwycięstwa przechyliła się od razu na polską stronę, kilku Irlandczyków wpadło na fatalną skutkach dla nich myśl i pobiegło po karabiny”.

Polacy byli bez broni, ale to nie stanowiło problemu. Irlandczyków natychmiast obezwładniono, wrywając im karabiny, i awanturnicy z Zielonej Wyspy zostali solidnie poturbowani. Na placu boju pozostali Polacy, kilku ogłuszonych Irlandczyków i „piszczące w kącie waafki” [dziewczyny z WAAF - pomocniczej służby kobiet - S.K.].

Następnego dnia odbyło się spotkanie komendanta bazy z dowódcami Irlandczyków i Polaków. Uznano, że całą sprawę należy puścić w niepamięć.

„Chociaż wszyscy trzej chcieliśmy potraktować sprawę z pełnym poczuciem humoru, jednak jasne było, że dowódca Irlandczyków silnie przeżywa hańbę swoich chłopaków, którzy mimo przeważającej liczby i uzbrojenia zostali tak fatalnie wyeliminowani z walki już w pierwszej rundzie. Szczególnie bolał go fakt, że gwardziści sprowadzili sobie karabiny. To

było nie po dżentelmeńsku”.

Wielką słabość do niesfornych myśliwców przejawiał Naczelny Wódz. Sikorski już wcześniej, gratulując sukcesów dywizjonowi 303, prosił pilotów (pisemnie!) o spełnienie kilku dodatkowych kolejek, a niebawem miał udowodnić swoją tolerancję. Generał był człowiekiem dość zasadniczym, ale wiedział, że myśliwcy są najlepszą reklamą sprawy polskiej. Wyjątkową klasę pokazał, kiedy w opałach finansowych znalazła się grupa lotników z dywizjonu 303. Piloci, załatwiając coś służbowo w Londynie, trafili do hotelu „White Eagle”, gdzie przebywało wielu polskich oficerów. Wszyscy chcieli koniecznie napić się z bohaterami angielskiego nieba, wznoszono wiele toastów, zabawa była doskonała. Kiedy jednak przyszło do uregulowania należności, piloci pozostali sami z rachunkiem przewyższającym ich możliwości. Zdesperowany Łokuciewski napisał na jego odwrocie, że jest to płatność za konsumpcję członków dywizjonu 303 i poprosił o odesłanie rachunku Sikorskiemu. Pilotów zwolniono, a kilka dni później przyszedł telegram od Naczelnego Wodza:

„Jeszcze raz gratuluję dotychczasowych i życzę dalszych zwycięstw. Rachunek z restauracji został uregulowany. Inicjatywa ciekawa, pomysł oryginalny, jednakże nie życzę sobie dalszych działań według tego schematu, albowiem mogłoby to wejść w nałóg. Pozdrawiam.

II Sikorski”.

Płeć piękna i piloci

Przed przybyciem do Wielkiej Brytanii Polacy mieli niewielkie pojęcie o gospodarzach i miejscowych obyczajach.

„Wydawało nam się - wspominał Bohdan Arct - iż każdy Anglik to lord, a każda Angielka ma co najmniej sześćdziesiąt lat, prezentuje się jak wyschnięta deska i koniecznie posiada płatfusy. Opinia z gruntu fałszywa, bo, z wyjątkiem Polski, tylu ładnych dziewcząt co właśnie w Anglii nie spotkałem w żadnym ze zwiedzanych przeze mnie podczas wojny krajów. Odnośnie zaś do przysłowiowej angielskiej flegmy, to mając na myśli płeć piękną, wcale jej nie dostrzegaliśmy”.

Obyczaje na Wyspach były odmienne od tych na kontynencie i czasami identyfikacja bywała utrudniona. Przekonał się o tym jeden z pilotów, który zaczął dziewczynę na promenadzie w Blackpool. Konwersacja ograniczyła się do łamanej angielszczyzny i gestów, poszli razem do kina, a następnie na zakrapianą kolację.

„Lotnik nie tracił czasu - kontynuował Arct - przystąpił do generalnego ataku,

uwiecznionego pełnym sukcesem, a ułatwionego faktem, iż [...] kwatery mieściły się po pensjonatach i nie trzeba było się tłumaczyć wizytą takiego lub innego gościa w porze... dość późnawej.

Następnego dnia z samego rana nadobna dziewczyna wstała, ubrała się, uczesała, za pomocą szminki i pudru doprowadziła buzię do porządku, a biorąc torebkę, rzuciła na odchodnym:

- No tak, kochanie, ale jak będzie z pieniżkami??"

To był jednak wyjątek, Polacy, idole Wysp Brytyjskich, cieszyli się specjalnymi względami płci pięknej. Młodzi i wolni mężczyźni szczerze korzystali z uwielbienia Angielek, żyli szybko, umierali młodo i nie stronili od wszelkich atrakcji.

„Myślę - wspominał z uśmiechem wiele lat później Witold Urbanowicz - że Angielki zasłużyły sobie na pomnik, duuuuży pomnik. Były dla nas cudowne”.

Atrakcyjność Polaków nie ograniczała się wyłącznie do sławy wojennej. Różnili się od tubylców, byli szarmanccy, zawsze pamiętali o kwiatach, całowali w dłoń, łamaną angielszczyzną dukali komplementy. Przepuszczali panie w drzwiach, zdejmowali wierzchnie okrycia, wstawali, gdy do stolika podchodziła kobieta.

A do tego pochodzili z odległego i nieznanego kraju i w Wielkiej Brytanii nie mieli nikogo bliskiego. Czy to nie wystarczało, aby serca Angielek i Szkotek biły szybszym rytmem? Nic dziwnego, że Polacy cieszyli się nieustanną adoracją płci pięknej.

Zbliżenia ułatwiały przemiany obyczajowe związane z wojną. Po mobilizacji mężczyzn w wieku poborowym Brytyjki musiały zająć ich miejsce w biurach, fabrykach i wojskowych służbach pomocniczych. Kobiety odkrywały nieznane rejony życia, a z nimi swobodę obyczajową. Nosiły spodnie, pokazywały się publicznie bez pończoch. I miały mniejsze skrupuły niż ich matki czy babki.

Na oddzielną uwagę zasługiwały dziewczęta z WAAF. Dostarczały potrzebnego pierwiastka żeńskiego, a wiadomo przecież, że kobieta łagodzi obyczaje. Młode i sympatyczne stały się powierniczkami Polaków, ich przyjaciółkami i kochankami. Zawsze były na miejscu, a znajomości z nimi nie ograniczały się wyłącznie do przygód seksualnych, to głównie one wieczorami zaludniały „Orchard Inn”.

„Wieczorem - wspominał Jan Zumbach - odkładały na bok mundury, wełniane skarpetki i wojskowe buty i każdego wieczoru oczekiwały nas ubrane w barwne stroje, jedwabne pończochy i pantofle na wysokim obcasie. Miejscem spotkań był wielki bar, zwany saloonem, znajdujący się po lewej stronie wejścia; w środku błyszczał maleńki parkiet do tańców. Po prawej stronie szło się do jadalni, w której, w miarę postępującego racjonowania

środków żywności, karty menu wyglądały coraz bardziej smutno. Mimo to atmosfera jadalni była bardziej przyciągająca, niż ta, jaka panowała w naszej mesie w Northolt: tam, choć jedzenie lepsze, było raczej ponuro”.

Polacy znaleźli się w odpowiednim miejscu o właściwym czasie. Byli dla młodych Szkotek i Angielek oderwaniem od dotychczasowego życia i szarej wojennej egzystencji. Bo pomimo przemian obyczajowych ówczesna rzeczywistość Wielkiej Brytanii była wyjątkowo ponura.

„Ja osobiście jestem najgłębiej przekonany - kontynuował Zumbach - że kobiety w Wielkiej Brytanii, które tak długo były krępowane wiktoriańskimi nakazami moralności, tym więcej starały się dochodzić swojego, im bardziej była uwalniana ich zmysłowość. Staliśmy się dla nich przyjemną i przecież niezabronioną odmianą pruderyjnego na co dzień stylu życia”.

Jedna z byłych waafek, wspominając wojnę, powiedziała, że „brytyjscy oficerowie nie mieli pojęcia, jak traktować dziewczęta”. Polacy natomiast „mieli coś takiego w oczach - wiedziałaś, że ten mężczyzna widzi w tobie kobietę i cię pragnie”. Nic dziwnego, że uznawała to za „nadzwyczaj erotyczne uczucie, całkiem dla nas nowe”.

„Nadzwyczajną dziewczyną okazała się Ann - wspominał Zumbach. - Była śliczna i łagodna, naturalna, promieniała wesołością, a równocześnie powściągliwością. Nigdy nie starała się stanowić ośrodka zainteresowania ani gromadzić wokół siebie kręgu wielbicieli, następowało to samo przez się. Nigdy nie spała w hotelu”.

Pewnego wieczoru po dancingu zaprosiła pilota do domu na kolację. Zumbach nie potrafił ukryć zdumienia, kiedy Ann przedstawiła go swoim rodzicom. Zjedli razem kolację, potem rodzice wycofali się do swojej sypialni, a młodzi przeszli do pokoju dziewczyny. Tam Ann nastawiła płytę i po namiętnym pocałunku oświadczyła, że idzie się wykapać. Zumbach rozebrał się i położył do łóżka.

„W łazience słychać było pluskanie. Na stoliku nocnym zauważyłem gruby zeszyt. Otworzyłem go i rzuciłem okiem na pierwszą stronę. Gdybym już nie leżał w łóżku, pewnie bym padł. Był to sekretny pamiętnik Ann, w którym z najdrobniejszymi szczegółami opisywała swe przygody miłosne. Nawet gdyby mój angielski był na poziomie początkowym, zrozumiałbym wszystko bardzo dobrze. Choćby dlatego, że na stronach pamiętnika znalazłem nazwiska wielu swoich kolegów z dywizjonu. Ann wystawiała im wszystkim oceny bardzo dobre, podczas gdy na temat miłosnych wyczynów swych rodaków wypowiadała się raczej krytycznie. Lista jej zestrzeżeń, jak mogłem ocenić z szybkiego przeglądu, liczyła około trzydziestu nazwisk. Brakowało tylko fotografii. Wszystko to wprawiło mnie w świetny

nastrój.

Anna, anielska Anna, pokazała ze swej strony, że rzeczywiście z prowadzonych studiów porównawczych nauczyła się bardzo wiele”.

Anna nie była wyjątkiem, jedną z dziewczyn pracujących w WAAF nazywano „speedy” (szybka), grupę młodych Angielek odwiedzających „Orchard Inn” określano natomiast „messerchmittami”. Dziewczyny wiedziały, czego chcą, nie odstępowały lotników i chętnie szły z nimi do łóżka.

Nic dziwnego, że w jednej ze szkół dla dziewcząt dyrektorka przestrzegała wychowawice, aby „trzymały się z dala od ginu i polskich lotników”!

Oczywiście nie wszystkie Angielki odrzuciły wiktoriański styl życia. Jeden z naszych pilotów poznał urodziwą dziewczynę opowiadającą o narzeczonym, który podarował jej zdjęcie swojego polskiego domu z dedykacją. Zaskoczony pilot obejrzał widokówkę przedstawiającą pałac w Wilanowie (!), a na odwrocie przeczytał po polsku: „Rodaku, uciekaj, niedotykalska”.

Sukcesy Polaków u płci pięknej wzbudzały zazdrość Brytyjczyków. Niektórzy z nich, udając się na dancing, przyszywali do mundurów etykiety z napisem „Poland” i posługiwali się łamaną angielszczyzną ze złym akcentem. Ale wszystkich przebił pewien osobnik szepczący w tańcu do partnerki:

„Jestem polskim lotnikiem. Proszę, napij się ze mną. Jestem bardzo samotny”.

Polacy otrzymywali stopy listów z dowodami uwielbienia, a lotniskowy tłumacz przeżywał ciężkie chwile. Zrozpaczony ułożył szablony odpowiednie na różne okazje, co okazało się bardzo przydatne.

„Tak więc - wspominał jeden z pilotów - w zależności od zamiarów, jakie miałeś względem dziewczyny, szedłeś do niego i mówiłeś »Nauczycielu, proszę list numer trzy«,,.

Za największego playboya uchodził Jan Zumbach. Młody i przystojny (w czasie bitwy o Anglię miał 26 lat) był chyba najbardziej niespokojnym duchem w tym gronie. Na zdjęciach zwracają uwagę jego oczy, było w nich coś niepokojącego, coś co trafnie określiła kiedyś była posłanka Samoobrony. A to wraz z niespożytą energią życiową tworzyło prawdziwie wybuchową mieszankę. Nic dziwnego, że Mirosław Ferić notował z rezygnacją, że „wczoraj Zumbach wrócił z urlopu, więc już o spokoju i ciszy nie ma mowy”.

Nawet jednak Zumbachowi zdarzały się porażki. Poznał kiedyś w Londynie dziewczynę, z którą po kilku tańcach i kolacji wylądował w hotelowym łóżku. Na jej życzenie po drodze kupili jeszcze winogrona.

„Gorące ciało Beryl - zwierzał się w pamiętnikach - i jej pulchne zaokrąglenia kazały

mi szybko zapomnieć o jakichkolwiek obawach. Byliśmy właśnie w środku upojnej zabawy, gdy wyczułem, że prawa ręka dziewczyny wysuwa się z łóżka, za chwilę do niego wraca, by za moment cały ten manewr powtórzyć”.

Zumbach natychmiast stał się czujny, przez głowę przemknęły mu wszelkie informacje o niemieckich szpiegach i skrytobójcach.

Uznał, że dziewczyna poszukuje ukrytego sztyletu albo rewolweru i przypomniał sobie, że swoją broń schował pod poduszką.

„Zdecydowałem się działać. Lewą ręką złapałem za prawą kiść Beryl, energicznie ją unieruchamiając, prawą ręką zapaliłem światło i wyciągnąłem pistolet spod poduszki.

Biedna dziewczyna wydała z siebie okrzyk przerażenia. Ja byłem zaskoczony nie mniej niż ona. W prawej ręce zamiast sztyletu trzymała kulkę winogron zabraną z talerzyka przy nocnym stoliku. Ogłupiały i czerwony ze wstydu pojąłem nagle powód dziwnych ruchów jej rąk. Biednemu dziecku bardziej smakowały winogrona niż miłość!”.

Na nic zdały się tłumaczenia. Dziewczyna uznała Zumbacha za groźnego zbrojnego i natychmiast uciekła do swojego pokoju. Chyba straciła chęć do intymnych spotkań z polskimi pilotami.

Nie wszystkie Brytyjki szukały wyłącznie przygód czy też chciały „zaliczyć” bohatera. Potrzebowały ciepła, opieki i uczucia, a to Polacy potrafili im zapewnić. Nasi myśliwcy również nie byli ludźmi obojętnymi na sprawy serca. Wielu Polaków ożeniło się na Wyspach, chociaż czasami przyszłe żony poznawali w niecodziennych warunkach. Jeden z pilotów poznał swą towarzyszkę życia, gdy zestrzelony wylądował ze spadochronem w ogródku jej rodziców. Innym razem potrzebne było szczęście w grze w orła i reszkę.

„Lokal był pełny - pisał Arct - ale nas zainteresował stolik po przeciwnej stronie parkietu, dość blisko naszego. Siedział tam jakiś Anglik w towarzystwie dwóch pań. Jedna z nich odpadła »w przedbiegach«, ale druga, ho, ho, wielce nas zaintrygowała. Bo i buzia na sto dwa, i kształty pięknie opływowe, i podwozie jak trza.

- Target for tonight, czyli cel na dzisiejszy wieczór - odezwał się Edek Krzemiński, używając popularnego określenia bombowców. - Zaproś ja do tańca, Bohdan.

- Nie, ty jesteś starszy stopniem i stażem bojowym.

Jałowy spór zajął nam kilka minut czasu. Nie mogąc dojść ze sobą do porozumienia, wyciągnęliśmy srebrną półkoronówkę i zgraliśmy w orła i reszkę. Wypadło na mnie. Wstałem, podszedłem, przeprosiłem, poprosiłem. Tańczyła jak anioł, o ile anioły potrafią tańczyć jak ona”.

Dziewczyna miała na imię Beryl i z czasem została żoną Arcta. Dochowali się dwojga

dzieci, razem wyjechali po wojnie do Polski. Małżeństwem pozostali do śmierci Arcta w 1973 roku.

Czarna niewdzięczność wyspiarzy

Podczas wojny w Wielkiej Brytanii sformowano kilkanaście polskich dywizjonów (myśliwskich i bombowych), nasi piloci zdobywali sławę w obronie Wysp Brytyjskich, nad okupowaną Europą, w walkach nad Afryką. Polska Grupa Myśliwska osiągnęła nad Czarnym Lądem nieprawdopodobne sukcesy, nazywano ją „cyrkiem Skalskiego”, od nazwiska jej czołowego pilota.

Podczas wojny zginęło ponad cztery tysiące członków polskiego personelu lotniczego, w tym pięciuset pilotów myśliwskich. W walkach polegli doświadczeni piloci: Eugeniusz Horbaczewski (16 zestrzelonych samolotów wroga), Marian Pisarek (12), Zdzisław Henneberg (9). Nad Francją zginął dowódca polskiego lotnictwa myśliwskiego, pułkownik Stefan Pawlikowski, pamiętny wróg ułanów i słodkiej wódki. Jako pilot bombowca poległ pułkownik Stanisław Skarżyński, pierwszy Polak, który przeleciał nad Atlantykiem (w 1933 roku).

Jedyny Czech służący w dywizjonie 303, Josef František (17 zwycięstw), zginął w wypadku lotniczym, podobnie jak kronikarz jednostki Mirosław Ferić (10). Z dwudziestu czterech polskich pilotów stanowiących pierwszy polski skład dywizjonu 303 wojnę przeżyło zaledwie dziewięciu. Zginęło piętnastu, a z tych co przetrwali, niektórzy trafili do niemieckiej niewoli (Zumbach i Łokuciewski) lub ciężko poparzeni musieli zrezygnować z latania (Zdzisław Krasnodębski - pierwszy polski dowódca jednostki). U schyłku wojny stanęli przed ogromnym dylematem wspólnym dla Polaków walczących dotychczas u boku aliantów. Pozostać na emigracji, czy też wracać do kraju, gdzie władzę przejęli komuniści?

Po inwazji niemieckiej na ZSRR nastawienie wyspiarzy wobec Polaków zaczęło się zmieniać. Brytyjczycy byli już zmęczeni wojną, a dla angielskich polityków ważniejsze stały się dobre stosunki z Rosją niż wszyscy Polacy razem wzięci. Nasi rodacy coraz częściej spotykali się z wrogością niedawnych wielbicieli. Anglicy nie rozumieli, dlaczego Polacy nie chcą wyrzec się Kresów, do których pretensje zgłaszał Stalin. Nie rozumieli ich przywiązania do Lwowa i Wilna, niechęci do zmiany granic.

W 1943 roku do antypolskiej agitacji przyłączyła się brytyjska prasa. Powtarzano za Rosjanami oskarżenia, sugerując, że przyczyną konfliktu jest chorobliwa nienawiść Polaków do ZSRR. Spadała popularność niedawnych bohaterów, uważano ich za pieniaczy, a w zamian rósł szacunek do Sowieców. Wzywano angielskie robotnice do naśladowania ich

sowieckich koleżanek (!), a brytyjskich farmerów do przyjrzenia się sowieckim sukcesom w rolnictwie! Sowieckiego ambasadora Iwana Majskiego przestano uważać za pariasa, ten były mienszewik (polskiego pochodzenia) został nawet członkiem ekskluzywnego klubu „Ateneum”.

Angielskie damy rezygnowały z „matkowania” polskim dywizjonom, przerzucając zainteresowanie na amerykańskich sojuszników. Polskie Siły Zbrojne przestały praktycznie mieć znaczenie, Anglicy uznali, że Polacy zrobili już swoje, a teraz powinni czekać na decyzje mocarstw.

„Rząd polski i naród polski - pisał z goryczą Edward Raczyński - nie mają w tej chwili do dania niczego więcej ponad to, co już dają - »sprawę« godną wysiłku ze strony wolnych narodów świata, zdecydowaną »postawę« narodu ciemiężonego przez okupantów, męstwo żołnierzy, zwłaszcza marynarzy i lotników. Te walory nie starczą jednak za brakujące siły materialne w walce toczącej się na śmierć i życie, tym bardziej że nie mamy alternatywy politycznej i wynikającej stąd możliwości »sprzedania się drożej«,.

Do ostrego kryzysu doszło po wybuchu powstania warszawskiego, polscy myśliwcy zażądali od Brytyjczyków zgody na atak na niemieckie pozycje w Warszawie. Anglicy zgody nie wydali, słusznie uważając, że to samobójcza misja. W tym czasie cztery polskie załogi bombowe, mające dokonać zrzutu zaopatrzenia daleko od walczącej stolicy, złamały rozkaz i samowolnie poleciały nad Warszawę. Trzy z nich zrzuciły zasobniki nad pozycjami AK, jeden z samolotów został zestrzelony.

O desperacji polskich pilotów świadczy telegram nadany przez lotników dywizjonu 303 bezpośrednio do pałacu Buckingham:

„Każdej nocy z tej strony wielkiej wyspy startuje nad kontynent tysiące samolotów. Skromny ułamek z nich mógłby uratować Warszawę. Proszę nam wierzyć, Wasza Wysokość, że kiedy w 1940 roku ważyły się losy Wielkiej Brytanii, my, polscy lotnicy nie myśleliśmy szczerze krwi i życia [...]. Wtedy nad płonąącym Londynem nie brakło polskich i angielskich lotników, czy ma ich teraz zabraknąć nad płonącą Warszawą? Czy to miasto ma zginąć w przededniu zwycięstwa, po pięciu latach tęsknoty za wolnością? [...] Czy wiarę w Wielką Brytanię zniszczą płomienie trawiące naszą stolicę? Wasza Wysokość, proszę wybaczyć nam, żołnierzom, szczerść i bezpośredniość. Nie możemy jednak dłużej milczeć, gdy giną nasze kobiety i dzieci. Wierzimy mocno, że ich los nie jest obojętny Waszej Wysokości”.

Cztery lata wcześniej członkowie brytyjskiej rodziny królewskiej wypowiadali się entuzjastycznie o polskich pilotach. Ale czasy i warunki polityczne bardzo się zmieniły, angielska racja stanu wymagała zdrady najdawniejszych sojuszników.

Do świadomości brytyjskiego społeczeństwa zaczęło docierać, że po wojnie Polacy na Wyspach staną się konkurentami na rynku pracy. Zaczną też stwarzać poważny problem polityczny - grupa hałaśliwych, nieprzejednanych emigrantów liczących na skłócenie zwycięskiej koalicji.

Sytuacja stała się krytyczna, gdy brytyjskie władze w lipcu 1945 roku oficjalnie cofnęły uznanie dla rządu emigracyjnego. Polacy w Wielkiej Brytanii stali się nagle uciążliwymi obcokrajowcami, których obecność drażniła rosyjskich sojuszników. Dlatego nie zaproszono Polaków na londyńskie obchody zwycięstwa w czerwcu 1946 roku. Wyjątek uczyniono dla grupy zasłużonych myśliwców, ale ci odmówili udziału, solidaryzując się ze swoimi kolegami.

Po wojnie do kraju powróciło niewielu polskich lotników, a ich losy są dobrym przykładem traktowania przez władze Polski Ludowej weteranów z Zachodu. Bohdan Arct, nie mogąc znaleźć pracy, zaszył się ze swoją angielską żoną na Podlasiu, gdzie poświęcił się działalności pisarskiej. Był autorem ponad czterdziestu książek o tematyce lotniczej, został nawet z tego powodu aresztowany przez służbę bezpieczeństwa, ponieważ opisał w jednej ze swoich publikacji dane sowieckiego myśliwca. Okazało się jednak, że zaczerpnął je z oficjalnego wydawnictwa.

Książki o tematyce lotniczej pisał również Waclaw Król. Ciągłe szykanowany, pracował jako magazynier i dopiero po objęciu władzy przez Gomułkę wrócił do służby. Nie pełnił jednak żadnych funkcji, do których był predysponowany z racji lotniczego doświadczenia.

Do Polski wrócił również Witold Urbanowicz, co było odważną decyzją. Urbanowicz jeszcze w 1935 roku zestrzelił sowiecki samolot szpiegowski, który naruszył granice Polski, co mogło stać się wystarczającym powodem do postawienia go przed komunistycznym sądem. Rzeczywiście został aresztowany, zwolniono go dopiero po interwencji ambasady USA (podczas wojny walczył jako ochotnik z Japończykami w szeregach amerykańskiego lotnictwa) i natychmiast wyjechał na Zachód. Uwięziono również Witolda Łokuciewskiego, ale on po zwolnieniu pozostał w kraju. W 1956 roku powrócił do lotnictwa wojskowego, a u schyłku lat sześćdziesiątych pełnił funkcję attache wojskowego w Londynie. W Wielkiej Brytanii widział się z wieloma dawnymi kolegami i nie było to łatwe przeżycie. Oskarżany o zdradę spotkał się z ostracyzmem środowiska.

Niespotykaną karierę zrobił Mieczysław Pawlikowski. Podczas wojny był członkiem załogi polskiego bombowca, a pod koniec zmagani pracował jako spiker i lektor w polskich audycjach radia BBC. W Polsce został aktorem, występował na warszawskich scenach

teatralnych, prowadził „Podwieczorek przy mikrofonie”. A do historii polskiej kinematografii przeszedł jako niezapomniany odtwórca roli Onufrego Zagłoby w Przygodach pana Michała Jerzego Hoffmana.

Z pilotów pozostałych na emigracji najbarwniejsze życie miał niewątpliwie Jan Zumbach. Popularny „Johny” czy też „Kaczor Donald” (wizerunek kaczora zawsze kazał malować na swoim myśliwcu) nie potrafił zaadaptować się do czasów pokoju i prowadził życie awanturnika. Zajmował się przemytem na dużą skalę, był właścicielem dyskoteki w Paryżu, walczył jako najemnik w Katandze i Nigerii. Jego pamiętniki są fascynującą lekturą, to zapis życia człowieka, który nie znosił nudy. O swoich decyzjach pisał szczerze, wojna skrzywiła jego psychikę, nie potrafił żyć bez codziennej dawki adrenaliny. Zmarł w 1986 roku, niewykluczone, że jego śmierć miała związek z ciemnymi interesami, jakie prowadził.

Witold Urbanowicz doczekał niepodległości Polski w USA. W 1991 roku przyjął zaproszenie do odwiedzenia ojczystego kraju, a cztery lata później prezydent Lech Wałęsa mianował go generałem brygady. Był jedynym z polskich asów myśliwskich (17 zestrzeleń), który nigdy nie został strącony ani ranny. Słynny pilot zmarł w sierpniu 1996 roku w Stanach Zjednoczonych, był ostatnim lotnikiem pierwszego składu dywizjonu 303.

Wszystkich przeżył Stanisław Skalski, największy as polskiego lotnictwa drugiej wojny światowej (18 pewnych zestrzeleń). Podczas bitwy o Anglię walczył w jednym z brytyjskich dywizjonów; należał do nielicznych, których Brytyjczycy po wojnie chcieli zatrzymać w RAF. Jego losy potoczyły się jednak wyjątkowo tragicznie: po powrocie do kraju został oskarżony o szpiegostwo i skazany na karę śmierci. Karę tę zamieniono na dożywotnie więzienie, o czym go nie poinformowano (!) i przez kilka lat siedział w celi, sądząc, że lada dzień zostanie strącony. Miał jednak szczęście, przeżył, został zrehabilitowany i na wolność wyszedł w 1956 roku. Powrócił do lotnictwa, ale pełnił głównie funkcje administracyjne. Lata spędzone w więzieniu pozostawiły na nim niezatarte piętno, wszystkie nieszczęścia wiązały z żydowską narodowością prześladowców z UB. W efekcie w latach osiemdziesiątych związał się ze Zjednoczeniem Patriotycznym „Grunwald”, a w wolnej Polsce kandydował do sejmu z list Samoobrony. W wypowiedziach prasowych głosił poglądy skrajnie nacjonalistyczne i antysemickie.

W ostatnich latach życia był już schorowanym człowiekiem, zależnym od pomocy innych. Zaufał niewłaściwym ludziom, został przez swoich opiekunów okradziony z oszczędności i mieszkania. Zamieszkał w domu pomocy społecznej, zmarł w wieku osiemdziesięciu dziewięciu lat w warszawskim szpitalu (2004). Według informacji prasowych, śmierć nastąpiła na skutek obrażeń będących wynikiem pobicia. A władze wolnej

Polski nie zrobiły nic dla jednego z największych bohaterów bitwy o Anglię.

ROZDZIAŁ 9

KONIEC ŚWIATA SKAMANDRYTÓW

Cudowna piątka

Tak jak do The Beatles przyłgnęła nazwa Fab Four (cudowna czwórka), tak pięciu poetów spod znaku Skamandra śmiało można nazwać Fab Five. Jak na polskie warunki i czas ich debiutu nie ma w tym określeniu żadnej przesady. W jednym miejscu i w jednym czasie znaleźli się: Julian Tuwim, Antoni Słonimski, Leszek Serafinowicz (Jan Lechoń), Jarosław Iwaszkiewicz, Kazimierz Wierzyński. Bitelsi mieli swojego menedżera w osobie Briana Epsteina, skamandryci natomiast zapewne nie zdobyliby popularności bez Mieczysława Grydzewskiego. Był ich przyjacielem, agentem i wydawcą „Pro Arte et Studio”, a potem słynnych „Wiadomości Literackich”.

„Tak równocześnie z wybuchem niepodległości - pisał Kazimierz Koźniewski - rozpoznawali się i poznawali ze sobą młodzi poeci, którzy zbuntowani przeciwko Młodej Polsce - nagle oswobodzeni od posłannictwa narodowego swej sztuki, oszołomieni urodą życia i witalizmem młodości, namiętnie rozgorączkowani powstającą wokół rzeczywistością, weseli i szczęśliwi, niesłychanie lekko i szybko wbiegli na poetycki Parnas, od razu bardzo wysoko. Przeskakiwali trzy stopnie naraz. Mieli bowiem talenty wielkie, a inaczej niż futurystyczna awangarda - zachowywali tradycyjne formuły wiersza, szeroko więc mogli być czytani i rozumiani. Czytelnicy mogli więc ich poezją cieszyć się i bawić razem z nimi”.

Debiut kabaretu literackiego „Pod Pikadorem” był niezwykle wydarzeniem. Wywołał modę na poezję - tomiki wierszy wydawano w nakładach sięgających pięciu, sześciu tysięcy egzemplarzy. Każdy nowy utwór opublikowany w prasie był szeroko komentowany przy kawiarnianych stolikach. Pikadorczycy dotarli nawet do mieszczańskiej publiczności, a to oznaczało już bezprecedensowy sukces. Młodzi zapaleńcy mieli walczyć z mieszczaństwem, filistrami i tandetą, a w zamian stali się obiektem zachwyty i adoracji.

Były to dla nich szalone czasy. Lechoń po latach cytował retoryczne pytanie Jana Kochanowskiego: „znał kto kiedy poetę trzeźwego?”. I zgadzał się w zupełności, że „nie uczyni taki nic dobrego”. Z grona skamandrytów alkoholu nadużywali „niemal nałogowo” Tuwim i Wierzyński, pozostali również nie byli abstynentami. A czasami pod wpływem trunków zdarzały się tragikomiczne sytuacje.

„[...] kiedyś w apoteozie warszawskiej bohemy - wspominał Lechoń - w pierwszych

latach niepodległości - towarzystwo dobrze już przyrządzone podrzucało na wiwat któregoś z Pfeifferów [rodzina warszawskich przemysłowców - S.K.] - nie pamiętam już Józefa czy Bolesława. W rezultacie gość uderzył nogą o kant trotuaru i złamał goleń. W strasznych mękach - zabrano go dorożką do domu, dokąd wezwano chirurga, aby włożył nogę w gips. Władek Pfeiffer, król cyganerii burżujskiej, zażądał jednak, aby zabrać z sobą również sławny kwartet Różewicza. Co też uczyniono i podczas kiedy wyjąłemu z bólu pacjentowi reperowano to złamanie - w przyległym pokoju Jaś Różewicz rznął, rzekomo dla ulżenia jego cierpień, »A ta przepióreczka!«,.

Słynny stolik na półpiętrze „Małej Ziemiańskiej” stał się symbolem sztuki przez duże S, zaproszenie do niego oznaczało nobilitację. Nic dziwnego, zjawiali się tam faktycznie tylko najwybitniejsi twórcy i największe gwiazdy. Dotyczyło to również kobiet, zapraszane tam panie musiały być piękne albo wyjątkowo utalentowane. A najlepiej, aby spełniały oba te warunki. I rzeczywiście na półpiętrze można było spotkać Ordonkę, Samozwaniec, PawlikowskąJasnorzewską, Krzywicką, Stryjeńską, Halamę, Pogorzelską. Bywał tam również pułkownik Józef Beck, a stałym rezydentem był WieniawaDługoszowski.

„W grupie pikadorczyków - wspominał Iwaszkiewicz - było to przyjemne, że zawiść nie odgrywała żadnej roli. Przypuszczam, że w duchu każdy z nas pięciu uważał się za najlepszego poetę grupy i wobec tego nie zazdrościł laurów swym towarzyszom. Zżyliśmy się bardzo prędko i choć odmienne nasze temperamenty nie pozwalały na powstanie wspólnego, bardziej określonego programu, jednak, znając się doskonale, lubiliśmy się bardzo i nie działając na siebie, nie mając nawet wpływu na indywidualnie powstające prace - tworzyliśmy jednak pewną całość”.

Całą grupę spajała osobowość Mieczysława Grydzewskiego. Po latach przyznawał to Wierzyński, doceniając wpływ, jaki „Grydz” wywarł na poetów:

„Niemniej to, co stanowi dorobek Skamandra, nie jest dorobkiem zgrupowania, lecz poszczególnych indywidualności. Jeśli żyliśmy ze wspólnego kapitału, to tylko do czasu. Ze wspólnoty naszej pozostała przybrana przypadkowo nazwa i nieunikniony w takich wypadkach mit cyganerii. Poza tym Tuwim byłby Tuwimem, a Lechoń Lechoniem bez Skamandra, Iwaszkiewicz mógłby rozwijać swój estetyzm i muzyczną prozę daleko od nas, Słonimski miał zacięcie zawodowego literata, który jak zwykle chodzi w pojedynkę, a ja prawdopodobnie także dałbym sobie jakoś radę. Żeśmy się nie rozlecieli na wszystkie strony i nic rozeszli równie szybko, jak zeszlśmy się razem - jest zasług;) Grydzewskiego. Bez niego nie powstałby miesięcznik literacki »Skamander«, bo nikt z nas się nim poważnie nie interesował. Bez niego nie odbywałyby się nasze wieczory autorskie, na które Grydzewski

zganiał nas z nie mniejszą energią niż pan Iwanowski albo inny impresario. Bez niego nie zlepiłaby się - przynajmniej w opinii publicznej - tak zwana grupa Skamandra, do której dołączyły niebawem świetne talenty, jak Pawlikowska-Jasnorzewska albo Wittlin. Grydzewski wniósł ze sobą instynkt gromadzki i skrzętność gospodarza i one to pozwoliły zebrać bardzo odrębne indywidualności pod jednym dachem, póki dach się nie zawalił, a dawni przyjaciele nie rozeszli się bez podania ręki”.

Chociaż do „zawalenia dachu” było jeszcze daleko, to jednak sukcesy oznaczały koniec wspólnej przygody z poezją. Ich drogi zaczęły się rozchodzić, co na dłuższą metę było nieuniknione. Przy trzech osobach zawsze dwóch jest bliżej ze sobą niż ten trzeci. A przy pięciu? Lechoń był najbliżej ze Słonimskim, Tuwim z Wierzyńskim, Iwaszkiewicza drażniło złośliwe poczucie humoru Lechonia, a Wierzyńskiego chyba nigdy nie rozumiał.

Poezja i finanse

Skamandrytów podzieliły sprawy osobiste, rodzinne i finansowe. Żaden z nich nie mógł utrzymać się wyłącznie z poezji. Najlepiej radził sobie Tuwim, starając się zdobyć rękę Stefanii Marchwiówny, musiał mieć znaczące dochody. Związał się więc ze stołeczną sceną kabaretową, doskonale zarabiał, a jego nazwisko stało się synonimem sukcesu. Używał wielu pseudonimów, wstydząc się tego rodzaju twórczości, nie chciał również dochodami drażnić kolegów po piórze. Już w połowie 1919 roku był najbardziej pożądanym autorem w stolicy, a dyrekcja „Qui pro Quo” zawarła z nim umowę na wyłączność - zarabiał, nawet gdy nie pisał. Jego miesięczne dochody szacowano (już po reformie walutowej) na około czterech tysięcy złotych. Pisał wszystko: szmoncesowe dialogi, liryczne piosenki, skecze. Potrafił zaglądać do teatryku kilka razy dziennie, za każdym razem przynosząc nowy pomysł.

Doskonale prosperował również Słonimski. Jego teksty, pisane również pod pseudonimem, wykorzystywały „Czarny Kot”, „Qui pro Quo”, „Stańczyk”, „Perskie Oko”, „Banda”, „Ali Baba”, „Cyrulik Warszawski” i „Tip Top”. Był stałym współpracownikiem „Wiadomości Literackich”, pisane przez niego wspaniałe Kroniki tygodniowe należały do najmocniejszych akcentów pisma. Wysoko ceniono jego recenzje teatralne, pisywał powieści i komedie, które z powodzeniem wystawiano na scenach warszawskich. Właściwie tylko on, obok Tuwima, mógł powiedzieć, że utrzymywał się ze swojego talentu.

Inaczej było z pozostałą trójką. Wierzyński robił karierę jako dziennikarz. Oprócz współpracy ze „Skamandrem” i „Wiadomościami Literackimi” pisywał recenzje dla „Gazety Polskiej”, ale do historii polskiego dziennikarstwa przeszedł jako redaktor naczelny „Przeglądu Sportowego”. To właśnie Wierzyński nadał piśmie nowoczesny charakter i za jego

kadencji gazeta zaczęła ukazywać się dwa razy w tygodniu. Poeta był gorącym wielbicielem sportu, w 1928 roku zdobył złoty medal w konkursie literackim IX Olimpiady w Amsterdamie. Był to drugi złoty medal olimpijski dla Polski w dziejach nowożytnych igrzysk olimpijskich. Kilka lat później został uhonorowany Złotym Wawrzynem Akademickim Polskiej Akademii Literatury, ale znacznie ważniejsze (ze względów finansowych) było członkostwo Polskiej Akademii Literatury. Diety za posiedzenia wynosiły dwieście złotych i były istotnym dochodem w budżecie każdego literata.

Iwazzkiewicz bogato się ożenił, jego wybranką została Anna Lilpop, jedynaczka bogatego przemysłowca. Ale skomplikowane stosunki z rodziną żony, a potem walka o spadek po zmarłym teściu spowodowały, że dopiero w drugiej połowie lat trzydziestych stał się niezależny finansowo. Do tego czasu łączył działalność literacką ze służbą państwową, był sekretarzem marszałka sejmu Macieja Rataja, a następnie pracował w dyplomacji. Pełnił obowiązki sekretarza ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Kopenhadze i Brukseli.

Od całego towarzystwa zdecydowanie różnił się Lechoń. On jako jedyny żył jak prawdziwy poeta, nie wiadomo z czego i za co. To znaczy najczęściej za pożyczone pieniądze, bo długów nie miał zwyczaju oddawać. Słonimski zauważył złośliwie, że gdyby Lechoń „wiedział, że dostanie Nagrodę Nobla, jeśli napisze kartkę do Sztokholmu - słowa by nie napisał”. Mimo to Lechoń pasożytował finansowo na przyjacielu i od chwili poznania się „spędzili razem dziesięć lat z przerwą na jedzenie i spanie”.

Z czasem jednak nawet on musiał postarać się o stałe dochody. Został redaktorem czasopisma satyrycznego „Cyrulik Warszawski”, udzielał się w sferach rządowych, brał udział w sprowadzeniu zwłok Słowackiego do kraju. Znajomości zaowocowały stanowiskiem attache kulturalnego przy ambasadzie polskiej w Paryżu.

„Tylko Leszek - wspominał Słonimski - mógł czarami towarzyskimi osiągnąć tak łakome stanowisko dyplomatyczne, nie posiadając żadnych ku temu kwalifikacji. Jak Proustowski Swann był już wtedy ulubieńcem salonów warszawskich. Bywałem z nim czasem w Belwederze, u Zaleskich, potem na herbatkach u pani Sikorskiej, ale Lechoń był wszędzie i stale w sferach rządowych i dyplomatycznych [...]”.

W Paryżu uczynił wiele dobrego dla polskiej kultury. To dzięki jego staraniom doszło do premiery Harnasi Szymanowskiego, odpowiednio reklamował również Iwazzkiewicza i jego Lato w Nohant. I to w sytuacji, kiedy obaj panowie coraz mniej za sobą przepadali. Wspomnienia Iwazzkiewicza pełne są złośliwości pod adresem Lechonia, a ten w swoich Dziennikach wielokrotnie określał go jako idiotę. Ale solidarność skamandrytów jeszcze raz zwyciężyła, dopiero wojna położyła ostateczny kres wieloletniej przyjaźni.

Diaspora

Wierzyńskiego ewakuowano wraz z redakcją „Gazety Polskiej” do Lwowa, Tuwimowie, Słonimscy i Grydzewski natomiast opuścili Warszawę taksówką. W stolicy pozostali tylko Iwaszkiewiczowie, pan Jarosław nie zamierzał porzucić swojego Stawiska. Zresztą, nie będąc żydowskiego pochodzenia, był w innej sytuacji niż pozostali. I dobrze zrobił, jego posiadłość stała się prawdziwym azylem dla ukrywających się Polaków i Żydów, czasami na jej terenie przebywało ponad czterdzieści osób.

Słonimscy nie zamierzali uciekać daleko, chcieli przeczekać sukcesy niemieckie po drugiej stronie Wisły.

„Rozumowanie nasze było proste - opisywał z humorem ewakuację Słonimski. - Ponieważ czołgi niemieckie były zrobione z tektury, nie będą one mogły przejść Wisły, a jakby próbowały, to się rozkleją. W Kazimierzu moja żona wynajęła pokój i dała sto złotych zadatku. Ponieważ nasze informacje o czołgach niemieckich nie były całkiem ścisłe i Niemcy tego samego dnia byli pod Puławami, wyjechaliśmy natychmiast. W Krzemieńcu żona moja wynajęła pokój i dała już tylko pięćdziesiąt złotych zadatku, po czym wyjechaliśmy z Krzemieńca w pół godziny po tej transakcji. A w Zaleszczykach nie zdążyliśmy już dać zadatku”.

W Kazimierzu towarzystwo rozdzieliło się, Tuwimowie pojechali pierwsi jakąś okazją, a Słonimscy i Grydzewski zabrali się później. Tak było niemal przez całą drogę, Niemcy byli dobieg za Słonimskimi, a Tuwimowie dobieg przed nimi. Wyścig z czasem trwał aż do granicy z Rumunią.

W Tarnopolu Słonimski spotkał znakomitego historyka Olgierda Górkę:

„[...] utknęliśmy ostatecznie, nie mając ani litra benzyny. Spotkało się tu wielu znajomych, którzy w podobnej znaleźli się sytuacji i niemal mechanicznie każdy każdego pytał o benzynę. Spytałem więc Olgierda Górkę: »Może ma pan trochę benzyny?« - »Mam«. Oniemiałem. »Wiozę cały konwój«. - »Da nam pan trochę?« - »Dam, ale czekaj pan, coś panu muszę pokazać. Patrz pan, w tej kamienicy na lewo zatrzymał się kiedyś król Kazimierz z najbliższymi, a dom obok zajął dwór z całym fraucymerem«. Musiałem wysłuchać paru dłuższych anegdot znakomitego naszego historyka, nim wreszcie dostaliśmy upragnione paliwo”.

Słonimscy z Grydzewskim przedostali się do Bukaresztu, niespodziewane problemy spotkały natomiast Tuwimów.

„Jest godzina popołudniowa - wspominała rumuńska tłumaczka Dusza Czara Stec. - Nagle słyszę kroki na schodach, coraz wyżej... Biegnę do drzwi, otwieram. Na progu stoją

Antoni Słonimski, żona jego i redaktor naczelny »Wiadomości Literackich« - Grydzewski.

- Boże, proszę, proszę wejść! - nic więcej nie mogłam powiedzieć.

- Tuwim, Tuwim! - wybuchnął Słonimski. - Tuwim znajduje się na granicy polskorumuńskiej, w Załuczy, nie puścili go, nie ma przy sobie żadnych papierów, a Rumuni zamknęli granicę. Tuwim został! - krzyczał. Mówił dalej, że wydałam przecież Antologię poezji polskiej w języku rumuńskim i że tam znajdują się wiersze Tuwima... Rozpaczliwe pytanie Słonimskiego, jego żony i Grydzewskiego:

- Czy pani może coś zrobić, żeby go wydostać, uratować?

Uspokoiliam zrozpaczonych, nadałam telegram do Czerniowiec, do profesora tamtejszego uniwersytetu, Hakmana, do doktora Diamanta, folklorysty żydowskiego, zamówiłam połączenie telefoniczne z tymi panami i czekałam na odpowiedź”.

Ostatecznie największą rolę w rozwiązaniu problemu odegrał młody urzędnik placówki w Czerniowcach (aktor z zawodu), Stefan Baczyński. Z pomocą dwóch polskich oficerów dowiózł bezpiecznie Tuwimów na pociąg do Bukaresztu. I niebawem ruszyli w ślad za Słonimskimi do Paryża.

Polskę opuścił również Wierzyński, wszyscy ostatecznie trafili pod skrzydła Lechonia w Paryżu. Byli mile widziani przez nowe polskie władze, bo mimo iż popierali Piłsudskiego, przez długie lata zachowywali dobre stosunki z Sikorskim. I podzielali wiarę generała we Francję:

„Byliśmy bezpieczni - pisał Słonimski. - Między nami i wrogiem była Linia Maginota! Wierzyliśmy w nią jak w wiele głupstw, jak w tekturowe tanki niemieckie, jak w pomoc sojuszniczą dla walczącej Warszawy. Była to nie Linia Maginota, a raczej Linia Imaginota, jeszcze jedna pozycja w katalogu naszych złudzeń”.

Doskonale sprawdzał się zadomowiony nad Sekwaną Lechoń. Niedawno ubogi poeta w ciągu kilku lat wrósł w środowisko paryskie, utrzymując kontakty zarówno z literatami, jak i z arystokracją. Mieszkanie ozdabiał mu Jean Cocteau, bywali u niego Rothschildowie i Paul Valéry.

Niestrudzony Grydzewski rozpoczął wydawanie „Wiadomości Polskich” jako kontynuacji „Wiadomości Literackich” i płacił nawet honoraria. Skamandryci włączyli się w nurt życia emigracyjnego, a Słonimski napisał jeden ze swoich najbardziej znanych wierszy, Alarm. Jak zwykle wykazał się trafnym zrozumieniem potrzeb czytelników, wiersz przypominał o heroizmie walczącej Warszawy.

Do rangi symbolu natomiast urosła wspólna Wigilia skamandrytów w paryskim mieszkaniu Lechonia. Zapewne żaden z nich nie przypuszczał, że więcej w tym składzie już

się nie spotkają, wierzyli jeszcze w szybki koniec wojny i powrót do kraju. Ostateczny kres współpracy przyniosła inwazja niemiecka i niespodziewana klęska Francji. W panicznej ucieczce przed hitlerowcami rozjechali się po świecie.

„Gdy po upadku Francji - wspominał pan Antoni - w mglisty poranek letni przybiliśmy do brzegów Anglii, bogatsi o jedno więcej gorzkie doświadczenie, nieufnie patrzyłem na płaski, bezbronny brzeg Kornwalii. Jednocześnie jednak doznawałem uczucia uspokojenia i ulgi. Byłem z żoną, z przyjaciółmi, witał mnie brzeg kraju, dla którego miałem wiele sympatii i podziwu. Niebezpieczeństwo nie ustąpiło, ale wydawało się znośniejsze w warunkach godnych i nie tak upadających, jak ta paniczna szarpanina zaszczutego zwierzęcia, której podlegałem przez ostatnie dni spędzone we Francji”.

Tuwimowie, Wierzyńscy i Lechoniowie przedostali się do Portugalii. Lizbonę okupowały tłumy uchodźców, obawiano się wkroczenia hitlerowców. Zrozpaczeni emigranci szukali możliwości ewakuacji za ocean, panowała atmosfera zbliżona do opisywanej przez Ericha Remarque’a w *Nocy w Lizbonie*.

„Pewnego dnia spotkałem rozpromienionego Tuwima - wspominał Mieczysław Lepecki - który oznajmił mi, że ma już wizę do Brazylii. Opowiedział przy tym, jak ją uzyskał. Oto, dowiedziawszy się z prasy, że wielki poeta brazylijski Mariano Olegario jest nadzwyczajnym ambasadorem swego kraju w Portugalii, wysłanym z okazji obchodzonej właśnie osiemsetnej rocznicy powstania tego państwa, zwrócił się do niego telefonicznie o pomoc. Ambasador sprowadził poetę natychmiast swoim samochodem i przyjął serdecznie. Jeszcze tego dnia sprawa wiz dla Tuwima była załatwiona”.

Brazylia stała się ziemią obiecaną dla wielu polskich uchodźców. Oprócz Tuwima znaleźli tam azyl: Lechoń, Wierzyński, Choromański, Rafał Malczewski, Czernański, Wrzos.

„Podobnie jak w Paryżu w »Regence« - kontynuował Lepecki - w Lizbonie w »Cafe Lisboa«, tak w Rio de Janeiro zbierali się Polacy ze świata artystycznego w »Cafe O’Key« na Avenida Atlantica. Między dziesiątą a dwunastą przed południem i około piątej, szóstej wieczorem »O’Key« zapełniała się naszymi rodakami. Język polski przez parę godzin dominował w kawiarni i biedni emigranci mieli chwilę złudy, że są u siebie, na ulicy Mazowieckiej”.

Podczas pobytu w Brazylii skamandryci, chyba po raz ostatni, wzajemnie się zainspirowali. Po raz pierwszy od lat Lechoń zaczął pisać, a przykład kolegi wywarł dobroczynny wpływ na Tuwima. Kiedy więc miejscowa Polonia zaproponowała urządzenie wieczoru autorskiego, Lechoń postanowił zaskoczyć słuchaczy nowym utworem. Była to *Pieśń o Stefanie Starzyńskim*.

„Pomimo że mieszkaliśmy wtedy z Tuwimem w jednym pensjonacie, nic mu nie mówiłem o tym wierszu, nie wiedząc, czy jest dobry, i chcąc zrobić i jemu też niespodziankę. Była to też niespodzianka prawdziwa, bo moje niepisanie wówczas uchodziło za chorobę nieuleczalną. Tuwim, który sam przechodził wtedy zły okres, ale pewno pocieszał się tym, że inni (przede wszystkim ja) jeszcze mniej piszą, patrzył na mnie osłupiały, nie wierząc własnym uszom, gdym czytał ten wiersz dobry i długi. Następnego dnia zamknął się w pokoju i wyszedł z niego dopiero po »ukropieniu« kilkuset wierszy nowego poematu, który nazwał najpierw Bukietem, po czym za moją radą zmienił tytuł na Kwiaty polskie”.

Ale to były już ostatnie akordy ich przyjaźni. Przenieśli się do USA, a po ataku niemieckim na ZSRR, podobnie jak wszyscy Polacy, stanęli wobec konieczności wyboru. Jeden z dwóch grabarzy Polski z dnia na dzień zamienił się w cennego sojusznika Wielkiej Brytanii. A skamandryci różnili się w opiniach na temat Sowietów.

Najbardziej nieprzejednani byli Wierzyński i Lechoń. Uważali, że z Kremlem można z konieczności współpracować, ale wyłącznie pod warunkiem zagwarantowania niepodległości Polski i granic sprzed 1939 roku. Takie było zresztą zdanie większości emigracji. To była przecież jedna z przyczyn późniejszych problemów Sikorskiego i jego konfliktu z Andersem.

W przerażenie wprawiała ich ewolucja poglądów Tuwima. Pan Julian już w młodości miał lewicowe przekonania, i choć doskonale prosperował w systemie wolnorynkowym, hasła „ustroju sprawiedliwości społecznej” krążyły mu po głowie. A do tego był jeszcze zajadłym pacyfistą, a przecież komuniści zawsze „walczyli o pokój”.

Kompletnie nie znał się na polityce i nie zdawał sobie sprawy, czym jest komunizm. Uważano, że na ten temat „plótl smalone duby”, czasami wręcz wzbudzając wesołość rozmówców. Łatwo ulegał hasłom propagandowym, przyjmował z powagą najbardziej obłudne slogany. Chciał wrócić do kraju, nawet pod sowiecką dominacją, uważał, że będzie możliwe porozumienie z bolszewikami. Takich złudzeń nie mieli bardziej uświadomieni politycznie Lechoń czy Wierzyński.

„[...] Twoje postępowanie - pisał Lechoń do Tuwima w 1942 roku - nieliczące się z uczuciami, można to śmiało powiedzieć, całego narodu polskiego, postępowanie, którego nie można, jeśli chodzi o dojrzałego człowieka i pisarza Twej miary, usprawiedliwić i to dziś zwłaszcza lekkomyślnością. Nie chodzi oczywiście o radykalne poglądy społeczne, których bezwzględność byłaby zresztą dla Ciebie, przyjacielu »sanacyjnych« ministrów i wojewodów, nowością. Nie mam Cię też za tak naiwnego, abyś myślał, że mniej od Ciebie pragnę najlepszej w Polsce doli dla chłopów i robotników”.

Gorzkie słowa, ale szczere. Tuwim faktycznie myślał o jakimś bliżej nieokreślonym

konsensusie z Sowietami i o sprawiedliwości społecznej. Zdawał się nie pamiętać, że „bolszewicy postąpili wobec Polaków jak mordercy i zbrodniarze, godni swoich niedawnych sprzymierzeńców, zbójów hitlerowskich”.

Inna sprawa, że niektóre poglądy Tuwima mogły naprawdę wprawić w osłupienie:

„Nie jestem komunistą - pisał do szwagra. - Ale jest w Sowietach jakiś patos, jest wysokość zamierzeń, choćby głód, brud, smród i nawet okrucieństwo cechowały przełom, jaki tam się dokonał. Sam dobrobyt nie może być ideałem ludzkości. Cały Zachód (do którego włączam i Amerykę) żył i dalej żyje marzeniem o dobrobycie - nie tylko w materialnym znaczeniu; Zachód zmierzał zawsze i do komfortu duchowego. Jest to obrzydliwość, z którą walczyli każdy na swój sposób, Tołstoj i Dostojewski”.

Poeta demonstracyjnie popierał politykę Sikorskiego dążącego do zbliżenia ze Stalinem. Nie widział innej drogi dla Polski i Polaków niż współpraca z ZSRR. Zbliżył się do środowisk komunistycznych, wysłał nawet depezę do Ilii Erenburga, zapewniając, że wierzy w ostateczne zwycięstwo Armii Czerwonej. Spotykając się z robotnikami polskiego pochodzenia, mówił, że istnieje dla niego tylko jeden cel: wyzwolenie Europy i oddanie dóbr i ziemi w ręce robotników i chłopów.

„Zabrał również głos Tuwim - opisywał polonijne spotkanie Bolesław Gebert. - Z wielkim wzruszeniem mówił o ludziach ZPP w Moskwie, o Wandzie Wasilewskiej, Janinie Broniewskiej - opowiadał o dawnych spotkaniach z nimi, mówił o ich dorobku literackim. A jednocześnie wypytywał o wieści z kraju, które docierały do nas różnymi drogami: że w kraju pod przewodem PPR walczy Armia Ludowa, działa Krajowa Rada Narodowa. Tuwim słuchał i dzielił się z nami swymi myślami. Z miłością i żarem mówił o tym, co rodzi się w kraju, że to początek wyzwolenia”.

Dla Lechonia i Wierzyńskiego tego było już za wiele. Uznali, że ich przyjaciel zupełnie stracił rozum i zerwali z nim kontakty. A poglądy Tuwima ewoluowały w szybkim tempie. Głosił, że rewolucja jest dobra, a zatem to, co nie jest rewolucją, jest złe. Lechonia i Wierzyńskiego nazywał faszystami, nic dziwnego, że zaczęto uważać go za „agenta Stalina”. Rząd londyński cofnął mu zasiłek i z dnia na dzień Tuwimowie znaleźli się w tragicznej sytuacji finansowej.

Uratował ich Artur Rubinstein, podobnie jak poeta pochodzący z żydowskiej rodziny z Łodzi. Bez słowa wystawił czek na znaczną kwotę, która umożliwiła Tuwimom normalne życie. Pozbawienie poety zasiłku ostatecznie zadecydowało o jego decyzji powrotu do kraju.

Wierzyński i Lechoń mogli kłócić się ze sobą, mogli zrywać stosunki (ostatecznie pogodzili się na pogrzebie Wieniawy Długoszowskiego), ale w sprawach polityki mówili

jednym głosem. Komunisty, nawet przyjaciela, nie mogli zaakceptować. Niebawem zresztą za komunistę uznali również Słonimskiego, a wkrótce Iwaszkiewicza.

Emigracyjne grzechy pana Antoniego

Lewicowe poglądy miał również Słonimski. Nigdy nie był komunistą, a wizyta w ZSRR w latach trzydziestych wyleczyła go na zawsze z marzeń o równości społecznej. Był jednak realistą i zdawał sobie sprawę, że Polska dla Churchilla i Roosevelta stała się nagle mało ważnym sojusznikiem. Dla nich liczył się już tylko Stalin.

Słonimski popierał politykę Sikorskiego, uznał, że pokonanie Hitlera i niepodległość jest ważniejsza niż Kresy. Inna sprawa, że zapewne nie przypuszczał, iż dojdzie do utraty Lwowa i Wilna oraz całkowitego podporządkowania Polski. A także przemian ustrojowych na obraz i podobieństwo Kremla.

Słonimski nie mógł dojść do porozumienia z Grydzewskim, który w Londynie wznowił wydawanie swoich „Wiadomości”. Antoni Słonimski nie znosił endeków, zażądał więc od przyjaciela, aby pismo przyjęło bardziej lewicowy charakter. Kiedy Grydz odmówił, chociaż zawsze drukował ludzi o najrozmaitszych horyzontach politycznych, Słonimski wraz z Karolem Estreicherem i Ksawerym Pruszyńskim założyli konkurencyjny miesięcznik „Nowa Polska”. Pismo cieszyło się poparciem rządu polskiego, co gwarantowało dotacje. Publikowano w nim fragmenty Kwiatów polskich Tuwima, utwory Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Broniewskiego i Balińskiego. A także prozę Wittlina, Kuncewiczowej czy Danielewiczowej.

W owym czasie Słonimski najbliższy był z Ksawerym Pruszyńskim.

„Przyjaźń, jaka ich wówczas połączyła - wspominała Julia Hartwig - była tym ciekawsza, że związała dwóch ludzi o całkowicie odmiennych temperamentach, orientacjach politycznych, doświadczeniach i rodzinnych tradycjach. Zbliżyła ich obu emigracyjna dola i szerokie horyzonty, jakie marzyły im się dla przyszłej Polski. W przeciwieństwie do innych »londyńczyków«, zdecydowanych na wieczną emigrację, obaj byli gotowi powrócić do kraju z miejsca, nie bacząc na panujący reżim”.

Zgorzkniały Słonimski wszędzie dostrzegał wrogów. Grydzewski (Żyd!) był dla niego faszystą i antysemitą, Nowakowski faszystą i szowinistą, a Mackiewicz imperialistą i oczywiście także faszystą.

Chyba jednak najbardziej zabolął Antoniego konflikt z Grydzewskim. Panowie przyjaźnili się przecież od ponad dwudziestu lat, a słynny wydawca miał ogromny udział w sukcesach skamandrytów.

„Energia tego człowieka - wspominał Wierzyński - jest nieopisana. Wydaje on co tydzień pismo, którego objętość równa się mniej więcej stustronicowej książce. Sztuki tej dokonuje od trzydziestu lat. Co najdziwniejsze, wszystko robi sam. W krakowskim »Życiu Literackim« czytamy, że w skład redakcji wchodzi szesnastu pracowników. Warszawski »Przegląd Kulturalny« redaguje komitet złożony z dwunastu członków plus ośmiu członków kolegium, czyli razem dwadzieścia osób. W swoich »Wiadomościach« zarówno warszawskich, jak później paryskich, a teraz londyńskich Grydzewski pracował i pracuje za szesnastu i dwudziestu ludzi”.

Pasją życiową Grydzewskiego była praca wydawnicza. Wszyscy zastanawiali się, jak daje sobie radę, kierując się wyłącznie „własnym smakiem, własną oceną”.

„On czytał nadsyłane artykuły - wspominała Krzywicka - chodził do drukarni i pilnował druku, sam składał, często sam łamał, sam redagował, sam robił wszystkie korekty, zupełnie się w głowie nie mieści, jak mógł taką pracę wykonywać tylko jeden człowiek”.

Niestety, Słonimskiego i Grydzewskiego podzieliła polityka, podobnie jak trójkę skamandrytów w USA. Te konflikty wpisywały się również w obraz „polskiego piekła” na emigracji.

Konflikt z Grydzewskim nie był jedyną kontrowersyjną sprawą związaną z pobytem Słonimskiego w Wielkiej Brytanii. Duże obiekcje wzbudza również jego postawa wobec choroby i śmierci Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Pan Antoni na łamach „Nowej Polski” drukował jej wiersze, regularnie wymieniali korespondencję, przyjaźnili się zresztą od wielu lat.

Lilka zachorowała na chorobę nowotworową i Słonimski wielokrotnie wspominał o swoich odwiedzinach u konającej przyjaciółki.

„Byłem u Pawlikowskiej w szpitalu w smutnym mieście Manchester i pamiętam, jak skarżyła się na brak samotności. Zapamiętałem te pare jej wzruszających słów »Zwierzęta przed śmiercią zaszywają się w najgłębszą leśną gęstwinę. Nam każą umierać w szpitalach na ogólnej sali«. Nienawidziła swej choroby, cierpiała na brak »privacy«, którą po jej śmierci niepotrzebnie naruszono”.

Wydaje się jednak, że Antoni mijał się z prawdą. Ostatni list Pawlikowskiej do Słonimskiego datowany jest na 14 maja 1945 roku, a zatem na niespełna dwa miesiące przed śmiercią poetki. Potem zapadła cisza. Lilka nie wspominała o kontaktach z nim w swoim intymnym dzienniku. Przebywała wówczas w szpitalu w Blackpool, gdzie Słonimski na pewno jej nie odwiedził. Jedyne wzmianki na jego temat to informacje o honorariach za wiersze publikowane w „Nowej Polsce”.

Słonimski sugerował, że towarzyszył Jasnorzewskiej w ostatnich tygodniach jej życia. Pisał, że siedział „długo w nocy przy jej łóżku szpitalnym”, a poetka „ostatnim westchnieniem, uporczywą myślą wracała do kraju”. To jednak wyłącznie konfabulacja. Poza jego relacją nic nie wiadomo o rzekomej wizycie. Słonimski nie był nawet na jej pogrzebie w Manchesterze (poza mężem uczestniczyły w nim zaledwie dwie osoby). Dlaczego więc po latach kreował siebie na powiernika Jasnorzewskiej w ostatnich chwilach jej życia i budował legendę o ich przyjaźni? Być może nie chciał się przyznać, że nie wytrwał w obliczu cierpienia i śmierci? A może umierająca Lilka nie chciała widzieć nikogo ze starych znajomych, wołała, aby zapamiętano ją taką, jaka była, gdy była zdrowa? Bardzo prawdopodobne, że pan Antoni po latach sam uwierzył w swoje słowa.

Trudne decyzje

Słonimski w towarzystwie Pruszyńskiego po raz pierwszy pojawił się w Polsce jesienią 1945 roku. Panowie przyjechali na dwa tygodnie na zaproszenie Karola Estreichera. Towarzyszyła im grupa pisarzy i artystów angielskich, a Słonimskiego namawiał do podróży profesor Kot, tłumacząc, że „trzeba zobaczyć i zorientować się, jak jest naprawdę”.

„Pierwszej nocy - wspominał Antoni - w Hotelu Centralnym na zapoconych szybach świt się już był rozlał malinowy, gdy mnie obudził sąsiad chrapiący na sienniku obok. Huknął gdzieś na Grójeckiej strzał karabinowy. Pijany gość pod oknem krzyczał, że jest majorem »Kurwa twoja, kurwa twoja mać«. Byłem w ojczyźnie”.

Chodząc z Pruszyńskim po warszawskich ruinach, weszli do małej kawiarenki.

„Przy sąsiednim stoliku siedziało paru ludzi. Chciwie wsłuchiwałem się w ich rozmowy. Nie znałem żadnego z nich, ale oni mówili o moich sprawach. O teatrze, o pismach literackich. Zostałem rozpoznany. Jeden z nich z wahaniem zapytał: »Czy pan nie jest Antonim Słonimskim?«. Tak. Byłem znów po latach Antonim Słonimskim”.

Po powrocie do Londynu przyjął nominację na kierownika sekcji literatury międzynarodowej w nowo powstałym UNESCO. Nominację zaaprobowaly władze PRL, co oznaczało akceptację nowego reżimu. Hemar i Grydzewski zerwali z nim natychmiast wszelkie stosunki, ale Słonimski podjął już decyzję. Gdy po dwóch latach zrezygnował z pracy w UNESCO, w zamian został dyrektorem zależnego od komunistów londyńskiego Instytutu Kultury Polskiej. W 1948 roku wziął nawet udział we wrocławskim Światowym Kongresie Intelktualistów, podpisując rezolucję przyjętą po opuszczeniu zjazdu przez część gości z Zachodu. Naturalną konsekwencją była decyzja podjęta w 1951 roku o powrocie do kraju.

„Słonimski nie [...] czytał książek - wyjaśniał jego motywy Stanisław Baliński - bo nie znał angielskiego, po polsku mówił, ale musiałby coś dać, a nie miał nic do dania Wolnej Europie, nie mógł zarabiać. W BBC nie mógł być, bo nie znał dobrze angielskiego. W »Dzienniku Polskim« jego by nie chcieli, bo tu ciągle były te rzeczy. Słonimskiemu byłoby trudno się utrzymać. A w Polsce miał mieszkanie, drukowali mu książki w dużych nakładach, ułatwiali mu wyjazdy... Dosłownie i konkretnie sprawa finansowa. Gdyby Słonimskiemu dać posadę na owe czasy w wysokości 100 funtów, to Słonimski pewnie by został”.

Finanse nie były jednak jedynym powodem powrotu. Pan Antoni, jak każdy pisarz, odcięty od swoich odbiorców wegetował.

„W Polsce miał szaloną ilość czytelników. Potem przeszedł do »Tygodnika Powszechnego« i znałem ludzi, którzy prenumerowali dla Słonimskiego. To była finansowa strata, bo nie czytali pierwszej, drugiej, trzeciej strony, tylko się czytało... Ja sam zaczynam »Tygodnik Powszechny« od czytania czwartej strony...”.

Słonimski tłumaczył swoje motywy w podobny sposób - kłopotami językowymi i wydawniczymi, a spraw finansowych możemy się domyślać.

„Miałem dobre stanowisko i ponętne propozycje, ale w Anglii nie byłem sobą. [...] Obracałem się w Londynie w środowisku ludzi wybitych i atrakcyjnych, ale niejako partner równorzędny, lecz jako intruz. Niebłahą stanowiła przeszkodę bariera językowa. Mówiłem po angielsku poprawnie, ale bez finezji. Zdarzyło mi się czasem utrzymywać na poziomie w towarzystwie Wellsa, Shawa czy Huxleya, ale były to zawodne i sporadyczne sukcesy. Pamiętam obiad w ślicznym domku Huxleya nad Hampstead Heath. Ten obiad był katastrofą [...]. Nie mogłem śledzić subtelności umownego języka wychowanków Eton i Cambridge. Zapędziłem się w jakąś anegdotę, której puenta okazała się nieprzetłumaczalna. Prześladował mnie kompleks niższości. W kraju zostawiłem mój dowcip, swadę aktorską i dobrze zagospodarowany majątek literackich osiągnięć”.

Pięć lat wcześniej wrócił do kraju Tuwim i z miejsca okrzyknięto go państwowym poetą. Żyjąc w uprzywilejowanej rzeczywistości, adorowany i chroniony przez nowe władze stracił kontakt z rzeczywistością. A może po prostu tak jak wielu innych szczerze uwierzył w komunizm? Zresztą zawsze miał skłonności do serwilizmu, w czasach „Qui pro Quo” napisał jednoaktówkę o wręcz lizusowskim zabarwieniu. Nie wchodząc w szczegóły tego utworu, można powiedzieć, że jego treścią były hołdy oddane Piłsudskiemu przez Zygmunta III Wazę, Sobieskiego, Mickiewicza, Kopernika i Chopina, którzy specjalnie zeszli ze swoich warszawskich pomników. Nawet Wieniawa, oglądając to przedstawienie, „miał rzadką minę”.

Zarzucano mu jednak, że sprzedał się zbyt tanio. Nowym władzom zależało na jego

osobie, znanej niemal każdemu Polakowi - przyjacielu Wieniawy i ministrów sanacyjnych, człowieku, który był symbolem elit Drugiej Rzeczypospolitej. Tuwim, podobnie jak Nałkowska, wykazał wyjątkową umiejętność przystosowywania się do sytuacji. Kiedyś zapraszał go Piłsudski, a teraz odwiedzał Bieruta w Belwederze. To wystarczyło, żeby Lechoń pisał, że „podeptał herb swojej poezji”, a Miłosz dodał, że karierę zakończył „na balu UB”. Ale w odróżnieniu od Nałkowskiej nigdy nie został posłem komunistycznego parlamentu.

W nowej sytuacji doskonale odnalazł się Iwaszkiewicz. Pan Jarosław z czasem miał zrobić największą karierę z trójki krajowych skamandrytów. „Żelazny” prezes Związku Literatów Polskich i poseł na Sejm PRL, ulubieniec kolejnych reżimów, wymieniający publicznie braterskie pocałunki z Breżniewem. Jego kontakty ze Słonimskim zasługują na oddzielny rozdział. Antoni bowiem szybko poróżnił się z nowymi władzami, przechodząc do opozycji. Przysporzył tym wielu zmartwień dawnemu przyjacielowi, ponieważ upływ czasu nie stępił jego ciętego języka.

Trucizny skamandryty

W USA pozostali dwaj nieprzejednani: Lechoń i Wierzyński. Ze zgrozą obserwowali wyczyny dawnych przyjaciół i ich pogodzenie się z nowym reżimem. Nic dziwnego, że w tej sytuacji byli na siebie skazani.

„Nie mam ochoty - notował w Dziennikach Lechoń - zrzekać się spotkań z nim [Wierzyńskim - S.K.], bo mi ich później będzie brakowało. Przyjaźń od trzydziestu lat, i to jaka - naprawdę bez jakichkolwiek nawzajem przed sobą sekretów - to jest bez przesady skarb w tej naszej doli, gdzie człowiek daremnie za jakąś zwykłą życzliwością się ogląda”.

Dla Lechonia kontakty z Wierzyńskim należały do programu „solidnego życia”, był dla niego „niezastąpiony”. Tym bardziej że „Tuwim, Słonimski, Jarosław - już nie mogli wrócić do ich życia”. Zresztą Lechoń prawdziwą złość odczuwał tylko do Słonimskiego i Tuwima, dla Iwaszkiewicza natomiast zachował wyłącznie pogardę. Uważał go za najsłabszego autora spośród grupy, nie miał również najlepszego zdania o jego walorach umysłowych. Określenia typu „głupi Jarosław” często pojawiają się na kartach dziennika.

„Zygmunt Jurkowski nie był żadnym szczególnym pisarzem, ale skoro bolszewicy weszli do Warszawy, poszedł na praktykę do szewca. Uważam, że Iwaszkiewicz powinien był też pójść do szewca”.

Czytając nowe utwory Iwaszkiewicza, zauważył, że jego styl został „zachwaszczony przez paroletnie aportowanie Bierutowi”. Uznał również jego triumfy za przejściowe

powodzenie:

„Iwaszkiewicz podobno jeszcze jest na szczycie powodzenia - notował w styczniu 1952 roku - jest najbardziej wpływowym obok zapitego Broniewskiego pisarzem. Boję się, że to jest ostatni triumf diabła, któremu się ten słabeusz zaprzedał, i jak nieraz bywało w życiu Jarosława, po passie oszałamiających powodzeń przyjdzie klęska. Ale tym razem to już chyba ostatnia”.

Lechoń mylił się jednak, Iwaszkiewicz potrafił bez szwanku przetrwać wszystkie burze dziejowe Polski Ludowej i dostosować się do każdej sytuacji. Pod tym względem przejawiał nieprawdopodobną umiejętność zupełnie obcą dawnemu przyjacielowi.

„Co by się stało Iwaszkiewiczowi, gdyby powiedział, że nie napisze takiego wiersza, że nie będzie pisał nigdy takich rzeczy. Zabrałoby mu różne godności, posady i pensje, i prowadziłby życie jak wielu zasłużonych ludzi na emigracji, którzy są przecież windziarzami i portierami”.

Z odrazą czytał wydawaną w kraju „Nową Kulturę”, uważając, że Jarosław, dążąc do realizmu socjalistycznego, udaje idiotę. Chociaż dopadały go czasem wątpliwości i wówczas wyrażał bardziej zrównoważone opinie:

„Naturalnie nie mogę przysiąc, co bym zrobił, gdybym się znalazł na miejscu Jastruna, Brzechwy czy Iwaszkiewicza. Ale muszę powiedzieć sobie, a nawet innym, że nie robiłbym tego co oni, nie pisałbym wierszy na cześć Bieruta i Stalina. Bo przecież mówię sobie, że nie będę kradł, nie będę zabijał i w ogóle bez takich danych sobie przyrzeczeń nie może być żadnej moralności”.

Był konsekwentny i nie wybaczał nawet w obliczu śmierci. Po śmierci Ksawerego Pruszyńskiego w wypadku samochodowym zanotował: „Był on pierwszym zdrajcą i śmierć nie może zmienić tego słowa. To, że miał pewien talent (grubo przereklamowany przez przyjaciół i »Wiadomości«), tylko pogarsza jego winę”.

Do pasji doprowadzały go docierające z kraju książki utrzymane w socrealistycznej manierze. Uważał je za dokument zniewolenia społeczeństwa, literatury i w ogóle kultury polskiej:

„Troja, miasto otwarte Brandysa - ohydny smród zgnilizny umysłowej i moralnej, do której bolszewicy w pięć lat zdołali doprowadzić pozostałe w Polsce drugie i trzecie szeregi pisarzy. Literatura »kapo« z obozu koncentracyjnego, płatnego szpicla, nie ma na to określić. W Mieście niepokonanym już czuło się tę duszyczkę, ale dopiero tutaj wygląda ona całym swym plugastwem. Nie ma to żadnej wartości, dziesięciorzędny romans kryminalny, wszystko tam jest skłamane. Polska przedwojenna, nowa Ambasada. Straszny, odrażający

dokument”.

Trafnie zauważył, że „Brandys przypisuje Amerykanom to wszystko, co robią Moskale”, co zresztą było stałą metodą komunistycznej propagandy. A zatem szpiegostwo, morderstwa polityczne i nadzór nad sumieniami obywateli. W Polsce zaś „nie było więzień, Bezpieki, niewoli, a nawet jakby ewangeliczna wyrozumiałość dla »faszystów«, którzy gotowi są przejść na chleb Radkiewicza”. Nic dziwnego, że uznał prozę Brandysa za „gigantyczne, przerażające łajdactwo”.

Najwięcej jednak miejsca poświęcał Tuwimowi i Słonimskiemu. Tym bardziej że Grydzewski przedrukowywał w „Wiadomościach” niemal każdy nowy wiersz Tuwima, znajdując perwersyjną radość w pisaniu o nim lepiej niż w kraju.

„Coś w każdym razie jest w tym niezdrowego, a narodowo biorąc, gorszącego, że o Tuwimie są całe stronice, podczas kiedy parę książek Wierzyńskiego i wszystkie moje nie miały w tym jednym emigracyjnym piśmie recenzji”.

Nie chciał utrzymywać z Tuwimem żadnych kontaktów, wstręt wzbudził w nim nawet sen, w którym doszło między nimi do pogodzenia i odwiedził go w Warszawie, czego żałował, zanim się obudził. Potrafił jednak docenić czysto poetyckie walory jego wierszy o Stalinie. Zmienił o nim zdanie po jego śmierci:

„Ta wiadomość nappełniła mnie czymś, czego nie można nazwać inaczej niż solennością - bo też sprawa między nami była tak poważna, że ani nie można jej zakłamać, ani się z niej wyklamać. I teraz nie mogę zapomnieć o tych siedmiu ostatnich latach - ale pamiętam jeszcze dwadzieścia parę lat mych włóczeń się, milczeń, żartów, ale przede wszystkim jego wierszy”.

Z czasem gotów był nawet wybaczyć Tuwimowi jego komunistyczne fascynacje. Uznał, że miał tak niezwykły talent, którym odkupił swoje grzechy. Zestawiał go z Nałkowską, która ze spokojem korzystała z komunistycznych przywilejów, mimo że jej talent miał znacznie mniejszy format.

Wieloletnia przyjaźń miała mu również zagwarantować wyłączność na ocenianie Słonimskiego.

„Nie jestem sędzią i piętnaście lat wspólnego obijania się po Warszawie, deklamacji po nocy, kpin i wzruszeń - nawet jeżeli nigdy nie była to przyjaźń - dają mi prawo być jego obrońcą”.

O byłym przyjacielu nigdy nie napisał tak ostro jak Hemar („jaka szmata robi się z literata”), ale uważał, że „dowcip czasem zastępuje rozum”. W ostatnich latach Słonimski pokazał, że nie posiada rozumu, a „jeszcze ostatnio dowiódł tego na własnej skórze”. Nie

zapomniał jednak czasów, kiedy przyjaciel wspomagał go finansowo:

„Wiem jedno, że gdyby tu został - dawałbym mu regularnie coś z mojej pensji. I po paru latach zapomniałbym mu to bolszewickie UNESCO, które przecież było w stylu jego poprzedniego życia”.

Ze swojej strony Słonimski uznał (po latach), że dzienniki przyjaciela są zakłamanie, czego dowodem miały być opisy pracy nad powieścią, której w ogóle nie pisał. To jednak jest bez większego znaczenia, Dzienniki Jana Lechonia są cenne z wielu innych powodów. Jednym z najważniejszych jest zapis problemów człowieka wiernego własnym przekonaniom i z trudem zarabiającego na życie w małym polskim świecie na obczyźnie. A do tego borykającego się z problemami własnej seksualności i niemocy twórczej, co ostatecznie doprowadziło go do samobójstwa.

„Wieczór dla Andersa u weteranów - opisywał spotkanie emigracyjne. - Okropność. Same frazesy, same huczne i bez sensu słowa, ciągle wstawanie z miejsc, ryki, śpiewy. Tyle brzydkich twarzy, krzywych nóg, »to nie dla mnie«, że ośmielię się zacytować Petroniusza”.

Ta ocena nie była wyjątkiem, z reguły wyrażał fatalne opinie o amerykańskich Polakach:

„Okropność Polonii. Balladyna mówi: »Ta stara kobieta to matka, trzeba ją kochać«, czy coś w tym rodzaju. Ja myślę sobie: »Te chamy to bracia, trzeba ich kochać«. Nie, niemożliwe. Nawet jeżeli to są bracia”.

Ale nie miał wyboru, miejscowy świat był dla niego jeszcze bardziej obcy. Nigdy nie potrafił zrozumieć Amerykanów, był zbyt europejski i zbyt polski, aby kiedyś poczuć się swobodnie w USA.

„Elizabeth Taylor, najbardziej reklamowana młoda piękność Hollywoodu, wyszła wczoraj za mąż za młodego chłopaka, którego ojciec, Hilton, jest królem hotelowym Ameryki. Przy tej okazji młoda ta osoba oświadczyła prasie, że pewna jest szczęścia w małżeństwie, gdyż oparte jest ono o wspólne zamiłowania: »Oboje, ja i Nicky, uwielbiamy luźne swetry, hamburgery z cebulką (co za ohyda) i Ezio Pinza« [włoski śpiewak operowy - S.K.]. Oto w bardzo efektownej formie wyznanie wiary tej młodej części Ameryki, które sprawia, że niektórzy ludzie w Europie wahają się, czy bolszewicy nie są lepsi”.

Małżeństwo Elizabeth Taylor i Conrada Juniora Hiltona przetrwało zaledwie pół roku, hollywoodzka gwiazda wychodziła za mąż jeszcze siedem razy. Jej byłego męża oskarżano o kontakty seksualne z własną macochą, przemoc domową i nadużywanie alkoholu. Zmarł w wieku zaledwie czterdziestu dwóch lat, a jego stryjeczną wnuczką jest celebrytka Paris Hilton.

ROZDZIAŁ 10

Z DZIEJÓW II KORPUSU

Generał Władysław Anders

„Anders powiedział mi na śniadaniu u Cecylii - zapisał kilka lat po wojnie Jan Lechoń - że jego mistrzem była Trylogia - ale że wbrew większości młodych chłopców, którzy chcieli być Skrzetuskim, Wołodyjowskim czy Kmicicem - jemu marzył się los Sobieskiego”.

Notatka skamandryty lepiej oddaje psychikę bohatera spod Monte Cassino niż dziesiątki opracowań naukowych. Zapewne w jego ambicji miały źródło sny o białym pióropuszu i konflikty z Sikorskim i Sosnkowskim. Generał od młodości marzył o wielkich czynach, chciał być zwycięskim wodzem, pragnął zapisać się w dziejach Polski.

Władysław Anders urodził się w niemieckiej rodzinie osiadłej w Polsce od pokoleń. Chyba jedynym śladem pochodzenia (poza nazwiskiem) pozostało wyznanie, Andersowie byli ewangelikami. Podczas pierwszej wojny światowej służył w rosyjskiej kawalerii i sprawdził się jako żołnierz. Odznaczony za odwagę, trzykrotnie ranny, do kraju wrócił po rewolucji październikowej wraz z korpusem generała Józefa DowboraMuśnickiego.

W dniach przewrotu majowego opowiedział się po stronie rządowej i jako szef sztabu odznaczył się w walkach. Okazał się zdolnym oficerem i tym zwrócił uwagę Piłsudskiego.

Marszałek nie tolerował nieudolności, potrafił jednak docenić talent przeciwnika, a po zwycięstwie zrobił wiele, aby zasypać przepaść pomiędzy lojalistami i rebeliantami. Anders pozostał wierny przysiędze, co nie zaszkodziło mu w karierze. W chwili wybuchu wojny był już generałem i dowódcą Nowogródzkiej Brygady Kawalerii. Trzykrotnie ranny podczas kampanii wrześniowej dostał się do sowieckiej niewoli, gdzie spędził prawie dwa lata.

Ciężkie rany prawdopodobnie ocaliły mu życie. Nie trafił do jednego z sowieckich obozów i nie spotkał go los kilkunastu tysięcy oficerów zamordowanych wiosną 1940 roku. Niewykluczone zresztą, że NKWD miało wobec niego inne plany, ponieważ jeszcze we lwowskim szpitalu namawiano go do wstąpienia w szeregi Armii Czerwonej. Sowieci mieli dobry wywiad, znali pochodzenie i karierę generała. Jako były carski oficer poznał kraj i ludzi, doskonale mówił też po rosyjsku.

„[...] pokazywali mi - wspominał Anders - moje dossier. Ze zdziwieniem znalazłem tam dokumenty dotyczące nie tylko najdrobniejszych szczegółów mojego życia służbowego, ale i wielu spraw prywatnych. Pokazywano mi na przykład zupełnie mi nieznane fotografie z

okresu mojego pobytu na olimpiadzie w Amsterdamie i na konkursach międzynarodowych w Nicei. Widząc moje zdziwienie, oświadczone:

- My mamy takie dossier wszystkich interesujących nas wojskowych i polityków na całym świecie. Związek Sowiecki ma długie ręce”.

Anders konsekwentnie odmawiał współpracy, w rezultacie trafił do Moskwy na Łubiankę. Przesłuchania ciągnęły się całymi nocami, ale pobyt tam miał również swoje dobre strony. Łubianka była stosunkowo czysta i nieprzepełniona, co było rzadkością w sowieckich więzieniach. A podczas wielogodzinnych przesłuchań zdarzały się również humorystyczne akcenty:

„Pamiętam wypadek rzucający światło na środowisko NKWD. W czasie dość nieprzyjemnego śledztwa odezwał się telefon na biurku. Słyszę urywki rozmowy:

- O kogo chodzi? Liarus? Zaraz, poczekaj.

Sędzia, ręką przykrywając słuchawkę, zwraca się do mnie, czy znam takie nazwisko. Zaprzeczam.

- Kiedy ja wiem, że to wasz znajomy; my wszystko wiemy.

Mówię, że może chodzi o Larousse’a, autora najpopularniejszej na świecie encyklopedii. Z niedowierzaniem zapytuje mnie, czy rzeczywiście był taki. Zapewniam. Z miejsca mój sędzia łupie przez telefon:

- Ty niekulturalny! To ty nie wiesz, że Liarus napisał encyklopedię? Nie wiesz, co to jest encyklopedia? To się dowiedz. Ja z takim niekulturalnym jak ty nie będę rozmawiał, nie mam czasu”.

Z Łubianki Andersa przeniesiono na Butyrki, najwyraźniej Sowietci zmienili taktykę.

„Przesiedziałem tam do początku września 1940 roku, przebywając cały czas w osobnej celi i nie będąc wzywany na żadne przesłuchania. Reżim więzienny był niezwykle surowy, wyjątkowo silne światło biło prosto w twarz. Miałem oczy zupełnie zaropiałe. Obawiałem się, że stracę wzrok”.

Po powrocie na Łubiankę również nie wzywano go już na przesłuchania. Siedział w kilkuosobowych celach, często rozmawiając ze współwięźniami. Chciał chyba zrozumieć fenomen Związku Sowieckiego, dlatego czytywał wypożyczone z więziennej biblioteki dzieła klasyków marksizmu. Niebawem okazało się to bardzo przydatne, ponieważ Hitler zaatakował ZSRR.

W ciągu kilku tygodni sytuacja Andersa całkowicie się zmieniła. Po raz pierwszy od dwudziestu miesięcy został dokładnie ogolony, a nawet dostał miejscową wodę kolońską. Przesłuchujący go oficer NKWD przyznał, że ZSRR jest w sojuszu z Wielką Brytanią i

prowadzi rozmowy z rządem Sikorskiego. Niebawem też na Łubiance pojawili się niespodziewani goście.

„Co drugi dzień golili mi teraz ślicznie brodę - wspominał Anders. - Wreszcie 4 sierpnia o szesnastej otwierają się drzwi celi z zapytaniem:

- Kto tu na literę A? Żwawo, żwawo, zbierajcie się na przesłuchanie.

Już w korytarzu więziennym czuję, że zaszło coś niezwykłego. Zastępca komendanta więzienia i kilku starszych dozorców czeka na mnie. Prowadzą mnie po różnych schodach, jedziemy windą: nikt nie wykręca mi rąk w tył i nie popycha, jak to zwykle bywało. Idę sam. Przyłącza się nawet komendant więzienia. Idę o kulach, podtrzymują mnie na schodach. Nadzwyczajna uprzejmość. Coraz piękniej urządzone korytarze. Wreszcie wprowadzają mnie do niewielkiego pokoju, gdzie urzędują oficerowie NKWD i kilka maszynistek. Po krótkiej chwili wchodzę do wielkiego gabinetu, pełnego dywanów i wyściełanych mebli. Spoza stołu wstaje dwóch panów w ubraniach cywilnych”.

Był to osławiony Ławrientij Beria i jego zastępca Wsiewołod Mierkułow. Oznajmili Andersowi, że zawarty został układ z rządem polskim i generał został wyznaczony na dowódcę armii polskiej w ZSRR.

„Dowiedziałem się, że przygotowano dla mnie osobne mieszkanie. Władze sowieckie mają mi dostarczyć wszystko, co mi będzie potrzebne. Zależy im na tym, abym jak najprędzej wrócił do zdrowia. Dano mi sporo pieniędzy, tłumacząc się, że część moich rzeczy zaginęła. Wziąłem je z czystym sumieniem, gdyż rzeczywiście przy aresztowaniu we Lwowie wszystko mi zabrali. [...] Sam naczelnik więzienia niósł moją walizkę. [...] Opuściłem więzienie bez skarpetek, w koszuli i w kalesonach z pieczęcią: »Więzienie wewnętrzne NKWD«, ale za to wyjechałem limuzyną samego szefa NKWD”.

Sikorski nie miał większego wyboru. Nie odnaleziono generała Stanisława Hallera planowanego na dowódcę polskiej armii (został zamordowany w Charkowie), a Anders sprawiał wrażenie dobrego kandydata. Jako byłego więźnia NKWD bez problemów zaakceptowaliby go Polacy wypuszczani z łagrów, generał osobiście poznał też miejscowe realia. Nie kwestionowano jego lojalności, albowiem jeszcze ze Lwowa przesłał informację, że podporządkowuje się rządowi Sikorskiego. A do tego piękna karta (dla polityków emigracyjnych) zapisana podczas przewrotu majowego.

Andersa popierali również Sowieci. Uważali, że będzie człowiekiem łatwym do kierowania, bo kiedyś „był oficerem armii rosyjskiej”, a poza tym „lubił dziewczynki i pieniądze”. Szczególnie warto zwrócić uwagę na opinię dotyczącą słabości generała do płci pięknej, NKWD rzadko mylił się w takich sądach.

„Miałem obawy co do jego stanu zdrowia - wspominał generał Zygmunt Bohusz-Szysko - po tak długim pobycie w więzieniu, ale jego wygląd i pierwsze słowa przywitania rozwiały te obawy. Był bardziej szczupły niż dawniej, lekko powłóczył nogą i opierał się na lasce, lecz wzrok i głos miał energiczne, a więzienie sowieckie nie zdołało pozbawić go pięknej sylwetki rasowego kawalerzysty”.

Nieludzka ziemia

Po agresji we wrześniu 1939 roku w ręce Rosjan dostała się ponad połowa terytorium Polski. Były to ziemie o mieszanym składzie narodowościowym, ze znacznym procentem Ukraińców i Białorusinów. NKWD natychmiast przystąpił do wprowadzania własnych porządków. Zagarnięte obszary znalazły się pod władzą wojskową, następnie urządzono „wybory” do „Zgromadzeń Ludowych”. I oczywiście wkrótce nowo „wybrani” deputowani zwrócili się do władz ZSRR o przyłączenie „Zachodniej Ukrainy” i „Zachodniej Białorusi” do Kraju Rad. Kreml odniósł się do prośby ze zrozumieniem.

Pod koniec listopada wszystkim mieszkańcom Kresów przymusowo nadano obywatelstwo ZSRR i przystąpiono do parcelacji ziemi uprawnej. Ale głównym zadaniem bolszewików stała się eksterminacja polskich elit. W ciągu kilku dni po agresji aresztowano byłych członków władz, w więzieniach znaleźli się byli premierzy (Prystor, Kozłowski i Skulski), byli ministrowie, wielu posłów i senatorów. Oskarżono ich o kontrrewolucję, a nawet obciążano udziałem w wojnie z 1920 roku! Następnie przystąpiono do systematycznego wyniszczenia polskiego narodu. W czterech turach deportowano około trzystu pięćdziesięciu tysięcy osób, osadzając je w północnej części Rosji i w Kazachstanie. Wywożono całe rodziny urzędników państwowych (do szczebla referenta), ziemian, kupców, dziennikarzy, harcerzy, studentów, członków różnych partii, duchownych, a nawet filatelistów i znających esperanto.

„Po przybyciu rozkwaterowywano się w ziemiankach i lepiankach - opisywała wywózkę do Kazachstanu rosyjska badaczka Natalia Lebediewa - myto się jedynie latem, kiedy woda zagrzała się na słońcu. Nie było ani szkół, ani szpitali; towary na stragany dowożono raz w miesiącu. Klimat był niezwykle ciężki - latem upały dochodzące do 45 stopni, zimą mrozy do 50. Po stepie hulały stada wilków, napadając na ludzi i zwierzęta domowe”.

W rękach Sowietów znalazła się również bliżej nieznana liczba jeńców wojennych. A po zajęciu przez Stalina republik bałtyckich także obywatele polscy internowani na Litwie, Łotwie i w Estonii. Generał Anders określał łączną liczbę Polaków osadzonych w łagrach,

więzieniach i zesłanych na półtora miliona.

Deportacja do łagrów oznaczała w praktyce wyrok śmierci (średni czas życia w obozie nie przekraczał roku). Blisko sto tysięcy poborowych powołano do służby wojskowej, wcielając ich do ponurej sławy batalionów budowlanych, a następnie zsyłając do obozów. Najtragiczniejszy okazał się jednak los wziętych do niewoli kilkunastu tysięcy polskich oficerów wymordowanych następnie w Katyniu, Charkowie i Twerze. Była to masowa zbrodnia na polskiej inteligencji, wśród ofiar było wielu oficerów rezerwy: nauczycieli, lekarzy, prawników. Więcej szczęścia mieli polscy jeńcy przejęci przez NKWD w republikach bałtyckich. Po klęsce Francji, w zmienionej sytuacji politycznej, uznano, że mogą być jeszcze przydatni.

Tysiące polskich obywateli zostało wymordowanych w lokalnych katowniach NKWD, wielu zniknęło na zawsze w niewyjaśniony sposób. Pewne jest natomiast jedno: niemal dwa lata sowieckich rządów na Kresach to był najtragiczniejszy okres w dziejach narodu polskiego. Sowietci zdecydowanie przewyższali okrucieństwem hitlerowców.

Bolszewicki terror w stosunku do Polaków nie był jednak czymś nowym w dziejach ZSRR. Takimi metodami sprawowali oni władzę, której ofiarą padły miliony sowieckich obywateli: Rosjan, Ukraińców, Kazachów, Tatarów, Uzbeków. Kiedy jeden z polskich oficerów przesłuchiwany przez NKWD stwierdził, że Polaków jest trzydzieści milionów i niełatwo będzie ich eksterminować, usłyszał, że w Związku Radzieckim więcej ludzi przebywa w łagrach.

Sytuacja Polaków pod sowiecką okupacją uległa zmianie z chwilą niemieckiego ataku na ZSRR. Wielka Brytania stała się naturalnym sojusznikiem Stalina; stosunki polkosowieckie także wymagały uregulowania. Oba kraje nie pozostawały zresztą w stanie wojny, rząd Felicjana Sławoja Składkowskiego nie wypowiedział jej po sowieckiej agresji we wrześniu 1939 roku. W Londynie rozpoczęły się dwustronne rozmowy i pod koniec lipca 1941 roku podpisano tak zwany pakt SikorskiMajski (od nazwiska sowieckiego ambasadora). Pod naciskiem Brytyjczyków polski premier zgodził się na układ, który był sowieckim sukcesem. Odroczone na przyszłość rozstrzygnięcia dotyczące granic, co w praktyce oznaczało, że Rosjanie nie zrezygnowali z Kresów. Ale Sikorski zanotował też pewne zdobycze: Kreml uznał rząd polski, a władze sowieckie unieważniły traktaty graniczne z Niemcami.

Największym jednak osiągnięciem Sikorskiego było wymuszenie na Rosjanach amnestii dla Polaków przetrzymywanych w obozach i zesłanych w głąb Rosji. Było to wydarzenie bez precedensu w dziejach ZSRR, w praktyce oznaczało wyzwolenie od śmierci

setek tysięcy polskich obywateli. Sikorski doskonale to rozumiał i jest to jego największa zasługa wobec narodu, całkowicie rekompensująca wszelkie błędy generała. Ocalenie tych ludzi było ważniejsze niż granice, miasta czy wszystkie terytoria razem wzięte. Miał rację Sikorski, mówiąc Kukielowi, że gdy „miał ten układ podpisać i walczył ze sobą, czy nie odczekać jeszcze, słyszał jakby szept tysięcy ust, spiesz się, ratuj”.

Premier zresztą nie był już tym samym człowiekiem co dwa lata wcześniej. Sprawowanie najwyższych urzędów Rzeczypospolitej zmieniło go, wiedział, do czego dąży i potrafił realizować swe cele. Miał świadomość własnej pozycji, nie musiał już podczas spotkań publicznych dyskretnie przesuwac do przodu fotela ustawionego za fotelem prezydenta Raczkiewicza.

„Stęzał i zmienił się - zapisał Michał Sokolnicki. - Rysy twarzy bardziej wyżłobione, koloryt przybladł, poszarzał, potworzyły się bruzdy w policzkach, torby pod oczami; oczy te same, matowe i zimne, usta i podbródek jeszcze bardziej niż dawniej zgrubiałe. Ale jest to dzisiaj człowiek wytrzymały, bardzo opanowany, spokojny, wiedzący czego chce. Bije z niego zdecydowanie, spokój, powaga - i poczucie godności własnej. Wie, co reprezentuje, i wysoko się nosi. Jest nieprzystępny, sztywny, widać, że umie być odpychający. Umie milczeć i nic nie okazywać”.

Przeciwko zapisom układu z Rosjanami wystąpiła niemal jednomyślnie Rada Narodowa. Sikorski nie ugiął się pod presją, nie po to prezydent powoływał załazek parlamentu, aby teraz miał sprawiać premierowi problemy. Rada została rozwiązana i dopiero pół roku później powołano ją na nowo, rozszerzając skład do trzydziestu jeden osób.

Chociaż większość emigracji miała za złe Sikorskiemu sposób prowadzenia rokowań, a szczególnie ich efekt, to generał jednym podpisem ocalił więcej ludzi, niż poległo w polskich szeregach na wszystkich frontach drugiej wojny światowej. Przy okazji warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden element negocjacji polskosowieckich, dotychczas skrzętnie pomijany przez historyków.

„Kilka lat temu - stwierdził Paweł Wiczorkiewicz - autorzy oficjalnej historii wywiadu NKWD/KGB ujawnili, iż pracowali dlań dwaj ministrowie rządu RP na uchodźstwie o pseudonimach »Gienrich« i »Sadownik« [...]. Wobec enigmatycznego zapisu można gubić się w domysłach o tożsamość zdrajców (Strasburger? Stańczyk?), faktem pozostaje jednak, że Sowieci, dysponując rozbudowaną agenturą i na niższych szczeblach polskiej administracji, kontrolowali politykę rządu RP od wewnątrz [...]”.

Postacie ministrów podejrzewanych przez profesora Wiczorkiewicza o szpiegostwo pojawiały się już na kartach tej książki. Henryk Strasburger zasłynął jako zajadły tropiciel

rzekomych nadużyć Matuszewskiego podczas transportu polskiego złota, a Jan Stańczyk z PPS zgłaszał sławetne projekty mające zaprowadzić ŚmigłegoRydza przed sąd polowy, a Becka przed Trybunał Stanu.

„Stańczyk był i pozostał prowincjonalnym bonzą związkowym - uważał Stanisław Zabięło. - Oportunista, obrotny, podejrzliwy i przywiązany do korzyści, które daje przewodniczenie i ministrowanie, nie miał większego autorytetu ani w rządzie, ani we własnym Komitecie Zagranicznym PPS”.

O dalszych losach Strasburgera już wspominałem, Stańczyk natomiast miał przed sobą jeszcze bardziej zadziwiającą karierę. W 1945 roku wstąpił do PPS kontrolowanego przez komunistów, a następnie został członkiem PZPR. I do śmierci w 1953 roku wiernie służył Polsce Ludowej.

Znając nastroje polskiej emigracji, politycy z Kremla mogli podejmować próby dyskredytacji swych najważniejszych przeciwników z generałem Sosnkowskim na czele. Sowieccy agenci wywierali także wpływ na Sikorskiego, chociaż generał podjął już najważniejszą decyzję. Wiedział, że ryzykuje całą karierę, na emigracji głośno oskarżono go o zdradę i uginanie się przed sowieckim dyktatem.

„Sikorski wszystko rozgądał i rozreklamował - uważał Michał Sokolnicki - a w konsekwencji, postawiwszy maksymalne hasła dla popularności u swoich, przystał zaraz na minimum ofiarowane mu przez obcych. Była to znana mi z dziejów metoda [...], którą Piłsudski określał jako licytowanie siebie samego in minus - sprzedawanie się za najniższą cenę i jak najprędzej”.

Ale czy kobiety i dzieci dogorywające na stepach Kazachstanu, zesłańcy na Kołymie, Polacy katowani w mordowniach NKWD mieli czas, aby czekać?

„Jestem wolny! - zapamiętał chwilę opuszczenia łagru Tadeusz Czerkawski. - Głęboko tą wolnością oddycham i czuję w sobie dużo siły, chociaż ważę niewiele ponad trzydzieści siedem kilogramów. Nic to! Chwała ci generale Sikorski, żeś o nas pamiętał! Będę polskim żołnierzem! Nie zawiodę, generale, twego zaufania! Będzie wolna Polska! Dzięki Ci Wszechmogący za uratowanie mi życia!”.

Ekspiacja Władysława Sikorskiego była bardzo udana.

Kierunek Powołże

Jednym z ustaleń polskosowieckiego układu była zgoda na utworzenie na terytorium ZSRR polskiej armii. Dodatkowe porozumienie sprecyzowało zasady jej formowania, a władze Rzeczypospolitej otrzymały prawo prowadzenia poboru wśród polskich obywateli.

Moskwa wzięła na siebie obowiązek dostarczenia uzbrojenia, ekwipunku i umundurowania. Jako rejon formowania wyznaczono Powołże (okolice Buzułuku); polskie dywizje miały wyruszyć na front po uzyskaniu pełnej gotowości bojowej.

Władysława Andersa uważano za „żołnierza liniowego, wysokiego szczebla i klasy”, dysponującego „doświadczeniem wojennym, wolą, intuicją, sprytem, pewnością siebie i szybką decyzją przy wrodzonej inteligencji i zdolnościach”. Niektórzy dostrzegali jednak mniej korzystne cechy jego charakteru, generał Michał Tokarzewski Karaszewicz zarzucał mu „wygórowaną, nadmierną ambicję, mściwość charakteru i nieprzebieranie w wyborze środków prowadzących do jego własnych celów”. Podobne zdanie prezentował pułkownik Leon Mitkiewicz, podkreślając „niesforność i samowolność” generała. Fatalnie o Andersie wypowiadał się również Stanisław Strumph Wojtkiewicz, mający z nim kontakt podczas formowania armii. Ale należy pamiętać, że Wojtkiewicz po wojnie wrócił do kraju i swoje wspomnienia wydawał za czasów Polski Ludowej. A komuniści darzyli generała wyjątkową nienawiścią.

„Klucz do zrozumienia Andersa leży gdzieś indziej - uważał Strumph Wojtkiewicz - w jego ambicjach i mściwości. Zacząłem rozumieć generała przy różnych drobnych okazjach. Raz sprzeciwił się wydrukowaniu w »Orle Białym« wspomnienia o bohaterskiej śmierci pułkownika Jana Litewskiego, dowódcy 1. pułku ułanów, kiedy indziej w rozmowach ze mną stawiał poważne zarzuty etyczne innym dowódcom Pułku Ułanów Krechowickich, mianowicie dawno poległemu Bolesławowi Mościckiemu i żyjącemu, a nawet obecnemu właśnie w Buzułuku starszemu, pułkownikowi Feliksowi Dziewickiemu. Zarzuty były oczywiście bezpodstawne, a źródło ich odnaleźć można w starym zatargu pułkowym [...]”.

Wojtkiewicz zarzucił Andersowi nacisk na sąd polowy w sprawie wydania wyroku śmierci dla dwóch żołnierzy oskarżonych o próbę kradzieży słodyczy (!) z wojskowego magazynu. Podobno wyrok wykonano, rozstrzeliwując nieszczęśników, i na nic nie zdały się próśby otoczenia.

Podstawowym problemem polskiej ambasady w ZSRR było uwalnianie z łagrów i więzień polskich obywateli. Pomimo bowiem zawarcia układu wiele zależało od dobrej woli władz terenowych. A z tym bywało bardzo różnie, tym bardziej że Sowieci często uważali, iż porozumienie nie dotyczy Polaków narodowości ukraińskiej, białoruskiej czy żydowskiej.

Ogromne zasługi w tym względzie położył ambasador Kot. Profesor pomimo swoich wad był człowiekiem o dużej energii i dokonał gigantycznego wysiłku. Powstało dwadzieścia terenowych delegatur zatrudniających blisko trzy tysiące pracowników. Sprawnie prowadzono akcję rejestracyjną, wyciągając Polaków nawet z bardzo odległych rejonów. Od

początku było wiadomo, że na Powołże, do formowanej polskiej armii będą ściągali wszyscy Polacy z terenu ZSRR, nie tylko ci zdolni do noszenia broni.

Zasługi profesora Kota nie przesłaniają jednak jego oceny jako dyplomaty. Ten człowiek nie potrafił odnaleźć się w sytuacjach wymagających subtelnego zachowania i popełniał gafę za gafą.

„Pamiętam jak w dniu święta Armii Czerwonej - wspominał Anders - obchodzonego w Kujbyszewie - po uroczystym przedstawieniu w teatrze władze sowieckie wydały przyjęcie dla członków przedstawicielstw zagranicznych. Na przyjęciu był także wicekomisarz NKWD Mierkułow [...], człowiek znienawidzony przez wszystkich. Kiedy stałem z nim przy bufecie i rozmawiałem, usłyszałem głos profesora Kota:

- Niech mnie pan generał przedstawi panu ministrowi.

Mierkułow mówił po polsku. Profesor Kot pośpieszył z niewczesnymi komplementami:

- Panie ministrze, jestem niezmiernie zaszczycony, mogąc pana poznać, tak wiele słyszałem o panu od naszych ludzi.

Mierkułow wiedział, co mogli mówić nasi ludzie. Mogli go tylko przeklinać, jak go przeklinała cała Rosja. Odwrócił się tyłem do profesora Kota, w ogóle nie odpowiadając”.

Faktycznie, trzeba było nie mieć kompletnie orientacji w sprawach rosyjskich, aby tego rodzaju komplement skierować do zastępcy Berii. Ten człowiek miał na sumieniu setki tysięcy ludzi, a miliony zostały na jego polecenie deportowane. W tym wielu Polaków, na których opinie powoływał się Kot! Nic dziwnego, że radziecki dostojnik uznał to za kpinę

Profesor mimo wszystko pozostał sobą, wietrząc wszędzie spiski sanacji.

„[...] od razu wprowadził on nastrój nerwowości i popłochu - opisywał StrumphWojtkiewicz. - Wtrącał się i do sprzątanania, i do kuchni, na każdym kroku węszył za intrygantami i wrogami, wciąż z kimś szeptał po kątach. Okazało się na dobitkę, że nie zna rosyjskiego, a protokołu dyplomatycznego także dopiero musi się uczyć. Dowiedziawszy się, że chcę jako oficer pra sowy jechać do wojska, wypytywał różnych ludzi, czy jestem agentem legionistów, czy też zamaskowanym oenerowcem, jak zachowywałem się w podróży [...]”.

Z powodu zagrożenia Moskwy przez hitlerowców polską ambasadę przeniesiono do Kujbyszewa. Ściągali tam zewsząd zwalniani z łagrów i więzień Polacy, pojawił się również Wła dysław Broniewski. „Kiedyśmy już zwykle wszyscy spali - wspominał malarz Józef Czapski - o godzinie 24 najwcześniej wracał do »hotelu« z brydza czy z wódki, z hałasem, z trzaskiem, Władysław Broniewski. Któż go nie znał, świetnego poety, oficera z piękną kartą legionową Virtuti Militari, komunisty parę razy więzionego w Polsce niepodległej?

[...] Powracający na nocleg Broniewski zapalał jedyną żarówkę, która świeciła nam prosto w oczy. Na przekleństwa rozbudzonych odpowiadał przekleństwami tak plastycznymi, że jego przeciwnicy czuli się natychmiast pobici i milkli; nie znosił, by ktokolwiek z jego współtowarzyszy śmiał spać wtedy, kiedy on wracał. Gdy się już ułożył w łóżku i kiedy najbardziej senni lub nieświadomi tego, co ich czeka, spodziewali się, że będą mogli za chwilę zasnąć z powrotem - zaczynał deklamować.

Pamiętam jedną z takich nocy, gdzie deklamowanie przeciągnęło się poza czwartą rano. Najbardziej senni, najmniej na poezję wrażliwi przestawali narzekać. Słuchaliśmy go, podsuwając mu, przypominając takie czy inne jego wiersze”.

Pomimo komunistycznej przeszłości Broniewski wylądował na Łubiance. Hardemu poecie nie podobała się sowiecka agresja na Polskę i odmówił podpisania wiernopoddańczego adresu do Stalina. A po okupowanym Lwowie krążył jego wiersz, który wyjątkowo rozdrażnił funkcjonariuszy NKWD:

I byłby nowy Grunwald, Byłyby nowe Płowce, Gdyby nie te bombowce I gdyby nie te czołgi znad Wołgi.

Układ SikorskiMajski przyniósł niepokornemu poecie amnestię. Znalazł zatrudnienie w polskiej ambasadzie, a następnie z armią Andersa ewakuował się do Iranu. Do Polski wrócił w 1945 roku, aby stać się nadwornym poetą komunistów. I szybko rozczarował się do nowej rzeczywistości.

Buzułuk

Warunki na Powołżu były niezwykle ciężkie, fatalny klimat i braki w zaopatrzeniu. Problemy logistyczne nie były jednak sowieckimi szykanami, w podobnych warunkach formowano jednostki Armii Czerwonej. Kłopoty stwarzała również lokalna biurokracja, bo czasami wydanie łopat i siekier wymagało zgody Moskwy!

„Buzułuk był typowym rosyjskim drewnianym miasteczkiem - wspominał Anders. - Bieda i nędza rzucały się w oczy. Wszędzie błoto powyżej kostek. Zaledwie na dwu ulicach bruki, od wielu lat zresztą nienaprawiane”.

Wprawdzie Powołże to nie Syberia, ale w Buzułuku również klimat dawał się we znaki. Zimą temperatura regularnie spadała poniżej minus trzydziestu stopni Celsjusza (bywało jeszcze zimniej), problemem stawało się wyjście na zewnątrz. Tym bardziej że opóźniały się dostawy zimowych mundurów.

„W sinym śniegu tłoczył się tłum ludzi w szarych kozuchach - opisywał miejscowe targowisko Czapski. - Na ten targ przyjeżdżali chłopci z daleka, dziesiątki niskich sań

zaprzężonych w niskie małe koniki, w woły albo nawet w wielbłądy. Zwie rzęta stały spokojnie w białym szronie na gęstej sierści. Mróz był około 30 stopni. Na każdych prawie saniach złożone były wielkie dynie, poza tym w niedużych ilościach marchew i cebula, sprzedawano także mleko zamrożone, które odrąbano siekierą, jajka i chude sery”.

Sowietów zaskoczyła liczba ochotników ciągnących do Buzułuku. Zapewne nie przypuszczali, że aż tylu Polaków przeżyje łagry, albowiem na Powołżu znalazło się kilkadziesiąt tysięcy naszych rodaków, ubranych w łachmany, wychudzonych i pokrytych wrzodami. Do Buzułuku trafiali również zesłańcy z Kołymy, bez palców u rąk i nóg, chorzy na szkorbut.

„Serce mi się ścisnęło - kontynuował Anders - gdy patrzyłem na tych nędzarzy i zapatrywałem w duchu, czy uda się z nich jeszcze zrobić wojsko i czy zdołają znieść oczekujące ich trudy wojenne. Odpowiedź zjawiała się natychmiast, dość było popatrzeć w te błyszczące oczy, z których wyzierała wola i wiara. [...] Pierwszy i daj Boże ostatni raz w życiu przyjąłem defiladę żołnierzy bez butów. Uparli się, że chcą maszerować. Chcą pokazać bolszewikom, że bosymi, poranionymi nogami potrafią na piasku wybić takt wojskowy jako początek swego marszu do Polski”.

Ludzie ściągali z całej Rosji, a opisy ich wędrówek są nieprawdopodobną lekturą. Tadeusz Czerkowski zwolniony na początku września z obozu nad Morzem Białym na Powołże dotarł w połowie grudnia. Oprócz transportu w koszmarnych warunkach musiał jeszcze zarabiać na życie, a więc pracował w sowchozie, nosił bagaże. Ale był szczęśliwy, że dotarł wreszcie do polskiej armii. Niezwykłe wrażenia wywołują relacje o wędrówkach tratwami po syberyjskich rzekach, jeździe pociągami towarowymi (na zewnątrz!) czy marszu przez bezkresne równiny. Ci ludzie szli przed siebie dopóki nie padli, to była dla nich jedyna szansa na wyrwanie się ze stalinowskiego piekła. Formowanie jednostek wojskowych na terenie ZSRR było karkołomnym zadaniem. Brakowało wszystkiego, a dodatkowe problemy stwarzały ogromne odległości i brak dróg. Rosjanie przydzielili armii Andersa trzy wysłużone samoloty, ale używanie ich wymagało dużej odwagi. Maszyny gubiły w powietrzu części, u raz podczas lotu odpadło śmigło! Pilot wylądował szczęśliwie, ale Anders wracał przez dziesięć dni pieszo, saniami i statkiem po Woldze.

Polska armia w Wielkiej Brytanii cierpiała na nadmiar oficerów, w Buzułuku natomiast odczuwano ich brak. Nie można było doliczyć się kilkunastu tysięcy, którzy w 1939 roku trafili do sowieckiej niewoli. Stalin i jego współpracownicy utrzymywali, że zwolniono już wszystkich, co w pewnym sensie było prawdą, ponieważ brakujący ludzie już nie żyli. Sowiecki despot zbywał natarczywe pytania Sikorskiego (podczas jego wizyty w

ZSRR), sugerował nawet, że poszukiwani zbiegli do Mandżurii. Polacy, znając chorobliwą skłonność Sowietów do ewidencjonowania wszystkich i wszystkiego, wiedzieli, że to kpina. Pojawiały się najgorsze przypuszczenia, które za dwa lata miały zostać potwierdzone.

W tworzonych od podstaw siłach zbrojnych występowały również inne problemy. Na Powołże docierali mężczyźni niezdolni do noszenia broni, a także tysiące kobiet i dzieci. Szczególnie obecność pań stawała się powodem do kontrowersji, tym bardziej że zawodowi oficerowie uzurpowali sobie nadzwyczajne prawa.

„Na gwałt chcą wywołać uczucia bolszewickie w tym wojsku - mówił Eugeniusz Lubomirski - na każdym kroku wyróżniają się od żołnierzy (chociażby w przydziale wódki), stwarzają sobie na gwałt na nowo przywileje, wyżsi oficerowie mają kochanki, które się szarogęsią w sztabie, dowództwo nasze jest zbyt miękkie wobec oficerów”.

Anders powołał Pomocniczą Służbę Kobiet (popularne „pestki”), mundury nie ujmowały paniom kobiecości, pozostawały więc obiektem męskiej rywalizacji. Zygmunt Berling, ówczesny szef sztabu 5. dywizji, złośliwie opisywał popisy jednego z wyższych oficerów:

„Wśród adoratorów tej Rzeczypospolitej babińskiej był starszy pan, któremu nie wystarczał autorytet, jakim cieszył się wśród dziewcząt z racji swojego stanowiska. Postanowił przed ich oczami zablysnąć również młodzieńczością swoich zamiłowań. Na dziedzińcu sztabu dywizji, pod oknami ich baraku, urządził sobie ujeżdżalnię i tam codziennie przed obiadem uprawiał godzinkę jazdy konnej. Miał fatalny dosiad, co zwłaszcza wyraźnie się zaznaczało przy przejściu w stępa. Siedział wysoko na tylnym łęku siodła, z nogami wyprostowanymi nieco skośnie w przód i przy swojej bardzo smukłej, trochę sztywnej sylwetce i ascetycznej twarzy przypominał żywo wizerunek rycerza z La Manczy”.

Podobno ten zwiędły już nieco playboy nie ograniczał się wyłącznie do wołtyżerki, o świcie wychodził w „watowanej fufajce na dziedziniec” i w koszmarnym mrozie „demonstrował swoją tężyznę fizyczną, celebrując piętnaście minut ćwiczeń gimnastycznych”. Przy każdej okazji prezentował podwładnym płci pięknej swoją muskulaturę, żądając dotykania i podziwiania bicepsów.

W wojsku zawsze istnieje hierarchia i określone relacje na linii przełożony-podwładny. W każdej armii oficerowie mają większe przydziały niż szeregowi, a w związku z tym również większe możliwości pomocy innym. Dla Polek ściągających do Buzułuku byli więc atrakcyjniejszymi partnerami niż zwykli żołnierze. Bo od racji żywnościowych, ciepłej odzieży czy dostępu do lekarstw zależało przeżycie w Rosji.

„[...] kobiety bez oparcia - opisywał Józef Czapski - z pogubionymi mężami, gniotące

się na gołych pryczach. Mężczyźni już na stanowiskach etatowych, z pensjami, wygłodniali, wytęsknieni za obcowaniem z kobietami. Różnica »społeczna«, finansowa większa i dotkliwsza wówczas między sztabowym oficerem, który mieszka prywatnie i ma pocztowego, a jakąś panią pułkownikową czy młodą studentką, przybyłymi z kolchozów, stłoczonymi w zimnej sali, niż dawniej między »paniczem« a biedną szwaczką. Ta sama historia w cieniu patriotyzmów i wielkich słów; mężczyźni wykorzystujący swoje lepsze pensje, swoje stanowiska, żeby się wyżywać, jak mogą. Patrząc na tych ludzi, obserwując samego siebie, stwierdzałem, że nie staliśmy się lepsi ani odrobinę”.

Jangi-Jul

Sikorski, opuszczając Rosję, przyjął defiladę formowanych oddziałów. Widok ten na zawsze zapadł wszystkim w pamięć.

„[Żołnierze] poszli na przegląd w tym, co każdy miał na sobie - relacjonował generał Tadeusz Klimecki. - Były to przeważnie stare, podarte i wyświechtane polskie płaszcze wojskowe, jakieś sukmany, kozuchy i kozuszki »fufajki«, nieprawdopodobne łachmany żebraków, na nogach strzępy butów z podwiązanymi łykiem podeszwami albo w ogóle bez butów, z nogami owiniętymi szmatami. Ale takiej defilady nie widzi się dwa razy w życiu. Mróz był w tym dniu siarczysty [...]. Jeżeli można serce włożyć w rytm marszu paradnego, w nogi piechura, to zrobili [...] żołnierze - wczoraj ludzie bez ojczyzny i przyszłości, skazani na powolną zagładę, aby postawą swą okazać wdzięczność temu, który zmienił ich los”.

Brak mundurów czy butów nie był jednak największym problemem bytowym polskiej armii. Niewystarczające były racje żywnościowe, szczególnie dla ludzi wyniszczonych katorżniczą pracą.

„Jako wyżywienie - pisał Czerkawski - otrzymujemy po 600 gram chleba, czarną kawę, rano i wieczorem, na obiad zupę z kaszy jaglanej, tę samą kaszę na sypko w małej ilości, w której od czasu do czasu można znaleźć pojedyncze włókna mięsa”.

W październiku Rosjanie postanowili wysłać na front jedną polską dywizję, co spotkało się z ostrym sprzeciwem Andersa. Generał miał rację, polska jednostka nie była przygotowana do walki, pierwsze egzemplarze broni otrzymano dopiero pod koniec września, i to w niewystarczającej liczbie. Brakowało środków transportu, a żołnierze używali starego umundurowania rozmaitego pochodzenia. Zbliżała się zima i straty na polu walki byłyby ogromne, tym bardziej że w tym czasie Armia Czerwona cofała się na całej linii frontu.

Anders nie wierzył w dobrą wolę Stalina, uważał również, że Rosjanie nie powstrzymają Wehrmachtu. I chyba od początku jego celem było wyprowadzenie formującej

się armii wraz z cywilami do brytyjskiej strefy wpływów. Najbliżej leżała Persja, gdzie Anglicy nie dysponowali dostatecznymi siłami do ochrony złóż ropy naftowej.

Formujące się oddziały przeniesiono do republik azjatyckich (sztab ulokowano w JangiJul w Uzbekistanie), co miało ułatwić brytyjskie dostawy. Podróż trwała kilka dni, a zaopatrzenie jak zwykle szwankowało.

„Piątego dnia podróży stanęliśmy w polu - wspominał Czerkawski. - Ogromna zaśnieżona połać, kilkaset metrów od torów zabudowania Kirgizów, a może Kazachów. Cała chmara dzieciaków z psami biegła w naszym kierunku. Wskoczyło nas kilku z wagonu rozebranych do pasa, by się umyć w ciepłym śniegu. Antek Garlicki [...] dojrzał z wagonu pięknego, dużego psa.

Tadeusz, zapolowałbyś na tego kabana, zrobimy pieczeń.

- Myśl dobra, ale czym?

Podał mi kawałek suszonej ryby. Zwabiłem psa. Przyszedł do ręki, złapałem za kark i wrzuciłem do wagonu. Pociąg ruszył. Mały chłopak wołał: Otdaj, żołdat, sobaku! Otdaj... Wlazałem na pryczę. Niektórzy protestowali. Garlicki oprawił psa jak rutynowy rzeźnik. Gdy przyszło do podziału tuszy, najwięcej żądali ci protestujący. Jaś Banczer zrobił zimne nóżki. Naprawdę były wspaniałe. Nazajutrz do wagonu wsiadł Hassan [dowódca kompanii - S.K.].

- Słyszałem, że wczoraj jedliście mięso?

- Właśnie... panie kapitanie... chcieliśmy - zaczęliśmy się płatać w wyjaśnieniach.

- Nie mam pretensji o psa, ale dlaczegoście o mnie nie pamiętali?!”

Kto nie przeżył czegoś podobnego, niech nie ocenia. Ci ludzie byli po prostu głodni, a mieli za sobą dwa lata sowieckich łagrów.

Do armii przyjmowano praktycznie wszystkich zgłaszających się mężczyzn. W jej skład weszli ludzie w różnym wieku, o różnym wykształceniu, rozmaitych poglądach i horyzontach intelektualnych. Czasami rodziło to komiczne sytuacje, szczególnie zderzenie inteligentów w średnim wieku z zawodowymi żołnierzami powodowało zabawne efekty. „Wracałem kiedyś z komendy garnizonu - opowiadał Czerkawski - gdzie zanosilem raport dzienny. Mijałem pluton jakichś starszych panów, zwanych przez nas »leśnymi dziadkami«. Ćwiczył ich jakiś kapral, chłop lat około trzydziestu. Te same: w prawo zwrot, w lewo zwrot... Kapral wydał komendę - przerwa, wolno palić! Szyk plutonu się załamał. Żołnierze zaczęli ze sobą rozmawiać, tytułując się: panie mecenasie, panie sędzio, panie inżynierze; same tytuły ludzi wykształconych. Palili papierosy, podszedł do nich kapral i odezwał się w te słowa:

- Żołnierze, wojsko to nie algiebria, tu trzeba myśleć...”.

W lutym 1942 roku Anders ponownie odmówił wysłania na front jednej dywizji. Generał był już zdecydowany na wyprowadzenie podwładnych do Iranu, uważał, że podczas ewakuacji wielu z nich umrze, ale w Rosji wyginą wszyscy. Pomysł Andersa niespodziewanie poparł Stalin.

„Jego cele wojny - opisywał BohuszSzyszko - były zupełnie inne niż nasze, potrzebował armii polskiej posłusznej jego woli nie tylko pod względem wojskowym, lecz również politycznym. Nie mógł nas zniszczyć, bo jeszcze wtedy potrzebował pomocy materiałowej sprzymierzonych, więc musiał się nas pozbyć w inny sposób, i sprowokował ewakuację wojska polskiego do Iranu i Iraku, składając następnie winę za ten stan sprawy na Polaków”.

Kilka dywizji Andersa nie miało dla Kremla większego znaczenia strategicznego, a stwarzały poważny problem polityczny. Wygodniejsze było pozbycie się Polaków z terenu ZSRR, a następnie zrzucenie na nich odpowiedzialności za ewakuację. Tym bardziej że do działania przygotowywano już polskich komunistów.

Z perspektywy lat wydaje się, że Anders dał się wykorzystać Stalinowi. Gruziński despota osiągnął już swój cel, bo po zawarciu układu z Polakami otrzymywał ogromne dostawy angielskiego i amerykańskiego sprzętu. Armia Andersa stała się dla niego niewygodna, poza tym obawiał się, że Niemcy mogą odnaleźć mogiły pomordowanych polskich oficerów. I jeżeli ogłoszą to, gdy Anders będzie już na froncie, to Polacy natychmiast przejdą na drugą stronę. Co groziło niewyobrażalnymi konsekwencjami politycznymi.

W południowych republikach ZSRR zakwaterowanie i wyżywienie armii Andersa niewiele się zmieniło. Żołnierze wciąż mieszkali w prymitywnych warunkach, a angielskie dostawy były zbyt skromne.

„Obóz w Ługowoje - opisywał Czerkawski - położony był na niezmierzonej równinie, podmokłej i gliniastej. Głęboko wkopane ziemianki podchodziły wodą. Rozpięto nad nimi typowe pojedyncze namioty, kwadratowe, niedające żadnej osłony przed zimnem, a w dodatku przeciekające. Brodziło się po kostki w błocie! Żadnych urządzeń sanitarnych nie było, wodę dowożono beczkami. Prowizorka. Wielu żołnierzy na skutek wyniszczenia organizmu cierpiało na kurzą ślepotę, wieczorem trzeba ich było prowadzić do latryny [...]. Raz dziennie, zgodnie z wydanym przez dowództwo armii rozkazem, odbywało się przymusowe, jednogodzinne bicie wszy. Obowiązywało to żołnierzy wszystkich stopni. Wszy gryzły nas potwornie, mimo nowych mundurów angielskich i zmian bielizny”.

Największym problemem było jednak zdrowie, brakowało lekarstw, zimą w szpitalach

było zimno, a latem panowały tam zabójcze upały. Mimo poświęcenia służby medycznej, śmierć zbierała obfite żniwo. Niektórzy docierali do polskiego wojska wyłącznie po to, aby umrzeć wśród swoich.

„Prawie połowa Armii - wspominał Czapski - przeszła przez oddziały zakaźne naszych szpitali. Żołnierz zapadał przede wszystkim na dur plamisty, dur brzuszny, czerwonkę, malarię itp. W samym Turkiestanie ponad dwa tysiące żołnierzy zmarło na epidemię (nie wliczam do tej cyfry ludzi umierających u wrót naszego wojska, mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy już zarażeni, umierali w drodze po stacjach, w błocie, w śniegu, w kibitkach)”.

Z czasem poprawiło się jednak wyżywienie, w jadłospisie pojawiły się owoce i warzywa, a żołnierze dostawali nawet mięso, co było wyjątkowym luksusem. Racjami żywnościowymi dzielono się z polskimi cywilami mieszkającymi w okolicy. Ale nie było wyboru, w innym przypadku kobiety i dzieci zostałyby skazane na śmierć głodową.

„Podawano nam na obiad przeważnie kawałek kiełbasy - kontynuował Czapski - wielki luksus w tych okolicach, a jako danie wstępne kawałek śledzia. Wszystko to na cynowych płytkich talerzach. Na tych samych, nieraz niedomytych po śledziu, cynowych talerzach przynoszono nam na zakończenie herbatę (nie było szklanek ani kubków). Herbatę, którą trzeba było jeść łyżką, przegryzaliśmy jednym czerwonym karmelkiem, który zastępował cukier. Na śniadanie znów śledź i herbata na tymże płaskim talerzu po śledziu. Obiad, jak to stwierdziliśmy, był lepszy niż na wielu oficerskich kursach sowieckich w tym kraju, a dla Polaków cywilnych, napływających ze wszystkich stron Rosji, był szczytem marzeń. Toteż stale dzieliliśmy się naszymi racjami z przybywającymi, długa kolejka wymizerowanych przybyszów czekała zawsze w czasie posiłków przed kuchnią”.

Exodus

Sowieci uznali wreszcie, że nadeszła pora na zdecydowane posunięcia. W marcu ograniczono wyżywienie do dwudziestu sześciu tysięcy porcji, co było kompletnie niewystarczające. I dalszy pobyt w ZSRR groził śmiercią głodową, w efekcie zapadła więc decyzja o ewakuacji do Iranu.

Wyjechać miało czterdzieści tysięcy osób, wojskowych i cywilów. Rosjanie zobowiązali się do przygotowania transportu kolejowego do portu Krasnowodsk nad Morzem Kaspijskim, stamtąd Polacy mieli dotrzeć drogą morską do Pahlevi w Iranie.

„Musiałem i przy tej sposobności - wspominał Anders - stoczyć walkę z władzami sowieckimi, które chciały przede wszystkim wysłać już dawniej zorganizowane i lepsze

jednostki. Mając nadzieję dalszego dopływu ludzi, którzy pomimo wszystkich trudności stale, choć w małych ilościach, się zjawiali, uważałem za słuszne wysłanie świeżo formujących się dywizji, które składały się z ludzi najbardziej wynędzniałych, z więzień i łagrów. Wolałem zostać w Rosji Sowieckiej z tym, co przedstawiało już pewną siłę i odporność”.

Anders miał rację, ocalił dziesiątki tysięcy istnień ludzkich, w Iranie panował łagodniejszy klimat, lepsza była również opieka medyczna. A przede wszystkim nie brakowało lekarstw i żywności.

Ewakuację zorganizowano niezwykle sprawnie, Sowieci zadbali o dostateczną liczbę pociągów, a nawet zapewnili posiłki po drodze. Transport koleją trwał tydzień, na wybrzeżu Polaków upychano na statki przewożące ich do Persji. Jednostek brakowało, ludzie siadali na pokładach, panował ogromny ścisk, ale nikt nie narzekał. Wszyscy chcieli jak najszybciej opuścić „niehumanitarną ziemię”.

„To niemożliwe, że taki świat jeszcze istniał! - nie dowierzał Czerkawski w Pahlevi. - Sklepy wędliniarskie zawieszane kielbasami różnych gatunków, sklepy z górami wszelakiego pieczywa, cukiernie z rachatlukum i innymi wyrobami, ryby wędzone, smażone i surowe, masy owoców - pomarańczy, bananów, orzechów włoskich i ziemnych... To jednak dotychczas nie byliśmy w raju, jak nam tylokrotnie powtarzano! A jeszcze śniadzi Persowie uśmiechają się do nas przyjaźnie, wciskając nam w dłonie paczki papierosów... Nie, tak nie wolno, taki szok to nie na nasze skołataną nerwy!”.

Niestety, wydaje się, że niektórzy polscy decydenci stracili kontakt z rzeczywistością. Informacja o ewakuacji rozeszła się po Rosji, mobilizując Polaków do działania. Profesor Kot oficjalnie poprosił Andersa o dyskrecję, obawiając się „gwałtownego napływu ludności z północy oraz nieopanowanych ruchów na południu”. Jeszcze gorsze wrażenie wywołała depesza z Londynu (wysłana pod nieobecność Sikorskiego) z żądaniem wstrzymania ewakuacji osób cywilnych. Ale Anders, będąc na miejscu, dobrze wiedział, że to dla tysięcy rodaków oznacza wyrok śmierci. Nie ugiął się i chwalał mu za to.

„Z największym trudem udało mi się przekonać władze sowieckie o potrzebie dołączenia do transportów ewakuacyjnych także ludności cywilnej, kobiet i dzieci. Wiedziałem, że jest to dla nich jedyny ratunek przed śmiercią głodową. Żołnierz nie dojadł, dzieląc się swoimi marnymi racjami żywnościowymi z ludnością polską, która masowo garnęła się pod opiekuńcze skrzydła wojska, widząc tam jedyny dla siebie ratunek. Ludzie marli w ośrodkach przejściowych i zapasowych setkami i tysiącami. Wydałem zarządzenie dołączania do transportów wojskowych każdego Polaka, który się zgłosi. Poleciałem dołączyć sierocińce i ochronki dla dzieci”.

Hanka Ordonówna

Piękną kartę w swojej biografii zapisała wówczas największa gwiazda polskiej sceny okresu międzywojennego - Hanka Ordonówna. Po zajęciu Litwy przez ZSRR trafiła do łagrów w Uzbekistanie, kruszyła kamienie przy budowie dróg i niebawem zachorowała na gruźlicę. Ocaliła ją rosyjska lekarka (przetrzymała ją dłużej w szpitalu), a następnie agresja niemiecka na ZSRR. Na mocy traktatu Majski-Sikorski została zwolniona i znalazła się w Taszkencie. Zajęła się tam polskimi sierotami, choć sama nie miała dzieci, swoim podopiecznym okazywała niezwykle uczucia.

Jako kierowniczka polskiego sierocińca wyruszyła do Aszchabadu, skąd dzieci miały zostać ewakuowane do Indii. Dotarła do delegata Sztabu Armii Polskiej w ZSRR do spraw ludności polskiej na Azję Środkową. Okazał się nim jej własny mąż, Michał Tyszkiewicz, z którym nie miała kontaktu od czasu aresztowania go przez NKWD. Razem z nią przybyła pierwsza grupa dzieci.

„Wysypała się oto z wagonów - opisywała Ordonka przyjazd swoich podopiecznych - w tę noc aszchabadzką gromadka małych nędzarzy, pozbawionych wszystkiego - włącznie z sercem rodzicielskim, które zastygło gdzieś pod śniegiem... Kołysała się tylko na wietrze stacyjna lampa, rzucając raz cień, a raz światło, na umęczone, wymizerowane twarze dzieci. Tragiczna gromada wyciągnęła się w długi pochód. Parami - parami szło nieszczęście z chorobą, głód z wszami - do autobusów, ledwo wlokąc nogami... Halo, halo, czyż nie widzicie, że w tych autobusach jadą najnieszczęśliwsze na świecie dzieci, dzieci więźniowie, dzieci wykolejeńcy, dzieci sieroty, dzieci starcy”.

Zajmowała się nie tylko dziećmi, pomagała mężowi w sprawach związanych z polskimi uchodźcami. Dla niektórych identyfikacja swojej dobrodziejki była ogromnym zaskoczeniem.

„Przez plac szła wolno para - wspominał Tadeusz Czerkawski - on wysoki, szczupły, z lekka przygarbiony, w wyblakłej furażerce, o znajomym kroku, z jedną gwiazdką i oryginalnym orzełkiem w koronie, ona - elegancka, choć skromnie odziana pani, lat około czterdziestu. Dyskretny makijaż podkreślał jej oryginalną urodę. Stałem jak wryty. Ja tę twarz już gdzieś widziałem! No, jasne!”.

Chociaż Ordonka miała wystarczająco dużo zajęć przy najmłodszych, nie odmawiała pomocy innym. Zjawiała się „zawsze uśmiechnięta, pogodna i cierpliwa”, pora dnia czy nocy nie miała dla niej znaczenia, żyła swoją pracą i potrzebami uchodźców.

Przy pomocy męża zorganizowała transport dwustu sierot - nie mogła czekać na dalsze - Sowieci nie przedłużyli pobytu hinduskim kierowcom. Robiła, co mogła, po kilku

latach, już w Palestynie, napisała, że „choć w morzu nieszczęść, w jakich utonęła ludzkość, ta historia garstki tułaczycy dzieci jest kroplą, niemniej może trafi do serc tych wszystkich, którzy walczą o sprawiedliwy, miłosierny, ludzki świat”. Szczególnie poruszający jest jej opis wyjazdu konwoju z małymi podopiecznymi:

„[...] samochody z dziećmi, wyjechawszy z miasta, zaczęły pustynną najpierw drogą zbliżać się ku pasmu wysokich gór, po którego szczytach snuła się granica. Tysiące długich mil, przebytych w ostatecznej niedoli, dzieliło jadących od innej granicy tego samego państwa, do którego ich wwieziono brutalną przemocą. Linia, którą mieli przed sobą, obejmowała swoim obwodem największy państwowy obszar świata i zamykała równocześnie najstraszniejsze więzienie. Poza nią była wolność”.

Druga ewakuacja

Anders dobrze wiedział, że dalszy pobyt w Rosji spowoduje całkowitą zagładę podległych mu oddziałów. Utwierdzały go w tym informacje o przetrzymywaniu w łagrach tysięcy Polaków, coraz bardziej niepokoił kompletny brak informacji o zaginionych oficerach z Ostaszkowa, Starobielska i Kozielska.

I chociaż Sikorski ze względów politycznych nalegał na pozostanie w ZSRR, Anders podjął już decyzję. Uznał, że należy „wyprowadzić i uratować, co się da, z ludności polskiej pozostałej przy życiu”. Stosunki z Sowietami były coraz bardziej napięte, władze ZSRR wstrzymały oficjalnie rekrutację. Sytuacja stawała się dramatyczna.

„Struna wyciągnęła się do ostatnich granic i poczęła trzeszczeć - uznał pułkownik Klemens Rudnicki. - Dywizja głodowała, żołnierz był poniżej potrzeb odżywiany, szkolenie [...] wycieńczało go do ostatnich granic, organizmy stawały się podatne na choroby, które poczęły [...] zbierać obfite żniwo śmierci. Dywizja zamiast stawać się wojskiem zdolnym do walki powoli sama zamieniała się w jakieś wielkie przytulisko oblepione kilkunastotysięczną masą ludności cywilnej, z trudem utrzymujące się na powierzchni”.

Stalin dobrze wiedział, co robi. Na terenie Rosji prężnie działały polskie placówki rekrutacyjne, co było dla władz sowieckich niewygodne. Na Zachód wyciekały informacje o sowieckich porządkach i o metodach NKWD. Narastała nienawiść polskich żołnierzy do Rosjan, trzeba było pilnować, aby podwładni Andersa nie „mordowali bolszewików przy każdej okazji”. Opuszczenie Rosji przez armię Andersa dawało ponadto Stalinowi potężny argument propagandowy na przyszłość. Nie przeklinał katów i oprawców, bo ci ludzie poznali dobrze, od dołu, od strony codziennej rzeczywistości, od prawdy życia reżim sowiecki”.

Armia polska wreszcie dostała uzbrojenie i właściwe umundurowanie i na terenach Iraku i Persji przechodziła intensywne szkolenie. Niestety, ludzie przybyli z Rosji w fatalnym stanie zdrowia dalej umierali setkami, czego smutną pamiątką są istniejące do dzisiaj polskie cmentarze.

Oficjalnie powołano Armię Polską na Wschodzie pod dowództwem Andersa, scalając miejscowe siły zbrojne z oddziałami wyprowadzonymi z ZSRR. Dominowali w niej byli więźniowie sowieckiego imperium wrogo nastawieni do Sowietów i głośno protestujący przeciwko wszelkim układom ze Stalinem. W otoczeniu Andersa zawiązała się konspiracja złożona z kilkudziesięciu oficerów pod kierownictwem jego adiutanta, rotmistrza Jerzego Klimkowskiego.

To była dziwna postać, a historycy do dzisiaj wysuwają różne hipotezy na jego temat. Zaufanie Andersa zdobył we wrześniu 1939 roku, ale podczas pobytu w ZSRR uważano go za złego ducha generała. Namawiał pryncypała do antysowieckich wystąpień i zdecydowanie atakował Sikorskiego jako zbyt uległego wobec Kremla.

Tymczasem prawda okazała się całkiem prozaiczna. Klimkowski składał regularnie raporty NKWD i również po ewakuacji pozostał sowieckim szpiegiem. Swą działalnością miał wzbudzać ferment wśród zajadłych wrogów ZSRR, Sikorskiego posądzano, że za cenę pokoju z Kremlem chce pozbawić Polskę Kresów, ojczystych stron większości żołnierzy armii Andersa.

Faktycznie, Sikorski jako jeden z nielicznych polskich polityków realnie patrzył na możliwości naszego kraju. Zdawał sobie sprawę, że zachodni sojusznicy, a szczególnie Stany Zjednoczone, zdradzili Polskę za cenę dobrych stosunków z Kremlem. Dla Churchilla i Roosevelta liczył się tylko ZSRR, a groźba, że Rosjanie wycofają się z wojny i zawrą pokój z Niemcami, wprawiała Anglosasów w przerażenie.

Sikorski był pragmatykiem, wiedział więc, że Kresy są stracone, a jedyne co Polska może obronić to Lwów czy Wilno. Bardziej realne wydawało mu się ocalenie dla Polski miasta nad Pełtwią, w zamian jednak Sikorski planował przesunięcie granicy polskiej na zachodzie i północy.

Tego nie potrafili zrozumieć polscy emigranci. Nasz kraj jako pierwszy padł ofiarą hitlerowskiej agresji, otrzymał cios w plecy od Sowietów, setki tysięcy jego obywateli straciło życie, a teraz został zdradzony. W lutym 1943 roku Anders wystosował do Sikorskiego list, sugerując premierowi dymisję na znak protestu przeciwko poczynaniom Sowietów. Czy widział siebie w roli jego następcy na stanowisku Naczelnego Wodza? Niewykluczone, publicznie wygłaszał opinie podważające kompetencje generała, a to trudno pogodzić z

żołnierską lojalnością.

„Mamy tu do czynienia - mówił Winston Churchill - ze wszystkimi przejawami niestabilności, które w ciągu wieków prowadziły Polskę do ruiny niezależnie od osobistych zalet i cnót Polaków. Według mnie nie powinno się w żaden sposób popierać wywrotowych tendencji w Wojsku Polskim [...] uzbrajamy i żywimy polskie oddziały, a oni zaczynają swoją domorosłą wywrotową agitację”.

Chociaż Sikorski okazał się najbardziej przewidującym polskim politykiem czasów wojny, to jednak popełnił podstawowy błąd. Górę wzięły gorsze cechy jego charakteru, nie szukał porozumienia z Andersem, traktując sprawę w kategoriach ambicjonalnych. Ze swoim antagonistą zapewne doszedłby do porozumienia, bo Anders znał potęgę Sowietów i nie był samobójcą. Rzeczowa rozmowa w cztery oczy spacyfikowałaby nastroje - Anders miał ogromny wpływ na podwładnych. Zapewne również uczyniłaby zadość ambicjom generała. Niestety, musiało się jeszcze wiele wydarzyć, zanim doszło do porozumienia.

W kwietniu 1943 roku Niemcy oficjalnie ogłosili, że odnaleźli groby polskich oficerów w Katyniu. Nie jest tematem tej książki opis burzy politycznej spowodowanej tą tragiczną informacją, dodam tylko, że ostatecznie ZSRR oskarżył Niemców o zbrodnię i zerwał stosunki z rządem Sikorskiego. W tej sytuacji sprawa spacyfikowania nastrojów na Bliskim Wschodzie stała się niezwykle paląca.

Sprzysiężenie Klimkowskiego nie było jedyną konspiracją w szeregach armii Andersa. Historycy doszukanali się jeszcze trzech tajnych związków, których plany polityczne różniły się od koncepcji Sikorskiego. Na czele jednego z nich stał generał Karaszewicz-Tokarzewski, zastępca Andersa i były szef Służby Zwycięstwu Polski. Podobno generał również miał ambicje zastąpienia Sikorskiego, a jednym z jego współpracowników był niedawny minister, pułkownik Adam Koc (ten od transportu polskiego złota). Podobno inna tajna grupa oficerska głosiła, że Polska powinna odrodzić się przy pomocy Niemiec, najwyraźniej nienawiść do Sowietów przysłaniała zdolność do logicznego myślenia.

Wreszcie zareagował Sikorski. Uznał, że działalność sprzysiężeń oficerskich godzi w honor Polski, a uczestnicy konspiracji to „szaleńcy i zdrajcy”. Na pierwszy ogień poszedł Klimkowski wysłany do Waszyngtonu jako członek polskiej misji wojskowej. Tam po pewnym czasie został aresztowany pod zarzutem kradzieży tajnych dokumentów i skazany na rok więzienia. Po wojnie wrócił do kraju i w 1959 roku ogłosił Byłem adiutantem generała Andersa, koszmarne pamflet na dawnego pryncypała i całą emigrację.

Zdymisjonowany został Karaszewicz-Tokarzewski, co środowisko oficerskie przyjęło z uznaniem. Generał nie cieszył się popularnością wśród podwładnych. Uważano go za zbyt

surowego, a wielu oficerów miało mu za złe zaangażowanie w sprawy masonerii i Kościoła katolickoliberalnego, którego był duchownym. Wobec Andersa natomiast Sikorski przyjął zupełnie inną taktykę.

Palestyna mówiła po polsku

„W Palestynie - wspominał Kazimierz Krukowski - a głównie w Tel Awiwie, większość emigrantów z okresu międzywojennego stanowili polscy Żydzi. Powstawały polskie, nie tylko z nazwy, ale również z systemu dystrybucji towarów i sposobu obsługi klienta restauracje, kawiarnie, sklepy, zakłady krawieckie, fryzjerskie, a nawet wielkie przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe. Język polski stał równorzędnym partnerem hebrajskiego i angielskiego”.

Władze Drugiej Rzeczypospolitej rzeczywiście popierały emigrację Żydów do Palestyny i do 1931 roku osiedliło się tam ponad sześćdziesiąt tysięcy polskich Izraelitów. W następnych latach emigracja nasiliła się, a po wybuchu wojny zaczęli przybywać Polacy, uciekinierzy z kraju.

„Tel Awiw to miasto całkowicie nowoczesne i wcale sympatyczne - opowiadał Wiesław Fusak, farmaceuta Brygady Karpackiej - a bezpośrednia bliskość morza dodaje mu specyficznego uroku. [...] Poza tym całość prezentuje się po europejsku i nawet czysto, dzielnice nadmorskie zaś noszą piętno letniskowe. Mieszkają tu tylko Żydzi, w wielkiej przewadze z Polski, wszędzie bowiem słychać język polski i to wcale poprawny. Językiem tym można też się wszędzie posługiwać bez kłopotu, bo jeżeli zagadnięty obywatel nim nie włada, to przywołuje zaraz takiego, który jest z Polski [...]. Masa kobiet, wcale niczego sobie. Na mundur polskiego żołnierza patrzą z ciekawością. Często zatrzymują się, pytając: skąd, dokąd, co w Polsce, co w Radomiu, czy nie znałem w Pińczowie Ryfki Blum, jak było w Syrii, no i jak czujecie się w Palestynie”.

Palestyna po klęsce Francji stała się jedynym krajem, w którym Polacy ze środkowej Europy mogli znaleźć się poza zasięgiem Hitlera czy Stalina. Pozostawała pod władzą Brytyjczyków i uznawano ją za stosunkowo bezpieczną.

„Wiosną 1941 roku - pisał Włodzimierz Drzewieniecki - do Palestyny zaczęli napływać polscy uchodźcy, głównie z Rumunii i Węgier, a niektórzy via Cypr. Znajdowali się wśród nich zarówno cywile, jak i wojskowi, starsi rangą oficerowie. Zaroiło się w miastach Palestyny, zwłaszcza w Jerozolimie, Tel Awiwie i Hajfie od rodaków. W obozie Latrum, znajdującym się nieopodal biblijnego Emaus, pojawili się starsi wiekiem i stopniem oficerowie, którzy częściowo wypełnili Legię Oficerską. Innych przeniesiono do tzw. II

grupy, w której nie mieli przydziału służbowego oraz otrzymywali niższe gaże”.

Kiedy w granicach Palestyny pojawiła się armia Andersa, region został zdominowany przez naszych rodaków. Kolejne sto tysięcy Polaków przebazowanych z Iraku i Persji nadało Palestynie swojskie oblicze, na ulicy łatwiej było dogadać się po polsku niż po angielsku. Doszło do sytuacji, gdy Hanka Ordonówna zapytała o coś brytyjskiego policjanta i zdziwiła się, że nie zna on polskiego!

Dla naszych rodaków ocalonych z sowieckich łagrów Palestyna wydawała się prawdziwym rajem. I rzeczywiście, to był zupełnie inny świat niż ten, który oglądali przez ostatnie lata.

„Hajfa! - zachwycił się Drzewieniecki. - Miasto już na pierwszy rzut oka urzeka urodą i nowoczesnością. Wszędzie ciągną się skwery ocienione palmami i sklepy pełne towarów, których dawno nie widziałem. Restauracje i kawiarnie ze stolikami na zewnątrz gościnnie zapraszają. Choć to już grudzień, cieszyliśmy się ciepłem i słońcem”.

Dla byłych więźniów sowieckich łagrów Palestyna miała jeszcze dodatkową zaletę, jej klimat był doskonały dla ludzi chorych na płuca, których w armii polskiej nie brakowało. W cieple, na słońcu i we względnym dobrobycie niedawni skazańcy powoli dochodzili do siebie.

Armia stacjonowała w pobliżu miast i miasteczek, co rozwiązywało pewien delikatny problem. Dorosłych mężczyzn na miesiące i lata pozbawiono kontaktów z kobietami; to wywierało fatalny wpływ na ich psychikę. W Rosji, w łagrach czy na zesłaniu było to bez znaczenia, wycieńczone organizmy nie odczuwały potrzeb seksualnych. Sytuacja zmieniła się jednak już w Iraku i Persji, pojawiły się normalne potrzeby. Ale polska armia nie potrafiła się z problemem uporać:

„Sprawy współżycia z kobietami - pisał po latach Tadeusz Czerkawski - zaprzętały myśli naszych lekarzy od kilku miesięcy. Prawie rok bez kobiet dla dorosłych i dobrze odżywionych mężczyzn stanowił problem, który należało rozwiązać. I tak już się z nas śmiano, że przed dywizją angielską jedzie kantyna NAAFI, za nią burdel; przed dywizją francuską i za nią jadą burdele, a przed polską dywizją podąża kaplica polowa, a z tyłu żandarmeria, żeby żołnierze nie uciekli do burdelu”.

Zgrupowanie mężczyzn na miesiące i lata odseparowanych od partnerek powoduje, że narasta problem zaspokojenia potrzeb seksualnych. Młodzi i sprawni mężczyźni mają określone potrzeby, dlatego zawsze istniały i będą istnieć wojskowe domy publiczne. Wszelkie próby ominięcia problemu są z góry skazane na niepowodzenie, prowadzą tylko do pogorszenia sytuacji.

„Istniał oparty na długoletnim doświadczeniu przepis - kontynuował Czerkawski -

zawarty w regulaminie angielskim, że jeśli oddział stoi w odosobnieniu z dala od kobiet przez okres trzech miesięcy, należy albo przenieść go do miasta, albo sprowadzić oddziałowi dom publiczny. [...] A w wojsku polskim nic z tych rzeczy, a były już pierwsze sygnały o przypadkach homoseksualizmu, nie mówiąc o nagminnej onanii. Rada w radę nasi lekarze zwrócili się dowództwa, aby wyselekcjonować pensjonariuszki z bagdadzkich domów publicznych i zorganizować taki »prztyulek« dla żołnierzy, pod nadzorem polskich lekarzy, w pobliżu obozów. Rozpętało się piekło. Kapelani rozdierali szaty na kazaniach: »tego jeszcze nie było!«. Projekt utonął w morzu pruderii”.

Przeniesienie do Palestyny rozwiązywało problem. Obozy wojskowe zlokalizowano w pobliżu miast, gdzie funkcjonowały domy publiczne, a na terenie kraju przebywało wiele kobiet mówiących po polsku. Sytuację ułatwiała również obecność damskich oddziałów pomocniczych. Czasami dochodziło do takich zdarzeń, których reżyserem mogła być jedynie wojna. Tak było w przypadku kanoniera Fryderyka Schóndhofera, lwowiaka i kapelusznika z zawodu:

„Zawsze zadbany pan lat około czterdziestu, o nienagannych manierach. W Kazachstanie, gdzie przebywał, otoczył opieką rodzinę pewnego polskiego pułkownika, wywiezioną ze Lwowa do Kazachstanu. Jadąc do wojska po amnestii, zabrał panią i jej dwie córki ze sobą. Wyjechały do Persji, a potem do Palestyny. Panny wstąpiły do wojska, pani mieszkała bodaj w Jerozolimie, jak wielu polskich uchodźców. Nawiązała kontakt z mężem, który służył w Wielkiej Brytanii. Przyjechał w odwiedzin, żona wyznała mu prawdę. Pułkownik zaprosił Fryderyka do Jerozolimy w 1943 roku; na spotkaniu stwierdził, że wie wszystko i gorąco mu podziękował za uratowanie rodziny. Nie miał żadnych pretensji. Takie były warunki; zaczynałem rozumieć coraz bardziej postawę wielu polskich kobiet w tych ciężkich czasach. Obie córki traktowały Fryderyka bardzo serdecznie i tytułowały go nawet wujkiem przy ojcu”.

Zdarzały się również niezręczne sytuacje, chociaż akurat wojna nie zawsze miała na to wpływ. Włodzimierz Drzewieniecki (późniejszy oficer sztabu II Korpusu) poznał w kawiarni w Hajfie niezwykle urodziwą polską Żydówkę. Dziewczyna przedstawiła mu się jako żona lekarza, również pochodzącego z Polski. Po kilku miesiącach Drzewieniecki przyjechał ponownie do miasta na spotkanie z przyjacielem świeżo przybyłym do Palestyny. Panowie spędzili razem nieco czasu, po czym kolega koniecznie chciał zakosztować płatnej miłości. Z pomocą taksówkarza (oczywiście polskiego Żyda) znaleźli właściwy adres.

„[...] za chwilę byliśmy już w eleganckiej dzielnicy i pięknej willi. Przed nami zjawiała się - nie do wiary - śliczna przypadkowa znajoma z kawiarni, rzekoma żona lekarza, Monika!

Zażenowanie pięknej pani (moje też) było ogromne, czego nie mógł zrozumieć ani właściciel willi, ani Janek. Po chwili Monika opanowała się i znikła za drzwiami sąsiedniego pokoju z Jankiem. Po jakimś czasie zjawił się Janek, najwyraźniej uszczęśliwiony, lecz Moniki nie zobaczyłem już więcej”.

Podobnych problemów nie miał rewolucyjny poeta Władysław Broniewski. Jego interesował wyłącznie alkohol i poezja, a na Bliskim Wschodzie nie zmienił swoich upodobań. W obozie Quizil Ribat bywał częstym gościem w zaprzyjaźnionych namiotach, najczęściej o dziwnych porach.

„Wpadając na chwilę do naszego klubu - opisywał Drzewieniecki - przeważnie już na rauszu, wciąż jeszcze szukał czegoś do wypicia. Nie znajdując trunku, raczył nas jakimś rymem. Oto jeden z nich: »Gdybym był księżycem, to skończyłbym z piciem, świeciłbym dwójako, trzeźwym i pijakom. Pijakom na całego, trzeźwym niezupełnie«. Pogroziwszy nam palcem, wysunął się z namiotu, potykając się o kołki i wędrując dalej w poszukiwaniu alkoholowego towarzysza. Na szczęście była pełnia księżyca”.

Pobyt armii Andersa w Palestynie stał się również źródłem poważnych kłopotów politycznych. Pewien procent składu osobowego armii stanowili obywatele polscy narodowości żydowskiej. Izraelici z reguły przejawiali podwójną lojalność, jedną wobec Polski, a drugą wobec Palestyny. Na uzbeckich stepach nie miało to większego znaczenia, ale nad Morzem Śródziemnym, w kolebce żydowskiej państwowości? Anders uznał, że z niewolnika nie ma wojownika i lepiej pozbyć się ludzi, którzy swój los chcieli związać z budową państwa izraelskiego. Tym bardziej że na miejscu pręźnie działały organizacje żydowskie dążące do niepodległości kraju.

„[...] nie miałem zamiaru zatrzymywać siłą Żydów w Wojsku Polskim - mówił generał w wywiadzie wiele lat po wojnie. - Wydałem ścisłe dyrektywy nieścigania tych żołnierzy, Żydów, którzy po przybyciu do Palestyny opuszczali szeregi. Uważałem, że ci Żydzi, którzy za swój pierwszy obowiązek uważają walkę o niepodległość Palestyny, mają do tego prawo. Wielu żołnierzy - Żydów, którzy w pierwszym rządzie czuli się Polakami - pozostało w oddziałach”.

Łącznie zdezerterowało kilkuset żołnierzy (niektórzy historycy szacują liczbę na dwa i pół tysiąca ludzi). W tym gronie był kapral podchorąży Mieczysław Biegun, który w Palestynie zmienił nazwisko na Menachem Begin. Jeden z najbardziej zasłużonych bojowników o niepodległość Izraela, konsekwentny zwolennik stosowania terroru i późniejszy premier. On również jako jeden z nielicznych uzyskał od Andersa zwolnienie z przysięgi wojskowej i legalnie pozostał na ziemi przodków.

Wszystkie kobiety generała Andersa

Władysław Anders zawsze miał słabość do płci pięknej, co zresztą wydaje się wspólną cechą kawalerzystów. W młodości zakochany był nieprzytomnie w Sewerynie Broniszównie (siostrze Aleksandra Wata), ale piękna aktorka miała wielu adoratorów i nie zwracała na niego uwagi. Poważne uczucie przyszło później, kiedy poznał Irenę Prószyńską, żonę Jarosława - zamożnego ziemianina z Kresów.

Podobno zakochali się w sobie bez pamięci. Irena była wprawdzie mężatką i miała syna, ale postanowiła opuścić męża. Jarosław zachował się z godnością, nie zamierzał utrudniać żonie życia, uznał, że nie może stać na drodze do szczęścia bliskiej osoby.

Rozwody cywilne jeszcze w Polsce nie istniały, ale sprawę rozwiązało przejście Ireny na wyznanie męża. I od tej pory miała dzielić jego losy.

„Małżeństwo moich rodziców - wspominała córka generała, Anna AndersNowakowska - przed wojną było niewątpliwie bardzo szczęśliwe, a wiadomo że dzieci zawsze mogą to najlepiej ocenić. Życie mojej Matki było wtedy całkowicie skoncentrowane na Ojcu. To nie był tylko jej mężczyzna, to był jej człowiek, dla którego przekreśliła całe swoje dotychczasowe życie, kochała go i, co chyba jeszcze ważniejsze, wierzyła w niego bez reszty”.

Chyba jednak nie do końca była to prawda. Zachowały się informacje, że w czasie pobytu we Francji (studiował w Wyższej Szkole Wojennej i odbywał staż liniowy), Anders zakochał się w Germaine Coillot, późniejszej żonie Felicjana Sławoja Składkowskiego. Panowie rywalizowali o jej względy, ale jak już wspominałem, zwycięzcą okazał się przyszły premier.

Anders przebywał we Francji w latach 1921-1924. Starania o Germaine trudno raczej pogodzić z idealnym obrazem małżeńskiego szczęścia, jaki kreśliła córka generała. Natomiast fakt ten dobrze tłumaczy późniejszą niechęć Andersa do Składkowskiego i jego mało eleganckie zachowanie, w chwili gdy były rywal w Palestynie poważnie zachorował. To zdarzenie potwierdza opinię, że dowódca II Korpusu był człowiekiem chorobliwie pamiętliwym.

Bez względu jednak na francuskie fascynacje, Irena i Władysław doczekali się dwójki potomstwa, wychowywali również syna Ireny z pierwszego małżeństwa. Ich związek przez długie lata uchodził za wzorowy, wszystko zmieniła jednak wojna. Irena przedostała się do Lwowa i tam po zajęciu miasta przez Sowieców dowiedziała się, że ranny mąż leży w jednym z miejscowych szpitali.

Pomimo nadzoru NKWD nad generałem udało się jej spotkać z Władysławem. Reszta

rodziny przeszła niebawem na „niemiecką” stronę, Irena natomiast pozostała we Lwowie, mając nadzieję na zwolnienie ciężko rannego męża. Ale NKWD miał inne obyczaje i Anders został aresztowany. Irena z grypsu dostarczonego przez zakonnicę wiedziała, że mąż jest przetrzymywany w lwowskim więzieniu, chociaż Rosjanie twierdzili, że nikogo o tym nazwisku u nich nie ma. Dopiero od jednego z adwokatów (przed wojną bronił na rozprawach komunistów) dowiedziała się, że Władysława wywieziono do Moskwy. Dalszy pobyt nad Pełtwią nie miał sensu, a wobec masowych wywózek Polaków był niebezpieczny. Andersowa z fałszywymi dokumentami wyjechała więc do Przemyśla.

Były to tygodnie wymiany polskiej ludności pomiędzy hitlerowcami a Sowiecami. Tysiące polskich obywateli rzuconych w najdalsze zakątki kraju wracały do domów, na granicy radzieckoniemieckiej funkcjonowały specjalne komisje wydające zezwolenia i właściwe dokumenty. Irena przyznała się przed niemieckim pułkownikiem do prawdziwego nazwiska i otrzymała pozwolenie na wjazd na teren Generalnego Gubernatorstwa ora/ bilet pierwszej klasy do Warszawy. Męża miała zobaczyć dopiero po kilku latach we Włoszech. I spotkanie to nie wyglądało tak, jak je sobie wyobrażała.

Opowiadano niejedną historię na temat związków Andersa z kobietami. Większość tych opowieści była oczywiście plotkami, ale zwolniony z sowieckiego więzienia mężczyzna miał swoje potrzeby. Złośliwi twierdzili nawet, że działalność artystyczną przy Armii Polskiej w ZSRR zorganizowano wyłącznie po to, aby generał miał pod ręką prywatny harem. Inna sprawa, że nie brakowało tam pięknych kobiet.

Do Buzułuku przybywali polscy artyści estradowi, mieli za sobą różne drogi, jedni występowali w sowieckich zespołach, inni dzielili los pozostałych rodaków. Były to osoby doskonale znane, prawdziwe gwiazdy przedwojennej Warszawy: Zofia Terne, Jadwiga Andrzejewska, Ludwik Lawiński, Henryk Gold, Kazimierz Krukowski, Konrad Tom, Henryk Wars, RefRen (Feliks Konarski).

„Szef sztabu, pułkownik Okulicki - wspominał Kazimierz Krukowski - przyjął nas bardzo serdecznie i zakomunikował, że będziemy wszyscy przyjęci na ogólnych zasadach do wojska, z tym że będziemy stanowić jedną całość pod nazwą Czołówka Teatralna przy dowództwie Armii Polskiej w ZSRR; muzycy będą ewidencyjnie przydzielani do szwadronu dowódcy armii w charakterze orkiestry reprezentacyjnej, mężczyźni do oddziałów wartowniczych, zaś panie do pomocniczej służby kobiet”.

Trzeba przyznać, że nasi artyści nie tracili w Buzułuku czasu. 11 listopada 1941 roku dali pierwszy koncert z okazji Święta Niepodległości.

„Ten dzień, 11 listopada - kontynuował Krukowski - zdecydował o tym, że nasz teatr

w ciągu pięciu lat, aż do końca wojny, działał w zależności od potrzeb nie tylko jako sensu stricto leatrn żołnierski, ale pełnił również funkcję »teatru dworskiego«, reprezentacyjnego - biorąc udział w oficjalnych spotkaniach naszego dowództwa z wysoko postawionymi osobistościami zagranicznymi wizytującymi naszą armię, jak również w obchodach świąt narodowych i kościelnych”.

Już w Buzułuku szeptano, że dowódca nie pozostawał odporny na wdzięki dam z zespołu Krukowskiego, a panie jego serca wywierały na niego przemożny wpływ.

„Dnia następnego - opisywał StrumphWojtkiewicz atmosferę po mocno zakrapianej kolacji w domku Andersa - sztabowcy ponownie zajęci byli roztrząsaniem wszelkich szczegółów generalskiego przyjęcia. Należało wysnuć wnioski, trafnie przewidzieć dalszy rozwój generalskich nastrojów. I już dopytywano się dyskretnie, kto wychodził ostatni, a kto w ogóle nie wyszedł i zanocował w gościnnym domku. Szczególną uwagę zwracano na co ładniejsze damy i »pestki« - przecież każda z nich mogła stać się zaufaną powiernicą dowódcy armii, a więc i potężnym czynnikiem poparcia w służbie... Nie było to do pogardzenia w okresie rozrostu armii”.

Wraz z zespołem RefRena o futurystycznej nazwie „Żelznodorożnyj Jazz” do Buzułuku dotarła niezwykle urodziwa dwudziestojednoletnia śpiewaczka, Irena Jarosiewicz. Pochodziła z ukraińskopolskiej rodziny, od szóstego roku życia mieszkała we Lwowie, a naukę śpiewu i gry na fortepianie przerwała wojna. Dziewczyna dysponowała jednak niezłym sopranem koloraturowym, a jej dodatkowym atutem była fantastyczna uroda. Razem z zespołem Henryka Warsa występowała na sowieckich scenach, dawało jej to możliwość przeżycia.

„Legitymacja artysty ratowała życie - mówiła po latach w wywiadzie z Anną CholewąSelo.

- Artystów rewiowych, do których należałam, podzielono na cztery zespoły, które miały jeździć po całej Rosji, od Odessy aż po Syberię, żeby, jak nam to powie dziano, »propagować polską sztukę«. W czasie tych występów zrodził się pseudonim artystyczny Renata Bogdańska.

Przez jedenaście miesięcy jeździłam z grupą znakomitego kompozytora Henryka Warsa, »propagując sztukę« i zastanawiając się, czy nie był to po prostu sposób na wykończenie nas. Mieszkaliśmy w zawszonych i zapluskwionych pociągach, wychodziliśmy na scenę z burczącymi z głodu brzuchami”.

Była młoda i silna, więc przeżyła. W polskiej armii szybko dostrzegł ją Anders, ale zachowywał się z dużym taktem. Przesyłał tylko prezenty i kwiaty, Renata była zresztą w tym

czasie żoną piosenkarza i aktora, Gwidona Boruckiego.

Anders był doświadczonym mężczyzną i wiedział, jak zrobić wrażenie. Dla niej był „wodzem, bohaterem i przybranym ojcem dla całej swojej armii, która wdzięczna mu była za uratowanie życia i wyprowadzenie z syberyjskiej katorgi”. Generał potrafił jednak czekać, możliwe, że wówczas wystarczały mu przelotne romanse. Był przecież od wielu lat żonaty, a Bogdańska była młodsza od niego o trzydzieści lat. Ale po przebazowaniu do Iraku, w Bagdadzie, zaprosił ją na kolację z dyplomatami, tłumacząc, że „taki bufet, takie jedzenie, taka wódka! Bardzo proszę!”. Nie odmówiła.

Trudno określić, kiedy zaczął się ich romans, ale we Włoszech byli już parą. Nie przeszkodził w tym fakt, że w „Polskiej Paradzie” (pod tą nazwą działały zespoły artystyczne II Korpusu) występował mąż Bogdańskiej. On zresztą był pierwszym wykonawcą słynnych Czerwonych maków zaprezentowanych dwa dni po słynnej bitwie pod Monte Cassino.

Prawdziwe problemy zaczęły się jednak, kiedy do Włoch postanowiła przyjechać Irena Anders. W kraju, w którym władzę zdobyli komuniści, rodzina generała w każdej chwili mogła zostać aresztowana. Dla nowych władców Polski generał stał się symbolem zła, osobą bezprzykładnie atakowaną w mediach. Podczas powstania warszawskiego „Krasnaja Zwiezda” opublikowała karykaturę ukazującą Andersa i Sosnkowskiego stojących z okrwawionymi rękoma nad planem Warszawy. A potem było już tylko gorzej, pisano, że „w piaskach Iranu i Palestyny powtórzyła się tragedia Berezy. Skazani na dożywotnie więzienie oficerowie i żołnierze, patrioci polscy, zapełnili obozy koncentracyjne, utworzone przez generała Andersa”. Nienawiść do generała sięgała zenitu, przedstawiano go w mundurze niemieckim, nazywano faszystą i zdrajcą narodowych interesów. Podobno razem z hitlerowcami szykował wyprawę na Moskwę, w krajowej prasie pojawiły się relacje, że „armia wyprowadzona w swoim czasie z Rosji została wybita. Na miejsce Polaków Anders zaczął przyjmować banderowców, własowców i esesmanów, którzy teraz stanowią większość jego armii”.

Nie oszczędzano nawet przodków generała.

„[...] dziad Andersa - pisał Zygmunt Berling - posiadał w byłej Kongresówce majątek ziemski, darowany mu przez rząd carski za zasługi przy stłumieniu powstania 1863 roku. Majątek pochodził z konfiskaty za udział w powstaniu poprzedniego właściciela. W domu Andersów mówiło się wyłącznie po niemiecku lub po rosyjsku. Wszystko to razem sprawiało, że stosunki z sąsiadami układały się nie zawsze poprawnie”.

Jako pierwszy próbę ucieczki z kraju podjął syn generała, Jerzy. W maju 1945 roku opuścił Warszawę i przez zieloną granicę przedostał się do Włoch. Przekazał informację o

powodzeniu eskapady i niebawem na Zachód ruszyła reszta rodziny: Irena, Anna, jej mąż i czteroletnia córeczka. Zastanawiać może, dlaczego Jerzy nic nie wspomniał o romansie ojca? Nie chciał się rozpisywać? Czy też uważał sprawę za przejściową? A może wolał, aby rodzice sami się ze sobą rozmówili? Niewykluczone zresztą, że obawiał się reakcji matki, Irena poinformowana o rywalce mogła odmówić wyjazdu z kraju.

Granicę przekroczone w polskiej ciężarówce jadącej do Pilzna, Irena i Anna w męskim przebraniu, mała Ewa pod plandeką samochodu. W Pilźnie dotarli do placówki II Korpusu i dalej wszystko poszło już gładko. Rodzina spotkała się w Ankonie.

„Niestety - wspominała Anna - wkrótce przekonaliśmy się, że nie jest tak dobrze, jak nam się w pierwszej chwili wydawało, bo w życiu Ojca zjawiała się inna, młodsza kobieta. Wierzyliśmy jednak, że problem ten jakoś pomyślnie się rozwiąże i nie dojdzie do rozbicia rodziny”.

Wiara podobno czyni cuda, ale niekoniecznie w sprawach uczuć. Bogdańska również miała obawy co do tego związku, ale ostatecznie związała się z Andersem. Irena przyjęła to z godnością, zajęła się pracą na rzecz polskich uchodźców w południowych Włoszech. Nazywano ją „starą generałową” w odróżnieniu od nowej partnerki męża, którą określano jako „młodą generałową”.

Renata Bogdańska i Władysław Anders pobrali się w 1948 roku. Niebawem doczekali się córeczki (Anny Marii), spędzili razem dwadzieścia dwa lata aż do śmierci generała. Renata wystąpiła w dwóch filmach, współpracowała z BBC i rozgłośnią Wolna Europa, była najpopularniejszą śpiewaczką polskiej emigracji. Może dlatego o jej córce Marian Hemar mawiał z uśmiechem: „biedne dziecko, córka karciarza i szansonistki”. Faktycznie, Renata często występowała w najważniejszym polskim klubie w Londynie, w Ognisku Polskim w dzielnicy Kensington. A generał lubił zasiąść do kart.

„Renacie - opisywała Maria Drue - pierwszej damie emigracji, długo trzeba było tłumaczyć, iż może wrócić na scenę, mimo iż jest żoną generała Andersa. Zresztą sam Generał nie miał nic przeciwko temu, wręcz przeciwnie, dumny był z występów swojej utalentowanej żony. Często występowałyśmy razem w akademiach »ku czci«. Generał w pierwszej części, oficjalnej, miał skrzące się swadą przemówienie do »swoich żołnierzy«, a Renata i ja »robiłyśmy« część artystyczną. Nie wiem, kto z nas miał większe powodzenie, ale sądząc po brawach, chyba Generał”.

Renata Anders zawsze imponowała trzeźwym stosunkiem do otaczającej rzeczywistości. Była dumna ze swojej kariery scenicznej, potrafiła łączyć rolę żony legendarnego polskiego wodza i artystki. Przykładem tego jest anegdota opowiedziana przez

CataMackiewicz:

„[...] kiedyś urzędowały u niej panie układające listę gospodyń na jakiś bal patriotycznoreprezentacyjny. Przy którymś z nazwisk jedna z dam żywo zaprotestowała:

- Ależ, pani generałowo, tej zapraszać nie można, przecież ona była aktorką.

Ponieważ ten dziewiętnastowieczny argument został pominięty milczeniem i nazwisko to ponownie zostało wymienione, więc owa pani znów występuje z protestem:

- Ależ, pani generałowo, to przecież aktorka!

Pani Andersowa grzecznie powiada:

- Pani zapomina, że ja także byłam aktorką.

Starsza pani czuje, że popełniła gafę, ale ratuje się w sposób nieoczekiwany; macha ręką i mówi:

- Ach, jaką tam pani była aktorką!”.

Starsza córka generała wyjechała z mężem, Janem Romanowskim, do Francji. Na Riwierze poznała byłą partnerkę marszałka ŚmigłegoRydzę, Martę ThomasZaleską, która przeczekala wojnę na południu Francji, a po jej zakończeniu prowadziła wygodne, ekstrawaganckie życie. Wywieziony z Polski majątek zapewniał jej godziwe utrzymanie i „całe prywatnopaństwowe mienie ostatniego marszałka Polski było wyprzedawane - hurtem w i detalu, na lewo i na prawo”. Sprzedała nawet (za siedemset pięćdziesiąt tysięcy franków) szablę koronacyjną Augusta II, a nabywcą był Stefan Czarnecki - zamieszkały w Paryżu Polak, który dorobił się majątku na handlu bronią. To nie był wyjątek, znajomości Marty uznawano za dość niebezpieczne. Widywano ją w towarzystwie handlarzy narkotyków i gangsterów - wojna sprowadziła na złą drogę niejednego człowieka. Bohaterowie wojenni zdobywali majątki na przemyśle, handlu bronią czy narkotykami, zatarła się naturalna granica pomiędzy dobrem i złem, szczególnie u ludzi o słabszych charakterach.

Pod koniec czerwca 1951 roku Marta pobrała z konta bankowego pięćset tysięcy franków, z czego większość (trzysta pięćdziesiąt tysięcy) pożyczyła mężowi Anny. Ostatni raz widziano ją żywą 2 lipca - jadła wówczas obiad (czy też śniadanie) w towarzystwie Romanowskiego.

Dwa tygodnie później kilkunastoletni chłopiec znalazł w potoku oddalonym czterdzieści kilometrów od Nicei worek zawierający niezidentyfikowane szczątki ludzkie (kadłub, bez kończyn i głowy). W czasie dalszych poszukiwań znaleziono stopy i lewej rękę, a poszczególne szczątki znajdowały się wiele kilometrów od siebie. Oględziny lekarskie wykazały, że ofiarą była kobieta, której ciało po śmierci poświęrtowano (nacinano kości cienką piłą, a następnie łamano). Dopiero po pewnym czasie udało się ustalić (na podstawie

identyfikacji rzadkiej amerykańskiej bielizny znalezionej wraz z ciałem), że były to szczątki Marty.

W wyniku śledztwa aresztowano Romanowskiego, bliskiego znajomego zamordowanej, który miał motyw - był wraz z żoną dłużnikiem ofiary. W jego obronę zaangażował się osobiście generał Anders, który przybył w tym celu z Londynu. Romanowski, z braku dowodów, został zwolniony; policja, mimo kilkakrotnych rewizji w jego mieszkaniu w Nicei, nie znalazła żadnych śladów. Niepowodzeniem zakończyły się także oględziny samochodu, którego używał, w efekcie śledztwo ukierunkowano w stronę gangsterskich porachunków. Winnych jednak nie odnaleziono, można podejrzewać, że szum związany ze sprawą zabójstwa ThomasZaleskiej wpłynął na decyzję Romanowskich o emigracji do Kanady. Tam zięć Andersa zmarł na chorobę nowotworową, a córka generała po pewnym czasie ponownie wyszła za mąż.

„Stara generałowa” zamieszkała po wojnie w Londynie, w tej samej dzielnicy co jej mąż z młodszą partnerką. Nie utrzymywała jednak z nim kontaktów, odwiedzała natomiast regularnie osiadłe za oceanem dzieci. Cała rodzina spotkała się dopiero na pogrzebie Andersa w 1970 roku, a jego obie żony z czasem się zaprzyjaźniły. Irena Anders zmarła w 1981 roku, Jerzego Andersa zastrzelił na ulicy w Ottawie jakiś szaleniec, a jego siostra odeszła w 2006 roku. Renata Bogdańska (młoda generałowa) zmarła w 2010 roku i została pochowana u boku męża na polskim cmentarzu wojennym pod Monte Cassino. Młodsza córka generała wyszła za obywatela USA i mieszka obecnie Stanach Zjednoczonych.

Niedźwiedź Wojtek

ZII Korpusem Andersa przeszedł cały szlak bojowy niezwykle „żołnierz”, który trafił do legendy. Szeregowy Wojtek należał do bardzo rzadkiego rodzaju żołnierzy, był bowiem niedźwiedziem przywiezionym przez Polaków z bezdroży Iranu. Został odkupiony od tamtejszego pastuszka. Za kilkumiesięcznego zabiedzonego misia syryjskiego Polacy zapłacili żywnością i szwajcarskim nożem oficerskim, a decydującym argumentem okazała się duża puszka angielskiej wołowiny.

Niedźwiadek nazwany Wojtkiem oczarował wszystkich, więc na jego pobyt zgodził się dowódca oddziału, major Chełmiński. Pozwolił podopiecznemu sypiać w umywalce w swoim namiocie, a niebawem oddał namiot w wyłączne władanie Wojtkowi i jego bezpośredniemu opiekunowi, kapralowi Piotrowi Prendyszowi.

Razem z armią Andersa niedźwiedź trafił do Palestyny, z każdym dniem nabierając ludzkich cech charakteru. Uwielbiał jazdę w szoferce ciężarówki, prezentował typowo męskie

upodobanie do alkoholu z piwem na czele. A do tego lubił zjadać zapalone (!) papierosy. Kiedyś zresztą pod wpływem świątecznego wina włamał się do magazynu żywnościowego, wyrządzając ogromne szkody. Skazany został na dzień aresztu, który spędził przykuty łańcuchem do pala na placu.

Wojtek był wyjątkowo łagodnym i towarzyskim stworzeniem, jednak ze względu na gabaryty (miał ponad dwa metry wzrostu i ważył ćwierć tony) swoim pojawieniem się wzbudzał zrozumiały popłoch. Raz omal nie zakończyło się to tragedią, kiedy nocą pomylił namioty i zamiast położyć się spać obok opiekunów, obudził oddział hinduskich żołnierzy. Niewiele brakowało, a zostałby zastrzelony, ocaliła go tylko szybka interwencja służby wartowniczej (akurat byli to Polacy), którą zwabiło zamieszanie.

Niedźwiedź czasami oddawał swoim opiekunom innego rodzaju usługi. Kiedyś ukradł bieliznę kąpiącym się paniom ze służby pomocniczej, a sprawa jej oddania i przeprosin stała się znakomitą okazją do zawierania męskodamskich znajomości. Przyprohwadzony do poszkodowanych wyraził skruchę w wyuczony sposób, zakrywając łapami pysk i kwiląc żałośnie. Uwielbiał kąpiele i z radością pływał w morzu, ale największą przyjemność sprawiało mu nagłe wynurzenie się w otoczeniu pływających kobiet. Oczywiście dla uspokojenia zestresowanych pań potrzebna była interwencja opiekunów ich podopiecznego. A która kobieta oprze się przeprosinom niedźwiedzia?

Na front włoski Wojtek trafił razem ze swoją 22. kompanią zaopatrzenia i jak na polskiego żołnierza przystało, dopłynął do Italii na pokładzie „Batorego”. Pod Monte Cassino zdarzyły się sytuacje, które utwierdziły jego legendę.

Niedźwiedź szybko zaadaptował się do warunków frontowych. Przestał obawiać się eksplozji i wspinając się na najbliższe drzewo, obserwował stamtąd wydarzenia. Najwyraźniej czuł się żołnierzem i nie zamierzał pozostać bezczynny.

„Szliliśmy przez puste pola - wspominał John Ciarke ze słynnego szkockiego batalionu Black Watch - rozglądając się za zabłąkanymi kurami lub kurzymi jajkami, gdy niespodziewanie znajdujący się w pobliżu oddział artylerii otworzył ogień. Podeszedłem bliżej, żeby dokładnie przyjrzeć się artylerzystom. Okazało się, że była to polska bateria, która akurat prowadziła nawałę ogniową na nieprzyjacielskie pozycje. Stanowiska dział ukryte były na polanie pośród drzew dużego lasu. Gdy przyglądałem się temu obrazkowi, moją uwagę przykuł pewien zaskakujący szczegół. Oto niespodziewanie spomiędzy drzew wyszedł wielki, poruszający się na tylnych łapach niedźwiedź. Wyglądało na to, że zwierzę taszczyło coś w swych łapach. Obaj z Vincentem zaczęliśmy krzyczeć, chcąc ostrzec kanonierów o zbliżającym się do nich niedźwiedziu. Nikt jednak nie zareagował na nasze wrzaski.

Niedźwiedź doszedł do ogona lawety działa, stawiając na ziemi niesiony przez siebie pocisk artyleryjski. Zaraz po wykonaniu tej operacji podążył ponownie do lasu, aby po chwili pojawić się, niosąc w swych łapach kolejny pocisk. W tym momencie zrozumieliśmy, że dostrzeżony przez nas niedźwiedź jest prawdopodobnie oswojonym zwierzęciem cyrkowym”.

Przez długie lata nikt nie chciał dać wiary opowieści Szkota (łącznie z jego żoną). Ale sytuacja się zmieniła, gdy Ciarke opowiedział kiedyś historię na spotkaniu, na którym byli obecni polscy weterani. Jeden z nich stwierdził: „a taak, to musiał być Wojtek”.

Szkot jednak nieco ubarwił swoją opowieść. Polacy zgodnie zaprzeczają, że niedźwiedź nosił pociski. Skrzynki z amunicją owszem, każda z nich ważyła zresztą czterdzieści pięć kilogramów, jednak legenda żyła własnym życiem.

Niebawem na galowych mundurach żołnierzy 22. kompanii pojawiła się odznaka z wizerunkiem niedźwiedzia niosącego pocisk. Przyczepiano go także w formie emblematu na mundurach, używano jako logo kompanii na samochodach.

Wojtek przebył cały szlak bojowy II Korpusu, we wrześniu 1946 roku trafił do Glasgow, a następnie do obozu przejściowego w Winifield. Tam stał się ulubieńcem okolicznych mieszkańców, którzy dokarmiali go solidarnie, bo potrzeby niedźwiedzia znać/ nie przekraczały przyznane racje żywnościowe.

Jedną z atrakcji pobytu w obozie były odwiedziny w pobliskim Berwick. Opiekunowie często zabierali ze sobą Wojtka Zapewniali ulubieńcowi rozrywkę, a przy okazji realizowali własne cele. Wojtek lubił alkohol, a chętnych do postawienia misiowi drinka nigdy nie brakowało. Oczywiście do spełniania toastów przyłączali się jego opiekunowie. Kiedyś jednak sprawa wy wyniknęły się spod kontroli i wezwany polski oficer zastał grupę pijanych żołnierzy w towarzystwie mocno nietrzeźwego niedźwiedzia dręczonego przez pijacką czkawkę! Uczestnicy incydentu (z niedźwiedziem na czele) na pewien czas dostali zakaz opuszczania obozu.

W ramach naturalizacji polskich żołnierzy zdecydowanych na pozostanie w Wielkiej Brytanii w Winifield pojawiła się komisja mająca ustalić predyspozycje kandydatów. Badano ich sytuację rodzinną, kwalifikacje zawodowe oraz znajomość angielskiego. Na liście potencjalnych osiedleńców znalazł się również Wojtek, był mieszkańcem obozu i nie wybierał się do Polski.

Kiedy komisja przesłuchała już ostatniego żołnierza, okazało się, że został jeszcze kapral Wojtek. Tłumaczono, że zna tylko polski i perski, ale uparci Brytyjczycy polecieli go sprowadzić. W każdej armii rozkazy należy wykonywać. Za chwilę więc przed obliczem struchlałej komisji stanął dwumetrowy niedźwiedź, a Polacy upierali się, że jest

doświadczonym weteranem!

Wojenna odyseja Wojtka dobiegła końca w listopadzie 1947 roku. Wobec likwidacji polskich obozów został oddany do ogrodu zoologicznego w Edynburgu, gdzie przeżył jeszcze szesnaście lat. Miał doskonale warunki, często odwiedzali go polscy żołnierze. Wojtek zresztą reagował na brzmienie polskiego języka, a obsługa ogrodu z przerażeniem patrzyła, gdy Polacy wchodzili na wybieg, aby pobawić się z dawnym pupilem. Oczywiście częstowali go przy tym papierosami, które Wojtek wciąż uwielbiał. Wśród odwiedzających nie było tylko Piotra Prendysza. Dla żyjącego w Londynie podoficera spotkanie byłoby zbyt bolesne, dla jego podopiecznego zapewne również.

„Sądzę, że Piotr i inni żołnierze - powiedział jeden z przyjaciół Prendysza - którzy czuli się związani z Wojtkiem, oddawali go do zoo ze złamanym sercem. Stanęli jednak przed brutalnym wyborem: zoo albo kulka. Przebywając w ogrodzie zoologicznym, Wojtek stopniowo zamykał się w sobie. Na jego wybiegu umieszczono jeszcze dwa niedźwiedzie, które miały mu dotrzymywać towarzystwa. Wojtek nie pragnął ich towarzystwa, tęsknił bowiem za kontaktami z ludźmi”.

Postać Wojtka była dość popularna w Wielkiej Brytanii, poświęcono mu kilka książek i audycji radiowych. Kiedy książę Karol odwiedził londyńskie muzeum generała Sikorskiego, zatrzymał się przed wizerunkiem niedźwiedzia. Zaczęto mu wyjaśniać, kim był miś, ale książę przerwał, mówiąc, że zna doskonale jego historię, bo czytał ją na dobranoc swoim synom.

Biały pióropusz i czerwone maki

Jednym z ostatnich rozkazów Władysława Sikorskiego było przekształcenie Armii Polskiej na Wschodzie w II Korpus Polskich Sił Zbrojnych. Naczelnny Wódz pojawił się wreszcie w Iraku i jego podróż inspekcyjna zakończyła się sukcesem. Nie znamy przebiegu rozmów z Andersem, generał wspomina, że były spory kompetencyjne:

„Były pewne różnice zdań między generałem Sikorskim a mną co do organizacji naszego wojska na Bliskim Wschodzie i moich kompetencji jako dowódcy armii. Na ten temat odbyły się rozmowy z generałem Pownallem, a następnie ze mną. Generał Pownall przesłał generałowi Sikorskiemu swoją opinię, która była identyczna z moją. W rezultacie generał Sikorski zgodził się z opinią generała Pownalla i moją, i na piśmie dał mi swoją instrukcję”.

Ważniejsze były rozmowy polityczne, nie znamy jednak ich szczegółów. Sikorski podczas odprawy dla wyższych oficerów stwierdził, że stanowisko władz polskich wobec

Sowietów jest niezmiennie i w sprawie granic obowiązuje stan sprzed wojny. Podobnie jak w kwestii nadawania przymusowo obywatelstwa sowieckiego. Z powodu zerwania stosunków przez Rosjan, próbują wydostać z terenu ZSRR polskich obywateli (szczególnie dzieci) Australijczycy. Sikorski uznał też tworzoną pod egidą Sowietów dywizję piechoty w Sielcach za jednostkę komunistyczną powstającą wyłącznie w celach dywersyjnych, a jej dowódcę Zygmunta Berlinga za dezertera.

„Nie mam zamiaru ukrywać - pisał po latach Anders - że istniały różnice w zapatrywaniach naszych na sprawy wojskowe i polityczne, zwłaszcza w stosunku do Rosji Sowieckiej. Nieraz były znaczne, a więc i dyskusje nie zawsze wypadały pogodnie. Charakter pracy generała Sikorskiego jako premiera i Naczelnego Wodza wymagał stałej jego obecności w Londynie. Ja, dowodząc Armią Polską w ZSRS, a później na Bliskim Wschodzie, musiałem być stale z wojskiem. Dzielili nas wielkie odległości. Wskutek tego zetknięcia osobiste, które najlepiej sprzyjały całkowitemu porozumieniu wobec jednolitości dążeń, były rzadkie. Było to wyzyskiwane przez intrygantów pokroju profesora Kota do siania między nami niezgody”.

Panowie spotkali się jeszcze pod koniec czerwca w Kairze. Spotkanie „było bardzo serdeczne” i dobrze rokowało na przyszłość. Sikorski miał dojść do wniosku, że „wśród jego otoczenia są ludzie, którzy źle mu doradzali i z tego wynikło wiele nieporozumień”. Podobno uznał, że musi ich po powrocie do Londynu odsunąć, a szczególnie Kota.

Sikorski odleciał do Gibraltaru, a następnego dnia zginął. Nie wchodząc w szczegóły katastrofy i jej przyczyn (sabotaż, wypadek, czy zamach), warto jedynie zauważyć, że w jednej chwili cały polski świat polityczny i wojskowy stanął na głowie.

Po śmierci Sikorskiego rozdzielone zostały funkcje Naczelnego Wodza i premiera. Szefem rządu został Stanisław Mikołajczyk, zwierzchnictwo sił zbrojnych objął Kazimierz Sosnkowski. Prezydent Raczkiewicz zobowiązał go do niemieszania się w sprawy polityczne, co oczywiście było nierealne. Niektórzy, obawiając się Sosnkowskiego, proponowali na Naczelnego Wodza Andersa, a zwolennikiem tej kandydatury był nawet Stanisław Kot. Najwyraźniej profesorowi nie przeszła nienawiść do piłsudczyków.

Sosnkowski był realistą i pesymistycznie zapatrywał się na sytuację Polski. Sowietci utworzyli już załazek przyszłego rządu (Związek Patriotów Polskich z Wandą Wasilewską na czele) i dywizję piechoty pod dowództwem Berlinga. Anglicy i Amerykanie podczas konferencji w Teheranie zgodzili się na oddanie środkowej Europy w ręce Stalina. Sosnkowski oczekiwał „straszliwej katastrofy”, twierdząc, że „Rosja Sowiecka to krokodyl żarłoczny, którego zamierza się nakarmić cudzymi ochłapami, ale który i tak połknie i pożre,

nie przetrawiając, wszystko, co tylko osiągnie”.

Generał uważał, że Polaków postawiono w sytuacji bez wyjścia, a jedynym rozsądnym postępowaniem jest oczekiwanie na konflikt zachodnich demokracji z Sowietami. Ale to mogło nastąpić dopiero po pokonaniu Niemiec, do tego czasu należało więc oszczędzać armię polską. Straty w wojnie o cudze interesy były niepożądane, dotyczyło to nie tylko Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, ale również Armii Krajowej.

Niestety, „polskie piekło” po raz kolejny dało znać o sobie. Mikołajczyk i Sosnkowski nigdy za sobą nie przepadali, ale teraz zaczął się niemal otwarty konflikt. Do koszmarnych waśni emigracyjnych doszedł kolejny antagonizm, a właściwie „wojna wewnętrzna wydana przez premiera Naczelnemu Wodzowi”. Sikorski, łącząc te stanowiska, sam ze sobą nie wojował, Mikołajczyk z Sosnkowskim natomiast zachowywali się tak, jakby reprezentowali wrogie państwa.

„[...] nie spotykają się osobiście - opowiadał pułkownik Stanisław Gano - nie wymieniają między sobą poglądów, a wszystkie sprawy załatwiają wyłącznie drogą korespondencji - pisują do siebie listy urzędowe - o jakiegokolwiek współpracy między nimi nie ma mowy, a właściwie nie rozmawiają ze sobą, chyba że spotkają się na posiedzeniach Rady Ministrów”.

Inną filozofię reprezentował generał Anders. Miał ogromne ambicje i uważał, że żołnierz polski dla własnego dobra i dla sprawy polskiej musi pokazać się na frontach wojny. Kreując się na „sumienie armii”, chciał walczyć, uważał, że to konieczne dla przyszłości kraju.

„Rząd nie może pójść na ustępstwa terytorialne - tłumaczył ambasadorowi Sokolnickiemu. - O kwestii swego terytorium stanowić będzie tylko naród [...], ale dopiero wtedy, gdy swobodnie będzie mógł o tym zdecydować [...]. Uznaję ten rząd i jego prawowitą władzę, ale nie uznaję i nie pozwolę nigdy na zbrodnię, jaką byłoby jakie bądź ustępstwo w sprawie granic. I wiem, że całe wojsko jest pod tym względem jednomyślne. Nie po to ryzykowaliśmy wojnę o Gdańsk i »korytarz«, aby utracić wszystkie wschodnie dzielnice. Wówczas wojsko, każdy żołnierz zapytałby, po co była ta wojna?”.

Armia Andersa w ogromnej większości składała się z mieszkańców Kresów. Ludzie ci przeszli piekło na „niehumanitarnej ziemi”, zostawili tam na zawsze rodziny i przyjaciół. A teraz mieliby dobrowolnie zrezygnować z miejsc, w których się urodzili?

Tymczasem Rosjanie nie próżnowali, w październiku 1943 roku do walki weszła 1. dywizja generała Berlinga, staczając potwornie krwawą i nikomu niepotrzebną bitwę pod Lenino. Propaganda sowiecka natychmiast ogłosiła to całemu światu. Anders uznał więc, że

sprawa polska potrzebuje sukcesu militarnego. W grudniu II Korpus został przerzucony na front włoski, a niebawem generał stanął przed szansą, na którą czekał.

Bitwa pod Monte Cassino weszła do panteonu polskiego oręża i jest uznawana, obok Grunwaldu, Wiednia czy Chocimia, za wspaniały triumf. Jako najbardziej znana operacja polskiej armii podczas drugiej wojny światowej obrosła w mity, a jej legenda ma niewiele wspólnego z rzeczywistością. Właściwie zgadza się tylko jedno, żołnierz bił się doskonale, a straty były poważne.

We wrześniu 1943 roku alianci dokonali desantu w południowej Italii i planowali szybki marsz na Rzym. Po pierwszych sukcesach ofensywa utknęła na zaporze składającej się z dwu pasów obrony w górskim terenie: Linii Gustawa i Linii Hitlera. Drogę na północ blokowały silnie umocnione pozycje z górującym nad nimi zabytkowym opactwem na Monte Cassino. Sprzymierzeni próbowali obejść masyw, ale trzy kolejne uderzenia zostały odparte. Brytyjskie dowództwo postanowiło zdobyć Monte Cassino atakiem czołowym, chociaż podnosiły się głosy, że straty będą zbyt duże. Dowódca Francuskiego Korpusu Ekspedycyjnego proponował obejście linii niemieckich poprzez manewr w rejonie gór Aurunci, ale brytyjski generał Oliver Leese złożył propozycję Andersowi.

„Była to dla mnie chwila doniosła - wspominał Anders. - Rozumiałem całą trudność przyszłego zadania Korpusu. Rozumiał ją także i nie ukrywał generał Leese. Zaciekłość walk w mieście Cassino i na wzgórzu klasztornym były już wówczas dobrze znane. Mimo że klasztor Monte Cassino był bombardowany, mimo że oddziały i czołgi sojusznicze wchodziły na sąsiednie wzgórza, mimo że z miasta Cassino zostały tylko gruzy, Niemcy utrzymali ten punkt oporu i nadal zamykali drogę do Rzymu”.

Anders podjął decyzję w ciągu kilku minut, nie ukrywając, że zdobycie klasztoru będzie doskonałą promocją sprawy polskiej. Miał nadzieję na duży rozgłos, co powinno mieć znaczenie dla okupowanego kraju i przynieść chwałę polskiemu orężu.

W tym czasie w południowej Italii przebywał z inspekcją generał Sosnkowski. Dowiedział się o decyzji Andersa, ale nie mógł jej zmienić, bo groziło to nieobliczalnymi konsekwencjami. Zarzucił jednak podwładnemu, że „śni o białym pióropuszu” i kosztem polskiej krwi chce zaspokoić własne ambicje.

„Powiedziałem mu jednak o wiele więcej - wspominał po latach Sosnkowski. - Przede wszystkim, że uważam jego samowolny postępek za naruszenie dyscypliny wojskowej, przy tym bardzo niebezpieczne i wysoce szkodliwe na wygnaniu; powiedziałem mu dalej, że dysponowanie krwią polską w ciężkiej walce politycznej o przyszłość i prawa naszego narodu należy do władz zwierzchnich Rzeczypospolitej; że pomijanie tych władz na rzecz obcych

ośrodków dyspozycyjnych ułatwia tym ostatnim wygrywanie ambicji jednostek dla własnych celów, które przecież mogą pozostawać w sprzeczności z naszymi celami narodowymi [...]”.

Sosnkowski był doświadczonym oficerem sztabowym i jeden rzut oka na plany operacji wystarczył mu do jej oceny. Widział, że natarcie zostało fatalnie przygotowane, straty będą ogromne, a szanse na sukces raczej niewielkie.

Nie mógł jednak zareagować na samowolę Andersa. Generał cieszył się ogromną popularnością wśród podwładnych, a niektórzy uważali go wręcz za Mojżesza, który wyprowadził ich z domu niewoli. Dymisja popularnego dowódcy doprowadziłaby do zamieszek wewnątrz II Korpusu, i to w chwili, gdy jednostka znalazła się wreszcie na froncie.

Naczelnny Wódz miał rację, zginęło ponad dziewięćset żołnierzy, było cztery tysiące rannych i zaginionych. Po sześciu dniach krwawych walk Polacy opanowali zniszczony klasztor. Wbrew legendzie wcale go nie zdobyli, Niemcy w nocy opuścili ruiny budowli.

Straty dodatkowo generowało złe dowodzenie Andersa. Kompletny brak koordynacji działań, chaotyczne rozkazy, brak reakcji na zmieniającą się sytuację. A co gorsza, poświęcenie polskiego żołnierza okazało się bezcelowe, opanowanie ruin klasztoru nie przyniosło większych efektów strategicznych. O zwycięstwie w bitwie o Rzym zadecydowało oskrzydlenie linii obronnej przez Francuzów zmuszające Niemców do odwrotu. Nie było również oczekiwanego rozgłosu, żołnierze II Korpusu stali się bohaterami mediów zaledwie na parę dni. Ale Anders miał swoje zwycięstwo, a umiejętna propaganda rozślawiła jego imię. Do dzisiaj wymieniany jest jednym tchem z największymi wodzami w dziejach naszego kraju: Jagiełłą, Żółkiewskim, Chodkiewiczem, Sobieskim. Spełnił swoje chłopięce marzenie.

Farma generała Sosnkowskiego

Kilka tygodni po bitwie pod Monte Cassino wybuchło powstanie warszawskie. Nie jest celem tej książki rozważanie uwarunkowań politycznych ani ocenianie jego przywódców, ale powstanie odegrało ogromną rolę w dziejach polskiej emigracji. Było też bezpośrednią przyczyną końca wojskowej kariery generała Sosnkowskiego.

Powstanie było nieprzygotowane, wybuchło we właściwej chwili dla Stalina. Polscy dowódcy w Wielkiej Brytanii obserwowali wydarzenia z przerażeniem, hekatomba wielkiego miasta była czymś nieznanym w dziejach nowoczesnych wojen.

Sosnkowski uważał, że szybkie postępy Armii Czerwonej oznaczają nową okupację, w istniejącej sytuacji politycznej należy więc „dążyć do zaoszczędzenia substancji biologicznej narodu w obliczu podwójnej groźby eksterminacji”. Uważał, że „powstanie zbrojne byłoby aktem pozbawionym politycznego sensu, mogącym za sobą pociągnąć

niepotrzebne ofiary”.

Dowództwo AK zignorowało jednak zalecenia Naczelnego Wodza, a Okulicki powiedział wprost, że „to my będziemy się bili, więc my musimy decydować”. Efekty wszyscy znamy, jest natomiast bardzo dziwne, że kolejni po Andersie dowódcy wysokiego szczebla okazali niesubordynację Naczelnemu Wodzowi.

Po wybuchu powstania Sosnkowski kategorycznie zażądał brytyjskiej pomocy, grożąc nawet wycofaniem z frontu polskich wojsk. Niestety, alianci mogli dokonywać zrzutów zaopatrzenia, operując z odległych lotnisk we Włoszech. Straty były wysokie, które powiększał jeszcze zakaz międzylądowania na lotniskach opanowanych przez Armię Czerwoną. Nic dziwnego, że brytyjski dowódca lotnictwa John Slessor pisał w swoich pamiętnikach: „[...] nie jestem z natury mściwy, ale mam nadzieję, że istnieje specjalne piekło przeznaczone dla bydlaków z Kremla, którzy zdradzili armię Bora i doprowadzili do daremnych ofiar”.

Sosnkowski jednak uważał, że alianci uchylają się od pomocy dla walczącej Warszawy, dlatego 1 września 1944 roku wydał rozkaz dla Armii Krajowej, będący właściwie jego manifestem politycznym.

Przypomniał, że Polska pięć lat wcześniej została opuszczona przez sojuszników i samotną walką dała Anglikom osiem miesięcy na przygotowanie się do odparcia nawały Hitlera. A teraz po raz kolejny zdradzono Polaków, a dokładnie mieszkańców płonącej Warszawy.

„Warszawa czeka. Nie na cześć słowa pochwały ani na wyrazy uznania, nie na zapewnienia litości i współczucia. Czeką ona na broń i amunicję. Nie prosi ona, niby ubogi krewny, lecz żąda środków walki, znając zobowiązania i umowy sojusznicze”. A całość zakończył cytatem z „Wesela” Wyspiańskiego: „[...] podłość, kłam Znam, zanadto dobrze znam”.

Ostatnim polskim politykiem przemawiającym w podobny sposób był Józef Piłsudski. Sosnkowski nie musiał długo czekać na dymisję, którą pod naciskiem brytyjskim wręczył mu prezydent Raczkiewicz. Podobno bardzo zabiegał o to premier Mikołajczyk.

Sosnkowski po raz pierwszy i ostatni w życiu zdecydował się na podobną samodzielność. Jeden z polskich dyplomatów zauważył trafnie, że chociaż generał „nie był pozbawiony ogromnych zalet umysłu”, to „zwykle lepiej wiedział, jak nie należy postępować, niż co trzeba zrobić”. Trudno się z tym nie zgodzić, ta opinia wpisuje się w ocenę wystawioną kiedyś przez Piłsudskiego. Generał miał swoje wady, które bez skrupułów obnażył

Mackiewicz, zarzucając mu, że „brak decyzji Sosnkowskiego graniczył z fizyczną

jakąś chorobą woli”. Dlatego zapewne jego kariera polityczna i wojskowa rozwijała się opornie, nie potrafił zdecydować się na bezwzględne działania, zawsze znalazł dla siebie wygodne alibi. Kiedy został Naczelnym Wodzem, nie bez powodu dwaj najważniejsi podwładni okazali mu jawną niesubordynację. I nie spotkały ich za to żadne sankcje.

Nikt nie mógł odmówić Sosnkowskiemu inteligencji, wiedzy czy szerokich zainteresowań. Podczas wojny szukał odprężenia w tłumaczeniach poezji Verlaine’a. Był człowiekiem odważnym, dysponował znacznymi umiejętnościami wojskowymi, a przystępność i serdeczność zjednywały mu stronników „od endeków do socjalistów”. Po śmierci Sikorskiego był jedynym człowiekiem w Londynie mogącym skupić wokół siebie szerokie zaplecze polityczne. Ale Sosnkowski właściwie nie nadawał się do odgrywania pierwszoplanowej roli i wcale do tego nie dążył. Tak jak wielu współpracowników Piłsudskiego był doskonałym graczem drugiego planu, nie bez powodu Marszałek kiedyś postawił na innych.

„[...] jego prezencja była tego rodzaju - pisał złośliwie Mackiewicz - że wszyscy chcieli mu pozostawić reprezentowanie Ojczyzny. W ogóle jego popularność była zupełnie wyjątkowa. Wystarczyło, aby generał Sosnkowski ruszył palcem w jedną lub drugą stronę, aby wszyscy padali na ziemię z zachwytu. Prawdziwy pieszczoch losu! Gdyby polityka polska nie polegała na ratowaniu istnienia narodu, lecz ustawianiu się w jakiś obraz Jana Matejki, to Sosnkowski miał oczywiście wszystkie kwalifikacje, by w takim obrazie zajmować miejsce centralne, jak Witold w »Grunwaldzie« lub Possevin w »Batorym pod Pskowem«. Szkoda tylko, że rzeczywistość polityczna była obrazem żywym i ruchomym”.

Generał z żoną wyjechali do Kanady. Przed opuszczeniem Wielkiej Brytanii zrezygnował z funduszu reprezentacyjnego, a Brytyjczycy wypłacali żołąd nieregularnie. W maju 1947 roku w ogóle skreślili go z listy płac bez żadnej odprawy. Dostawał wprawdzie czasowo symboliczne pobory jako były członek rządu, ale nie była to suma wystarczająca na zaspokojenie niezbędnych potrzeb życiowych. Sosnkowscy postanowili osiąść na wsi, terenów do zagospodarowania w Kanadzie nie brakowało.

„Ostatecznie zdecydowaliśmy się - wspominała żona generała - powrócić na łono natury i zacząć wszystko od początku, tak jak rozpoczynali kiedyś pionierzy. Kupiliśmy w Arundel, 150 mil na północ od Montrealu, łąki i dwa drewniane domy ze stodołą. Zaczęliśmy od farmerki. Sami, bez niczyjej pomocy, wyremontowaliśmy od podstaw oba domy liczące kilkadziesiąt lat, kupiliśmy zwierzęta gospodarskie. Ja odpowiadałam za dwie krowy i około sześćdziesięciu kur, mąż hodował dwanaście świń. Była to w naszych warunkach bardzo ciężka praca, ale zakasaliśmy rękawy, bo nie było wyboru”.

Farmę kupili za resztę oszczędności i kredyt bankowy. Z czasem przeszli na agroturystykę, po remoncie wynajmowali pokoje turystom i wędkarzom. Posiadłość położona była bowiem w malowniczej okolicy nad jeziorem Bevan Lake, łączącym się z następnym zbiornikiem wodnym.

„W ciągu ostatniego lata i jesieni - wspominał Sosnkowski - pracując z łopatą i kilofem od rana do wieczora, wykonałem roboty kanalizacyjne na przestrzeni 900 stóp w gruncie falistym. Chwała Bogu, zdrowie mi jeszcze dopisuje jako tako”.

Miał wówczas sześćdziesiąt trzy lata, przebył niedawno ciężką gripę z powikłaniami i złamanie nogi. Na domiar złego przez cztery lata był w Kanadzie praktycznie internowany, rządy amerykański i brytyjski odmawiały mu wiz wjazdowych.

Sytuację materialną Sosnkowskiego w Kanadzie trafnie podsumował Jan Lechoń, który spotkał go kiedyś w Nowym Jorku. Stwierdził, że skoro generał „pracuje na swej farmie w Kanadzie”, to w „tutejszych stosunkach oznacza, że jest właściwie swoim własnym parobkiem”.

Kazimierz Sosnkowski miał jeszcze odegrać znaczną rolę w życiu politycznym emigracji polskiej. Nie wrócił jednak nigdy do Polski i do końca życia pozostał na obczyźnie. Zmarł na swojej kanadyjskiej farmie w 1969 roku. Dwadzieścia trzy lata później urnę z jego prochami sprowadzono do Polski i złożono w podziemiach archikatedry Świętego Jana Chrzciciela w Warszawie.

Generał na białym koniu

Następcą Sosnkowskiego został dowódca Armii Krajowej generał Tadeusz Bór-Komorowski. Nominacja miała czysto propagandowe znaczenie, Komorowski przebywał w walczącej stolicy i niebawem trafił do niemieckiej niewoli. Po klęsce powstania funkcję wykonywało przejściowo kolegium złożone z prezydenta, ministra obrony narodowej i szefa sztabu, a w lutym 1945 roku na pełniące obowiązki Naczelnego Wodza wyznaczono Władysława Andersa.

II Korpus walczył we Włoszech do końca wojny, zdobył Ankone, a szlak bojowy zakończył bitwą o Bolonię. Dla Polaków Anders stał się symbolem zwycięskiego wodza i ojca żołnierzy; surowym i wymagającym, ale zawsze ojcem.

Generał wywarł decydujący wpływ na podwładnych w sprawie ich powrotu do kraju. Uznanie przez Brytyjczyków rządu komunistycznego i wejście do niego Mikołajczyka poczytał za zdradę.

„Przypuszczam, że każdemu z nas - pisał Anders - w ciągu lat tej wojny snuły się w

myślach chwili jej zakończenia i powrotu do kraju. Różnie sobie wyobrażaliśmy ten dzień. Nieraz w kasynie na froncie stanowiło to ulubiony temat rozmów moich kolegów. Rysowały się wówczas barwne i radosne obrazy powrotu do Kraju. Taki jest zawsze tok myśli żołnierzatułacza na obczyźnie. Po prostu muszę stwierdzić, że odebrano Polakom wielkie dni zakończenia tej wojny”.

Szóstego lipca 1945 roku wydał słynny rozkaz do podległych mu oddziałów, stwierdzając w nim, że sojusznicy zdradzili Polaków i żołnierze nie mogą wrócić do kraju. Ale pozostali w tej ciężkiej chwili „jedyną częścią narodu polskiego, która ma możliwość i obowiązek głośnego wyrażania swej woli”.

Ciekawe światło na stosunek żołnierzy II Korpusu do komunistycznych porządków rzuca ankieta dotycząca chęci powrotu do kraju. Zadeklarowało ją niewiele ponad czternaście tysięcy żołnierzy, w większości byli to ci, którzy później zostali wcieleni w jego szeregi. Z tych, którzy przeżyli pobyt w Rosji i przeszli cały szlak bojowy, zaledwie trzystu dziesięciu zdecydowało się na powrót.

W czerwcu 1946 roku odbyła się słynna parada zwycięstwa w Londynie. Nie zaproszono na nią Polaków, Brytyjczycy ugięli się pod sowieckim dyktatem. Tydzień później w Ankonie odbyło się ślubowanie II Korpusu. Anders w imieniu swoich żołnierzy złożył przysięgę „trwać nadal w walce o wolność Polski bez względu na warunki, w których przyjdzie nam żyć i działać”. Spotkało się to oczywiście z krytyką Brytyjczyków i wywołało oburzenie komunistycznych władz w kraju. Od tej pory Anders stał się wrogiem numer jeden.

Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać, we wrześniu rząd w Warszawie podjął dwie uchwały. W pierwszej pozbawił polskiego obywatelstwa Andersa, a w następnej siedemdziesięciu pięciu oficerów do stopnia majora włącznie. Wśród nich byli generałowie: Stanisław Maczek, Antoni Chruściel („Monter” - jeden z dowódców powstania warszawskiego), Stanisław Kopański (szef sztabu Naczelnego Wodza), czternastu pułkowników, dwudziestu ośmiu podpułkowników i trzydziestu majorów. W 1971 roku rząd Piotra Jaroszewicza dyskretnie przywrócił obywatelstwo żyjącym jeszcze oficerom (uchwały nie podano do publicznej wiadomości). Andersa zmarłego rok wcześniej zrehabilitowano pośmiertnie dopiero po upadku PRL. Na decyzję ekipy Gierka wpłynęła zapewne śmierć zdobywcy Monte Cassino, były dowódca II Korpusu do końca życia był bowiem darzony przez komunistów wyjątkową nienawiścią.

Ciekawostką jest, że Jerzemu Hoffmanowi bardzo zależało na nakręceniu filmu o Monte Cassino. Dostał obietnicę, że otrzyma środki na realizację tego projektu, pod warunkiem że przedtem nakręci film o kościuszkowcach - tak powstało Do krwi ostatniej.

Władze Polski Ludowej obietnicy nie dotrzymały, niewykluczone że dlatego, iż dzieło Hoffmana odbiegało od ich wyobrażeń o zwycięskiej bitwie u boku wschodniego sojusznika.

Władysław Anders zmarł 12 maja 1970 roku. Dzień ten był rocznicą pierwszego ataku na Monte Cassino, a także rozpoczęcia przewrotu majowego i śmierci Piłsudskiego. Ta zbieżność wywołała oczywiście dyskusję na temat roli generała w dziejach Polski, snuto różnego rodzaju porównania i analogie.

W pierwszych latach Polski Ludowej dla wielu Polaków Anders był symbolem wyzwolenia od moskiewskiej zależności. Wizja generała na białym koniu mającego przynieść Polsce wolność stała się jednym z najważniejszych mitów narodowych tamtych lat. W potocznej świadomości przetrwała do dnia dzisiejszego.

W rodzinie generała zachował się przekaz, że źródłem mitu była wnuczka Andersa, Ewa. Podczas okupacji, modląc się wieczorem, prosiła, aby „dziadzius szybko do nas powrócił”, ale koniecznie „na białym koniku”. Nie negując realności tej historii, warto jednak zauważyć, że modlitwa małego dziecka w rodzinnym gronie (w chwili wyjazdu z Polski na stałe Ewa miała cztery lata) miała raczej niewielką moc oddziaływania na społeczeństwo.

Do powstania legendy przyczyniły się zapewne inne czynniki. W tych czasach defiladę zwycięstwa przyjmowano konno, dlatego paradę na placu Czerwonym w Moskwie odbierał marszałek Żuków, a nie Stalin (generalissimus nie potrafił dosiąść wierzchowca). W Polsce zawsze żywa była tradycja kawaleryjska, a Anders był oficerem jazdy. Co najważniejsze, w powszechnej opinii zwycięzcy wodzowie dosiadali białych rumaków. I to wystarczyło, aby pojawił się symbol. Złośliwy jak zwykle Gałczyński napisał w pierwszych latach Polski Ludowej wiersz zatytułowany Śmierć inteligenta. Utwór zaczynał się od słów:

Przeziębiony. Apolityczny.

Nabolały. Nostalgiczny.

Drepce w kółko. Zagląda.

Chciałby. Pragnąłby. Mógłby. Gdyby.

Wzrok przeciera. Patrzy przez szyby.

Biały Koń? Nie, śnieg pada.

Do dzisiaj postać Władysława Andersa jest przez historyków różnie oceniana. Zarzucono mu, że z powodu jego oddziaływania pozostał na Zachodzie niemal cały II Korpus, co przyczyniło się do komunizacji Polski. Spotkałem się z opinią, że wprawdzie większość tych ludzi po powrocie do kraju zostałaby poddana represjom, ale do 1956 roku przetrwałyby połowa. I polski październik miałby zupełnie inny charakter, nie stałby się odnową ustroju komunistycznego.

Prawdopodobnie tak, ale weźmy pod uwagę tę drugą połowę, która została wymordowana w kazamatach UB. Czy ich istnienie nie miało ceny? W życiu nie można kierować się statystyką, liczy się zwykły człowiek i jego losy. Anders już raz wyprowadził ponad sto tysięcy Polaków z Rosji, a swoją decyzją ocalił życie kolejnych kilkudziesięciu tysięcy. Jak wielu naszych rodaków może przypisać sobie podobną zasługę?

ROZDZIAŁ 11

ZAGADKA JÓZEFA HIERONIMA RETINGERA

Szara eminencja polskiej emigracji

Był chyba najbardziej tajemniczą postacią polskiej emigracji, a na pewno najbardziej wpływową. Uważano go za agenta brytyjskiego, oskarżano o szpiegostwo na rzecz Watykanu. Miał pobierać żołąd od Kremla i Waszyngtonu oraz wysługiwać się światowej masonerii. A do tego podobno był jeszcze Żydem i homoseksualistą.

Józef Retinger w pełni zasłużył sobie na tytuł „szarej eminencji”, nigdy nie szukał zaszczytów, pozostawał w cieniu, preferował działanie zza kulis. Oficjalnie był tylko doradcą Sikorskiego, ale gdy wyraził takie życzenie, bez zwłoki przyjmowali go czołowi brytyjscy politycy. W najgorętszych chwilach wojny bez problemu dostawał do dyspozycji samolot z pilotem, a szefowie brytyjskich tajnych służb zawsze znajdowali dla niego czas.

Towarzyszył Sikorskiemu w jego wszystkich podróżach i jako jedyny cywil był w oblężonym Tobruku. Uważano go za „cień” generała, ale od tej reguły zdarzył się jednak zasadniczy wyjątek. Nie asystował Sikorskiemu podczas jego ostatniej podróży, co po katastrofie w Gibraltarze wzbudziło podejrzenia. Był natomiast pierwszym polskim politykiem zaproszonym przez Churchilla na rozmowę po śmierci generała.

Retinger władał wieloma językami i miał setki ustosunkowanych przyjaciół. Uwielbiał smaczną kuchnię, dobry alkohol i tytoń, ale jednocześnie pozostawał abnegatem niezwracającym uwagi na warunki mieszkaniowe, strój czy pieniądze. A gdy po wojnie po raz pierwszy postanowił założyć konto bankowe, zaszokował obsługę londyńskiego oddziału Lloyds'a. Poproszony o referencje podał nazwisko prezesa rady nadzorczej banku - znanego milionera i ministra rządu brytyjskiego.

Chociaż zawsze preferował działania zakulisowe, to na kilka tygodni przed wybuchem powstania warszawskiego pojawił się osobiście w okupowanym kraju. Był najstarszym skoczkiem spadochronowym w dziejach drugiej wojny światowej, miał pięćdziesiąt sześć lat i

wcześniej nie oddał żadnego skoku. Nie zawahał się jednak narazić życia, chociaż do dzisiaj właściwie nie wiadomo, kto i po co go wysłał. Misja Retingera odbywała się poza oficjalnymi strukturami Państwa Podziemnego, w efekcie Armia Krajowa usiłowała wykonać na nim wyrok śmierci. A jedną z prób miało być otrucie węglikiem.

Retinger przeżył, chociaż długo chorował. Po wojnie został jednym z budowniczych zjednoczonej Europy, miał swobodny dostęp do dyplomatów z obu stron Atlantyku. Bywał na spotkaniach w ścisłym gronie w pałacu Buckingham i przy Downing Street, organizował kongres w Hadze w 1948 roku, na którym uchwalono powołanie Rady Europy. Założona przez niego sześć lat później nieformalna grupa Bilderberg do dnia dzisiejszego pozostała jednym z najważniejszych czynników decydujących o losach kontynentu. Na odbywające się raz do roku spotkania zapraszane są najbardziej wpływowe postacie ze świata polityki i biznesu. Od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia pojawiają się na nich czasami również nieliczni przedstawiciele naszego kraju.

Retinger nie dożył zjednoczenia kontynentu. Uważany za współzałożyciela Wspólnoty Europejskiej zapewne z dumą przyjąłby przynależność do niej Polski. Chociaż bowiem często uznawano go za zdrajcę, to pozostał polskim patriotą. Był typem wizjonera patrzącego znacznie dalej niż dziesiątki naszych polityków i wojskowych.

Dla antyglobalistów pozostaje natomiast postacią szczególnie zniechęconą. Uznano go za naczelnego zwolennika zniewolenia Europy, jednego z założycieli światowego związku handlarzy władzą. A prawda jak zwykle nie jest jednoznaczna, w przypadku Retingera trudno zresztą mówić o jednej prawdzie. Ten człowiek miał wiele twarzy, a jego prawdziwego oblicza zapewne nigdy nie uda nam się odsłonić.

Dziwne losy krakowskiego inteligenta

Józef Hieronim Retinger pochodził z rodziny spolszczonych Niemców osiadłych od dwóch stuleci w Krakowie. Urodził się w 1888 roku, jego ojciec był szanowanym adwokatem, a wśród przodków nie brakowało uczonych i przedstawicieli wolnych zawodów. Podobno jako dziecko planował karierę w watykańskiej dyplomacji i rzeczywiście dzięki poparciu hrabiego Władysława Zamoyskiego rozpoczął naukę w rzymskim nowicjacie jezuitów. Kolejnym szczeblem miała być słynna Accademia dei Nobili Ecclesiastici (obecnie Pontifical Ecclesiastical Academy) - szkoła papieskich dyplomatów. Ale Zamoyski, sprawujący nad nim opiekę po śmierci ojca, uznał, że chłopak rokuje wielkie nadzieje i szkoda go na księdza. Jednemu z najbogatszych Polaków, właścicielowi ogromnych dóbr z Kórnikiem na czele, nikt raczej nie odmawiał.

Zamoyski wysłał go do Paryża, gdzie Retinger poznał śmietankę intelektualną i towarzyską miasta. Przy okazji nawiązał wiele znajomości z młodymi, nieznanymi jeszcze szerzej ludźmi, którzy po latach mieli zdobyć wysokie pozycje. Wśród nich byli początkujący artyści, politycy, prawnicy czy biznesmeni. W przyszłości okaże się, że niemal cały europejski high life to bliscy znajomi Retingera. Znał biegle kilka języków, potrafił prowadzić błyskotliwą konwersację, ozdabiając ją ironicznym poczuciem humoru. Uwielbiał dobry alkohol, miał mocną głowę, co zostało mu na wiele lat.

„Pod tym względem trudno z nim było iść w zawody - wspominał Juliusz Sakowski. - Kiedyś po czternastu większych, wypitych wspólnie u »Jędrusia« [zakopiański lokal - S.K.], nazajutrz obudziłem się z żółtaczką; Recio (tak go już wtedy nazywano), choć starszy ode mnie i z pozoru cherlak, poprawił swój rekord następnego dnia i miał okazję do drwin ze mnie”.

Doktorat na Sorbonie obronił w wieku dwudziestu lat, studiował również psychologię w Niemczech. Nie zapominał jednak o rodzinnym Krakowie, przyjaźnił się z miejscową elitą, współpracował z warszawską „Chimerą” Zenona Przesmyckiego. Ze spadku po ojcu założył „Miesięcznik Literacki i Artystyczny”, drukując Leśmiana, Kasprowicza, Makuszyńskiego, Orkana i Staffa. Pojawiały się również przekłady Gide’a i Whitmana oraz korespondencje z Londynu i Paryża. Wspaniale prezentowała się wizualna strona pisma ozdabianego ilustracjami Chełmońskiego, Wyczółkowskiego i Pankiewicza. Środków finansowych starczyło jednak zaledwie na rok, wobec czego Retinger postanowił dalej się kształcić. Wyjechał do Londynu i podjął studia na London School of Economics. Uczelnię tę skończyła większość brytyjskich polityków, Retinger dobrze wiedział, gdzie może nawiązać najlepsze znajomości.

Na oddzielną uwagę zasługuje jego przyjaźń z mało wówczas jeszcze znanym Josephem Conradem. Pisarz uchodził za człowieka wyjątkowo nieufnego, ale Retinger szybko zdobył jego łaski. Conrad odegrał dużą rolę w życiu młodszego kolegi, to prawdopodobnie on zwerbował go na służbę Jego Królewskiej Mości. Niedawno bowiem potwierdzono wreszcie oficjalnie, że Retinger był wpływowym agentem MI6 (SIS), brytyjskiej służby specjalizującej się w wywiadzie zagranicznym. Ale dokumenty dotyczące jego osoby nadal są utajnione, chociaż od jego śmierci minęło już ponad pół wieku.

W chwili wybuchu pierwszej wojny światowej Józef Hieronim przebywał w Krakowie, przedostał się jednak do Francji i już na granicy trafił do aresztu. Jako obywatel austriacki powinien być internowany, ale wystarczyła informacja przesłana do wpływowych przyjaciół i został zwolniony. Ponownie zatrzymano go w Paryżu, ale tym razem zgłosiła się

po niego Misia Sert i dyplomata Philippe Berthelot. Całe towarzystwo udało się na wykwintny obiad, po czym Retinger wyjechał do Londynu.

Meksyk

Nad Tamizę udał się jako wysłannik galicyjskich polityków próbujących zainteresować aliantów sprawą polską. Niewiele osiągnął, ale nawiązał kolejne znajomości. Tym razem były to pierwszoplanowe postacie brytyjskiej sceny politycznej: premier Asquith, minister spraw zagranicznych Balfour i niekoronowany król brytyjskiej prasy Alfred Harmsworth (lord Northcliffe).

„Retinger działał namiętnie - pisał Conrad - ogromne sukcesy osobiste, jakieś polityczne, w gruncie rzeczy większe, niż wydawałoby się możliwe w beznadziejnym położeniu Polski. Uzyskał dla siebie pewien posłuch dzięki świetnemu wywiązywaniu się w ubiegłym miesiącu z zadania nieoficjalnego mediatora między rządem brytyjskim a francuskim. Sytuacja była niezmiernie delikatna...”.

W Londynie przebywał z żoną, ożenił się w Krakowie dwa lata przed wybuchem wojny. Conrad określił panią Retingerową jako „bardzo ładną Polkę”, ale małżeństwo nie przetrwało długo. Józef nawiązał romans z amerykańską dziennikarką Jane Anderson (była również kochanką Conrada, który podobno chciał ją nawet adoptować), co przyspieszyło rozpad związku. Po latach panna Anderson zasłynęła nadawaniem anglojęzycznych audycji z hitlerowskiego Berlina. Retinger miał najdziwniejsze znajomości.

W czasach pierwszej wojny światowej sprawiał wrażenie awanturnika politycznego. Zamieszany był w rozmowy z Austriakami na temat odstąpienia od sojuszu z Niemcami, kontaktował się z ruchem syjonistycznym i popierał egzotyczny wówczas ruch jedności europejskiej. Ale czy właśnie nie w taki sposób działał agent wywiadu?

Zdecydowanie natomiast sprzeciwił się planowi organizacji polskiej armii we Francji. W jej skład mieli wejść głównie jeńcy niemieccy polskiego pochodzenia, co Retinger uznał za wyjątkowo niebezpieczne. Argumentował, że w przypadku dostania się do niewoli, ci ludzie zostaną niezwłocznie rozstrzelani. Zrobił sobie w ten sposób wroga z Romana Dmowskiego i jego zwolenników, lobbujących za projektem, a na domiar złego Retinger popierał jeszcze Legiony Piłsudskiego walczące po przeciwnej stronie frontu. Nic więc dziwnego, że pod koniec wojny został wydalony z Francji. Bez środków do życia udał się do neutralnej Hiszpanii, mając jednak ze sobą list polecający do najważniejszego tamtejszego arystokraty, księcia Alby.

Z braku pieniędzy nie dotarł jednak do Madrytu i w fatalnych warunkach przeżył kilka

tygodni. Do Londynu nie mógł wracać, nie miał też szans na wizę do USA. Skromną zapomogę przesłał mu Conrad i Retinger w Barcelonie trafił jako pasażer trzeciej klasy na statek odpływający do Hawany.

„Statek, znacznie starszy od kapitana - wspominał po latach - rozlatywał się zupełnie. Był za to pięknie pomalowany. Kapitan i jego oficerowie stanowili niezwykłą zbieraninę. Kapitan był malarzem, pierwszy oficer matematykiem, drugi próbował coś pisywać, podobnie jak kiedyś, będąc marynarzem, czynił to Józef Conrad. Wątpię, by na temat nawigacji wiedzieli więcej niż zwykły marynarz. Statek był frachtowcem o nośności trzech tysięcy ton, miał ponadto osiem miejsc dla pasażerów pierwszej klasy. Ja byłem jedynym pasażerem trzeciej. Na pokładzie znajdował się rodzaj wielkiej budy, w istocie obory, w której podróżowało ze trzydzieści krów”.

Dziwnym trafem tą samą jednostką podróżował (oczywiście pierwszą klasą) Luis Morones - wschodząca gwiazda meksykańskiej polityki. Oczywiście Retinger zaprzyjaźnił się z nim, co miało swoje konsekwencje i stawia w dwuznacznym świetle informacje o głodzie i poniewierce brytyjskiego agenta. Cała sprawa wygląda na doskonale zaaranżowaną, a wszelkie problemy na zabiegi uwiarygodniające Retingera w Meksyku. Brytyjski wywiad bardzo interesował się sytuacją w ogarniętym wojną domową kraju, Meksyk miał przecież bogate złoża ropy naftowej.

W Hawanie wspomógł Retingera pewien uczynny Żyd z Krakowa, dzięki któremu dotarł do celu. W stolicy Meksyku pojawił się we właściwym momencie, kolejny przewrót oddał władzę w ręce Alvaro Obregóna. A szefem związków zawodowych został znajomy z podróży do Hawany, Luis Morones. Retinger stał się jego ulubionym doradcą, zakładał pierwszą w Ameryce Łacińskiej federację związków zawodowych, podróżował w imieniu meksykańskiego rządu do Waszyngtonu. A przy okazji zaliczył kilka amerykańskich aresztów.

Nie zapomniał jednak o swoich polskich korzeniach. Kiedy w Meksyku pojawił się Melchior Wańkowicz, zaprosił go na solidny, mocno zakrapiany obiad. A następnie jedną rozmową telefoniczną załatwił pisarzowi spotkanie z ministrem spraw wewnętrznych i opiekę władz.

Z Meksykiem był związany przez kilkanaście lat. Dużo czasu spędzał jednak w Europie, lobbując na rzecz meksykańskich interesów. W praktyce zapewne wypełniał zadania wywiadowcze dla Brytyjczyków, na Wyspach ożenił się zresztą po raz drugi. Tym razem jego wybranką została Stella Morel, córka działacza labourzystowskiego. Małżeństwo oznaczało bliższe kontakty z Partią Pracy, ale związek nie przetrwał długo, Stella zmarła w latach

trzydziestych. Retinger nigdy już na stałe nie związał się z żadną kobietą.

Ostatecznie zlikwidował swoje interesy za Atlantykiem kilka lat przed wybuchem drugiej wojny światowej. Na pożegnalnym bankiecie ówczesny prezydent Cárdenas zauważył, że jest jedynym znanym mu obcokrajowcem, który wyjeżdża z Meksyku równie biedny jak przyjechał. I miał rację, na pieniądze Retinger nigdy nie zwracał uwagi, zawsze był bez grosza, żył na koszt przyjaciół, a zarobione natychmiast wydawał. Nie dbał o ubiór czy mieszkanie, ale duże sumy poświęcał na zakup książek, wszędzie je ze sobą woził. Niemal kosztował go również alkohol. Lubił też dobrą kuchnię i dobry tytoń, z fatalnym skutkiem grywał w brydża (wówczas grano na pieniądze). Ale z karcianych rozrywek najbardziej lubił stawianie pasjansów, co pozostało mu do końca życia.

Przyjaciel generała Sikorskiego

Podróżując regularnie przez Atlantyck, znajdował jednak czas na odwiedziny rodzinnego kraju. Nie były to tylko kurtuazyjne wizyty, towarzysko spotykał się z liderami PPS, bywał w Zakopanem, pijąc wódkę z Karolem Stryjeńskim, załatwiał również ze Stryjeńskim dostawy broni dla marokańskich powstańców. Współpracował nawet z „Wiadomościami Literackimi” Grydzewskiego (pisywał tam pod pseudonimem Jusuf), spotykał się z Lechoniem i Słonimskim i oczywiście odwiedzał słynne półpiętro „Małej Ziemiańskiej”. A co najważniejsze poznał wówczas osobiście generała Sikorskiego, do którego trafił za pośrednictwem profesora Kota.

Panowie przypadli sobie do gustu, chociaż podobno Sikorski nieraz musiał Retingera wykupywać z hotelu lub płacić za jego biesiady. Ale były to dobrze zainwestowane pieniądze.

„Brześć bardzo Retingera poruszył - pisał Karol Popiel. - Jemu to przypisać należy, iż w prasie brytyjskiej, i to nie tylko labourzystowskiej, sprawa ta znalazła właściwe oświetlenie. Od tego czasu jest on bardzo czynny w propagowaniu porozumienia antysanacyjnych kół od PPS do Stronnictwa Narodowego, wskutek czego staje się pewnego rodzaju agentem propagandowym Frontu Morges w Anglii”.

Odwiedzał nawet przebywających na emigracji w Czechosłowacji liderów opozycji, składając im bliżej niesprecyzowane obietnice.

„Lieberman prosi - zanotował Wincenty Witos - by zawiadomić Kota i Rataja, że Retinger to człowiek niepewny, prawie łobuz. Lord Addison, którego chce do Polski sprowadzić, zetknąć z przedstawicielstwami stronnictw opozycyjnych i ze mną, jest starcem bez politycznych wpływów. Sprawę uważa za nędzny humbug”.

Więcej zaufania były premier okazywał do opinii Retingera na temat sytuacji

międzynarodowej. I faktycznie w tych sprawach Recio raczej się nie mylił, posiadał zmysł polityczny, którego brakowało polskim politykom.

„[...] Retinger w liście z Londynu ocenia położenie bardzo pesymistycznie. Relacje jego biorę jednak dość poważnie, gdyż wielokrotnie jego przewidywania się niemal w całości spełniały. Sądzi, że los Polski trzeba uważać za przesądzony. Zachód nam nie pomoże, a Niemcy złupią ze skóry, obojętną rzeczą czy nastąpi to wcześniej, czy później”.

Ponura przepowiednia Retingera miała spełnić się za kilka miesięcy. A niebawem sprawdziły się również jego inne prognozy.

Szara eminencja premiera

Oczywiście Recia nie mogło zabraknąć w Angers. Sprawiał tam dziwne wrażenie, kompletny abnegat odbiegał wyglądem od polskich polityków otaczających Sikorskiego.

„Doktor Józef Retinger - opisywał go pułkownik Leon Mitkiewicz - niezwykle ciekawy pan, wysoce wykształcony i niezwykle inteligentny, z dużą swadą w rozmowach i z ciętym dowcipem, a zarazem niechlujnie ubrany, o postawie prawie pokracznej: chodzi, powłócząc nogami, w wypukłym pincenez na wydatnym nosie, wygłosił niezmiernie ciekawe zdanie. Powiedział on ni mniej, ni więcej, że w ogóle niepotrzebnie rozbudowujemy na obczyźnie nasze siły zbrojne, że generał Sikorski zupełnie zbędnie wkłada w sprawy wojskowe tyle pracy i sił. Sprawy Polski, według doktora Retingera, rozstrzygać się będą na odcinku układów politycznych i na ten odcinek należy już teraz zwrócić największą uwagę”.

Wydaje się, że Retinger horyzontami politycznymi przewyższał wszystkich polskich ministrów razem wziętych z Sikorskim na czele. A może po prostu miał lepszą orientację w meandrach brytyjskiej polityki? Bez wątpienia nie był zwykłym angielskim agentem, raczej można go uznać za przedstawiciela brytyjskiej racji stanu. Doskonale wiedział, że wyspiarze będą popierali polski rząd, do czasu gdy będzie to wygodne dla ich interesów. Dlatego namawiał Sikorskiego do ułożenia stosunków z ZSRR, Wiedział, że to mocarstwo ma dla Londynu bez porównania większe znaczenie niż Polacy.

Największą przysługę oddał premierowi w dniach klęski Francji. Sikorski stał się potrzebny Anglikom, Polacy byli wówczas najważniejszymi sojusznikami Zjednoczonego Królestwa. Za zgodą Churchilla Recio poleciał do Libourne brytyjskim hydroplanem, była to zresztą jego pierwsza podróż lotnicza. Szaleńcom czasami los sprzyja, samolot nie padł więc łupem niemieckich myśliwców. Retinger odnalazł generała i skłonił go do lotu do Londynu na rozmowy z Churchillem. Od tej pory stał się najbardziej zaufanym i najważniejszym doradcą Sikorskiego.

Ale jak zwykle wolał pozostawać w cieniu, gdy na przykład dowiedział się, że pryncypał ma zamiar przyznać mu Virituti Militari, zdecydowanie odmówił. A kiedy Sikorski postanowił go odznaczyć podczas dekoracji grupy oficerów, na skrzyżowaniu wysiadł z samochodu premiera i pieszo wrócił do domu.

Na Wyspach stał się premierowi niezbędny. Sikorski całe życie związany był z Francją i nie orientował się w świecie brytyjskiej polityki. A Recio znał praktycznie wszystkich, wiedział, z kim można załatwić określoną sprawę, do kogo zwrócić się z takim czy innym problemem. Inna rzecz, że Anglicy darzyli go ogromnym zaufaniem.

Był głównym doradcą Sikorskiego podczas rozmów z Sowietami w Londynie i Anthony Eden (szef brytyjskiego MSZ), konsultując się z generałem, zawsze poprosił o obecność Retingera. Recio w negocjacjach z Majskim reprezentował interesy brytyjskie, ale całkowicie zbieżne z polską racją stanu. Tysiące Polaków ocalonych z łagrów i więzień jemu na równi z Sikorskim zawdzięczają życie.

Retinger był również pierwszym przedstawicielem Polski na Kremlu, w Moskwie pojawił się jeszcze przed profesorem Kotem. Sikorski wiedział, że doradca będzie prowadził własną grę i podobno powiedział ze złością do Kota:

„Ostrzegam cię jak najbardziej stanowczo przed tym włóczęgą. [...] Ja nie wiem, dla kogo on pracuje. Ja go tam na swoją odpowiedzialność nie wyślę. Ile on tam i z kim naintryguje, nie mogę przewidzieć”.

Ale jednak wysłał go do Moskwy. Nie miał zresztą większego wyboru, nikt nie chciał lecieć do ZSRR, dla Retingera natomiast była to kolejna przygoda. Zawsze miał skłonność do ryzyka i potrzebował solidnej dawki adrenaliny. Choć Sikorski złości nazywał go „włóczęgą”, to w rzeczywistości nie mógł bez niego obejść.

Doradca premiera przekonał się jednak w Moskwie, że w państwie totalitarnym obowiązują inne standardy uprawiania polityki. O wszystkim decydowała wola Stalina i najważniejszy był dostęp do dyktatora. Ale w zamian nawiązał doskonałe stosunki z Mołotowem, co miało jeszcze okazać się przydatne.

W dziejach Józefa Retingera jako szarej eminencji Sikorskiego zastanawia jedna sprawa. Zawsze towarzyszył generałowi w jego wyprawach zagranicznych, podróżach inspekcyjnych, był nieodłącznym cieniem premiera. Zdarzył się tylko jeden wyjątek, nie poleciał z nim na Bliski Wschód, nie towarzyszył pryncypałowi w jego ostatniej podróży. Przypadek?

Prawdy zapewne nie dowiemy się nigdy, ale wydaje się, wbrew sugestiom historyków i dziennikarzy, że Retinger raczej nie miał nic wspólnego ze śmiercią generała. Wiadomo że

oddał miejsce w samolocie jednemu z oficerów na skutek jego gorących próśb. Człowiek ten od lat chciał wejść w skład delegacji i na ten temat molestował Retingera, który wreszcie ustąpił.

Śmierć Sikorskiego była dla jego doradcy ogromnym ciosem. O tragedii dowiedział się na angielskim lotnisku, gdzie czekał na przylot polskiej delegacji.

„Rankiem 5 lipca - wspominał - oczekiwałem na lotnisku Swindon na samolot, którym generał Sikorski powracał z inspekcji wojsk polskich na Bliskim Wschodzie. Komendant lotniska powiadomił mnie, że samolot rozbił się w Gibraltarze i że generał i jego towarzysze, w tym jego córka Zosia Leśniowska, zginęli. Poprosiłem, by umożliwiono mi powrót samolotem do Londynu, ponieważ chciałem jak najszybciej wyruszyć do Gibraltaru (rzeczywiście odleciałem około piątej rano następnego dnia)”.

Skok do kraju

Był pierwszym Polakiem, którego Churchill po śmierci Sikorskiego zaprosił na rozmowę. Jego czas jako doradcy rządu emigracyjnego dobiegał już jednak końca. Nie potrafił dojść do porozumienia z nowym premierem, uważał Mikołajczyka za marnego polityka.

„Retinger - wspominał Edward Raczyński - nie czuł się dobrze przy Mikołajczyku. Z jego strony brakowało »afektu«, a ze strony nowego premiera chętnego ucha dla sugestii i koncepcji Retingera. Z obu zaś stron brakowało wieloletniej poufałości”.

General Kukieł uważał, że Recio swoją pracę przy Sikorskim traktował jako „przyjacielską pomoc, natomiast z Mikołajczykiem nic go nie łączyło i nie widział w nim męża stanu na miarę generała Sikorskiego”.

Niebawem oficjalnie oświadczył, że rezygnuje z poborów i od tej pory będzie żył jako osoba prywatna. Utrzymanie zapewnić mu miała książka o Sikorskim, którą planował napisać. O Sikorskim jednak nie napisał, ale za to w Stanach Zjednoczonych ukazała się jego książka Conrad i jego współcześni. Na pewno autor nie mógł utrzymać się z tantiem, podobno sprzedawano jeden egzemplarz książki miesięcznie. Ale Retinger zniknął z oczu polskiej kolonii w Londynie.

W styczniu 1944 roku pojawił się jako kapitan Paisley w pobliżu polskiej bazy lotniczej w Brindisi na południu Włoch. W niemal całkowitej izolacji czekał trzy miesiące na przerzut do Polski, nosił brytyjski mundur i nie pokazywał się publicznie. Sam skok ze spadochronem również stanowił pewien problem, nie przeszedł odpowiedniego szkolenia. Nie oddał wcześniej żadnego skoku (!), tłumacząc, że „zapoznał się z problemem teoretycznie”.

Uznał, że jeżeli ma się zabić, to woli to zrobić w kraju.

W Brindisi pojawił się również Marek Celt (Tadeusz Chciuk), cichociemny, który miał skakać razem z Retingerem. Był to doświadczony skoczek, już po jednej misji w Polsce. Panowie przez pewien czas mieszkali razem, czekając na zmianę pogody, a wspomnienia Celta są niezwykle interesujące. O celu wyprawy towarzysza podróży dowiedział się osobiście od Mikołajczyka.

„On wie doskonale - mówił premier - że my na pomoc Wielkiej Brytanii i Stanów w naszych tragicznych zapasach ze Stalinem liczyć już za bardzo nie możemy. Boleję nad tym. Co do Churchilla, zresztą dawno mówił, że się na nim jeszcze kiedyś mocno zawiedziemy. Ale nikt mu nie dawał wiary. Uważa, że należy bezwarunkowo dokładnie i bez ogródek poinformować Kraj o groźnej rzeczywistości, że jeśli będą trwać w dotychczasowej bezsensownej polityce nieprzytomnie antyrosyjskiej i antykomunistycznej, to doprowadzą sami do tego, że Rosja i tylko Rosja będzie urzędowała państwo polskie i tylko komuniści będą mieli w nim coś do powiedzenia. Jeżeli Retingerowi uda się przekonać Podziemie, że trzeba szukać realnych możliwości jakiegoś ułożenia stosunków z Sowietami, bardzo mi tym pomoże”.

Do dnia dzisiejszego właściwie nie wiadomo, kto wysłał Retingera do kraju. Mikołajczyk twierdził, że były doradca sam się do niego zgłosił, „perswadował, argumentował”, aż premier ustąpił. Mikołajczyk podejrzewał, że za sprawą stoi rząd brytyjski, a „co jest bardziej prawdopodobne - Retingerowi udało się przekonać Edena, że jego wyjazd do Polski jest potrzebny”. Podobno chciał „wiedzieć, czy jeszcze da się coś zrobić”.

O misji Recia poinformowano prezydenta, nic natomiast nie powiedziano generałowi Sosnkowskiemu. Naczelnny Wódz dowiedział się o sprawie od własnego wywiadu i uznał, że emisariusz leci z tajną misją od Churchilla i Edena.

„Nie można zapobiec temu drogą awantury - depeszował Naczelnny Wódz do dowódcy Armii Krajowej. - Dlatego zarządziłem obserwację celem zidentyfikowania osób, a gdyby można było bez awantur - celem stwierdzenia, co kurier, czy też kurierzy polityczni, wiozą z sobą... Resztę załatwimy stąd!”.

Tymczasem Retinger czekał. Pogoda nadal nie sprzyjała i pobyt we Włoszech się przedłużał. Obawiając się rozpoznania, zamieszkał w Bari, jak najdalej od polskiej bazy. Dekonspiracja była całkiem realna, w Brindisi służył jego bratanek i jeden z kuzynów. Doradca premiera, blisko sześćdziesięcioletni mężczyzna skaczący do kraju, to musiałyby wzbudzić prawdziwą sensację i zainteresować polski wywiad.

Retinger wypełniał czas we właściwy sobie sposób. Wspólne mieszkanie z Celtem zbliżyło obu panów, cichociemny z fascynacją obserwował współlokatora. Powoli zdawał sobie sprawę, że JHR (jak go nazywał) jest osobą nietuzinkową.

„Przychodził też codziennie do nas ordynans »pana kapitana Paisleya« - wspominał Celt - po kulinarne rozkazy, przynosił - wyczarowane Bóg wie skąd, zamówione przez »kochającego jeść« JHRa lub przez naszą słoweńską gosposię, to ryby, to indyka i frutti di mare, i inne cuda. Ordynans pochodził z Malty, z nim Salamander [pseudonim Retingera - S.K.] rozmawiał po włosku. Radia słuchał różnego - po angielsku, po francusku. Czytał początkowo głównie po niemiecku, bo mieszkanie w Bari »odziedziczyliśmy« po szefie gestapo i była tam spora biblioteka, a w niej nie tylko Mein Kampf. Ale potem Brytyjczycy wyposażyli go w kilkanaście książek w języku angielskim - między innymi Dialogi Platona, którymi się rozkoszował, »zajadał się nimi«, jak mówił. Zdumiewała mnie i urzekała ta »poligloteria« Salamandrowa i ten ogromny wachlarz jego zainteresowań”.

Do Polski wystartowali na początku kwietnia. Podczas podróży na lotnisko i w czasie lotu Retinger miał na twarzy maskę, zachowując incognito. Pogoda podczas zrzutu była idealna. W odróżnieniu od Celta, Recio wylądował szczęśliwie. Ten doświadczony kurier stłukł boleśnie nogę, podczas gdy starszy pan o kiepskiej kondycji nie odniósł żadnych obrażeń!

Przedostali się do Warszawy i tam Retinger znalazł się w swoim żywiole. Ze względu na aparycję nie zwracał na siebie uwagi, niewysoki, „szczupły i jakiś szary w starannie dobranym w Anglii »krajowym« garniturku”. Nie zważając na okupacyjne warunki, zachowywał się w stolicy jak za dawnych lat.

„Zaczęliśmy spotykać się częściej i lepiej - zapisał Stefan Korboński, jeden z wyższych oficerów AK - to jest nie w podziemnych lokalach, ale w przytulnych, półkonspiracyjnych restauracjach. Pokusa była silna, a kompan doskonały. Wydaje mi się, że podczas pobytu Salamandra w Warszawie przeciętna spożycia alkoholu na głowę w stolicy wzrosła o jakieś parę procent. Był to rzeczywiście człowiek bez strachu, ze skłonnością do bawienia się ryzykiem”.

Nic dziwnego, że w jednej ze stołecznych restauracji został rozpoznany przez kelnera, który bez zamówienia postawił przed nim wódkę i wodę mineralną, mówiąc: „Dla pana doktora jak zwykle”.

Retinger faktycznie miał zamiłowanie do brawury. Zaprosił kiedyś na obiad do „czarnorynkowej” restauracji kilku wysokich przedstawicieli podziemia z Delegatem Rządu na czele. Jednocześnie! Oczywiście każdego zapraszał indywidualnie, nie wspominając, że

będą również inni goście. Można sobie wyobrazić szok, jaki ci ludzie przeżyli, gdy spotkali się w jednym miejscu. Było to wbrew podstawowym zasadom konspiracji, ale Salamander jak zwykle miał szczęście. Całe towarzystwo zjadło doskonały obiad i nikomu nic się nie stało.

Retinger obserwował działania Państwa Podziemnego, chciał nawet wziąć udział w jednej z jego akcji. Ale najważniejsze dla niego były spostrzeżenia dotyczące stosunku Polaków do Rosjan. Podobno spotkał się nawet z przedstawicielami komunistów, a w rozmowach z AK nakłaniał do powołania rządu podziemnego z silną reprezentacją lewicy. Miał nadzieję, że to ocali Polskę przed konfrontacją z Armią Czerwoną, obawiał się, że Rosjanie niebawem powołają podporządkowane sobie władze. Ale chyba nawet on nie podejrzewał tragedii powstania warszawskiego, chociaż mógł spodziewać się wszystkiego najgorszego.

Ludzie namawiający do kompromisu często uważani są za zdrajców. Nie ominęło to również Retingera.

„Ja wiem - mówił Celtowi w Warszawie - że zlikwidowania mnie w Polsce domagają się różni ludzie z Londynu, którzy wciąż uważają mnie za agenta angielskiego, a może i sowieckiego i że ja przyleciałem do Polski, aby rozładować podziemie patriotyczne i podporządkować je komunistom. Pan wie, że chcę ich tylko przekonać, że trzeba będzie w przyszłości z komunistami współpracować, bo tu nie przyjdą Anglicy, tylko Rosjanie. Jeśli się z nimi jakoś nie dogadamy, będzie tragedia straszliwa, bo przecież wiemy, kto to Stalin i co to NKWD. I chodzi o to, żeby ludzie się starali ten fakt zrozumieć. A oni chcą mnie zamordować! Za to, że mówię prawdę, że przestrzegam...”.

Na Retingera wydano wyrok śmierci, który w ostatniej chwili został odwołany. Na tym jednak się nie skończyło, wciąż był inwigilowany, a oddział likwidacyjny AK usiłował wtargnąć do lokalu, w którym mieszkał. Ale prawdziwa tragedia miała nadejść.

Salamander miał odlecieć z tymczasowego lądowiska pod Tarnowem. Pojawił się tam, ale jego obstawa z AK spowodowała, że samolot odleciał bez niego. W drodze powrotnej zaaranżowano wywrócenie się bryczki, Retinger wpadł do rzeki. W ten sposób zyskano czas na przeszukanie jego bagaży. Nic tam jednak nie znaleziono.

W tym czasie zapadł już na niego kolejny wyrok śmierci, tym razem prawdopodobnie wydany bezpośrednio w Londynie.

Nieudany zamach

„Zaczęliśmy spotykać się częściej i lepiej - zapisał Stefan Korboński, jeden z wyższych oficerów AK - to jest nie w podziemnych lokalach, ale w przytulnych,

półkonspiracyjnych restauracjach. Pokusa była silna, a kompan doskonały. Wydaje mi się, że podczas pobytu Salamandra w Warszawie przeciętna spożycia alkoholu na głowę w stolicy wzrosła o jakieś parę procent. Był to rzeczywiście człowiek bez strachu, ze skłonnością do bawienia się ryzykiem”.

Nic dziwnego, że w jednej ze stołecznych restauracji został rozpoznany przez kelnera, który bez zamówienia postawił przed nim wódkę i wodę mineralną, mówiąc: „Dla pana doktora jak zwykle”.

Retinger faktycznie miał zamiłowanie do brawury. Zaprosił kiedyś na obiad do „czarnorynkowej” restauracji kilku wysokich przedstawicieli podziemia z Delegatem Rządu na czele. Jednocześnie! Oczywiście każdego zapraszał indywidualnie, nie wspominając, że będą również inni goście. Można sobie wyobrazić szok, jaki ci ludzie przeżyli, gdy spotkali się w jednym miejscu. Było to wbrew podstawowym zasadom konspiracji, ale Salamander jak zwykle miał szczęście. Całe towarzystwo zjadło doskonały obiad i nikomu nic się nie stało.

Retinger obserwował działania Państwa Podziemnego, chciał nawet wziąć udział w jednej z jego akcji. Ale najważniejsze dla niego były spostrzeżenia dotyczące stosunku Polaków do Rosjan. Podobno spotkał się nawet z przedstawicielami komunistów, a w rozmowach z AK nakłaniał do powołania rządu podziemnego z silną reprezentacją lewicy. Miał nadzieję, że to ocali Polskę przed konfrontacją z Armią Czerwoną, obawiał się, że Rosjanie niebawem powołają podporządkowane sobie władze. Ale chyba nawet on nie podejrzewał tragedii powstania warszawskiego, chociaż mógł spodziewać się wszystkiego najgorszego.

Ludzie namawiający do kompromisu często uważani są za zdrajców. Nie ominęło to również Retingera.

„Ja wiem - mówił Celtowi w Warszawie - że zlikwidowania mnie w Polsce domagają się różni ludzie z Londynu, którzy wciąż uważają mnie za agenta angielskiego, a może i sowieckiego i że ja przyleciałem do Polski, aby rozładować podziemie patriotyczne i podporządkować je komunistom. Pan wie, że chcę ich tylko przekonać, że trzeba będzie w przyszłości z komunistami współpracować, bo tu nie przyjdą Anglicy, tylko Rosjanie. Jeśli się z nimi jakoś nie dogadamy, będzie tragedia straszliwa, bo przecież wiemy, kto to Stalin i co to NKWD. I chodzi o to, żeby ludzie się starali ten fakt zrozumieć. A oni chcą mnie zamordować! Za to, że mówię prawdę, że przestrzegam...”.

Na Retingera wydano wyrok śmierci, który w ostatniej chwili został odwołany. Na tym jednak się nie skończyło, wciąż był inwigilowany, a oddział likwidacyjny AK usiłował wtargnąć do lokalu, w którym mieszkał. Ale prawdziwa tragedia miała dopiero nadejść.

Salamander miał odlecieć z tymczasowego lądowiska pod Tarnowem. Pojawił się tam, ale jego obstawa z AK spowodowała, że samolot odleciał bez niego. W drodze powrotnej zaaranżowano wywrócenie się bryczki, Retinger wpadł do rzeki. W ten sposób zyskano czas na przeszukanie jego bagaży. Nic tam jednak nie znaleziono.

W tym czasie zapadł już na niego kolejny wyrok śmierci, tym razem prawdopodobnie wydany bezpośrednio w Londynie.

„Było to w kwietniu 1944 roku - relacjonowała łączniczka AK Izabella Horodecka. - Przyszedł do mojego mieszkania mój szef major »Fischer« (Stefan Ryś) z drugim mężczyzną, którym, jak się później okazało, był pułkownik Kazimierz IranekOsmecki. Pułkownik zapytał mnie, czy zechcę się podjąć zadania polegającego na asystowaniu Józefowi Retingerowi w czasie jego oczekiwania na odlot z kraju samolotem, który przyleci po niego z Brindisi. Moja rola polegać miała na zasypaniu tuż przed odlotem rzeczy w walizce Retingera białym proszkiem, który mi zostanie wręczony, a który zadziała za parę tygodni i spowoduje śmierć Retingera już poza krajem. Jednocześnie poinformowano mnie, że jest to rozkaz samego Naczelnego Wodza generała Kazimierza Sosnkowskiego”.

Według innej relacji łączniczka miała dosypać tajemniczy biały proszek do kanapki, ewentualnie zaprawić nim butelkę z lekarstwem Retingera. Emisariusz został sparaliżowany, ale przeżył.

Czy rzeczywiście wyrok na Retingera osobiście zatwierdził generał Sosnkowski? Jest to wątpliwe, bardziej prawdopodobna wydaje się decyzja na niższym szczeblu, za plecami Naczelnego Wodza. Niewykluczone, że podwładni Sosnkowskiego wzięli inicjatywę w swoje ręce, zdając sobie sprawę, że generał nie może wydać polecenia likwidacji człowieka, z którego zdaniem liczą się najwyższe czynniki brytyjskie. Potwierdza to relacja byłego oficera polskiego wywiadu, który po latach przyznał, że „sposób i okoliczności, w których miał Retinger być zgładzony, budzą niesmak i poczucie wstydu”.

Sparaliżowanego emisariusza leczono w prywatnej klinice, potem, ze względów bezpieczeństwa, przeniesiono go do szpitala dla chorych wenerycznie. Ponieważ nie było poprawy, zapadła decyzja o jego ewakuacji. Odlecieć miał razem z powracającym do Londynu Markiem Celtem. Było to kilka dni przed wybuchem powstania warszawskiego.

Retingera przewieziono do Krakowa, skąd wierny Celt na własnych plecach przetransportował go na lądowisko. Razem z nimi odlatywał do Włoch działacz PPS Tomasz Arciszewski (przyszły premier) i zdobyte przez polski wywiad części rakiety V2.

Na lotnisku w Brindisi czekał już na Retingera jeden z dowódców brytyjskiego wywiadu, generał Colin Gubbins.

„Spotkałem go, bezsilnego kalekę - pisał po latach - na lotnisku w Brindisi i musiałem mu powiedzieć, że musi się on udać do Kairu, gdzie jego premier Mikołajczyk w drodze z Londynu do Moskwy, w celu spotkania ze Stalinem, oczekuje go”.

Ciężko chory Retinger poleciał do Kairu, ale właściwie nie miał nic do powiedzenia Mikołajczykowi. Podobnie zresztą jak Edenowi, który przyjął go po powrocie do Londynu. Polacy w kraju nie zamierzali rozmawiać z komunistami, zapowiadała się kolejna okupacja Polski.

Retinger w Londynie powoli dochodził do siebie, odzyskiwał władzę w kończynach, chociaż nigdy całkowicie nie wyzdrowiał. Oficjalnie utrzymywał, że miał ciężki atak korzonków, trudno byłoby mu zapewne przyznać się, że chcieli go zamordować ludzie, dla których ryzykował życie.

W drodze do zjednoczonej Europy

Nie zapomniał jednak, że jest Polakiem. Bezpośrednio po wojnie starał się o pomoc dla zniszczonego kraju, a dzięki osobistej znajomości ze Staffordem Crippsem (kanclerzem skarbu) mógł wiele osiągnąć. Po raz kolejny przydały się osobiste kontakty, wykorzystał je dla dobra Polski. Władze z Warszawy prosiły o dyskrecję, pomoc z Wielkiej Brytanii poza oficjalnymi kanałami byłaby niemile widziana przez ZSRR.

„Tymczasem kanclerz skarbu - wspominał Retinger po latach - przedstawił wniosek w Parlamencie sankcjonujący wysyłkę. Wniosku tego nie odrzucono i zaczęto wkrótce wysyłać transporty brytyjskich dostaw wartości około czterech milionów funtów. Wszystkie mosty w Polsce stawiane w ciągu pierwszych trzech czy czterech lat po wojnie pochodziły z Wielkiej Brytanii, między innymi most w Toruniu na Wiśle i most w Szczecinie. Przesyłka z odzieżą zawierała około półtora miliona mundurów, w większości nowych, reszta w bardzo dobrym stanie. Poza tym wysłaliśmy około stu pięćdziesięciu ton kuchni polowych i artykułów gospodarstwa domowego. Nie mówiąc o obrabiarkach, o które Polacy szczególnie zabiegali”.

Kilka razy odwiedzał w tym czasie Warszawę. Gdy po raz ostatni opuszczał stolicę, dowiedział się, że jego asystent, wierny Marek Celt, został zatrzymany przez UB. Interweniował osobiście u Bermana i obiecano mu zwolnienie Celta. Ale tak się nie stało, po kilku tygodniach do Londynu dotarła informacja, że Celt nadal przebywa w więzieniu. A telegramy wysyłane do Bermana pozostawały bez odpowiedzi.

„Po skonsultowaniu się z moimi przyjaciółmi w Anglii - opowiadał Recio - wysłałem list do Mołotowa, z którym miałem niezłe stosunki osobiste w Moskwie i później, przedstawiając mu sprawę i prosząc o życzliwą interwencję w Warszawie w sprawie Celta i

innych aresztowanych. Mołotowowi najwyraźniej interwencja się udała i Celta wkrótce po mojej depeszy uwolniono. Polskie władze trzymały go jednak pod nadzorem policyjnym i uniemożliwiały mu powrót do Anglii. Dopiero w dwa lata później udało mu się wraz z żoną i dzieckiem uciec do Austrii”.

Chyba tylko Retinger mógł odważyć się na coś podobnego.

W Polsce zapadała stalinowska noc i Retinger uznał, że w tej sytuacji już nic więcej nie można zrobić dla kraju. Zainteresowania skierował na młodzińcze marzenia, na zjednoczenie demokratycznych państw Europy. Zapewne miał nadzieję, że z czasem komunizm upadnie, a Polska wejdzie do europejskiej rodziny.

Teraz przydały się znajomości Retingera. Zawsze mówił, że uwielbia „kolekcjonować ludzi” i była to prawda. Podczas wojny nie brakowało okazji, na terenie Wielkiej Brytanii przebywali politycy emigracyjni z państw okupowanych przez Hitlera. Szczególnie ważna okazała się znajomość z Belgiem Paulem Henrim Spaakiem, uznawanym obecnie za jednego z ojców założycieli Unii Europejskiej.

Retinger zajął się koordynacją planów, niewykluczone, że był pośrednikiem pomiędzy politykami europejskimi i amerykańskimi. Idealnie się do tego nadawał, on naprawdę znał wszystkich i potrafił w nieformalny sposób trafić do gabinetów najważniejszych postaci światowej polityki.

„A marzeniem moim od lat - mówił jeszcze podczas wojny Celtowi - jest być agentem Europy. Zjednoczona Europa - rozumie pan? W zjednoczonej Europie Polsce będzie łatwiej pomiędzy Rosją i Niemcami. Uzupełniają się więc te dwa moje marzenia: wolna Polska i zjednoczona Europa”.

Już w 1946 roku Retinger został współzałożycielem Niezależnej Ligi Współpracy Ekonomicznej. Następne dwa lata poświęcił na podróże, negocjując i zachęcając przywódców europejskich do integracji kontynentu. Cel osiągnął, na kongresie w Hadze znalazło się kilkunastu byłych premierów i blisko trzydziestu dawnych ministrów spraw zagranicznych (liczba delegatów przekroczyła osiemset).

Do znajomych Retingera zaliczali się najważniejsi gracze na politycznej mapie kontynentu, prywatne kolacje organizowali dla niego książęta Edynburga i Holandii (mężowie królowej brytyjskiej i holenderskiej). Z ich pomocą powołał wreszcie grupę Bilderberg. Zawsze twierdził, że zakulisowe układy są równie ważne jak oficjalne działania, teraz zaczął te poglądy wcielać w czyn. Uznał, że dla utrzymania demokracji potrzebne są cykliczne, nieformalne spotkania najwybitniejszych osobistości świata polityki, gospodarki, kultury z obu stron Atlantyku. Nieformalny charakter obrad umożliwiłby dyskretne

rozwiązywanie problemów, a udział najważniejszych graczy światowej sceny gwarantował skuteczność działania. Osiągnął sukces i w 1954 roku sześćdziesiąt osobistości z całej Europy oraz dwudziestu gości ze Stanów spotkało się w hotelu Hilderberg koło Arnhem w Holandii.

Od tego czasu Grupa Bilderberg spotyka się raz do roku, a zaproszenie na obrady stało się potwierdzeniem znaczenia w międzynarodowym środowisku. Inna sprawa, że nieformalny charakter spotkań prowokował pogłoski o istnieniu tajnego rządu światowego czy wręcz zarzuty o kontynuację idei zakonu iluminatów. Ale gdy prywatnie obradują takie osoby, jak: prezes Banku Światowego, były premier Wielkiej Brytanii, żona Billa Gatesa czy małżonka prezydenta USA, to nietrudno o spiskowe teorie.

Znajomości z najważniejszymi osobistościami demokratycznego świata nie zmieniły Retingera. Nadal bytował w nędznych warunkach, nie zwracał uwagi na pieniądze, strój czy wygody.

„Mieszkał w dzielnicy Westminsteru - wspominał jego sekretarz Jerzy Pomian - na ostatnim piętrze stuletniego dziś budynku. Okolica wydawała mi się szczególnie przygnębiająca, on jednak lubił ją, gdyż przypominała mu Londyn z czasów, gdy go poznawał. Ku memu zdziwieniu drzwi otworzył drobny mężczyzna o twarzy postarzałej małpki, o przenikliwych, trochę kąśliwych, ale i dość przyjaznych, wypukłych, brązowych oczach. Uśmiechnął się szeroko i szczerze, pokazując żółtawe, nierówne zęby. Ciemnawe włosy z przodu trzymały się jako tako, z tyłu byle jak. Miał na sobie workowate spodnie, krawat zawiązany jakby niezależnie od kształtu kołnierzyka i stary serdak. Poruszał się jakby z pewną trudnością, a szuranie nogami znacznie go postarzało. Gdy usiedliśmy w saloniku, zauważyłem, że miał wyjątkowo duże dłonie, o długich palcach. W latach młodości musiały być to ręce stosunkowo silne, mimo to było w nich coś jakby kobiecego. Wyraźnie go dręczyły, stale splatał i rozprostowywał palce. Trudno mu było utrzymać w ręku większą książkę lub nalać kieliszek z pełnej butelki. Były to skutki paraliżu, który poraził go podczas okupacji w Polsce...”.

A najważniejsze osobistości ówczesnej sceny politycznej uważały znajomość z Retingerem za nobilitację. Chętnie się z nim spotykano, goszczono go i płacono za niego rachunki. Do końca życia bowiem nie zwracał uwagi na takie drobiazgi jak pieniądze.

Józef Hieronim Retinger zmarł w 1960 roku. Przyczyną śmierci był nowotwór płuc, możliwe, że powodem schorzenia była próba zabójstwa podczas misji w Polsce. Ale z drugiej strony przez całe życie był namiętym palaczem, a tryb życia prowadził wyjątkowo niezdrowy. Umierając, mógł z dumą obserwować procesy integracyjne na kontynencie, dwa lata wcześniej powołano Europejską Wspólnotę Gospodarczą złożoną z sześciu państw.

Droga do zjednoczonej Europy stała otworem...

ROZDZIAŁ 12

AGENTKA CHURCHILLA

Zbrodnia w Londynie

Późnym wieczorem 15 czerwca 1952 roku w londyńskim hotelu „Shelbourne” zamordowana została Christine Granville, stewardesa ze statku „Winchester Castle”. Zabójcą okazał się znajomy ofiary, Dennis Muldowney, który w holu hotelowym zadał jej dwa śmiertelne ciosy nożem. Morderca bez oporu pozwolił się obezwładnić, a przywieziony do aresztu powtarzał: „zabiłem ją” i „skończmy z tym jak najszybciej”.

Jego ofiara zmarła, nie odzyskując przytomności, i kilka dni później została pochowana na londyńskim cmentarzu Kensal Green. Na nagrobku umieszczono jej prawdziwe nazwisko (Krystyna SkarbekGranville) i wykaz odznaczeń otrzymanych za służbę w angielskim wywiadzie. Prasa zamieszczała artykuły na jej temat, przypomniano, że podczas wojny była jedną z cenniejszych brytyjskiego agentek.

Muldowney był Irlandczykiem, pracował z Krystyną na statku „Rauhine”, gdzie pełnił funkcję przewodniczącego związku zawodowego. Beznadziejnie zakochany narzucał się z uczuciem, prześladował swoją miłością, a gdy odrzuciła jego oświadczyzny, postanowił ją zamordować.

Trzy miesiące później stanął przed sądem, rozprawa była formalnością, trudno jednak nazwać ją procesem w pełnym tego słowa znaczeniu. Było to właściwie śledztwo zakończone wyrokiem śmierci, zresztą jak najbardziej zgodne z angielskim prawem.

„Na tym śledztwie - pisał znajomy ofiary Stanisław CatMackiewicz - Muldowney, który był katolikiem i miał nieposzlakowaną kartę życia za sobą, oświadczył wręcz, że Skarbkównę zabił z powodu miłości do niej i że jest całkowicie winny.

Sędzia był człowiekiem ludzkim, ale znowuż to co zaraz opowiem, odbiega od naszych pojęć o formach wymiaru sprawiedliwości.

- Radzę panu - powiedział na rozprawie śledczej - która odbywała się publicznie - nie przyznać się do winy i zażądać adwokata.

- Nie zrobię tego - zawołał Muldowney - raz jeszcze powtórzę, że zabiłem.

Na to sędzia:

- A w takim razie niech Bóg ma pod opieką duszę twoją.

Formuła powyższa oznacza wydanie wyroku śmierci.

- Będzie ją miał - zawołał znów Muldowney z przekonaniem. I to było wszystko”.

Dennis George Muldowney został powieszony 30 września 1952 roku w więzieniu w Pentonville. Jego ostatnie słowa brzmiały: „zabić, to posiąść na zawsze”.

Zabójstwo byłej funkcjonariuszki dwóch brytyjskich służb i błyskawiczna egzekucja mordercy wywołały zainteresowanie opinii publicznej. Czy Muldowney faktycznie działał sam? Czy też ktoś wykorzystał jego szaleńczą miłość, aby pozbyć się dawnej agentki? I czy Krystyna Skarbek współpracowała tylko z jednym wywiadem? Dzieje tajnych służb notowały już przypadki usuwania niewygodnych osób z wykorzystaniem różnego rodzaju desperatów. „Zaprogramowany” zamachowiec bywa doskonałym narzędziem, nie orientując się zupełnie w sytuacji. Szybka egzekucja ucisza go na zawsze, a inspiratorzy zbrodni pozostają anonimowi.

„Oczywiście - kontynuował Mackiewicz - ani w Polsce, ani w żadnym innym kraju, nad którego wymiarem sprawiedliwości ręce Miłosierdzia są rozpostarte i obowiązuje rozpoznanie pobudek każdego przestępstwa, podobny wyrok i podobny stryczek byłby niemożliwością. Toteż wzbudził on wielkie zdziwienie i poruszenie wśród pomywaczy brudnych naczyń u Lyonsa i w jeszcze wielu innych miejscach, gdzie pracowali polscy sędziowie i adwokaci”.

Mackiewicz mógł ironizować, ale w tych czasach polscy emigranci zarabiali na życie najprostszymi pracami fizycznymi. W ten sam sposób pracowała do końca życia ofiara Muldowneya, hrabianka Krystyna Skarbek. Jedna z najlepszych brytyjskich agentek, ulubienica Winstona Churchilla, piękna kobieta o niebanalnej osobowości.

Młodość hrabianki

Pochodziła ze starego rodu Skarbków pieczętujących się herbem Habdank. Wzmianki o rodzinie notowano już za pierwszych Piastów; przez stulecia Skarbkowie doświadczali różnych kolei losu. Hulaszczy tryb życia ratowały czasem bogate małżeństwa z niżej urodzonymi partnerkami. I tak Kacper Skarbek ożenił się z córką kupca i bankiera Jakuba Fengerera, a wśród jego domowników w Żelazowej Woli znaleźli się rodzice Fryderyka Chopina. Majątek żony nie uratował jednak Kacpra przed problemami - zagrożony przez wierzycieli uciekł za granicę. Podobne skłonności przejawiał jego potomek Jerzy. Niezwykle przystojny miał ogromne powodzenie u kobiet, lubił wesołe życie, aż wreszcie stanął przed widmem bankructwa. Usiłując znaleźć wyjście z sytuacji, ożenił się ze Stefanią Goldfeder z rodziny bogatych żydowskich bankierów. Posag panny młodej miał podobno wynosić milion

rubli srebrem!

Młodszym dzieckiem tej pary była Krystyna, urodzona 1 maja 1908 roku w Warszawie. Początkowo pobierała domową edukację, a w wieku czternastu lat trafiła do Jazłowca, do słynnego zakładu sióstr niepokalanek. Wakacje spędzała w rodzinnym majątku w Trzepnicy i tam poznała człowieka, który miał odegrać w jej życiu ogromną rolę. Był nim nieco młodszy od niej Andrzej Kowerski.

Małżeństwo z posażną panną nie ocaliło finansów ojca Krystyny. Rozrzutny tryb życia spowodował konieczność wyprzedaży kolejnych majątków, a hrabia coraz bardziej zapadał na zdrowiu, aż w 1930 roku zmarł.

Krystyna znalazła w Warszawie posadę, rozpoczęła pracę w salonie Fiata. Chcąc sobie poprawić samopoczucie, wzięła udział w II edycji konkursu Miss Polonia. Dostała się do ścisłego finału, ale nie znalazła w pierwszej trójce. Zwyciężyła Zofia Batycka - ówczesna narzeczona Jana Kiepury. Z jej powodu zresztą nie odbył się następny konkurs, zwyciężczyni odmówiła bowiem zwrotu korony dla najpiękniejszej Polki i wraz z nią wyjechała do Hollywood. Skarbkówna zaś pocieszyła się w Zakopanem tytułem Miss Nart sezonu 1931/1932.

Zagrożona gruźlicą regularnie pojawiała się pod Giewontem. Nauczyła się świetnie jeździć na nartach, a także bez względu na pogodę pokonywać trudne szlaki. W przyszłości okazało się to bardzo przydatne.

Miała już wówczas za sobą pierwsze małżeństwo. Jej wybrańcem (jeszcze za życia ojca) został Karol Gettlich - potomek zamożnych przemysłowców z Pabianic. Związek przetrwał jednak zaledwie kilka miesięcy.

Pod Tatrami poznała drugiego męża, Jerzego Giżyckiego. Starszy o dwadzieścia lat obieżyświat bywał w swoim życiu dyplomatą, podróżnikiem, pisarzem i fotografem. Również i to małżeństwo nie przetrwało długo, a jego oficjalne rozwiązanie nastąpiło w 1946 roku.

Zdrada?

Nie wiemy, kiedy właściwie Krystyna nawiązała współpracę z angielskim wywiadem. Zapewne nastąpiło to w drugiej połowie lat trzydziestych, w tym czasie widywano ją w warszawskich lokalach w towarzystwie Brytyjczyków. Włodzimierz Ledóchowski wspominał, że na początku 1940 roku Skarbkówna przyznała mu się, iż pracowała dla wyspiarzy już od kilku lat. I tutaj dotykamy bardzo delikatnego problemu, to znaczy sprawy patriotyzmu pani Giżyckiej. Polska została oficjalnym sojusznikiem Wielkiej Brytanii dopiero w 1939 roku, wcześniejszej współpracy z angielskim wywiadem nie sposób więc pogodzić z

lojalnością wobec ojczyzny. Krystyna jako polska obywatelka popełniała poważne przestępstwo zagrożone surową karą. W przypadku dekonspiracji nie groził jej wprawdzie pluton egzekucyjny (nie trwała jeszcze wojna, nie pełniła służby w wojsku), ale długotrwałe więzienie było całkowicie realne.

Dlaczego jednak zdecydowała się na taki hazard? Jan Larecki, autor biografii Skarbkówny (emerytowany oficer wywiadu), wysunął przypuszczenia, że Anglicy mogli dysponować materiałami kompromitującymi hrabiankę lub zdecydował motyw finansowy. Nie wykluczył również próby poprawienia samopoczucia nadszarpniętego upadkiem finansowym rodziny i rozpadem pierwszego małżeństwa. Powody wydają się całkiem realne, ale od siebie dodałbym jeszcze jeden. Praca szpiega mogła wydać się Skarbkównie ekscytującą przygodą, odmienić jej dotychczasowe życie. Niecodzienna też była otoczka towarzysząca szpiegowskiej robocie: tajemnice, zagrożenie, pieniądze i elegancki świat.

Dla Anglików była cennym nabytkiem, piękna, inteligentna, z nazwiskiem i kontaktami w najwyższych polskich sferach. A do tego przejawiała umiejętności bardzo przydatne w pracy wywiadowczej.

„Ze sportów uprawia jazdę konną i narciarstwo - opisywał ją reporter »Expressu Porannego« przed wyborami Miss Polonia. - W 1926 roku otrzymała pierwszą nagrodę w wyścigach hippicznych. Wysoka, smukła, brunetka o dużych, pełnych życia oczach i matowej cerze”.

Poza urodą i wdziękiem Krystyna musiała posiadać to „coś” nieuchwytnego, fantastyczną emanację kobiecości powodującą, że mężczyźni tracili dla niej głowę. Zadziwiająca mieszanka uroku, kokieterii, energii, wdzięku i delikatności. A przy okazji ogromna siła woli, magnetyzm i umiejętność dostosowania się do otoczenia. I co najważniejsze, pomimo swojej urody potrafiła wtopić się w tłum, stając się osobą zupełnie anonimową.

Podczas kryzysu monachijskiego, na przełomie września i października 1938 roku przebywała w Cieszynie. Nie był to przypadkowy pobyt, zapewne wypełniała zlecenia dla swoich brytyjskich przełożonych. Mocarstwa oddawały Czechosłowację Hitlerowi, Polska szykowała się do aneksji Zaolzia, wielka polityka rozgrywała się na oczach Krystyny. Musiała dobrze wywiązać się ze swojej misji, bo kariera w brytyjskim wywiadzie stanęła przed nią otworem.

Budapeszt

Przed wybuchem wojny wraz z mężem wyjechała do Kenii, gdzie Giżycki miał

rozpocząć pracę w polskim konsulacie. Chyba właśnie wówczas rozpadło się ich małżeństwo, oderwani od polskiego środowiska nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia. Zresztą niebawem wybuchła wojna i każde z nich poszło własną drogą. Giżycki udał się do Francji, aby wstąpić do polskiej armii, Krystyna natomiast wyjechała do Londynu.

Polskie Siły Zbrojne powstawały u boku Francuzów i ludzie chcący walczyć z Niemcami trafiali nad Sekwanę. Pani Giżycka zaś wybrała Londyn, gdzie urzędowali jej mocodawcy. Przeszła pozytywnie weryfikację i jako brytyjska dziennikarka Christine Giżycka pojawiła się w Budapeszcie.

Był koniec grudnia 1939 roku, na Węgrzech internowano kilkadziesiąt tysięcy Polaków. Kraj był sojusznikiem Hitlera, ale miejscowe władze odnosiły się z ogromną sympatią do naszych rodaków. Nad Dunajem krzyżowały się interesy różnych wywiadów, a brytyjska rezydentura pilnie obserwowała wszelkie wydarzenia.

W Budapeszcie Krystyna spotkała znajomego z dzieciństwa, Andrzeja Kowerskiego. Ten był porucznik wojsk pancernych zajmował się organizacją przerzutu Polaków do Francji. Mimo iż jeszcze przed wojną stracił nogę, służył w armii, a za kampanię wrześniową otrzymał Krzyż Wirtuti Militari. Niebawem stali się z Krystyną nierozłączną parą, Kowerski zakochał się bez pamięci, ona mniej poddawała się uczuciu. Nie był jej wprawdzie obojętny, z oczywistych jednak względów romans swój utrzymywali w tajemnicy.

Partner Skarbkówny sprawiał wrażenie zadowolonego z trwającej wojny. Oderwała go od codziennego życia, dostarczając solidnej porcji adrenaliny, zapominał wówczas o swoim kalectwie, dzięki wojnie zbliżył się też z Krystyną.

„[...] Andrzej Kowerski powiedział mi - opowiadała Skarbkówna - że co dzień błogosławi tę wojnę, która mu pozwoliła wyżywać się, że inaczej musiałby całe życie gdzieś hreczkę siać, byłby zwykłym, ciemnym ziemianinem, co dzieci robi i na wódkę jeździ, jak sprzeda zbiory”.

Pani Giżycka znajdowała się pod pilną obserwacją polskiego wywiadu. Jego funkcjonariusze bez problemu zidentyfikowali mocodawców Krystyny, obawiano się, że jej znajomość z Kowerskim spowoduje dekonspirację polskich struktur. Giżycka nawiązała również kontakty, które wzbudziły czujność obserwatorów.

Na początku lutego 1940 roku Krystyna po raz pierwszy przedostała się do kraju, a jej przewodnikiem był słynny narciarz Jan Marusarz (brat Stanisława). Pomimo potężnych mrozów i śniegów Giżycka bez problemu pokonała zieloną granicę, co dobrze świadczy o jej kondycji fizycznej. Jako Zofia Andrzejewska pojawiła się w Warszawie, odwiedziła chorą matkę oraz spotkała się ze Stefanem Witkowskim, szefem legendarnych Muszkieterów. W

stolicy przebywała pięć tygodni.

To właśnie kontakty z Muszkietierami zainteresowały polski wywiad. Kapitan Stefan Witkowski, ceniony inżynier i wynalazca, stworzył jedną z najbardziej tajemniczych organizacji Polski Podziemnej. Skierowana głównie na działania wywiadowcze w szczytowym okresie liczyła podobno aż ośmiuset członków. I dokonywała rzeczy praktycznie niemożliwych, penetrowała teren III Rzeszy, miała też swoich agentów pod sowiecką okupacją. Oprócz śmiałych akcji szpiegowskich (fotografowanie zakładów przemysłowych, zdobywanie planów nowych rodzajów broni), agenci Witkowskiego jako pierwsi mieli dotrzeć do prawdy o zbrodni katyńskiej. Na trzy lata przed jej oficjalnym ogłoszeniem! Każdy wywiad chciałby mieć podobne sukcesy, ale Witkowski i jego Muszkietierowie nie zamierzali podporządkować się Państwu Podziemnemu ani rządowi emigracyjnemu. Współpracowali bezpośrednio z brytyjskim wywiadem, a Witkowski zręcznie lawirował, odmawiając uznania zależności od Związku Walki Zbrojnej.

Z Muszkietierami Krystyna miała jeszcze nieraz współpracować. W drodze powrotnej nawiązała znajomość, która odegrała znaczną rolę w jej życiu. W Krakowie poznała Włodzimierza Ledóchowskiego, jednego z najaktywniejszych polskich kurierów.

Oczywiście nie pozostał on obojętny na wdzięk Skarbkówny, a wspólna podróż przez góry bardzo ich zbliżyła. Zanim dotarli do Budapesztu, był już zafascynowany swoją towarzyszką.

„Jest jakiś słupek! - wspominał. - Potknęła się o coś na grani. Odkopujemy, to kamień graniczny. Tak, żegnaj Polsko, to Słowacja. I nagłym ruchem przyciągnąłem Krystynę do siebie i pocałowałem ją w usta. Oddała mi pocałunek i namiętnie ustami oczekującymi na ten odruch. Potem wskoczyła obiema nogami na słupek graniczny i wyciągając do mnie rękę, prosiła:

- Jeszcze, jeszcze!”.

Po przybyciu nad Dunaj zatrzymał się w jej mieszkaniu. Akurat przebywał w nim inny wielbiciel Giżyckiej, dziennikarz Jan Radzymiński. Gdy zobaczył towarzysza gospodyni, natychmiast opuścił lokal. Nie miał zresztą złudzeń co do uczuć hrabianki i już wcześniej próbował popełnić samobójstwo. Postanowił utopić się w Dunaju, co wydaje się dość skuteczne, szczególnie gdy skoczy się z mostu. Był tylko jeden problem, trwała ostra zima i rzekę pokrywała gruba warstwa lodu. Zrozpaczony Radzymiński tego nie zauważył i samobójczy skok zakończył się tylko złamaniem nogi. Teraz jednak, opuszczając mieszkanie Skarbkówny, nie omieszkał poinformować o wszystkim Kowerskiego.

Andrzej znał wcześniej rywala, a Ledóchowski zorientował się, że w życiu Krystyny

jest inny mężczyzna. Chociaż spędzili razem noc, sytuacja była daleka od normalizacji.

„Rozumiem niedomówienia Krystyny - bił się z myślami Ledóchowski. - Pozostaje zrobić po prostu to, co każdy mężczyzna zrobiłby na moim miejscu. Andrzej jest moim przyjacielem, cenię go za odwagę i charakter. Nie będę ani przez chwilę rywalizował z kaleką. Przychodzi mi to o tyle łatwiej, że nie jestem sercowo zaangażowany, Krystyna działa na mnie, łączy nas wspólny posmak niesamowitości przeżyć, ale nic ponadto”.

Ale czy na pewno? Ledóchowski, wspominając całą historię, bagatelizował swoje uczucia, sugerując, że to on był obiektem adoracji. Poza zwykłą męską próżnością, która wręcz wylewa się z kart jego pamiętników, zapewne osładzał sobie w ten sposób gorycz porażki. Skarbkównę opisał dość złośliwie, sugerując, że poligamia była jej drugą naturą. Ale zdarzały mu się również chwile szczerości.

„Kosztował mnie ten okres w Budapeszcie niesłuchanie wiele nerwów, świat zniknął mi sprzed oczu, pozostało tylko jedno, dlaczego warto było żyć - Krystyna. Ona, kochanka dwóch mężczyzn, okłamująca każdego z nas, po stokroć pragnąłem wybrnąć z tej sytuacji, oderwać się od tego splotu i nie mogłem, bo stale ta słaba strona woli podszeptowała mi rozwiązanie wygodniejsze: przecież za parę dni idziesz do Polski i będziesz ją miał dla siebie”.

Przez pewien czas żyli w trójkącie, Kowerski był zazdrosny o Ledóchowskiego, ale uważał się za zwycięzcę. Spędzali dużo czasu we trójkę, jeździli razem po mieście, pili wino w miejscowych knajpkach. A Ledóchowskiemu czerwone wino zasłaniało „czerwonym tumanem oczy”.

„Byłem nieprzytomny. Zazdrość ciskała mną. Co noc widziałem ją w objęciach Andrzeja. Byłem zazdrosny o każdy jej gest i uśmiech przeznaczony dla niego, o każde słowo nie do mnie wypowiedziane. Gdy wracałem wieczorem do domu, z zaciśniętymi zębami patrzyłem w niebo i wygrażałem gwiazdom w bezsilnej złości, tym samym gwiazdom, które patrzyły na nasz pierwszy pocałunek”.

Chwilami jednak panowie znajdowali wspólny język. Giżycka wyruszyła z kolejną misją do kraju, a oni pozostali w Budapeszcie. I jak na mężczyzn przystało, bez problemu znaleźli chwilowe zapomnienie.

„Byliśmy z Andrzejem na dworcu - opowiadał Ledóchowski - był i nasz przyjaciel Han. Andrzej cierpi bardzo. Byliśmy tego samego wieczoru w »Palais de Dance«. On, który się nigdy nie upija, urznął się dziś dokładnie. Chce zapomnieć, a ja jestem dziwnie spokojny i czuję, że znów zacznę żyć, że może potrafię znów myśleć obiektywnie. Chciałbym mówić z Andrzejem, chciałbym wszystko z nim wyjaśnić, usunąć te wszystkie fałszywe sytuacje i

myśli, jakie między nami stoją. Andrzej uchyla się jednak wyraźnie. Boję się poruszyć temat, żeby go nie urazić”.

Nie wiemy, kiedy Kowerski przeszedł na służbę brytyjską, ani w jaki sposób to się odbyło. Zapewne powoli wciągał się w szpiegowską robotę i wypełniał coraz więcej zleceń na rzecz angielskiego wywiadu. Ledóchowski wspominał, że wyspiarze okazywali zainteresowanie polskim karabinem przeciwpancernym, znakomitą i nowoczesną bronią używaną w kampanii wrześniowej. Kowerski kontaktował się z nim w tej sprawie, zanim jeszcze kurier poznał Krystynę, co wskazuje, że Giżycka już wówczas wciągała go w robotę dla Anglików.

Latem 1940 roku Krystyna podjęła kolejną, nieudaną wyprawę do kraju. Towarzyszył jej Ledóchowski, ale eskapada zakończyła się na Słowacji. Wpadli w ręce słowackiej policji, w ostatniej chwili udało im się wrzucić do rzeki dokumenty, które mieli przy sobie, w tym kopertę ze zdjęciami Sikorskiego!

„Ta dziewczyna jest niezwykła - opisywał zachowanie Krystyny Ledóchowski. - Widzę teraz, że coś szepcze żandarmom, że o coś ich prosi. Staram się usłyszeć, o co chodzi. Tak, rozumiem, że strzępków rozmowy domyślam się treści. Krystyna wygrywa swoje atuty, korzysta z ciemnej nocy, by pozwolić swoim włosom musnąć twarze żandarmów. Już rozmawiają z nią łagodniej, już jest dla nich kobietą, a nie zbiegiem i szpiegiem”.

Korzystając z nieuwagi policjantów, zbiegli i po kilkudniowym błądzeniu w górach dotarli do Budapesztu. Stracili dokumenty i pieniądze, a Ledóchowski niebawem wyjechał do Syrii, aby zaciągnąć się do Brygady Karpackiej.

Krystyna jeszcze raz przekroczyła zieloną granicę. Tym razem miała pomóc grupie angielskich żołnierzy zbiegłych ze stalagu w Niemczech i ukrywających się w Instytucie Głuchoniemych w Warszawie. Przy okazji zabrała meldunki od Muszkietarów i ostatni raz widziała się z matką. Starsza pani odmówiła wyjazdu z kraju, chociaż groziło jej osadzenie w getcie. Niebawem rzeczywiście tam trafiła, dzieląc los setek tysięcy polskich Żydów.

Tymczasem na Węgrzech sytuacja uległa zmianie. Coraz bliższa współpraca miejscowych władz z hitlerowcami spowodowała, że węgierska policja pilnie obserwowała Giżycką i Kowerskiego. Zostali aresztowani i po wstępnym przesłuchaniu zamierzano ich wydać Niemcom. Ocalenie zawdzięczali wyłącznie przytomności umysłu Krystyny, która ugryzła się w język i zaczęła kaszleć krwią. Wyjaśniła, że choruje na gruźlicę, a wykonane prześwietlenie potwierdziło ślady w płucach (nie bez powodu często odwiedzała Zakopane). Ostatecznie obydwójce zostali zwolnieni, ale wiedzieli, że ich czas nad Dunajem dobiegł końca.

Brytyjczycy niezwłocznie ewakuowali ich do Jugosławii. Kowerski wyjechał jako Andrew Kennedy, osobiście prowadząc jeden z samochodów, Krystyna natomiast przekroczyła granicę w bagażniku pojazdu brytyjskiego ambasadora. Ona również miała już nowe dokumenty wystawione na nazwisko Christine Granville z wyspy Jersey. To uzasadniało jej lepszą znajomość francuskiego niż angielskiego i obcy akcent. A przy okazji odmłodzono ją o siedem lat i tej zmiany Krystyna już nigdy nie skorygowała. Która kobieta chciałaby wyjaśniać podobną pomyłkę?

Pytania bez odpowiedzi

W Belgradzie wzięli udział w akcji brytyjskiego wywiadu mającej na celu obalenie miejscowego regenta, Piotra Karadjordjevicia. Jugosławia skłaniała się do sojuszu z Niemcami, co groziło zdominowaniem Bałkanów przez hitlerowców. Przewrót zakończył się sukcesem, ale spowodował niemal natychmiastową replikę Niemiec.

W kwietniu 1941 roku Wehrmacht wkroczył do Jugosławii; cała kampania trwała zaledwie jedenaście dni. Następnie ofiarą hitlerowców padła Grecja, a Kretę opanował desant spadochronowy.

Akcja Brytyjczyków w Belgradzie okazała się jednak jednym z najbardziej znaczących wydarzeń drugiej wojny światowej. Inwazja na Jugosławię, a potem podbój Grecji zmusił Hitlera do przełożenia terminu napaści na ZSRR. Te kilka tygodni zwłoki zadecydowały być może o losach świata, nie wiadomo, jak potoczyłaby się wojna, gdyby Wehrmacht dotarł do Moskwy przed nastaniem mrozów.

Giżycka i Kowerski zdążyli opuścić Belgrad przed niemiecką inwazją. Odebrali jeszcze ostatnią przesyłkę od Muszkietierów i przez Bułgarię ruszyli na Bliski Wschód. W Stambule spotkali się z mężem Krystyny, udającym się z misją do Budapesztu. Giżycki zorientował się w relacjach łączących żonę z Kowerskim, ale wydawało się, że zaakceptował sytuację. Z czasem jednak miało się okazać, że nie do końca.

Przez Palestynę dotarli do Kairu, gdzie zlokalizowano bliskowschodnią centralę brytyjskiego wywiadu. I tam rozpoczął się najbardziej tajemniczy okres w życiu Krystyny. Właściwie niewiele wiadomo o tym, co robiła przez następne dwa lata spędzone na Bliskim Wschodzie.

Oficjalnie oboje pozostawali w Egipcie bez przydziału. Pobierali brytyjski żołd, Krystyna brylowała w ekskluzywnym klubie sportowym Gezira w Kairze. Jej wielbicielem był kapitan Julian Amery - przyszły brytyjski minister lotnictwa. W pisanych wiele lat po wojnie pamiętnikach poświęcił Krystynie ciepłe wspomnienie, podkreślając jej urok i

kobiecość.

Polski wywiad nadal czujnie obserwował Giżycką i Kowerskiego. W sierpniu 1941 roku pułkownik Józef Matecki meldował:

„[...] Giżycka i Kowerski nadal tu są [w Egipcie - S.K.]. Kowerskiego początkowo zamierzano wykorzystać do działań specjalnych na innym terenie. Mają wyjechać do Londynu, gdzie chyba będą mieli powierzone »specjalne sprawy«. Ponownie proszę o zatrzymanie tu Kowerskiego w obrębie brygady czy ośrodka. Poza tym to bardzo porządny oficer, znajduje się pod niekorzystnymi wpływami pani G. i jest na najlepszej drodze do zupełnego wykołajenia się”.

Interesując się ich kontaktami z Muszkieterami, nie zapomniano jednak o sprawach osobistych. Nowy szef polskiej ekspozytury, pułkownik Walerian Mercik, raportował dwa miesiące później:

„Giżycki po deklaracji żony, iż nic już ich nie łączy, a ona kocha Kowerskiego, odciął się od niej i wyjechał z Kairu. Giżycka i Kowerski stanowią teraz parę”.

Aby było ciekawiej, w Egipcie pojawił się również Ledóchowski. Poważnie ranny podczas kampanii libijskiej (do końca życia miał bezwładną rękę) przechodził w Kairze rekonwalescencję. Ale spotykał się z Krystyną rzadko i zawsze w towarzystwie Kowerskiego. Pan Andrzej najwyraźniej wyznawał zasadę ograniczonego zaufania i dbał o swoje interesy. A może po prostu dobrze znał partnerkę?

W tym czasie w kraju rozgrywał się ostatni akt dramatu Muszkieterów. Witkowski i jego ludzie nie potrafili dojść do porozumienia z AK, ponadto mieli do dzisiaj niewyjaśnione kontakty z przybyłym z Węgier marszałkiem ŚmigłymRydzem.

„Wobec systematycznych prób wyłamywania się - meldował generał Stefan GrotRowecki - prowadzenia dwuznaczonej gry z kontrwywiadem niemieckim, gestapo i wywiadem angielskim [...] usunąłem Tenczyńskiego [pseudonim Witkowskiego - S.K.] ze stanowiska komendanta Muszkieterów, przenosząc go do rezerwy. Rozkazu tego Tenczyński nie wykonał [...]. Zarządziłem rozwiązanie organizacji Muszkieterów [...]. Tenczyńskiego oddałem pod sąd, który skazał go na śmierć. Wyrok zatwierdziłem. W międzyczasie został on zabity na rozkaz niemieckiego szefa kryminalnej policji, z którym Tenczyński miał powiązania na tle afer bandyckołapówkowych”.

GrotRowecki rozmiął się z prawdą, Witkowski został zabity 18 września 1942 roku przez polski oddział likwidacyjny. Jego ludzi niemal natychmiast aresztowało gestapo, prawdopodobnie listę dostarczono z AK. Dla brytyjskiego wywiadu była to ogromna strata, zmieniła się również sytuacja Giżyckiej i Kowerskiego.

Tajemnicą natomiast pozostaje rzekoma dwuletnia bezczynność Krystyny w Egipcie. Angielskie służby nie miały zbyt wielu wyszkolonych i sprawdzonych agentów, raczej zatem nie pozwalały sobie na podobne marnotrawstwo. Z drugiej strony zachowały się informacje, że widywano ją razem z Kowerskim w miastach Palestyny i Syrii. Biorąc pod uwagę ich możliwości finansowe, należy powątpiewać w turystyczny charakter tych eskapad. Bardziej realne jest wypełnianie zadań wywiadowczych, ale czy tylko dla Brytyjczyków?

Zachował się ważny ślad. Krystyna po matce pochodziła z rodziny żydowskiej, co dla ortodoksyjnych Żydów było wystarczającym powodem, aby uznać jej przynależność do narodu izraelskiego. Jan Larecki podał, że Krystynę umieszczono na liście trzynastu słynnych Żydów wyjątkowo zasłużonych dla Izraela. Do tego ekskluzywnego grona zaliczono przywódcę powstania przeciwko Rzymowi Szymona Bar Kochbę, a z nowszej historii Mosze Dajana i Ariela Szarona. W tym towarzystwie znalazł się również słynny szpieg Eli Cohen (powieszony publicznie w latach sześćdziesiątych w Damaszku) i dwie agentki brytyjskiego wywiadu żydowskiego pochodzenia (Węgierka Hannah Szenes i Francuzka Denise Bloch).

Obecność Krystyny w tej grupie musi co najmniej zastanawiać. Żydzi zawsze byli pragmatycznym narodem i nie uhonorowaliby nikogo wyłącznie za pochodzenie. Wydaje się, że Krystyna położyła poważne zasługi dla nieistniejącego jeszcze państwa. Niestety, nie mamy na ten temat żadnych informacji i zapewne nigdy się nie dowiemy, na czym polegała jej misja w Palestynie. Tylko czy wówczas występowała jako agentka brytyjska, czy też jako żydowska patriotka? I czy nie zachodził konflikt interesów? Kilka lat później Palestyna stała się miejscem krwawej wojny Żydów z Anglikami zakończonej powstaniem państwa Izrael. W czasach pobytu tam Giżyckiej Brytyjczycy utrzymywali stan równowagi pomiędzy Żydami i Arabami. A że Palestyna mówiła wówczas po polsku i przebywały tam wtedy dziesiątki tysięcy emigrantów z naszego kraju, Skarbkówna miała ułatwione zadanie.

W tym miejscu po raz kolejny nasuwa się pytanie o lojalność i światopogląd Skarbkówny. Posiadanie dwóch ojczyzn dla europejskich Żydów było sprawą normalną, potrafili łączyć lojalność wobec kraju zamieszkania z miłością do Izraela. Ale w przypadku Krystyny w grę mógł wchodzić wyłącznie wybór pomiędzy Brytyjczykami a Żydami (Polacy nie liczyli się wcale). Czy na pewno, pracując dla Anglików, potrafiła zadowolić miejscowych nacjonalistów? A może była podwójną agentką, co kilka lat później przyczyniło się do jej śmierci? Czy też za wszystkim stał niespokojny duch Krystyny, potrzeba adrenaliny, a może jeszcze zupełnie coś innego?

Francja

W drugiej połowie 1943 roku Brytyjczycy postanowili wykorzystać Skarbkównę w okupowanej Francji. Doskonała znajomość francuskiego była jednym z jej atutów, podobnie jak typ urody. Przeszła intensywne szkolenie obejmujące skoki spadochronowe i kurs radiooperatora, podobnie zresztą jak Andrzej Kowerski, który pomimo braku nogi uzyskał wszelkie potrzebne zaświadczenia lekarskie. Musieli jednak się rozstać, Kowerski został wysłany do Włoch, jego partnerkę zrzucano zaś we Francji.

„Zaczęła mi opowiadać - opisywał powojenną rozmowę CatMackiewicz - jak kiedyś nocą miała być zrzucana na teren nieprzyjacielski, niedaleko granicy szwajcarskiej we Francji. Widzialność była zero i pilot odmówił wyrzucenia jej z samolotu,

- Ale był moim podwładnym, musiał mnie słuchać, kazałam się zrzucić.

Kiedy minęła gęstwinę zaciemnionych chmur, spostrzegła ze strachem, że leci wprost na spiczastą wieżyczkę kościoła. Największym w świecie wysiłkiem potrafiła zmienić nieco kierunek upadku. Obudziła się dopiero o dziesiątej rano na dziedzińcu kościelnym z głową potłuczoną o kamienie. Obok leżał spadochron i nikogo nie było dookoła”.

Było to już po alianckiej inwazji w Normandii, miała ze sobą dokumenty na nazwisko Pauline Armand. Jej zadaniem było zastąpienie aresztowanej przez Niemców kurierki Cecily Lefort (zamordowanej później w Ravensbriick). Tragiczne zakończenie misji było zresztą całkiem prawdopodobne, Brytyjczycy szacowali przeżywalność agentów na pięćdziesiąt procent. Krystyna zapewne знаła statystyki, ale nie zamierzała się nimi przejmować. Działała wśród partyzantów na płaskowyżu Vercors w południowowschodniej Francji. Wiadomo również, że przedzierała się do Włoch, utrzymując kontakty z miejscowym ruchem oporu. I z opresji zawsze wychodziła obronną ręką. Ale gestapo zbierało o niej informacje i niebawem wyznaczono nagrodę za jej głowę.

„Trzeba na terenie nieprzyjacielskim - opowiadała Skarbkówna Mackiewiczowi - być ubraną w ten sposób, aby nie zwracać na siebie najmniejszej uwagi. Wystarczy przypiąć kwiatek, aby już ktoś mógł powiedzieć »Ta z kwiatkiem«.

Nie powiedziałem, lecz uprzejmie w tej chwili pomyślałem, że Skarbkówna jest tak ładna, że przez to samo już mogła zwracać na siebie uwagę.

- A rewolwer miała pani przy sobie?

- Ale skądże znowu. Rewolwerem można obronić się co najwyżej od jednego człowieka, granatem ręcznym przed pięcioma lub nawet dziesięcioma. Miałam zawsze granaty ręczne”.

Krystyna brała udział w akcjach zbrojnych francuskiego ruchu oporu, ale największą

sławę przyniosło jej uwolnienie z rąk Niemców trzech oficerów brytyjskiego wywiadu.

Jednym z aresztowanych był szef angielskiej siatki, przełożony Skarbkówny. Krystyna skontaktowała się z oficerem łącznikowym niemieckiej policji, przedstawiając się jako żona szefa i siostrzenica marszałka Montgomery'ego (dowódcy brytyjskich sił lądowych we Francji). Zaoferowała dwa miliony franków łapówki i bezpieczeństwo w przypadku oddania się do niewoli. A w zamian zażądała uwolnienia jeńców.

Negocjacje trwały dwa dni, pieniądze zostały błyskawicznie przerzucone z Algieru, a zatrzymani oficerowie zwolnieni. Zapewne wpływ na decyzję Niemca miała również świadomość, że alianci dokonali desantu w południowej Francji i szybko posuwają się na północ.

Krystyna wraz z uwolnionymi opuściła miasteczko podstawionym samochodem, a Amerykanie faktycznie wkroczyli tam kilka godzin później. Nie zmienia to jednak oceny wyczynu Skarbkówny, ryzykowała wiele i osiągnęła wielki sukces.

Postępy wojsk sprzymierzonych we Francji oznaczały koniec jej misji. Wróciła do Londynu i wdała się w romans z Johnem Roperem, oficerem wywiadu poznanym na Bliskim Wschodzie. Podobno mieli razem lecieć do Włoch, aby odzyskać kilka stron osobistego dziennika Galeazzo Ciano, znanego nam już ministra spraw zagranicznych Italii. Ciano już wówczas nie żył, rozstrzelany za zdradę wobec Mussoliniego, ale jego dziennik stanowił realną groźbę dla brytyjskich polityków. Włoski minister opisywał w nim szczegóły rokowań zakończonych oddaniem Czechosłowacji Hitlerowi, a także różnego rodzaju harce dyplomatyczne poprzedzające wybuch wojny. Podobno zanotował również niemieckie plany dotyczące osoby Edwarda VIII, byłego króla Anglii (abdykował, aby poślubić Wallis Simpson), przejawiającego dużą sympatię do nazizmu.

Nie wiadomo, czy Krystyna otrzymała tę misję i czy w ogóle taka wyprawa się odbyła. Ale rzeczywiście najistotniejsze kartki z dziennika Ciano zniknęły, jego późniejsze wydania ich nie zawierają.

Krystyna wielokrotnie starała się o zrzut do okupowanej Polski, dostała nawet przydział, ale w grudniu 1944 roku wycofano ją z ekspedycji. W tym czasie miała problemy osobiste, po romansie z Roperem jej związek z Kowerskim przeżywał kryzys. Andrzej wyjechał do Niemiec, a Krystyna przebywała w Londynie.

Powojenne rozczarowanie

„[Wielka Brytania] jest krajem - pisał generał Mieczysław Słowikowski - który swym obywatelom rewanżuje się sowicie za spełnienie względem niego określonych obowiązków,

zaś cudzoziemiec, który z narażeniem życia odda temu krajowi ogromne i istotne usługi, otrzymuje jedynie mniej lub bardziej prestiżowe odznaczenia, ale nic poza tym!!!”.

Generał miał rację, osobiście zresztą usłyszał od jednego z angielskich oficerów, że gdyby był Brytyjczykiem, to za to, co zrobił, „do końca życia nie potrzebowałby już pracować”. Niestety, Krystyna była Polką i spotkał ją los większości naszych wojskowych, którzy pozostali na emigracji. Nie tylko zresztą żołnierzy i oficerów, w identycznej sytuacji znaleźli się uchodźcy cywilni. A po cofnięciu uznania przez Brytyjczyków dla rządu emigracyjnego podobne problemy mieli polscy politycy. Stanisław CatMackiewicz opisał spotkanie angielskiego ambasadora z ministrem Zaleskim:

„Tenże ambasador złożył pożegnalną wizytę Augustowi Zaleskiemu, którego znał jeszcze wtedy, kiedy Zaleski odgrywał w Genewie poważniejszą rolę w Lidze Narodów. Powiedział:

- I tak to wszystko się skończyło.

Zaleski kiwnął głową.

Potem Anglik wtrącił bardzo taktownie:

- Znam rodzinę na wsi, która by chętnie przyjęła polską służbę.

Wtedy Zaleski odpowiedział:

- No, to ja mógłbym być tylko piwnicznym, bo na stajennego i dojeżdżacza jestem już za stary”.

To nie żart, nasi rodacy bez względu na wiek, wykształcenie i zasługi starali się o najprostsze zajęcia. Fizycznie pracowali nawet zasłużeni wyżsi oficerowie, generał Maczek był sprzedawcą, potem barmanem w londyńskich hotelach, a generał Sosabowski magazynierem.

Krystyna wykorzystała demobilizację na załatwienie spraw osobistych. Razem z Kowerskim pojawiła się w Berlinie, gdzie uzyskała rozwód. W listopadzie 1946 roku dostała brytyjski paszport, ale z adnotacją o naturalizacji, co oznaczało ograniczenia w dostępie do pracy. Nie miała jednak specjalnego wyboru, praktycznie była bez zawodu, a w czasach pokojowych jej umiejętności były raczej nieprzydatne. Pracowała jako pokojówka, kelnerka i sprzedawczyni. O powrocie do kraju nie myślała, wiedziała, jaki los czekał tam byłą agentkę brytyjskiego wywiadu.

Chociaż podobno była ulubienicą Churchilla, nie została nawet specjalnie uhonorowana za wojenne zasługi. Dostała dwa przeciętne odznaczenia brytyjskie. Ładniej zachowali się Francuzi, przyznając jej Krzyż Wojenny ze Srebrną Gwiazdą. Ale to nie mogło rozwiązać jej problemów życiowych, tym bardziej że zwalniana ze służby dostała tylko

dwumiesięczną odprawę.

„[...] zdziwiło mnie - pisał Mackiewicz - że ta angielska nadbohaterka po wojnie, dla chleba, musiała pracować jako kelnerka w skromnej polskiej kawiarence »Marysieńka«, należącej do pani Wierzbiańskiej. Chodziła wieczorami do klubu, do którego uczęszczali bohaterowie wojenni: lotnicy o nieprawdopodobnych wyczynach, dywersanci, znakomici szpiedzy - wszystko to było bez posad i na wpół głodne. Żyło rozmowami o wspomnieniach”.

Poszukując stabilizacji, trafiła nawet do Kenii, gdzie pracowała jako sprzątaczką, przebywała również na Cyprze i we Francji. Wreszcie znalazła zatrudnienie jako stewardesa na statku „Rauhine”, gdzie poznała swojego przyszłego mordercę.

W tym czasie miała roczny romans z Ianem Flemingiem, oficerem wywiadu i przyszłym twórcą cyklu powieści o Jamesie Bondzie. Fleming utrzymywał znajomość w tajemnicy przed narzeczoną (późniejszą żoną), ale Krystyna wywarła na nim duże wrażenie. Na niej właśnie wzorował główną postać kobiecą w debiutanckiej powieści *Casino Royale*. Czytając powieść czy oglądając jej ekranizację (z Danielem Craigiem jako Bondem), warto pamiętać, że Vesper Lynd to właśnie Krystyna Skarbak.

Po zerwaniu z Flemingiem zamierzała na stałe zamieszkać z Kowerskim i przygotowywała się już do wyjazdu. Na pewno unikała Muldowneya, który zwolnił się z pracy na „Rauhine” i zatrudnił w jednym z londyńskich klubów. Skarbkówna złożyła zresztą na niego doniesienie na policję.

Ostatni wieczór spędziła w towarzystwie CataMackiewicza.

„Dość niedługo potem odprowadzałem ją z tejże »Marysieńki«, w której niedawno była kelnerką, do jej mieszkania w hoteliku należącym do Polskiego Czerwonego Krzyża na rogu ulicy Crommwell Road. Na pożegnanie przed wejściem do hoteliku pocałowałem ją w rękę.

- Może pan zajdzie do mnie? - spytała.

Miałem wielką ochotę, ale zapytałem się, tak jak człowiek zawsze mówi w takich okolicznościach: - Boję się, że pani jest bardzo zmęczona.

Nie nastawała. Wobec tego poszedłem sobie do domu”.

Kilka minut później Muldowney zadał jej śmiertelne ciosy nożem.

Wierny Andrzej Kowerski zmarł w 1988 roku. Do śmierci przechowywał pamiątki po Krystynie, a w ostatniej woli polecił skremować swoje ciało i prochy złożyć do jej grobu. Życzenie zostało uszanowane, spoczął u boku ukochanej kobiety. Wspólna mogiła na zawsze połączyła dwoje ludzi, dla których wojna była najpiękniejszym okresem w życiu.

Zakończenie

Dwudziestego ósmego czerwca 1945 roku powołano w Warszawie Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej. W jego skład wszedł dotychczasowy premier emigracyjnego gabinetu, Stanisław Mikołajczyk, była to ostatnia próba porozumienia z komunistami. Udział polityków z Londynu był wystarczającym powodem do zaakceptowania gabinetu przez zachodnie demokracje, jako pierwsza uznała go Francja, a kilka dni później USA i Wielka Brytania. Oznaczało to koniec legalnych władz Rzeczypospolitej na emigracji, niebawem ostatecznie zdemobilizowano Polskie Siły Zbrojne.

Do Polski wraz z Mikołajczykiem powrócił profesor Kot. Został nawet polskim ambasadorem w Rzymie, sukcesorem tradycji Wieniawy-Długoszowskiego. Ale nie wytrzymał długo w nowej rzeczywistości, ostatecznie osiedlił się na emigracji, schodząc ze sceny politycznej.

Prezydent Raczkiewicz zmarł na białaczkę w 1947 roku, a jego miejsce zajął August Zaleski. Po upływie kadencji odmówił rezygnacji ze stanowiska, co wywołało ostry kryzys polityczny. Na niewiele przydały się zabiegi przybyłego z Kanady generała Sosnkowskiego, doszło do podziału polskiego środowiska. Powołano Radę Trzech (w której skład wszedł Władysław Anders) jako kolegiąlną głowę państwa, a jednocześnie Zaleski, uznawany przez część polskich uchodźców, dalej sprawował urząd prezydenta. Do zjednoczenia emigracji doszło dopiero po jego śmierci w 1972 roku.

Ale polscy uchodźcy to nie tylko politycy, na Zachodzie pozostały setki tysięcy Polaków. Ich losy zasługują na oddzielną książkę, którą planuję w przyszłości. Znajdzie się w niej miejsce dla naszych emigracyjnych polityków kultywujących aż do 1990 roku tradycję Drugiej Rzeczypospolitej, dla ognisk polskiej kultury rozsianych po świecie. Pojawią się wyjątkowe nazwiska z Jerzym Giedroyciem, Janem Nowakiem-Jeziorańskim czy Marianem Hemarem na czele. Działalność Radia Wolna Europa, sekcji polskiej BBC, Głosu Ameryki, Instytutu Literackiego w MaisonsLaffitte. Losy Polaków rozsianych po świecie, czasami robiących karierę w najdalszych zakątkach kuli ziemskiej, takich jak Andrzej Chciuk (brat Marka Celta) i Gwidon Borucki (pierwszy mąż Renaty Anders), których los rzucił aż do Australii. W książce nie zabraknie również późniejszych emigrantów zza żelaznej kurtyny: Czesława Miłosza, Marka Hłaski czy Zbigniewa Herberta.

Innym tematem, którym mam nadzieję niebawem się zająć, będą losy naszych elit pod niemiecką i sowiecką okupacją. Choć napisano wiele książek na ten temat, mam wrażenie, że obraz życia prywatnego właściwie nie został nakreślony. Jak zwykle w naszej historii

autorzy koncentrowali się na martyrologii, a obok biegło zwyczajne ludzkie życie, z jego blaskami i cieniami. Niektórym naszym gwiazdom zarzucano kolaborację, innym zdradę, a wyroki często ferowali ludzie, którzy nigdy nie znaleźli się w podobnej sytuacji. Wielu naszych rodaków chciało żyć, utrzymać rodziny, wykonywać zawód, do którego zostali przygotowani. Ważną rolę odgrywał również zwykły ludzki strach o siebie i o najbliższych. Mam nadzieję, że będę potrafił przedstawić te sprawy spokojnie, bez epatowania sensacją, a jednocześnie w sposób ciekawy i przystępny dla czytelników.

Bibliografia

Adamczyk A., Generał Sławoj Felicjan Składkowski (1885-1962). Zarys biografii politycznej, Warszawa 2005.

Adamczyk A., Kobiety w życiu Sławoja Składkowskiego w: Niebem i sercem okryta. Studia historyczne dedykowane dr Jolancie Malinowskiej, Toruń 2002.

Adamczyk M. Gmitruk J. [red.], Sprawcy klęski wrześniowej przed sądem historii, Warszawa 2005.

Anders W., Bez ostatniego rozdziału, Lublin 1992.

AndersNowakowska A., Mój ojciec generał Anders, Warszawa 2011.

Arct B., Alarm w Saint Omer, Warszawa 1971.

Arct, B. Pamiętnik pilota, Radom 2002.

Arct B., Powietrze pełne śmiechu, Łódź 1973.

Babiński S. [red.], Kazimierz Sosnkowski: Myśl - praca - walka. Przyczynki do monografii oraz uzupełnienia do Materiałów Historycznych Kazimierza Sosnkowskiego, Londyn 1988.

Babiński W., Prezydent Raczkiewicz. Wspomnienie, „Zeszyty Historyczne”, z. 47, Paryż 1979.

Baliszewski D., Dziesięć minut Andersa, „Wprost” 21/2004.

Baliszewski D., Historia nadzwyczajna, Wrocław 2009.

Baliszewski D., Polska femme fatale” Wprost” 51-52/2006.

Baliszewski D., Misja Salamandra, „Wprost” 28/2004.

Baliszewski D., Obozy Sikorskiego, „Wprost” 12/2008.

Baliszewski D., Trzecia strona medalu, Wrocław 2010.

432 Polskie piekielko. Obrazy z życia elit emigracyjnych.

Beau vois Y., Stosunki polskofrancuskie w czasie wojny, Kraków

Beck J., Kiedy byłem ekscelemcją. Warszawa 1994.

Beck J., Pamiętniki Józefa Becka, Warszawa 1955.

Beck J., Ostatni raport, Warszawa 1987.

Berling Z., Wspomnienia. Z łagrów do Andersa, Warszawa 1990.

Bobkowski A., Szkice piórkiem, Paryż 1957.

Broniarek Z., Dlaczego Anders na białym koniu, „Biznes Trendy” 7/2007.
<http://biznestrendy.infor.pl/felieton/dlaczego-%E2%80%9Eandernabialymkoniu%E2%80%9D.html>

- Budzyński W., Miasto Schulza, Warszawa 2005.
- Celt M., Z Retingerem do Warszawy i z powrotem. Raport podziemia 1944, Łomianki 2006.
- CholewaSelo A., Muza i Jutrzenka. Wywiad z Ireną Anders, <http://www.mojawyspa.co.uk/modules.php?name=News&file=article&sid=13147>
- Cichoracki P., Droga ku anatemie. Waclaw KostekBiernacki 1884-1957, Warszawa 2009.
- Ciechanowiecki J., Józef Retinger (1888-1957) w świetle raportów brytyjskiego wywiadu z lat 1913-1941, „Zeszyty Historyczne” 1982.
- Czapski J., Na nieludzkiej ziemi, Warszawa 1990.
- Czerkawski T., Byłem żołnierzem generała Andersa, Warszawa 2007.
- Dąbrowska M’Dzienniki, t. 2, 1933-1945, Warszawa 1988.
- Dobroniak P., Wyspa Węzów - rysa w życiorysie Sikorskiego, <http://wolnemedi.net/historia/wyspawezow-%E2%80%93-rysawzyciorysiesikorskiego/>
- Drohojowski J., Jana Drohojowskiego wspomnienia dyplomatyczne, Kraków 1972.
- Drozdowski M.M., Eugeniusz Kwiatkowski. Człowiek i dzieło, Kraków
- Drue M., Swoją drogą, Londyn 1994. Drymmer W., W służbie Polsce, Warszawa 1988.
- Drzewieniecki W., Angielski szlif Wspomnienia oficera sztabu II Korpusu, Toruń 2001.
- Dworzyński W., Wieniawa. Poeta, żołnierz, dyplomata. Warszawa 1991.
- 1989.
- 1993.
- Bibliografia
- 433
- Falkowski M., Waclaw KostekBiernacki, www.polskieradio.pl/39/247/Artykuł/171496,WaclawKostekBiernacki
- Frassati L., Przeznaczenie nie omija Warszawy, Warszawa 2003.
- Fusek W., Przez piaski pustyni, Wrocław 1988.
- Garlicki A., Józef Klemens Piłsudski 1867-1935, Warszawa 1988.
- Gawroński J., Dyplomatyczne wagary, Warszawa 1965.
- Gmitruk J., Hemmerling Z., Sałkowski J., W kraju i na emigracji. Materiały z londyńskiego archiwum ministra profesora Stanisława Kota 1939-1943, Warszawa 1989.
- Gostkowska B., Tola, muszkieter z dywizjonu 303, Warszawa 2007.
- Hemar M. [red], Generał Anders. Życie i chwała, Londyn 1997.

IranekOsmecki K., Powołanie i przeznaczenie. Wspomnienia oficera Komendy Głównej AK 1940-1944, Warszawa 1998.

Iwaszkiewicz J., Dzienniki 1911-1955, Warszawa 2007.

Iwaszkiewicz J., Książka moich wspomnień, Warszawa 1994.

Jedlicka W., Toporowski M., [red], Wspomnienia o Julianie Tuwimie, Warszawa 1963.

Józef Retinger. Salamander (1888-1960) <http://niniwa2.cba.pl/jozefretinger.htm>

Kalicki K., Retinger, gracz, który budował Europę, „Gazeta Wyborcza” 20.09.2010.

Karolevitz R., Fenn S”Dług honorowy, Warszawa 2005.

Kazimierza Sosnkowskiego listy do rodziny z lat 1915-1918, „Przegląd HistorycznoWojskowy” 5/2008.

Kądziela P., Międzyrzecki A. [red], Wspomnienia o Antonim Słonimskim, Warszawa 1996.

Kisielewski W., Z Torunia do Londynu. Podróż z przygodami, Warszawa 1958.

Kopański S., Wspomnienia wojenne, Londyn 1972.

Koper S., Afery i skandale II Rzeczypospolitej, Warszawa 2011.

Koper S., Życie prywatne elit II Rzeczypospolitej, Warszawa 2009.

Koper S., Życie prywatne elit artystycznych II Rzeczypospolitej, Warszawa 2010.

KostekBiernacki. Diabeł z Berezy?

www.osen.pl/otoczenie/832-kostekbiernackidiabelzberezy.html

434 Polskie piekielko. Obrazy z życia elit emigracyjnych...

Kot S., Wspomnienia z początkowego okresu II wojny światowej, „Przegląd Polonijny” 2/1981

Król W., Mój Spitfire WXL, Warszawa 1960.

Król W., Walczyłem pod niebem Francji, Warszawa 1978.

Król S., Walczyłem pod niebem Londynu, Warszawa 1982.

Król W, W dywizjonie poznańskim, Warszawa 1968.

Krukowski K., Z Melpomeną na emigracji, Warszawa 1987.

Krzywicka I., Wyznania gorszycielki, Warszawa 1992.

Kukieł M., Generał Sikorski: żołnierz i mąż stanu Polski walczącej, Londyn 1995.

Kukieł M., Historia w służbie terażniejszości i inne pisma emigracyjne, Warszawa 1994.

Kumaniecka J., Saga rodu Słonimskich, Warszawa 2003.

Kunert A. [red.]. Generałowie polscy w opinii J. Piłsudskiego, „Wojskowy Przegląd

Historyczny” 1/1966.

Kusiak F., Życie codzienne oficerów IIRP, Warszawa 1992.

Kwiatkowski E., W takim żyliśmy świecie. Sylwetki polityków, Kraków 1990.

Larecki J., Krystyna Skarbek. Agentka o wielu twarzach. Warszawa 2008.

Lechoń J., Dzienniki, t. 1-3, Warszawa 1992-1993.

Lechoń J., Portrety ludzi i zdarzeń. Warszawa 1999.

Ledóchowski W., Pamiętnik pozostawiony w Ankarze, Warszawa 1990.

Leski K., Życie niewłaściwie urozmaicone. Wspomnienia oficera wywiadu i kontrwywiadu AK, Warszawa 1989.

Mackiewicz S. (Cat), Historia Polski od 11 listopada 1918 roku do 5 lipca 1945 roku, Warszawa 1991.

Mackiewicz S. (Cat), Kto mnie wołał, czego chciał, Warszawa 1972.

Mackiewicz S. (Cat), Lata nadziei, Warszawa 1990.

Mackiewicz S. (Cat), Zielone oczy, Warszawa 1987.

Maczek S., Odpowody do czołga. Wspomnienia wojenne 1918-1945, Wrocław 1990.

Majchrowski J., Ulubieniec Cezara, Wrocław 1990.

MalinowskiPobóg W., Najnowsza historia Polski 1864-1945, t. 2-3, Londyn 1956-1960.

Bibliografia

435

Masson M”Wojna moja miłość. Krystyna Skarbek - ulubiona agentka Churchilla, Warszawa 2007.

McGilvary E., Polski rząd na uchodźstwie, Warszawa 2011.

Meissner J., L jak Lucy, Kraków 1994.

Meissner J., Wspomnienia pilota. Wiatr w podszwach, Kraków 1985.

Meissner J., Wspomnienia pilota. Pióro ze skrzydeł, Kraków 1985.

Meissner J., Żądło Genowefy, Kraków 1994.

Mękarski S. Zapiski z Rothesay 1940-1942, Londyn - Piotrków Trybunalski 2003.

Mitkiewicz L., Z generałem Sikorskim na obczyźnie, Paryż 1968.

Mitkiewicz L., Z paryskiej „Reginy” do londyńskiego Rubensa (kartki z mojego notatnika), „Zeszyty Historyczne”, z. 3, Paryż 1963.

Morawski K., Tamten brzeg. Pogadanki i szkice, Paryż brw.

Morawski K., Wczoraj: pogadanki o niepodległym dwudziestolecu, Londyn 1967.

Morawski K., Wspólna droga. Wspomnienia, Paryż 1962.

Najzdolniejszy oficer Marszałka, <http://coryllus.nowyekran.pl/post/25620,najzdolniejszyoficermarszalka>

Nałkowska Z., Dzienniki, t. 4, 1930-1939, Warszawa 1988.

Napiszmy historię Polski od nowa
<http://niepoprawni.pl/blog/164/rewelacyjnywywiadzspprofpawlemwiczorkiewiczemdlaczego-rzeczpospolitaczekala-2-lata>

Noel L., Agresja niemiecka na Polskę, Warszawa 1966.

Olson L., Cloud S., Sprawa honoru. Dywizjon 303 Kościuszkowski, Warszawa 2004.

Orr A., Niedźwiedź Wojtek. Niezwykły żołnierz armii Andersa, Warszawa 2010.

Pająk H., Retinger. Mason i agent syjonizmu, Lublin 1996.

PawlikowskaJasnorzewska M., Listy do przyjaciół i korespondencja z mężem 1928-1945, Kraków 1998.

Pawlikowski M., Siedmiu z Halifcuca „J”, Warszawa 1975.

Pestkowska M., Kazimierz Sosnkowski, Wrocław 1995.

Pieczewski A., Działalność dyplomatyczna Józefa Hieronima Retingera na rzecz integracji europejskiej, Toruń 2008.

Piłsudska A., Wspomnienia, Warszawa 2004.

436 Polskie piekielko. Obrazy z życia elit emigracyjnych...

Płużański T., Diabeł z Berezy, www.asme.pl/123160099231690.shtml

Pomian J., Józef Retinger. Życie i pamiętniki „szarej eminencji”, Warszawa 1990.

Popiel K., Generał Sikorski w mojej pamięci, Warszawa 1985.

Praszyński K., Podróż po Polsce, Warszawa 2000.

Pryzwan M., Wspomnienia o Marii PawlikowskiejJasnorzewskiej, Warszawa 2010.

Raczyński E., W sojusznicy Londynie. Dziennik ambasadora Edwarda Raczyńskiego 1939-1945, Warszawa 1989.

Rączkowska A., Skorupiński A., Epitafium dla Ireny <http://magazyn.goniec.com/354/epitafiumdlaireny/>

Rogoyski M., Pułkownik Józef Beck więźniem w Rumunii, „Zeszyty Historyczne”, z. 18, Paryż 1970.

Rolski T., Uwaga wszystkie samoloty, Warszawa 1959.

Romański R., Generał Bolesław WieniawaDługoszowski, Warszawa 2011.

Romeyko M., Przed i po maju, Warszawa 1987.

Romeyko M., Wspomnienia o Wieniawie i o rzymskich czasach, Warszawa 1990.

Rudnicki K., Na polskim szlaku, Wrocław 1990.

- Rutkowski P., Stanisław Kot 1885-1975. Biografia polityczna, Warszawa 2000.
- Rzeczypospolita Polska czasu wojny. Rozkazy Naczelnego Wodza do żołnierzy 1939-1945, Warszawa 1997.
- Sakowski J., Dawne i nowe lata, Paryż 1970.
- Sakowski J., Wety i odwety: autorzy, książki, nagrody, Paryż 1976.
- Schimitzek S., Europa na krawędzi? Wspomnienia portugalskie 1939-1946, Warszawa 1970.
- Siemaszko Z., Retinger w Polsce, „Zeszyty Historyczne”, Paryż 1967.
- Soma M., Sławoj Felicjan Składkowski. Żołnierz i polityk, Lublin 2005.
- Sosnkowski K., Cieniom września, Warszawa 1988.
- Składkowski F., Kwiatuszki administracyjne i inne, Warszawa 2005.
- Składkowski F., Nie ostatnie słowo oskarżonego, Warszawa 2003.
- Składkowski F., Strzępy meldunków, Warszawa 1988.
- Bibliografia
- 437
- Słonimski A., Alfabet wspomnień, Warszawa 1975. Słowikowski M., W tajnej służbie, Londyn 1977. Sokolnicki M., Dziennik ankarski 1939-1943, Londyn 1965. Sokolnicki M., Dziennik ankarski 1943-1946, Londyn 1974. Sosnkowska J., Kowalski W., W kręgu mitów i rzeczywistości, Warszawa 1987.
- Sosnkowski K., Cieniom września, Warszawa 1990.
- Stachiewicz W., Wierności dochować żołnierskiej, Warszawa 1998.
- Stradecki J., W kręgu Skamandra, Warszawa 1977.
- StrumphWojtkiewicz S., Wbrew rozkazowi, Warszawa 1959.
- Szembek J., Diariusz wrzesieńgrudzień 1939, Warszawa 1989.
- Szubarczyk P., Anders na białym koniu, „Nasz Dziennik” 115/2007.
- Śmierć i koronki, „Focus Historia” 8/2009.
- Terlecki O., Barwne życie szarej eminencji, Kraków 1981.
- Terlecki O., Generał Sikorski, Kraków 1983.
- Terlecki O., Kierunek Cassino, Warszawa 1989.
- Terlecki O., Kuzynek diabła, Kraków 1988.
- Terlecki O., Pułkownik Józef Beck, Kraków 1985.
- Terlecki O., Wielka awantura, Londyn 1978.
- Urbanek M., Tuwim, Wrocław 2004.
- Urbanowicz W., Swit zwycięstwa. Bitwa o Anglię oczami dowódcy dywizjonu 303,

Kraków 2009. Wańkowicz M., Bitwa pod Monte Cassino, t. 1-3, Warszawa 1989.
Wańkowicz M., Monte Cassino, Warszawa 1989. Wańkowicz M., Szkice spod Monte Cassino, Warszawa 1995. Wapiński R., Władysław Sikorski, Warszawa 1978. Wasilewski Z., Obyś żył w ciekawych czasach. Z pamiętnika adiutanta 1939-1945, Warszawa 1958. Wawer Z., Monte Cassino, Warszawa 2009.
Węglowski A., W obozach Sikorskiego, „Tygodnik Powszechny” 18/2010.
Wieczorkiewicz P., Historia polityczna Polski 1939-1945, Warszawa 2005.
Wieczorkiewicz R., Sen o białym pióropuszu, „Polska Zbrojna” 22/2004.
438 Polskie piekielko. Obrazy z życia elit emigracyjnych.
Wieczorkiewicz P., Ostatnie lata Polski niepodległej, Warszawa 1991.
Wierzyński K., Pamiętnik poety, Warszawa 1991.
Winnicka E., Już ich tu nie ma. Rozmowa z Anną Marią Anders, córką generała Andersa,
<http://www.polityka.pl/historia/1511382,1,rozmowazannamariaanderscorkagenandersa.read>
Witkowski G., Józef Retinger. Polski inicjator integracji europejskiej, Warszawa 2000.
Witos W., Moja tułaczka w Czechosłowacji, Warszawa 1995.
Witos W., Moje wspomnienia, t. 1-3, Paryż 1964-1965.
Wittlin T., Pieśniarka Warszawy. Hanka Ordonówna i jej świat, Warszawa 1990.
Wittlin T., Szabla i koń, Warszawa 2003.
Wróbel J., Wojenne losy polskiego złota, <http://www.ipn.gov.pl/portal/pl/345/5518/?poz=2&update=1>
Wysocki A., Tajemnice dyplomatycznego sejfu, Warszawa 1974.
Wyszczelski L., Generał Kazimierz Sosnkowski, Warszawa 2010.
Zabięło S., Na posterunku we Francji, Warszawa 1971.
Zabięło S., O rząd i granice: walka dyplomatyczna o sprawę polską w II wojnie światowej, Warszawa 1986.
Zajac J., Dwie wojny, t. 1-2, Londyn 1964-1967.
Zaremba ML, Nadzieja i strach, „Tygodnik Powszechny”, <http://tygodnik.onet.pl/35,0,57618,1,artykul.html>
Zumbach J., Ostatnia walka, Warszawa 2007. amaJbnka.pl dobry sklep internetowy
Dostawa w 24 godziny! A
Książki najniższe cenyw mternede! ‘ www.amazonka.pl
SD

